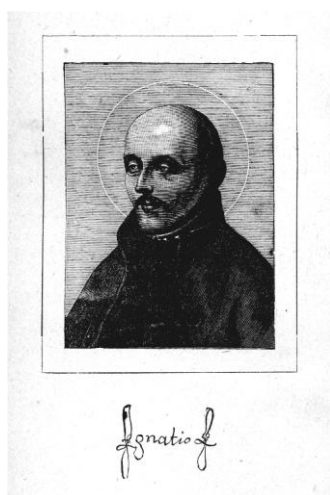


Ks. JAN BADENI SI

**ŻYCIE**  
**ŚW. IGNACEGO LOYOLI**  
**ZAŁOŹYCIELA ZAKONU**  
**TOWARZYSTWA JEZUSOWEGO**



WYDANIE TRZECIE

KRAKÓW 2016

[www.ultramontes.pl](http://www.ultramontes.pl)

# TREŚĆ

	Str.
Słowo od Wydawnictwa .....	3
Wstęp .....	5
I. Młodzińcze lata. – Rycerskie rzemiosło. – Oddanie się Bogu na służbę .....	7
II. Manreskie rozmyślenia .....	20
III. Pielgrzymka do Ziemi świętej .....	47
IV. Pokorny uczeń .....	62
V. W paryskich szkołach .....	76
VI. W Hiszpanii i we Włoszech .....	97
VII. Nowy zakon. – Pierwsze prace. – Pierwsze prześladowania .....	113
VIII. Zasadnicze ustawy Towarzystwa Jezusowego .....	129
IX. Wewnętrzne rządy zakonu .....	139
X. Apostolska działalność .....	166
XI. Heroiczne cnoty .....	186
XII. Śmierć błogosławiona. – Chwała na ziemi i w niebie .....	199



# ŻYCIE

## ŚW. IGNACEGO LOYOLI

### ZAŁOŻYCIELA ZAKONU TOWARZYSTWA JEZUSOWEGO

Ks. JAN BADENI SI

---

#### **SŁOWO OD WYDAWNICTWA**

*Kto dziś nie słyszał u nas o rekolekcjach? Stały się one jakby koniecznym corocznym ćwiczeniem religijnym wszystkich klas wierzącego ogółu. Mniej za to ludzi wie dokładnie, jaki jest tych pobożnych ćwiczeń początek, kto jest ich twórcą.*

*O Jezuitach ileśmy się nasłuchali baśni i legend, jaki zabobonny strach przed ich przewrotnością i szkodliwością dla społeczeństwa starano się wpoić w wielu z nas już na ławie szkoły rosyjskiej, a częściowo i nie rosyjskiej! Przede wszystkim w broszurach i piśmiokach wrogów wiary i Kościoła przyjętym jest, jakby za jakieś konieczne prawo, szkalować imię Jezuitów, czyniąc z ich nazwy symbol wszelkiego zła i nieszczęścia dla krajów i narodów. Oszczerstwo zawsze pozostawia na dnie duszy słuchających go jakiś osad podejrzeń, a może to i prawda, że Jezuita, jako zakon, to zespół ludzi, dążących do jakichś ukrytych, sobie tylko znanych, dla społeczeństwa szkodliwych celów? Wobec takich pojęć i takich podejrzeń zrozumiałaby być powinna ciekawość poznania początków tego zgromadzenia, poznania ich twórcy i ducha, jakiego ten twórca tchnął w swoje dzieło.*

*Twórcą zakonu Jezuitów jest ten sam, w którego duszy poczęła się także owa dziwna książeczka, która nauczyła metody owych tak dzisiaj rozpowszechnionych ćwiczeń, jakimi są rekolekcje.*

*Jest nim św. Ignacy Loyola.*

*Życie św. Ignacego Loyoli należy do najciekawszych rozdziałów historii kościelnej. Temu założycielowi nowego zakonu i twórcy "ćwiczeń duchownych" zawdzięcza katolicyzm w znacznej mierze zatamowanie herezji protestanckiej i odnowienie w samejże społeczności katolickiej ducha katolickiego. Wpływ jego sięga poprzez kilka wieków aż w czasy nasze, owszem z każdym dniem rośnie, w miarę jak rozrastają się i krzepną założone przezeń instytucje, jak duch, który urabiał szczupłe grono pierwszych jego towarzyszy, przenika coraz głębiej w dusze, jak staje się własnością coraz szerszego ogółu wierzących.*

*Studiowanie życia św. Ignacego staje się dlatego nie tylko zaspokojeniem historycznej ciekawości, ale pomaga do zrozumienia zbiorowej psychiki także współczesnego katolicyzmu, odkrywa nawet ideały i zadania przyszłości.*

*Zagranicą dużo zrobiono w ostatnich dziesiątkach lat dla dokładnego poznania życia św. Ignacego przez wydanie materiałów, dotyczących pierwszych początków jego dzieła. Pojawiły się też obszerne "Żywoty" tego Świętego, w rodzaju pracy dwutomowej po holendersku (1) Van Nieuwenhoffa, lub angielskiego dzieła Thompsona (2). Francuski filozof i psycholog, Henri Joly skreślił w serii "Les Saints" wnikliwą sylwetkę duchowego oblicza Świętego (3). Ta ostatnia praca została przyswojona i polskiemu językowi, na przetłumaczenie innych prac o Świętym nie zdobyliśmy się jeszcze dotąd.*

*Posiadamy atoli oryginalnie po polsku napisane "Życie św. Ignacego", pióra Ks. Jana Badeniego. Ukazało się ono już 30 lat temu, nie można więc żądać od niego uwzględnienia wszystkich tych szczegółów, jakie przynoszą wciąż ogłaszane źródła i jakie mogli wykorzystać piszący po Ks. Badenim zagraniczni autorowie. Mimo to praca Ks. Badeniego posiada niemalą wartość, przede wszystkim praktyczną: kreśli dość dokładnie przebieg tych wewnętrznych przeżyć, które z hiszpańskiego rycerza uczyniły mistrza ascetyki katolickiej i genialnego organizatora nowego zakonu i innych zbawiennych instytucyj w Kościele, daje więc poznać to, o co czytelnikowi najbardziej chodzi – ducha autora rekolekcyj i założyciela Jezuitów.*

*Dlatego Wydawnictwo nasze uznało za rzecz pożyteczną wydać pracę Ks. J. Badeniego powtórnie, poprawiając tylko nieco przestarzały język i styl. Zanim doczekamy się nowej oryginalnej pracy o Świętym albo przyswojenia cudzej, będzie ona spełniała zadanie, jakieśmy nakreślili na początku. Tym bardziej jest*

to obecnie potrzebne, kiedy Ojciec Święty, Pius XI, konstytucją apostolską "Summorum Pontificum" z dnia 25 lipca 1922 r. uznał w św. Ignacym patrona ćwiczeń rekolekcyjnych.

Wczytując się w dzieje jego duszy nauczą się dusze pobożne lepiej rozumieć te święte ćwiczenia, które je mogą posunąć do najwyższej doskonałości duchowej, jaka jest dostępna w tej pielgrzymce ziemskiej.

---

### Przypisy:

- (1) W. van Nieuvenhoff S. J., *Leben des hl. Ignatius von Loyola* (przekład niemiecki). Regensburg 1901.
- (2) Thompson, *Life of S. Ignatius*. London 1910.
- (3) Joly, *S. Ignace de Loyola*. Paris. V. Lecoffre.



## WSTĘP

Jeżeli kiedy, to w dzisiejszych czasach, gdy bój między wrogami a sługami Bożymi wszędzie się toczy z szczególną zapalczywością, należy nam wpatrywać się w przykłady pozostawione przez mężnych rycerzy, wodzów, którzy się dawniej w tych bojach Pańskich odznaczyli; należy uczyć się od nich taktyki wojennej, energii, roztropności, wszystkich tych zalet i cnót, które im zapewniły zwycięstwo. Jednym z takich bezwątpienia najwaleczniejszych rycerzy, najznakomitszych wodzów, występujących w dziejach Kościoła jest św. **Ignacy Loyola**. Wrogowie nawet odmówić mu nie mogą nadzwyczajnych przymiotów umysłu i serca i wielkich zasług, jakie położył w obronie Kościoła; katolicy prawdziwi czczą w nim opatrnościowego męża, którego sam Bóg wybrał i posłał, aby wśród ciężkich przejść, na jakie Kościół narażony był w XVI wieku, zastawiał się za prawdę, zwalczał błędy, tępił grzechy, wiarę i cnotę po świecie całym szerzył.

Istotnie, wspaniały to widok tych walk staczanych przez rycerza, którego sam Bóg wybrał, tych zwycięstw odnoszonych przez niego dzięki pomocy potężnej prawicy Pańskiej. Wspaniały, a zarazem pouczający i pocieszający to obraz; uczy, jak wojować za prawdę, za Boga; dodaje otuchy w przeciwnościach, które i Ignacemu tylekrotnie zagrażały drogę; napędza pewną nadzieją ostatecznej wygranej. Wpatrując się w to życie tak pełne świętych czynów, tak wielkie przed Bogiem i ludźmi, mimo woli serce rośnie i pytanie się nasuwa: "A czemuż i ja nie mógłbym pójść tą samą drogą?". Jak tą drogą pójść, jak nigdy z niej nie zbroczyć? – na te niezmiernie doniosłe pytania odpowiada znowu życie świętego sługi Bożego, wskazując zarazem na każdej karcie, skąd zaczerpnąć potrzebnego światła i siły.

W innych krajach wyszło i wciąż wychodzi wiele nieraz bardzo obszernych i gruntownych życiorysów Ignacego, spisanych w języku łacińskim, włoskim, francuskim, hiszpańskim, niemieckim, portugalskim. U nas prócz dawnych tłumaczeń O. Ribadeneiry z XVI i XVII wieku, nie mamy żadnego nieco obszerniejszego opisu życia św. Ignacego (1). Dotkliwemu temu brakowi zaradzić pragnę w niniejszej książeczce. Opiera się ona na wszystkich znanych dotąd życiorysach i dokumentach, odnoszących się do prac i cnót wielkiego tego sługi Bożego; w szczególności na żywotach ułożonych przez OO. Ribadeneirę, Bartolego, Bouhoursa, Maffeiego; na dokumentach zebranych przez uczonych Bollandystów, tudzież na niedawno temu ogłoszonych sześciu tomach korespondencji prowadzonej przez samegoż Ignacego.

Niechaj wielki święty, którego znajomość i cześć praca ta ma na celu rozszerzać, wyprosić dla niej raczy, aby była w istotnym i najszerszym znaczeniu tego ulubionego przezeń hasła: *Na większą chwałę Bożą!*

(Pisano w r. 1893).

---

### **Przypisy:**

(1) W r. 1900 wyszło polskie tłumaczenie książki H. Joly, Św. Ignacy Loyola, nakł. Gebethnera i Wolffa. (Przyp. wyd.).



## I.

### **Młodzińcze lata. – Rycerskie rzemiosło. – Oddanie się Bogu na służbę**

W północnej Hiszpanii, w zamieszkałej przez Basków prowincji Guipuzcoa, nieco na południe od miasteczek Azcoitia i Azpeitia, wznosił się pod koniec XV wieku, otoczony dziś dokoła jako cenna relikwia, murami olbrzymiego klasztoru Jezuitów, niewielki zameczek Loyola. Panów zamku, Beltrana Yanez de Loyola i Mariannę Saez de Balda, obdarzył Bóg licznym potomstwem: pięciu córkami i ośmiu synami; ostatni przyszedł na świat r. 1491 Inigo Lopez de Recalde, jak brzmiało całe rodowe nazwisko, Ignacy, jak sam zwykł się być później podpisywać i jak go świat katolicki nazywać się przyzwyczaił.

O dziecinnych i młodych latach przyszłego zakonodawcy, nadzwyczaj szczupłe mamy wiadomości. Wychowanie Ignacego skierowane było ówczesnym obyczajem niemal wyłącznie do rycerskiej służby; myśli jego i marzenia obracały się koło walk z niewiernymi Maurami, obrony granic ojczystych, wojennej sławy. W tym kierunku prowadziło go już wszystko, cokolwiek widział i słyszał w rodzinnym domu: opowiadania o walecznych czynach przodków, wojenne pieśni przez braci śpiewane, dochodzący i do odosobnionego loyolskiego zameczku odgłos zwycięstw chrześcijańskiego oręża. Chęć do walki, pragnienie sławy wzmogło się tym bardziej, gdy jako podrostek znalazł się Ignacy z rozkazu rodziców na dworze króla Ferdynanda, a spełniając tutaj obowiązki pazia, uczył się zarazem rycerskiego rzemiosła i niecierpliwie czekał, kiedy będzie mógł odznaczyć się i zdobyć wawrzyny, jakie zdobyli już rycerze przebywający w tym raczej obozie, niż monarszym dworze. Wdzięczna postać, zręczność i odwaga młodego pazia zwróciły nań ogólną uwagę; zajął się nim zwłaszcza daleki krewny, Antoni Maurico, wicekról Nawarry, książę na Najarze, sam nauczył go robić bronią i kierował pierwszymi jego krokami w utarczkach z zewnętrznymi i wewnętrznymi wrogami panowania Ferdynanda, które nie we wszystkich prowincjach było dość silne.

Młody żołnierz odznaczył się niebawem między towarzyszami i szybko posuwał się na coraz wyższe dowództwa. Wśród obozowego życia był on zawsze niezmiernie czułym na wojskowy honor i za nic w świecie niczego by

się nie dopuścił, co by w jakikolwiek sposób mogło go splamić. Dla honoru też raczej i ścisłego zachowania rycerskich przepisów, niż z wyższych, nadprzyrodzonych względów, trzymał ściśle na wodzy młodzieńcze namiętności, dla pieniędzy okazywał jawną wzgardę. Po zdobyciu Najarry, dozwolił swym żołnierzom, wedle powszechnego wówczas zwyczaju, obrabować mieszkańców, ale sam najmniejszego nawet łupu sobie nie przywłaszczył. Nieraz ognistą swą, przekonywującą wymową, uśmierzał groźne spory; gotów sam za miecz pochwycić, gdyby kto odważył się rzucić nań obelgę. Korzystając z wolnych chwil, w czasie których towarzysze jego grze się oddawali, układał Ignacy hiszpańskie wiersze; jeden z tych wierszy opiewał historię nawrócenia i wielkich zasług św. Piotra, ale niejeden prawdopodobnie musiał mieć za przedmiot miłość i sławę ziemską. Krótko mówiąc, Ignacy był wzorem ówczesnego rycerza: mężnego w boju, uprzejmego dla kobiet, obrońcy uciśnionych, skrupulatnego stróża własnego honoru; wyznawał głośno swą wiarę, spełniał przepisane przez nią praktyki, ale nie wiele o to się troszczył, aby przeniknąć ducha nauki Chrystusowej i wedle niej całe swe życie, swe myśli i pragnienia ukształtować.

Łaska Boża przez cierpienie miała sobie znaleźć wstęp do serca Ignacego i z ziemskiego rycerza w Chrystusowego go przemienić. Z początkiem wiosny 1521 r. wybuchła wojna o tron Nawarry między Hiszpanami, broniącymi praw Karola V, a Francuzami, stojącymi po stronie jego rywala, Henryka d'Albert. Wojsko francuskie pod dowództwem Jędrzeja de Foix wkroczyło w granice hiszpańskie, a zajmwszy kilka miasteczek, stanęło pod obroną Pampeloną. Poprzednio jeszcze wicekról Nawarry dowiedziawszy się o zbliżającym się z przemożnymi siłami nieprzyjaciela, pospieszył do Kastylii dla ściągnięcia co prędzej posiłków, a w Pampelonie zostawił Ignacego z bardzo nieliczną załogą. Posiłki nie nadchodziły, a tymczasem mieszkańcy, obawiając się gniewu zdobywców, prośbami i groźbami starali się nakłonić Ignacego do dobrowolnego poddania miasta, tłumacząc mu, że dalszy opór byłby szaleństwem. Mężny rycerz opierał się, póki mógł, tym naleganiom; wreszcie widząc, że istotnie, zwłaszcza wobec takiego usposobienia mieszkańców, miasta obronić nie potrafi, cofnął się z garstką wiernych żołnierzy do silnie obwarowanego zamku, pozwalając otworzyć bramy miejskie nieprzyjacielskiemu wojsku. Francuzi weszli do Pampelony, a jednocześnie wysłali parlamentarza do dowódcy zamkowego, wzywając go do poddania się. Wielu oficerów wezwanych na radę wojenną, sam nawet z ramienia wicekróla ustanowiony zarządca zamku, sądzili, że mogą zgodzić się na podane sobie



przez nieprzyjaciół warunki bardzo zresztą honorowe; jeden Ignacy wręcz przeciwnego był zdania, głośno wołając: Lepsza śmierć zaszczytna, niż życie tchórzostwem splamione! Zapał ten udzielił się innym, parlamentarza odesłano z niczym, a Ignacy zachęciwszy żołnierzy do męstwa, stanął na murach, na miejscu wystawionym na najczęstsze pociski, i niczym nie ustraszony, wśród gęsto dokoła padających kul, gotował się z mieczem w ręku odeprzeć atak szturmujących. Wtem kawał kamienia, oderwanego armatnią kulą, uderzył w lewą jego nogę, a jednocześnie odbita od muru kula strzaskała mu prawą. Ignacy padł, a żołnierze przerażeni, nie podtrzymywani głosem i przykładem walecznego swego dowódcy, nie próbowali dłużej się bronić; tegoż jeszcze poranku 10 maja 1521 r. w drugi dzień Zielonych Świątek zajęli Francuzi krótko ale mężnie bronioną twierdzę.

Zwycięzcy wiedzieli dobrze kto był duszą rycerskiej tej obrony; umiając też uszanować męstwo zwyciężonych, otoczyli rannego Ignacego możliwymi staraniami. Wojskowy cyrulik złożył rannemu złamaną kość w prawej nodze, ale z pośpiechu czy z nieudolności złożył ją tak źle, że ból rósł raczej niż ustawał, a dozgonne kalectwo zdawało się nieuniknione. W Pampelonie o gruntowniejszej kuracji nie można było myśleć, trudno też było o wygody potrzebne rannemu; dlatego francuski dowódca szczerze ceniąc swego jeńca, a widząc, że nie powstanie – jak zdawało się z początku – w krótkim czasie z ran odniesionych, rozkazał przenieść go w wygodnej lektyce do rodzinnego, choć dość oddalonego zamku Loyoli. Tutaj przywołany doktor opatrzywszy ranę, oświadczył bez ogródki, że albo chory poddać się musi powtórnej, bardzo ciężkiej operacji, albo na całe życie zostanie kaleką; Ignacy natychmiast zgodził się na operację, a lekarz rozerwał zrastające się już kości i na nowo w odmienny sposób je złączył. Straszny to był ból, ale mężny rycerz uważał sobie za punkt honoru nie okazać go ani jednym krzykiem; konwulsyjnie tylko zaciśnięte ręce okazywały, jak bardzo cierpiał.

Przytomni jaśniej jeszcze przekonać się mogli o wielkości tego cierpienia, ze smutnych skutków, które sprowadziła dokonana operacja. Chory i tak już upływem krwi osłabiony, zaczął od tej chwili coraz bardziej na siłach upadać; raz po raz wpadał w rodzaj omdlenia; cały organizm niemal zupełnie wypowiedział mu służbę, tak, iż doktorzy utracili nadzieję utrzymania Ignacego przy życiu, a on sam, nie łudząc się co do swego stanu, wzmocnił się świętymi sakramentami: wiatykiem i ostatnim namaszczeniem na drogę wieczności.

Wigilia świętych apostołów Piotra i Pawła była dniem krytycznym, w którym wedle zapowiedzi lekarzy, rozstrzygnąć się ostatecznie miało życie lub śmierć chorego. Do św. Piotra miał Ignacy zawsze szczególne nabożeństwo; nawet wśród szczęku broni układał na cześć jego wiersze; później stać się miał wedle wyroków Opatrzności Bożej, jednym z najwaleczniejszych szermierzy w obronie stolicy Piotrowej; obecnie, jakby dla zaciśnięcia węzłów, które łączyły go i złączyć miały z wielkim tym apostołem, opoką i wodzem wojującego Kościoła, zrzucił Bóg, aby właśnie Piotrowi św. zawdzięczał życie i zdrowie. W nocy, poprzedzającej uroczystość św. Apostołów, okazał się Piotr swemu czcicielowi i zapewnił go, że niebawem zdrowie odzyska; a prawdziwość tego widzenia stwierdziło najlepiej nadzwyczaj szybkie, dla wszystkich niespodziane wypełnienie się uczynionej przepowiedni.

Kiedy Ignacy powstał z łóżka i po raz pierwszy nieco swobodniej spróbował przejść się po pokoju, spostrzegł z przerażeniem, że przebyte cierpienia nie uchroniły go od kalectwa: prawa noga znacznie się skurczyła, a na domiar złego, pod kolanem wystawała źle spojona kość, nie sprawiając wprawdzie bólu, ale bardzo niemiłe dla oka wywierając wrażenie. Wykwintnego rycerza, który dotąd niemało się chełpił ze zgrabności swej i wytwornego ułożenia i rad słuchał dochodzących zewsząd pochlebstw o męskiej swej urodzie, bardziej bolały te ślady rany, niż rana sama. Czyż nie byłoby jakiego sposobu, aby pozbyć się szpecących tych śladów, uniemożliwiających dalszą służbę rycerską, nie pozwalających zadziwiać nadal innych zręcznością i piękną postawą? Jest, odpowiedzieli lekarze, ale o wiele boleśniesz niż od wszystkiego, coś dotąd przecierpiał. Niezmieszany słowami tymi, Ignacy oddał się natychmiast ponownie w ręce lekarzy, obawiając się zwłaszcza, jak sam później opowiadał, aby kość wystająca nie przeszkadzała mu do noszenia zgrabnego, w modzie wówczas będącego obuwia. Doktor przepiłował kość, poczym za pomocą osobnej maszyny naciągał krótszą nogę przez wiele dni z rzędu, ale tortura ta raczej, niż kuracja, więcej przyniosła bólu niż pożytku: skurczona noga nieco się wprawdzie przeciagnęła, lecz zawsze pozostała znacznie krótszą od lewej. Jedyłą, rzeczywistą korzyścią tego heroicznie, bez ruchu i jęku znoszonego męczeństwa były gorące łyzy, którymi Ignacy opłakiwał później te "szaleństwa" dawnego swego życia, zachęcając się do heroicznego znoszenia najcięższych cierpień dla Boga, jeśli dla nierozsądnej ambicji, dla śmiesznej próżności, narażał się dobrowolnie na tak straszne katusze.

W pierwszych dniach po przeniesieniu do Loyoli, największą rozrywką dla rannego było snuć marzenia o dawnych i przyszłych czynach wojennych, o sławie i wybranej pani swego serca, której jeśli nie miłość, bo na to zbyt wysoko wydawała mu się postawioną, to przynajmniej cześć i uznanie pragnął sobie zjednać (1). Ale same marzenia, rozmowa ze sługami i bratem nie mogły na długo wystarczyć dla tak czynnego i żywego umysłu, zwłaszcza gdy dotkliwsze bóle nieco ustąpiły. Dla zabicia czasu, zażądał Ignacy ciekawej jakiejś książki o rycerskich awanturach, jednej z tych, które towarzysze jego i on sam w chwilach wolnych od innych zajęć, chciwie pochłaniali, starając się później w życiu iść choć z daleka śladami urojonych bohaterów. Przetrząsnięto cały zamek, ale żadnej podobnej książki nie znaleziono; rad nie rad musiał się Ignacy zadowolnić dwoma w zupełnie innym rodzaju napisanymi książkami, jedynymi, które nie wiedzieć jakim sposobem, lecz nie bez zrządzenia Opatrzności, zabłąkały się do Loyoli.

Pierwszą z tych książek było przetłumaczone na język hiszpański *Życie Pana Jezusa* przez Landolfa, Kartuza; drugą – oryginalnie po hiszpańsku napisane *Żywoty Świętych*. Początkowe kartki nie bardzo zajęły zbyt jeszcze marnościami tego świata zajętego żołnierza; lecz w miarę jak się wczytywał w życie niebieskiego wodza Chrystusa i w życie wiernych Jego sług i walecznych rycerzy, wciskać się zaczęły do serca nieznane dotąd myśli i nowe zupełnie uczucia, walcząc z dotychczasowymi ideałami, staczając zacięte spory i wypędzając dotąd wszechwładnie panujące marzenia i pragnienia. Niekiedy – opowiadał sam Święty, już jako doświadczony żołnierz w służbie Chrystusowej, pierwsze te wewnętrzne walki (2) – zwracał chory myśl od pobożnych przedmiotów do rzeczy dawniej czytanych; niekiedy stawały przed wyobraźnią jego rozmaite obrazy, które poprzednio pochłaniały całą jego uwagę. Zwłaszcza jedna myśl tak mu serce napełniała, iż zupełnie się w niej zatapiał i pograżał przez dwie, trzy, cztery godziny, które zlatywały mu niby jedna chwila. Myślał i rozmyślał, w jaki sposób okazać by mógł swą cześć dla pewnej zacnej pani; jak dostać się do miasta, w którym przebywała; w jakich wyrazach do niej się odezwać; jakimi dowcipami i żartami ją rozerwać; jaką rycerską sztuką przed nią się popisać... Jednocześnie miłosierdzie Boże, inne, tym zupełnie przeciwne poddawało mu myśli. Czytając bowiem życie Pana Jezusa i Świętych, tak zastanawiał się i sam ze sobą rozmawiał: Czy nie mógłbym pójść śladami św. Franciszka? – A gdybym też naśladować zaczął św. Dominika? Pytania te na wszystkie strony roztrząsał: przedstawiał sobie różne trudności i przykrości, i zdawało mu się, że wszystkie te trudności łatwo mógłby pokonać, tego jednego

używając argumentu: Zrobił to św. Dominik, więc zrobię i ja; potrafił to św. Franciszek, potrafię i ja. Dość długo gościły tego rodzaju myśli, poczym z powodu jakiejś okoliczności, znów świeckie owe marzenia nadpływały, również czas pewien w sercu się zatrzymując...

"Ale pomiędzy dwoma tymi kierunkami myśli ważna dawała się spostrzec różnica. Rozmyślając o rzeczach świeckich, doznawał pociechy i słodyczy, lecz kiedy rozmyślanie to przerywał dla zbytowego wyteżenia umysłu, słodycz ustępowała, a miejsce jej zajmowały natychmiast smutek i oschłość. Przeciwnie, gdy myślał o pielgrzymce do Jerozolimy, o żywieniu się samymi tylko ziołami i o innych tego rodzaju umartwieniach, używanych przez świętych Pańskich, wtedy nie tylko w czasie samego tego rozmyślania dziwnym przejęty był weselem, ale wesele to nie opuszczało go i później. Przez czas pewien na różnicę tę nie zważał i nie umiał jej ocenić, nagle dopiero dnia jednego otworzyły mu się niejako oczy; zaczął serce swe badać i poznał z doświadczenia, że jeden szereg myśli pozostawia po sobie w duszy smutek, drugi radość. Pierwsze to było jego rozumowanie o rzeczach Bożych".

"Powoli poznawał lepiej dzieje własnego serca i przeciwne drogi, jakimi Bóg i szatan duszę jego prowadził; czytanie pobożnych ksiązek użyczyło mu również nie mało światła, a pod wpływem tego światła zaczął poważniej zastanawiać się nad własnym życiem i rozważać, jaką i jak ciężką pokutą mógłby przebłagać Boga za dawne swe grzechy. W odpowiedzi na to pytanie, odezwało się znowu i z większą jeszcze siłą pobożne pragnienie naśladowania cnót świętych mężów; czemuż bym i ja, argumentował po prostu, nie mógł za łaską Bożą dopiąć tego, czego oni dopięli?"

Łaska Boża przywołana niejako do serca wspaniałym obrazem heroicznego życia wybranych sług Pańskich, z dnia na dzień silniejsze zapuszczała korzenie, tłumiąc ziemskie żądze, wzniecając pragnienie naśladowania Pana Jezusa wzgardzonym i umartwionym życiem. Za przykładem pustelników, których czytał żywoty, zamyślał Ignacy odpokutować za popełnione grzechy biczowaniem i postami; za przykładem wielu świętych pragnął odbyć pobożną pielgrzymkę do Jerozolimy, i, jeśli Bóg da, spędzić resztę życia bądź na miejscach uświęconych obecnością Zbawiciela, bądź w jakim klasztorze; a czy tu, czy tam, zawsze jako wierny uczeń, niosąc krzyż swój iść za Ukrzyżowanym... Pewnej zwłaszcza nocy, gdy według przyjętego od niejakiego czasu zwyczaju wstał z łóżka na modlitwę, światło niebieskie tak silnie oświeciło jego rozum i rozgrzało serce, iż zapominając o wszystkich

wątpliwościach i pokusach, ukląkł przed obrazem Niepokalanej Dziewicy, i oddawszy się Jej w gorących słowach na służbę, błagał pokornie, aby raczyła go zaprowadzić pod chorągiew najukochańszego swego Syna. Przysięgał, że odtąd jedynie pod tą chorągwią walczyć i umierać pragnie. Niebo przyjęło widocznie tę ofiarę i przysięgę, bo jak opowiadają nam żywotopisarze Świętego, w tejże chwili cały zamek Loyola a zwłaszcza pokój, w którym Ignacy się modlił, gwałtownie zatrzęsł się w swych posadach, podobnie jak niegdyś "poruszyły się fundamenty ciemnicy, w której Paweł i Syłas modląc się chwalili Boga" (3), na znak, iż Bóg wysłuchał ich modlitwy. Innej nocy Matka Najświętsza widoczniej jeszcze pocieszyła i utwierdziła w powziętych postanowieniach swego sługę i rycerza, ukazując mu się z Dzieciątkiem Jezus na rękach i pozwalając wpatrywać się dłuższy czas w święte swe, promieńmi Bożej piękności błyszczące oblicze. Widok ten, za życia już do nieba przenoszący, zniszczył ostatecznie w sercu Ignacego wszelkie upodobanie w ziemskich pięknościach i zostawił po sobie trwałą cudowną pamiątkę. Od chwili, w której Królowa Dziewic ukazała się swemu czcicielowi i nadziemską radością serce jego napełniła, ustąpiły stanowczo, by nigdy już nie powrócić, wszystkie pokusy, myśli, obrazy przeciwne cnocie anielskiej; tak, iż Ignacy nakazując później duchownym swym synom naśladować Aniołów, wskazywał im ideał, i zachęcał do wyproszenia sobie daru, którego Bóg użyczył mu z szczególnej swej łaski, za pośrednictwem Maryi, zaraz w pierwszych dniach po również cudownym nawróceniu.

Brat i domownicy spostrzegli i spostrzec musieli dziwną zmianę, jaka zaszła w umyśle Ignacego. Rozmowę zwracał odtąd zawsze do rzeczy świętych; długie godziny spędzał na klęczkach, chętniej teraz z Bogiem, niż z ludźmi rozmawiając; resztę czasu poświęcał pilnemu czytaniu i odczytywaniu życia Pana Jezusa i świętych. Dla lepszego wbicia sobie w pamięć niektórych szczegółów, które najsilniejsze wywierały na nim wrażenie, spisywał je z wielką pilnością w osobnej książce, nie żałując trudu, aby każdą literę jak najpiękniej wykonać. Słowa Pana Jezusa wypisywał czerwonym atramentem, słowa Matki Najświętszej niebieskim, świętych Pańskich różnymi innymi kolorami. Pracę tę, która w gruncie rzeczy nie różniła się niczym od modlitwy, przerywał raz po raz to serdeczną, z wielkim wylaniem duszy odprawianą modlitwą, to krótkimi strzelistymi aktami; to znowu stając przed otwartym oknem, podziwiał majestat i piękność Bożą, objawiającą się zarówno w blasku słonecznym, jak w milionach gwiazd rozsianych po firmamencie; dziękował Stwórcy, że "dobry i

na wieki miłosierdzie Jego" i ponawiał uczynione postanowienie, że odtąd jedynie wielkiemu temu Panu służyć będzie.

Kto chce służyć Bogu doskonale i za Jezusem, jako wierny Jego uczeń, ślad w ślad iść pragnie, ten nie powinien wstecz się oglądać; wyrzec się musi domu, rodziny, przyjaciół; zapomnieć musi niejako o dotychczasowym swym życiu, aby zacząć inne zupełnie, które światu wydaje się głupstwem, ale mądrością jest u Boga. Taką naukę dał Chrystus swym uczniom; Ignacy ściśle się jej trzymając, postanowił zerwać wszystkie węzły łączące go z ziemią i czynem pokazać, jak pokazali owi święci, których żywoty tak mu do serca przemawiały, że bardziej miłuje Chrystusa, niż "dom, albo braci, albo siostry, albo rolę". Lecz gdzie Bogu służyć: czy w Jerozolimie, czy w zakonie jakim, czy najlepiej może, zrzekłszy się towarzystwa ludzkiego, wśród gór niedostępnych pędzić życie w samotności i pokucie. Przez chwilę zatrzymał myśl na zakonie Kartuzów; później przyszła mu wątpliwość, czy będzie w nim mógł stosownie do swego pragnienia ciało umartwieniami trapić, jarzynami tylko się karmić. Dla uspokojenia się w tej mierze, polecił jednemu ze sług, który w tym właśnie czasie udać się miał do Burgos, aby dostawszy się pod jakim pretekstem do tamtejszego klasztoru Kartuzów, zbadał ich urządzenia i zwyczaje i dał mu o nich jak najdokładniejsze informacje. Sługa dobrze spełnił dane sobie polecenie, ale choć dla Kartuzów miał same tylko pochwały, Ignacy nie powziął ostatecznej decyzji, odkładając ją do powrotu z Jerozolimy, a tymczasem niecierpliwie czekał na zupełniejszy powrót do zdrowia. Oczekiwał także na odpowiednią sposobność, aby bez zwrócenia na siebie zbytcej uwagi, dom rodzinny stanowczo opuścić, zrzec się wszelkich jego wygod i przyjemności, złożyć Bogu w ofierze wszystko co miał i mieć mógł i bez żadnych już przeszkód, gruntownie w ustronnym jakim miejscu zastanowić się nad przeszłym swym życiem, dokładniej nakreślić plan służenia Bogu na przyszłość.

Siły wracały z wolna, a choć widoczne jeszcze ślady pozostawały po tak długich i ciężkich cierpieniach, to przecież Ignacemu zdawało się, że nie wolno mu dłużej zwlekać z wypełnieniem tego, co uważał za wyraźną wolę Bożą. "Panie Bracie! – odezwał się do najstarszego z rodzeństwa, Marcina Garcji (4) – wódz mój, książę Najarry, wie, że czuję się lepiej; opuścić was muszę". Marcin, któremu nagła zmiana w usposobieniu brata, umartwienia jego i długie modlitwy od dawna już wydawały się podejrzane, domyślił się, że nie na dwór książęcy tak Ignacemu spieszą. Odprowadziwszy go więc do jednej z dalszych

komnat, gdzie nikt nie mógł im przeszkodzić w poufnej rozmowie, gorąco błagać go począł, aby dla nieroztropnych jakichś marzeń nie przerywał tak świetnie rozpoczętego rycerskiego zawodu. "Wszystko ci się uśmiecha, namawiał go i tłumaczył; masz imię, dowcip, odwagę i roztropność; pierwsze kroki najtrudniejsze; teraz gdyś już rozgłosił swe imię, gdy równi i wyżsi podziwiają cię jako mężnego obrońcę Pampelony, szaleństwem byłoby zawracać z obranej drogi, zrzekać się dla siebie i dla rodziny naszej sławy, która sama cię szuka". – "Nie lękaj się, odparł Ignacy, nie zapomniałem co nakazują mi rodzinne tradycje i zaręczam ci, że niczego się nie dopuszczę, co by mogło je splamić". Odpowiedź ta nie zupełnie zadowolniła Marcina; długo próbował on jeszcze wymownymi argumentami zdobyć wyraźniejsze jakieś zapewnienie; wreszcie widząc, że na próżno czas traci, pożegnał Ignacego, zakławszy go raz jeszcze, aby pamiętał, jakie obowiązki wkładają nań dotychczasowe czyny, pamięć o słynnych przodkach i honor domu Loyolów.

Jeden z braci odprowadził odjeżdżającego rycerza do Oniate, gdzie na parę godzin wstąpił obaj do domu zameżnej siostry; stąd Ignacy w towarzystwie dwóch sług podążył do Navarreto, ówczesnej rezydencji księcia Najarry. Jeszcze w czasie poprzedniej wyprawy księżę zaciągnął u swego krewnego dość znaczny dług; obecnie korzystając ze sposobności, zwrócił mu pożyczoną sumę, którą Ignacy natychmiast, nic sobie nie zatrzymując, na dwie części rozdzielił: jednej użył na spłacenie własnych swych długów, drugą ofiarował na odnowienie obrazu Matki Boskiej w jednym z pobliskich kościołów. W Navarreto odprawił Ignacy towarzyszących mu dotychczas sług, a sam skierował muła na drogę wiodącą do cudami słynącej świątyni Najświętszej Panny w Monserracie. Matka Boża cudownie pocieszyła go, ukazując się mu i zachęcając do doskonałego służenia Boskiemu swemu Synowi; pod szczególną więc opieką Maryi świeżo zaciężny rycerz Jezusowy pragnął nową służbę rozpocząć i na cześć tej Królowej swojej, u stóp Jej ołtarza związać się dozgonnym ślubem czystości. Przez całą drogę jedna myśl go zajmowała: w jaki sposób mógłby się już nie w ziemskiej, ale w tej Jezusowej służbie odznaczyć; jakimi pokutami powinien u Boga przebaczenie dawnych win sobie wymodlić. Podobnie jak każdy początkujący na drodze Bożej, kładł Ignacy nie tylko największy, ale rzec można jedyny nacisk na zewnętrzne umartwienia, na posty, biczowania, długie czuwania nocne. "Przechodząc – tak sam później o sobie opowiadał (5) – jedno po drugim umartwienia, przez świętych praktykowane, nad tym tylko się zastanawiał w czym i jak mógłby ostrzej ciało swe karcieć. I w tym całą swą pociechę zakładał, nie bacząc na wewnętrzne i bardziej ukryte

cnoty, bo nie wiedział nawet, czym jest i co znaczy pokora, miłość, cierpliwość lub roztropność, która zakreśla poprzednim cnotom właściwe granice". Nie wiedział, nie domyślał się przez jakie walki, doświadczenia i wewnętrzne burze, stokroć sroższe od wszelkich zewnętrznych umartwień i cierpień, Bóg go zamierzał prowadzić.

Ignacy, myśląc o większych pokutach, tymczasem każdego dnia ostro się biczował; jak zaś wespół z umartwieniem i roztropność w służbie Bożej jest potrzebną, jak z gorliwością łączyć się i kierować nią powinna, o tym mógł się świeżo do służby Chrystusowej zaciągnięty, nie dość jeszcze w niej wyćwiczony zapaśnik, przekonać w tej jeszcze drodze, w której dzięki tylko szczególnej opiece Bożej, nie padł ofiarą źle zrozumianej gorliwości. Niezbyt daleko od Monserratu przyłączył się do naszego pielgrzyma inny jakiś, również na mule jadący podróżnik, którego z pierwszego już wejrzenia łatwo było poznać, jako jednego z licznie w tych stronach krążących Maurów, fanatycznych wyznawców Mahometa. Po zwykłych pytaniach, skąd i dokąd, wszczęła się naturalnie rozmowa o Monserracie, a wnet przeszła na cześć oddawaną przez katolików Najświętszej Dziewicy. Mahometanin chętnie przyznawał, że Maryja za szczególnym darem Bożym mogła być panną przed i w samymże poczęciu; ale przeczył zawzięcie, aby dawszy światu Jezusa, mogła w sobie połączyć godność macierzyństwa z przywilejem dziewictwa. Święty, jak mógł i umiał, starał się różnymi przykładami i podobieństwami wyjaśnić ten dogmat wiary, ale Maur śmiał się i żartował z wszystkich wyjaśnień i ze zbyt łatwowiernych katolików, aż wreszcie, jak gdyby znudzony długą a bezowocną dysputą, popędził muła i nie pożegnawszy nawet towarzysza drogi, zniknął mu z oczu. Krew zawrzała w Ignacym, bardziej oburzonym bluźnierstwami miotanymi przeciw Matce Bożej, niż wzgardą jemu samemu okazaną. "Czyż wolno mi, zapytał siebie, czy chrześcijańskiemu rycerzowi wolno puścić płazem tak jawną obrazę Maryi?" Zasady rycerskie mówiły mu, że należy stanąć w obronie honoru Królowej niebieskiej i krwią bluźniercy pomścić krzywdę Jej wyrządzoną; zasady Chrystusowe, choć nie dość jeszcze silnie w sercu wkorzenione, ostrzegały, że taki doraźny, bezprawny sąd, dokonany nie tylko dla obrony chwały Bożej, ale i za podszeptem obrażonej miłości własnej, nie może podobać się Bogu. Nie mogąc zdecydować się co czynić, Ignacy postanowił zdać się na wolę Bożą, którą, jak w prostocie swej wierzył, Bóg szczególnym jakim znakiem powinien mu być okazać. Niedaleko od miejsca, w którym Maur taką wzgardę chrześcijańskiemu rycerzowi wyrządził, droga rozdzielała się w dwóch kierunkach: na prawo ciągnął się dalej wygodny,



szeroki gościniec, wiodący do pobliskiego miasteczka, celu podróży Mahometanina; na lewo stroma ścieżka raczej, niż droga, prowadziła na wysoką górę. Niech nierozumne zwierzę, rzekł do siebie Ignacy, wolno wodze mułowi puszczając, samo drogę obiera: jeżeli puści się wygodnym gościńcem za Mahometaninem, wtedy Bóg żąda, abym śmiercią ukarał tego bluźniercę; jeżeli podąży wąską ścieżką, będzie to znakiem, że nie powinienem dobywać oręża. Samo w sobie nieroztropne to było postanowienie i okazywało, że Ignacy bardzo jeszcze niejasne miał pojęcie o nauce i obowiązkach chrześcijańskich, lecz Opatrzność Boża czuwała nad wiernym swym sługą i nie dozwoliła mu splamić rąk krwią niesprawiedliwie wylaną. Muł, własnemu instynktowi zostawiony, zwrócił się na lewo, a Ignacy, trzymając się powziętego postanowienia, nie ścigał bluźniercy, lecz zatopiwszy się w modlitwie, pospieszył najprostszą drogą do widocznego z daleka, majestatycznie wznoszącego się wśród gór przybytku cudownej swej niebieskiej Królowej.

Każdy żołnierz nosi barwę wojska, w którym służy. Ignacy nosił dotychczas bogatą zbroję, do boku przypasany miał miecz, a na głowie lśniący hełm; ale zbliżając się do Monserratu, zrozumiał, że niestosowny to strój dla ucznia ubogiego Jezusa, który pokój nie wojnę światu przyniósł. W pobliskiej więc wiosce kupił sobie wszystko, w co zwykli byli odziewać się i zaopatrywać pielgrzymi do Ziemi świętej i długą, w kształcie zakonnego habitu niezgrabnie uszytą suknię ze zgrzebnego płótna, powróż zamiast pasa, sandały, kij pielgrzymi i drewnianą czarę na wodę. W ten sposób zaopatrzony, ale nie zdejmując jeszcze rycerskiego stroju, stanął pod bramami kościoła w Monserracie, obsługiwanego przez liczne grono pobożnych Benedyktynów. Mając niezłomny zamiar zacząć nowe, Bogu jedynie poświęcone życie, Ignacy pragnął przede wszystkim pozbyć się ciężaru dawnych swych grzechów przez szczerą, generalną spowiedź; przy tym chciał zasięgnąć rady doświadczonego spowiednika co do zamiarów swych na przyszłość. Przez dni kilka biczując się i poszcząc, gotował się do spowiedzi i aby odbyć ją jak najdokładniej, spisał długi katalog swych win i grzechów, te zwłaszcza z szczególnym naciskiem na pierwszym miejscu wymieniając, które go napełniały największym wstydem. Następnie ze skrucą ukląkł przed pobożnym kapłanem Janem Chanones, rzewnymi łzami się zalewając, wyznał grzechy i ułomności całego swego życia; z pokorą opowiedział wyświadczone sobie łaski; zapytał jak ma życiem swym na większą chwałę Bożą pokierować? Spowiednik, mąż w drogach Pańskich wyćwiczony, który sam zreformował wiele klasztorów w Hiszpanii i Portugalii, zrozumiał, że ma przed sobą wybrane naczynie łaski Bożej; dlatego, nie żałując

czasu ni starań, całe trzy dni mu poświęcił, dając praktyczne wskazówki, zapalając bardziej jeszcze do heroiczych czynów dla Boga. Pocieszony i wzmocniony na duchu, odszedł Ignacy od konfesjonału pobożnego kapłana. "Bóg mi przebaczył, wołał z radością; cóż biedny grzesznik oddam Stwórcy i Zbawicielowi temu za wszystko, co mi uczynił?".

Dawny zwyczaj nakazywał, aby młodzieniec, mający otrzymać rycerskie pasowanie, całą noc poprzednią spędził na czuwaniu w kościele w pełnej zbroi, zastanawiając się nad wielką godnością i ciężkimi obowiązkami męznego rycerza. Ignacy, trzymając się tego zwyczaju, o którym wiele naczał się w rycerskich poezjach i romansach, zrzucił ze siebie żołnierskie szaty i darował je jakiemuś ubogiemu; miecz i sztylet zawiesił w ofierze na ołtarzu Matki Bożej; a sam ubrawszy się w poprzednio już przygotowany żebraczy ubiór, kij pielgrzymi zamiast miecza w rękę trzymając, czuwał całą noc przed uroczystością Zwiastowania Najświętszej Panny (1522 r.) w kościele czci Jej poświęconym. Częścią klęcząc, częścią stojąc, modlił się przed ołtarzem Maryi, obierając Ją sobie ponownie za Panią i Królowę, błagając, aby nie gardziła służbą wiernego swego rycerza i przed Jezusem za nim orędowną. Wczesnym rankiem posilił się świeżo pasowany rycerz Chrystusowy komunią św. i szybko, aby go kto nie poznał i nie zatrzymał, opuścił Monserrat, pierwszą stację na drodze, która go miała doprowadzić do tak wysokiej doskonałości.

Zwolna, bo cierpiąca noga nie dozwalała szybszego kroku, szedł nasz pielgrzym, rozmyślając jak ukryty przed ludźmi ma służyć Jezusowi i do podróży jerozolimskiej się gotować, dziękując Bogu z wielką wdzięcznością i radością za tyle łask, których mu tak hojnie użyczył za przyczyną cudami słynącej Maryi. Nagle pobożne te rozmyślenia przerwał jakiś jeździec, który, pędząc co koń wyskoczy, z daleka już wzywał Ignacego do zatrzymania się. Był to goniec od sędziego w Monserracie, gdzie mieszkańcy widząc dobrze sobie znanego żebraka, przybranego w bogaty rycerski ubiór, a dziwiąc się nagłemu zniknięciu rycerza, którego w tym właśnie stroju przez dni parę widzieli, zaczęli podejrzewać żebraka o kradzież, jeśli nie o straszniejszy jaki występki, i do wyjaśnienia się sprawy wtrącili go do więzienia. "Czy prawda, zapytał ów goniec, żeś jakiemuś ubogiemu darował bogaty swój ubiór? Zaklina on się, że z twej ręki, nawet o to nie prosząc, otrzymał go; ale nikt, a przede wszystkim sędzia wierzyć mu nie chce". Ignacy zaręczył, że istotnie zupełnie dobrowolnie podarował swój ubiór żebrakowi i rzewnie zapłakał, upatrując w całym tym zdarzeniu karę Bożą za dawne swe winy. "Grzechem mam ręce skażone, myślał

pokornie, i dlatego nawet dar z mojej ręki nie przynosi błogosławieństwa, ale wzgardę i cierpienie". Inaczej na tę sprawę zapatrywał się zdziwiony posłaniec. "Kimże jesteś, pytał czią przejęty i przekonany, że ma przed sobą świętego; dokąd idziesz, z jakiej przyczyny z rycerza w żebraka się przemieniłeś?" Na te pytania Ignacy żadnej nie dał odpowiedzi. Uczyniwszy co był powinien i co mógł dla uwolnienia niewinnego, który z jego przyczyny dostał się do więzienia, nie chciał zaspokajać próżnej ciekawości, z nikim innym o sobie samym nie chcąc rozmawiać, jak tylko z Bogiem i z kapłanami, których mu sam Bóg na zastępców swoich na ziemi wyznaczył.

Własne swe serce głębiej zbadać, lepiej rozmowy z Bogiem nauczyć się, jaśniej wolę Bożą względem siebie zrozumieć miał Ignacy w małym, o trzy mile od Monserratu odległym miasteczku Manrezie, do którego obecnie, nie domyślając się, jakie skarby łask tam na niego czekają, kierował swe kroki. Na łożu boleści w zamku Loyolów potężna łaska Boża, niby błyskawica, wstrząsnęła i oświeciła duszę ziemskiego rycerza; jak niegdyś Paweł, tak i Ignacy rażony światłością niebieską, drżąc i zdumiewając się rzekł: Panie, co chcesz abym czynił? (6) W Monseracie, w świątyni Matki Najświętszej usłyszał odpowiedź: Jeśli chcesz być doskonałym, idź sprzedaj co masz i daj ubogim, a będziesz miał skarb w niebie, a przyjdź, pójdź za mną! (7) Jak wiernie i mężnie iść za niebieskim tym Wodzem; jak, królewską tą drogą postępując, prawdę osiągnąć i życie wieczne sobie zabezpieczyć, a następnie innych tą drogą do Prawdy i Życia prowadzić, tego Bóg nauczył Ignacego w Manrezie.

---

### **Przypisy:**

(1) Sam Święty opowiedział później ten szczegół powiernikowi swemu, O. Ludwikowi Gonzalezowi.

(2) *Acta antiquissima a P. Ludovico Consalvo S. J. ex ore Sancti excerpta.* – U Bolandystów, *Acta Sanctorum*. Lipiec, t. VII.

(3) Dzieje Apost. XVI.

(4) *Acta antiquissima*, Boland., str. 648.

(5) *Acta antiquissima*, Bol., str. 649.

(6) Dzieje Apost. IX, 3-6.

(7) Mt. XIX, 21.



## II.

### **Manreskie rozmyślania**

Ledwie z pięćdziesięciu domów złożone, miasteczko Manreza w tym czasie nie odznaczało się niczym, prócz pięknego kościoła, zostającego pod wezwaniem św. Tomasza Apostoła i św. Łucji panny i męczenniczki, i złączonego z kościołem dość obszernego szpitala, w którym udzielano przytułku nie tylko chorym, ale w ogóle ubogim, licznym pielgrzymom, kalekom i żebrakom. Toteż skoro Ignacy zapukał do furty szpitalnej, prosząc o miłosierdzie, wpuszczono go bez trudności, ofiarując także pomieszkanie i pożywienie, jak kilku innym poprzednio przyjętym ubogim. Przypatrując się nowym swoim towarzyszom, spostrzegł wnet Ignacy, że sam, choć w żebraczym ubiorze, nie zupełnie jednak na żebraka wygląda. "Tak być nie powinno", rzekł do siebie i pragnąc w niczym się nie wyróżniać na zewnątrz od prawdziwie ubogich, pragnąc zarazem odpokutować za dawną grzeszną próżność, dla której tyle nieraz czasu tracił, układając modnie włosy, przykładając tak wielką wagę do wytworności w ułożeniu, do eleganckiego stroju, teraz zapuścił brodę i włosy, zostawiając je umyślnie w nieładzie; chodził po słońcu i deszczu z głową odkrytą; przybrał prosty, wręcz różny od rycerskiego i dworskiego ton mowy i sposób wyrażania się. Tak postępowali dawni święci; tak Ignacy, idąc śladami Hieronimów, Franciszków, Dominików, pamiętając, że "gwałtownicy tylko posiadają Królestwo niebieskie", wyzuwał się ze świętą zapalczywością z dawnej swej natury; uczył, jak ostrą walkę, zwłaszcza w pierwszych chwilach po nawróceniu się, należy prowadzić ze zmysłowością i pychą.

Ostra to była rzeczywiście walka, heroiczna pokuta za dawne ułomności. Na sen przeznaczył sobie Ignacy zaledwie parę godzin, a i te parę godzin spał na gołej ziemi, kładąc pod głowę zamiast poduszki, kamień lub kawałek drzewa. Przez resztę nocy modlił się, przerywając po dwakroć lub trzykroć modlitwę biczowaniem się, które i w czasie dnia powtarzał bez żadnej litości dla swego ciała. Na modlitwie spędzał zazwyczaj siedem godzin, ciągle klęcząc, przybrany

w ostrą włosiennicę i kolczasty łańcuch, a prócz tych siedmiu godzin nie mało jeszcze czasu spędzał w kościele na słuchaniu Mszy św. i pobożnego zakonnego śpiewu. W szpitalu dawano mu wprawdzie pożywienie, ale Ignacy, aby połączyć pokorę z umartwieniem, wołał chodzić od domu do domu, prosząc w imię Chrystusowe o kawałek chleba. Niczego innego nie prosił, bo też przez sześć dni tygodnia nie dotykał się niczego innego, prócz kawałka suchego chleba i kubka wody; w jedną tylko niedzielę, jeśli mu kto ofiarował trochę jarzyn i nieco wina, przyjmował i korzystał z tej jałmużny, dla uczczenia dnia świętego.

O wiele straszniejszym umartwieniem niż te posty, biczowania się i proszenie o jałmużnę, były niskie posługi, które Ignacy dobrowolnie spełniał w szpitalu. Wykwintna jego natura wzdygała się na widok brudu, ran i wrzodów, lecz dlatego właśnie, aby gwałt naturze swej zadać, wyszukiwał chorych, których dolegliwości przejmowały go największym wstrętem i z szczególną miłością, pamięcią na ukrzyżowanego Chrystusa odwagi sobie dodając, poświęcał się dla tych nieszczęśliwych, obwiązywał ich rany, słał łóżka, oczyszczał wrzody. "Kto to taki? czemu się tak dla nas poświęca?" pytali między sobą chorzy; niektórzy z początku podejrzewali Ignacego o obłudę i ukryte jakieś złe zamiary, ale wielka jego, niczym nie zrażająca się miłość wnet ich rozbijała. Na domiar rozeszła się, jak zwykle prawdę powiększająca pogłoska, że to jakiś wielki książe, pokutujący za dawne swe winy; inni inne dziwne rzeczy o nim opowiadali; a pod wpływem tych opowiadań i heroiczych cnót Ignacego, wszyscy chorzy, ci nawet, co mu z początku byli najnieprzychylniejsi, spoglądać nań zaczęli z wielkim uwielbieniem. W pierwszych również dniach, kiedy Ignacy w pokutniczym swym worku wychodził na ulice miasteczka, płochę dzieci biegały za nim gromadkami, śmiejąc się z dziwnego jego stroju; później te same dzieci największą cześć okazywały świętemu mężowi. Jeden tylko widocznie zepsuty młodzieniec, dla którego cnota i pokuta Ignacego była ciągłym, acz bezskutecznym napomnieniem do poprawy, nie przestawał wyśmiewać i wyszydzać świętego przy każdej sposobności. Każdego dnia wychodził naprzeciw Ignacego, a udając jego chód, przedrzeźniając ruchy i sposób mówienia, ściągał liczną gawiedź, która naśmiawszy się do rozpuku z tego widowiska, wtedy dopiero rozchodziła się, kiedy ów nieszczęśliwy jakby szalem jakimś porwany, przerywał nagle swą komedię i najobelżywszymi wyrazami obsypywać zaczynał "obłudnika, faryzeusza, skończonego łotra". Ciężka to była próba dla Ignacego; jego rycerskie pojęcie honoru odzywało się z całą siłą, domagając się zemsty,

tłumacząc, że nie wolno i nie należy wystawiać się na takie obelgi i płazem je puszczając. "A przecież Pan Jezus, wódz mój, na haniebnym krzyżu umarł i nieprzyjaciółom swoim przebaczył" – odpowiadał sobie Ignacy. Myśl ta o ukrzyżowanym Zbawicielu tłumiała wzburzone uczucia, nie dozwalała zwyciężyć budzącemu się gniewowi. Ze spuszczonym wzrokiem, z myślą o Bogu, wracał Ignacy do szpitala, modląc się za swego nieprzyjaciela, który z daleka jeszcze obelgami go ścigał.

Pokusy nie zatrzymywały się na progu szpitala, lecz szły dalej, nękając Ignacego za dnia i wśród ciszy nocnej, w czasie modlitwy i wśród pokornych zajęć koło rannych i chorych. "Co tu robisz? pytał go się jakby jakiś głos wewnętrzny. Bóg dał ci się urodzić w rycerskim domu, przeznaczył cię do orężnej walki z niewiernymi. Jako chrześcijański, bogobojny rycerz, wiele mógłbyś działać dla chwały Bożej; a cóż za chwała Boża, co za pożytek ludziom, że jeden żebrak więcej domaga się natrętnie kawałka chleba, a dziwactwami swymi daje innym powód do obrażania Boga?". Kiedy indziej opanowywał Ignacego jakiś, zdawałoby się nieprzewyciężony wstręt do brudnych łachmanów, ran i chorób biedaków, których usługom się poświęcał. Dla przewyciężenia tej pokusy szedł Ignacy do chorych, których widok najprzykrzejsze wywierał na nim wrażenie, ścisnął ich jako braci kochanych i tak starannie i tak długo ich pielęgnował, aż zdawało mu się, że ów pierwotny wstręt ustąpił.

Szatan, nie mogąc w ten sposób sprowadzić Świętego z raz obranej drogi, innego użył środka. Razu pewnego, gdy Ignacy znajdował się na modlitwie, ujrzał obok siebie unoszący się niby w powietrzu błyszczący jakiś przedmiot. Przypatrując się bliżej, dostrzegł, że przedmiot ten miał kształt prześlicznego węża, mieniacego się w najcudniejsze barwy, mimo woli niejako przykuwającego do siebie oko. Wąż ten przez kilka dni z rzędu ukazywał się, sprawiając Ignacemu swym widokiem szczególną przyjemność i znowu nagle zniknął, zostawiając po sobie smutek i niesmak. Święty nie wiedział co o tym sądzić i pytał z trwogą, czy to pociecha Boża, czy pokusa szatańska? Dla odpowiedzenia sobie na to pytanie, począł sam siebie badać, w jakim kierunku widok owego węża prowadzi jego myśli i pragnienia. Kiedy się przypatrywał z rozkoszą barwnemu wężowi, słyszał jakby jakiś głos z zewnątrz: "Czyżeś dobrze rozważył wszystkie trudności, czekające cię na drodze, którą iść zamýślasz? czy potrafisz przez długie lata, może przez lat siedemdziesiąt dręczyć w ten sposób swe ciało i wszystkiego mu odmawiać, jak teraz mu odmawiasz?". "A któż zaręczyć mi może, odpowiadał sobie Ignacy, że tyle lat

żyć będę; kto choćby tylko jedną godzinę życia może mi zapewnić? – czymże zresztą jest najdłuższe nawet życie w porównaniu do wieczności?". Tak zwyciężona pokusa ustępowała na chwilę, ale niebawem wraz z widokiem owego dziwnego węża powracała z podwojoną natarczywością; aż wreszcie Ignacy przekonał się, że ma do czynienia nie z dobrym, ale ze złym duchem, odpędził energicznie mamidło szatańskie, a w nagrodę za okazane męstwo doznał owego niebieskiego wesela, które w pierwszych chwilach po nawróceniu się przemieniało mu ziemię w niebo i wszystko łatwym czyniło dla Chrystusa.

Wesele to wszakże i napelniający duszę błogi spokój nie miał trwać zbyt długo; Bóg hartował i ćwiczył wiernego swego żołnierza, przeprowadzając go przez ogień duchownych utrapień, złudzeń i pokus, aby własnym doświadczeniem nauczony, umiał później leczyć z nich innych i ratować. Przystępując do służby Bożej, przygotował Ignacy, pamiętny na ostrzeżenie Ducha Świętego (1), duszę swą na pokusę; uderzyła ona zwłaszcza na niego z całą siłą, gdy w celu doskonalszego zjednoczenia się z Bogiem, który na samotności zwykł w szczególny sposób do serc przemawiać (2), opuścił na czas pewien mieszkanie w szpitalu, a zamieszkał w pieczarze, wśród gór ukrytej w pobliżu Manrezy.

Pieczara ta, do której wstęp tak był trudny, że o istnieniu jej wiedziało niewielu nawet okolicznych mieszkańców, wyglądała jak niezbyt obszerny grób w skale wykuty; wąski otwór, przez który otwierał się widok na kościół Najświętszej Panny w Monserracie, służył za drzwi i okno; wewnątrz nagie, chropowate ściany odstraszały przykrą wilgocią. W prawdziwej tej pustelni wznowił Ignacy życie modlitwy i umartwienia dawnych pustelników. Większą część dnia i nocy spędzał na klęczkach, rozmyślając prawdy wieczne i błagając Boga o miłosierdzie dla siebie i dla innych. Rozmyślenia te przerywał niemal jedynie surowymi umartwieniami. Prócz włosiennicy, z którą ani we dnie, ani w nocy się nie rozstawał, opasał ciało ostrym łańcuchem i po kilkakroć na dzień karciał je biczowaniem do krwi. Pokarmu używał zazwyczaj dopiero wieczorem; często i przez parę dni z rzędu nie brał do ust nawet kawałka chleba, a post taki podejmował zwłaszcza wtedy, gdy chciał sobie uprosić jaką szczególną łaskę lub uwolnienie od dręczących go pokus.

Nie były to pokusy przeciw czystości, bo w tym względzie zabezpieczony był udzielonym z miłosierdzia Bożego szczególnym przywilejem, ale przeróżne naigrawania szatańskie, cisnące się do serca z niewypowiedzianą siłą, zwątpienie, rozpacz, mnożące się każdej chwili wątpliwości. Pokusy te

największym były dlań cierpieniem, o wiele większym, niż wszystkie zewnętrzne umartwienia, posty, czuwania nocne, krwawe biczowania, które mu Bóg nieraz niebieskimi pociechami hojnie osładzał i nagradzał. Wśród gorącej modlitwy, gdy naśladowując Jezusa ukrzyżowanego, ciało swe krzyżował umartwieniem, nagle do serca, niby strzała zatruta, wpadała myśl: "Po co to wszystko, kiedy z dawnych swoich grzechów niedokładnie się wypowiadałeś; kiedy przy spowiedzi nie dość za nie żałowałeś!". To znowu, przywołując sobie na pamięć jakiś dawny grzech, pytał się niespokojnie: "Czy spowiednik zrozumiał mię, kiedy mu o tym grzechu mówiłem; czy wszystkie jego okoliczności wytłumaczyłem mu należycie?". Ignacy starał się, jak mógł, na pytanie to sobie odpowiedzieć, starał się uspokoić, ale im dłużej sam ze sobą rozprawiał, tym bardziej wątpliwość rosła, niepokój się wzmacniał. A nie tylko dawne grzechy wprawiały go tak w niepokój, ale cokolwiek i jakkolwiek czynił, zdawało mu się, że nowego, straszego grzechu się dopuszcza. Nieraz przez całą noc, coraz inne, jak widma jakie, przesuwały się przed oczami Ignacego, nie dając mu ani chwili spoczynku, wmawiając weń, że wszystkimi z kolei obraża Boga. Wielka to była męczarnia, zwłaszcza dla duszy tak gorąco Boga kochającej; a męczarnia ta i oschłość duszy tak nieraz i ciało osłabiały, że Ignacy padał na pół omdlały na ziemię, jęcząc i modląc się: *Nieszczęsny ja człowiek, kto mię wybawi od ciała tej śmierci?* (3). *Zemdlały oczy moje... Panie, gwałt cierpię; odpowiedz za mnie!* (4).

Dla uwolnienia się od trapiących wątpliwości i niepokojów uciekał się Ignacy do trybunału spowiedzi. Odślaniał najskrytsze zakątki swej duszy; wyznawał ponownie dawne ułomności, opłakiwał je rzewnymi łzami; ale ledwie odszedł od konfesjonau, niepokój wracał i silniejsze jeszcze zadawał mu męczarnie. Czy przystąpić, czy nie przystąpić do Komunii św., pytał sam siebie, wahał się czas pewien; wreszcie nie chcąc pozbawić się tego najskuteczniejszego lekarstwa na wszystkie choroby duszy, zbliżał się pospiesznie do ołtarza; ale ledwie klęknął, taka znów burza wątpliwości zrywała się w jego sercu, tak zdawało mu się widocznym, że źle i niedokładnie się wypowiadał, iż jakby siłą jaką odepchnięty wstawał i z płaczem odchodził z kościoła, nie przyjąwszy Ciała Pańskiego. Spowiednik powiedział mu wprawdzie, że wszystkie te wątpliwości to niebezpieczne dla duszy skrupuły, którymi szatan pragnie mu obrzydzić drogę doskonałości; zalecił, aby na te skrupuły nie zwracał uwagi, a spowiadał się tylko z tego, co zupełnie jasno i wyraźnie jako grzech mu się przedstawia; ale Ignacemu zdawało się właśnie, że niemal wszystko, co czyni, jest oczywistym grzechem, a rozważanie czy to



może już skrupuł, czy jeszcze nie skrupuł, nabawiało go nowych, zawilszych od poprzednich wątpliwości. Przychodziło mu czasem na myśl, że najskuteczniejszym lekarstwem byłoby na tę chorobę duszy, aby mu spowiednik stanowczo w imię Chrystusowe zakazał spowiadać się z dawniej popełnionych grzechów; ale sam, lękając się złudzenia szatańskiego, nie śmiał o tym spowiednikowi wspomnieć.

Wewnętrzne cierpienia odbiły się na obliczu wyschłym od postów; przygnębiony, ze spuszczonego wzrokiem, z myślą zajętą pytaniem, czy Bóg nie opuścił go, karząc za dawne złości, wzbudzał Ignacy szczere politowanie we wszystkich, w tych zwłaszcza, którzy domyślali się, lub wiedzieli, jak ciężką próbą Bóg doświadczał tego sługę swojego. OO. Dominikanie, zdjęci miłosierdziem, pragnąc gruntowniejszemu zajęciu się wyleczeniem schorzałej tej duszy, nakazali Ignacemu zamieszkać przez czas pewien w swym klasztorze. Święty posłuchał, lecz ledwie przeszedł próg klasztornej celi, którą na mieszkanie mu wyznaczono, dawne pokusy i wątpliwości uderzyły nań z podwójną siłą. Ponury smutek, niechęć do wszystkiego, tak oświadczyły duszę, okropna jakaś rozpacz tak głęboko w serce się wpiła, że biedne to serce, sprzecznymi uczuciami to na tę, to na tamtą stronę miotane, nie wiedząc, jak burzy tej sprostać, przechodziło niemal boleści konania. Czasem szatan poddawał mu myśli, że lepiej zakończyć już raz te męki, rzucając się z okna w przepaść; niewidzialna jakaś siła ciągnęła go do okna i szeptała: "Od ciebie zależy w jednej chwili przerwać te katusze". Ale wnet Anioł Stróż przypominał mu, jak straszną zbrodnią jest samowolnie rozporządzać życiem, tym najcenniejszym darem Bożym, nad którym Stwórca sobie samemu rządy zachował, a Ignacy, przypomnieniem tym niby z ciężkiego snu zbudzony, wołał: "Nigdy, nigdy Panie mój! nic takiego popełnić nie chcę, co by było złaczone z obrazą najwyższego Twego Majestatu!".

Kiedy indziej, widząc, że od ludzi nie może spodziewać się ratunku, modlił się z wielkim wylaniem serca: "Dopomóż mi Panie! bo ani u ludzi, ani u żadnego stworzenia nie znajduję lekarstwa; gdybym je znalazł, żaden trud, żadna praca nie odstraszyłaby mnie od użycia go. Pokaż mi, Panie, gdzie lekarstwa tego mam szukać; choćby mi za pieskiem iść przyszło, aby od niego lekarstwo odpowiednie otrzymać, chętnie pójdę, wszystkom uczynić gotów" (5). W czasie tej modlitwy stanęło mu na myśli, co czytał w "Żywotach Świętych" o pewnym pobożnym mężu, który pragnąc wyjednać sobie wielką jakąś łaskę u Boga, tak długo pościł, od wszelkiego pokarmu się wstrzymując, aż Bóg prośbę jego wysłuchał. Idąc za tym przykładem, postanowił i Ignacy nie wziąć do ust

kawałka chleba, ani kropli wody, dopóki go duchowna oschłość i skrupuły nie opuszczą lub zbyt przeciągnięty post nie zagrozi niebezpieczeństwem samemu życiu. Nieroztropne to było postanowienie, choć je powziął Ignacy w dobrej myśli, z wielką ufnością w skuteczność umartwień dla chwały Bożej; Bóg omyłkę tę dopuścił, jak dopuścił oschłości i skrupułom przypuszczać straszne szturmy do serca wiernego swego sługi, bo przyszły mistrz życia duchownego powinien był przejść sam całą szkołę duchowną i doświadczyć na sobie samym złudzeń i pokus, z których innych miał leczyć. W niedzielę, posiliwszy się Komunią św., rozpoczął Ignacy swój post i przeciągnął go przez całe osiem dni, nic do ust nie biorąc, a pomimo tego nie zaniedbując bynajmniej zwykłych swych umartwień, biczowań, siedmiogodzinnej modlitwy na klęczkach. Następnej niedzieli przystąpił Święty, jak czynił to co tydzień, do spowiedzi, a zdając rachunek z wszystkich swych czynności, myśli i zamiarów, wyznał zarazem, jak ściśle poszcząc, przepędził ostatni tydzień i że ponieważ zdrowie i siły zupełnie go jeszcze nie opuściły, przeto pragnie wstrzymywać się dalej od wszelkiego pokarmu i napoju. Spowiednik zgromił ostro tę nieroztropną gorliwość i nakazał natychmiast post przerwać. Ignacy posłuchał, a ten szczery, pokorny akt posłuszeństwa, miłszy jeszcze podobno Bogu od poprzednich ofiar, wyjednał mu chwilowe przynajmniej ucieszenie się wewnętrznej burzy.

Przez dwa dni panował błogi spokój w sercu Ignacego; trzeciego dnia we wtorek, znowu w czasie modlitwy, odezwało się natarczywe pytanie: "Czy dobrze, czy dokładnie, czy z należyтым żalem wyśpowiadałeś się z dawnych grzechów?". Czarne chmury oschłości i niepokojów, które, zdawało się, stanowczo już ustąpiły, znowu zaczęły nadciągać ze wszech stron. Ale tym razem na bardzo krótki przeciąg czasu zasłoniły przed okiem Ignacego litościwą wszechmoc i nieskończone miłosierdzie Pańskie. Bóg tylko jakby chciał pokazać, że w Jego wyłącznie ręku są serca ludzkie i że On sam według najświętszego swego upodobania nimi kieruje, a ludzkie środki i najheroiczne nawet wysiłki nie są w stanie zażegnać burz, ani promieni pociechy Bożej do serca sprowadzić. Ignacy zrozumiał daną sobie naukę i wnet niebo rozjaśniło się nad nim na nowo, tym razem już na stałe. Teraz dopiero, gdy ucichła burza sprzecznych uczuć i myśli, zastanowił się Ignacy uważnie nad całym przebiegiem wewnętrznej walki, którą musiał staczać, nad fortelami, jakich użył szatan w tej walce, a wyciągając z tej analizy praktyczny dla siebie wniosek, mocno sobie postanowił, że w żadnym razie nie będzie już powtarzał na spowiedziach dawnych grzechów. Ale prócz tego praktycznego wniosku dla siebie, wyczerpnął Ignacy z ciężkiego tego doświadczenia dokładną naukę,

czym są skrupuły, jaki mogą niektórym duszom przynieść pożytek, a jaką zbyt często sprawiają szkodę, jaką bronią walcząc można otrzymać zwycięstwo nad tym niebezpiecznym nieprzyjacielem, który usiłuje wydrzeć duszy spokój, miłość i ufność w Bogu.

Naukę tę spisał Ignacy dla pożytku wszystkich dusz, na które Bóg dopuszcza ogniową próbę skrupułów, jak na niego dopuścił. Złote te rady i przepisy, jednoznacznie uznane przez mistrzów życia duchownego za ostatnie słowo w tym kierunku, wzbudzają słuszny podziw swą treściwością i praktycznością, a zarazem odsłaniają nam bliżej ciężką walkę, jaka w duszy Ignacego się toczyła; pozwalają się także przypatrzeć, jaką bronią i w jaki sposób, którego nie ludzka, ale tylko Boża mądrość mogła nieumiejętnego rycerza nauczyć, odniósł zwycięstwo w tej walce... Oto niektóre z owych przepisów:

1. "Skrupuł – pisze św. Ignacy w książce swych rekolekcyj (6) – wtedy zazwyczaj w mniemaniu ludzkim ma miejsce, gdy wolnym swym zdaniem powodując się, sądzę, że jest coś grzechem, co wcale grzechem nie jest, jak np. gdy kto nastąpiwszy przypadkiem na krzyż z dwóch słomek na ziemi utworzony, za grzech to sobie poczytuje. A to nie jest skrupuł we właściwym słowa tego znaczeniu, lecz jest błędny, fałszywy sąd i tak się nazywać powinien".

2. "Skrupuł właściwy – pisze dalej – wtedy ma miejsce, kiedy skoro nastąpiłem na ów krzyż, lub skoro pomyślałem, powiedziałem, lub uczyniłem cokolwiek innego, z zewnątrz narzuca mi się myśl, że zgrzeszyłem, a z drugiej znów strony zdaje mi się, że nie zgrzeszyłem i w tym zamieszaniu myśli, od szatana pochodzącym, nie wiem czego się mam trzymać i wciąż jestem w wątpliwości, czy dopuściłem się grzechu, czy nie".

3. "Pierwszy ów rodzaj skrupułów należy mieć w wielkim obrzydzeniu, albowiem w zupełności na błędzie polegają. Drugi rodzaj, byle trwał nie zbyt długo, jest bardzo pożyteczny dla duszy oddającej się ćwiczeniom duchownym i w szczególny sposób ją oczyszcza, oddalając ją od wszelkiego nawet pozoru grzechu, wedle owych słów św. Grzegorza: Dobrze usposobione serca i tam widzą winę, gdzie nie ma jeszcze żadnej winy".

4. "Wróg nasz chytrze śledzi, jakie kto ma sumienie: czy czułe i delikatne, czy twarde i nieczułe. Delikatne sumienie usiłuje do ostatnich granic w tym kierunku doprowadzić, aby tym sposobem wprowadzić w duszę zamieszanie,

zniechęcić do starania się o doskonałość i ostatecznie zwalczyć. Tak np. gdy widzi, że dusza jakaś zezwolić nie chce ani na grzech śmiertelny, ani na powszedni, i że ucieka nawet od cienia dobrowolnego grzechu, wtedy nie stara się na próżno doprowadzić ją do prawdziwego grzechu, lecz usiłuje w nią wmówić, że np. słowo jakieś, lub myśl, która równie szybko zniknęła, jak zrodziła się, jest już grzechem, choć w rzeczywistości wcale grzechem nie jest. Przeciwnie postępuje nieprzyjaciel z sumieniem nieczułym, dokładając starań, aby je bardziej jeszcze znieczulić, tak, aby jeśli dusza taka za nic sobie przedtem miała grzechy powszednie, następnie zaczęła lekceważyć również grzechy śmiertelne, z dnia na dzień mniej o nie dbając".

5. "Dusza pragnąca postępować na drodze duchowej powinna zawsze iść w kierunku przeciwnym temu, w którym nieprzyjaciel rad by ją za sobą pociągnąć. Jeżeli nieprzyjaciel kusi się znieczulić sumienie, niech stara się o większą jego delikatność; jeżeli szatan chciałby je przesubtelnić do ostateczności, niechaj w pośrodku silnie stanie, zaradzając w ten sposób własnemu spokojowi i bezpieczeństwu".

6. "Kiedy kto chciałby na chwałę Bożą powiedzieć coś lub uczynić zgodnego ze zwyczajami Kościoła i Ojców, a z zewnątrz przychodząca jakaś myśl czy pokusa odradza mu tego uczynku lub słowa, przestrzegając przed próżną chwałą albo przywołując inne jakie równie pozorne dowody, natenczas niech podniesie umysł do Stwórcy i Pana swego, i jeśli przekona się, że czyn ten lub słowo będzie na chwałę Bożą, lub przynajmniej jej się nie sprzeciwia, powinien wypełnić co zamierzał, a pokusie wręcz się oprzeć, odpowiadając jej ze św. Bernardem: Ani dla ciebie nie zacząłem, ani dla ciebie nie skończę".

Od pierwszej już chwili nawrócenia, jak nieraz sam Ignacy się wyrażał, Bóg postępował z nim sobie jak dobry nauczyciel z uczniem, któremu wpaja z kolei coraz inne prawdy w umysł i w serce, a nieraz z umysłu go doświadcza, siły charakteru próbuje, a następnie w nagrodę za szczęśliwie przebyte próby otwiera przed zdziwionym jego okiem nowe, szersze i miłsze horyzonty, które wiedzę mnożąc, razem dają sercu wytchnienie i zaspokojenie. Tak też obecnie po ogniowej próbie oschłości i skrupułów nagrodził Bóg dobrego swego sługę za mężną, stałą wierność, której złożył tak przekonywujące dowody. "Bóg – tak zwierzał się sam Ignacy w późniejszych latach towarzyszewi swemu, O. Laynezowi – tak wielkim, nadprzyrodzonym światłem oświecił umysł mój w Manrezie, że nieraz w czasie krótkiej modlitwy poznawałem jakąś prawdę Bożą jaśniej i lepiej, niżby mi najmeńsi nauczyciele mogli ją wytłumaczyć długie lata

mozoląc się". Przede wszystkim – a szczegóły te czerpiemy znowu z opowiadania samegoż Świętego (7) – poczuł bardzo wielkie nabożeństwo do Najświętszej Trójcy, co dzień zanosił odrębne modlitwy do Boga Ojca, Boga Syna i Boga Ducha Świętego, do Boga w Trójcy jedyne. Pewnego dnia, gdy klęcząc na schodach klasztornych, odmawiał godzinki do Najświętszej Panny, rozum jego jakby do nieba się wzniósł i zdawało mu się, że widzi Trójcę Przenajświętszą pod postacią potrójnej harfy, a raczej innego jakiegoś, do potrójnej harfy nieco podobnego, muzycznego instrumentu. Widok ten wywołał w nim tak rzewne łzy, tak serdeczne wzdychania, że powstrzymać ich, a choćby tylko umiarkować nie był w stanie. Tegoż dnia, towarzysząc procesji, ustanowionej dla przebłagania Boga za grzechy, ciągle płakał aż do obiadu, a po obiedzie o niczym innym nie mógł mówić, jedno o Przenajświętszej Trójcy i objaśniał tę tajemnicę wielu, używając rozmaitych podobieństw z niemałą swą pociechą i weselem. Ślad i owoc tego widzenia na całe życie pozostał w jego umyśle, tak, że kiedy tylko zwrócił się w modlitwie do Najświętszej Trójcy, natychmiast dusza jego napelniała się dziwnym nabożeństwem.

Kiedy indziej zrozumiał i jakoby ujrzał z niewymownym weselem duchownym, w jaki sposób Bóg ten świat stworzył, ale nie mógł tego dość jasno wytłumaczyć; nie mógł nawet spamiętać wszystkich tych niebieskich oświeceń, którymi Bóg o sobie go pouczał... Raz, modląc się na Mszy w kościele Dominikanów, ujrzał oczami duszy w chwili podniesienia, jakoby świetlane jakieś promienie z nieba spływające... I jasno wtedy widział, w jaki sposób Pan nasz Jezus Chrystus zamieszkuje z nami w tym Najświętszym Sakramencie. Często i długo przypatrywał się w czasie modlitwy oczyma duszy człowieczeństwu Chrystusowemu... Razu pewnego udał się z nabożeństwa do kościoła św. Pawła, o tysiąc kroków od Manrezy odległego. Droga do tego kościoła prowadziła koło głębokiej rzeki; na chwilę usiadł dla odpoczynku z twarzą ku rzece zwróconą, z myślą zatopioną w modlitwie. Wtem oczy duszy jego się otworzyły; nie miał wprawdzie żadnego widzenia, ale poznał i zrozumiał bardzo wiele rzeczy odnoszących się do tajemnic wiary i do ludzkich umiejętności, i takie światło w umyśle jego zabłysło, że zdawało mu się, jakoby dopiero teraz dowiedział się o istnieniu tych tajemnic i nauk. Niepodobna zresztą opisać wszystkiego, co mu Bóg dał w tym czasie poznać; dość powiedzieć, że w duszy jego zapaliło się wielkie jakieś światło, tak wielkie i jasne, iż gdyby zebrać w jedno wszystkie łaski i oświecenia, których Bóg mu udzielił aż do sześćdziesiątego drugiego roku życia i później, to jednak łaski otrzymane w Manrezie przewyższyłyby i żarem i blaskiem wszystkie następne,

choć bardzo wielkie dary Boże... Cudowne zaś widzenia tak go utwierdziły w wierze, że jak nieraz na myśl mu przychodziło i Bogu w modlitwie oświadczał, gotów był, opierając się na tych cudownych, oczywiście od Boga pochodzących widzeniach, ponieść śmierć za wszystkie tajemnice wiary, choćby Pismo św. o której z tych tajemnic milczało, choćby nawet spisane Objawienie Boże zginęło bezpowrotnie.

Między licznymi objawieniami i łaskami, którymi Bóg teraz z prawdziwie Boską hojnością Ignacego obdarzał, odrębne miejsce zajęło i uwagę innych na siebie zwróciło, przez cały tydzień trwające, widocznie cudowne podniesienie i jakby odłączenie, jeszcze za ziemskiego tego życia, duszy od ciała, a złączenie jej z Bogiem. Pewnej soboty, gdy według swego zwyczaju odmawiał w kościele komplety, Ignacy nagle wpadł w zachwycenie; na twarzy jego okazała się niebieska jakaś jasność; dusza, w Bogu zatopiona, jakby zapomniała o tym, że na tym wygnaniu ziemskim przebywa z ciałem jeszcze spojona. Kilku pobożnych, nie wiedząc, jak sobie wytłumaczyć nieruchomą postawę i oczy wciąż w górę utkwione znanego sobie dobrze pobożnego żebraka, przelekło się o jego życie; a gdy zachwycenie, czy jak tłumaczono sobie, omdlenie nie ustępowało, przeniesiono go do pokoiku w szpitalu św. Łucji. Tu przebył Ignacy w zachwyceniu cały tydzień i z pewnością uznano by go za umarłego i pochowano, gdyby lekkie bicie serca nie oznajmiało, że dusza, choć pozornie ciała nie ożywia, przecież z niego nie ustąpiła. W następną dopiero sobotę, o tej samej godzinie, w której Bóg skierował wyłącznie ku sobie serce sługi swego, Ignacy otworzył oczy i jakby z jakiegoś bardzo miłego snu obudzony, podniósł wzrok do góry i z gorącym uczuciem zawołał po dwakroć: "O Jezu!". Co w tym czasie widział, jakimi darami Bóg go obdarzył, jakich zaznał słodczy duchownych, o tym pokorny sługa Pański nigdy przed nikim nie wspominał. Ci wszakże, których Bóg dał mu później za towarzyszków i synów w Chrystusie i z którymi dla ich pociechy i utwierdzenia rozmawiał czasami o łaskach otrzymanych w Manrezie, wynieśli przekonanie, że Bóg pokazał mu w tym zachwyceniu, do jakiej służby go powołuje i teraz już jakby naszkicował przed jego oczami główne, charakterystyczne cechy, którymi odznaczać się miał zakon, na większą chwałę Bożą przezeń założony. Istotnie, gdy później pytano Ignacego, dlaczego odstępuje od niektórych dotąd powszechnie przyjętych klasztornych tradycji, dlaczego do pewnych zwłaszcza cnót i zasad, zawsze znanych i cenionych, ale na pierwszy plan nie wysuwanych, tak wielką wagę przykładą, zwykł był powoływać się na nauki otrzymane w Manrezie. Od Boga musiały płynąć te nauki, kiedy takie przyniosły skutki: nieumiejętnego żołnierza

zmieniły w nieocenionego mistrza życia duchownego, w mądrego zakonodawcę, którego dzieła po dziś dzień trwają i znajdują uznanie nawet u tych, przeciw którym są wymierzone.

Bóg działał w sercu Ignacego, cudownie oświecał go i przygotowywał, aby mógł się stać naczyniem wybranym, roznoszącym po świecie imię i chwałę Pańską; szatan ze swojej strony, domyślając się do jak wielkich dzieł służyć swego Bóg przeznaczył, nie szczędził starań, używał coraz innych fortelów, aby z prostej drogi go sprowadzić. To go niepokojem męczył, to znowu podsuwał mu chępliwie myśli: doszedłeś do wielkiej doskonałości, dorównałeś w cnocie dawnym pustelnikom! Czasami stawiał przed oczami jakieś barwne ułudne obrazy, które wyobraźnię i zmysły ciągnęły do siebie niewypowiedzianym czarem i przeszkadzały w modlitwie, zwracając myśl od Boga do rzeczy ziemskich i niskich; raz poddawał myśli rozpaczliwe, to znowu z naciskiem przypominał, że miłosierdzie Boże granic nie zna, a dobroć Boża nie wymaga po człowieku przechodzących niejako jego siły umartwień, pokut, upokorzeń. Czasami szatan przybierał postać anioła światłości i wskazując wyższą niby, niepochwytą jakąś doskonałość, odwodził od prawdziwej doskonałości, zwłaszcza od upokorzeń i pokornego posłuszeństwa radom spowiednika. W czasie modlitwy trudno było Ignacemu myśli zebrać; a znowu ledwie nadeszła godzina przeznaczona na inne prace lub na spoczynek, oschłość nagle ustępowała miejsca dziwnemu jakiemuś weselu, dziwnym oświeceniom, które nie pozwalały oka zamknąć, namawiały i jakby zmuszały do rzucenia rozpoczętej pracy, a oddania się modlitwie. "Co to jest, pytał Ignacy, co znaczą, skąd pochodzą te walki w moim sercu, ta ciągła kolejność pociech i oschłości; czemu jedne pociechy i oschłości prowadzą do Boga i do spełnienia najświętszej woli Bożej, drugie zaś choć pozornie do tamtych podobne, zupełnie inne przynoszą owoce, pod pięknym kwiatem ukrywając truciznę? Jakie są oznaki działania dobrego, a działania złego ducha; jak poznać, kiedy pierwszy a kiedy drugi do duszy przemawia i za sobą ją pociąga?".

Na pytania te, tak niezmiernie ważne w tym ciągłym "bojowaniu", które wedle nauki Pisma św., stanowi treść żywota ludzkiego na ziemi, szukał Ignacy odpowiedzi w modlitwie; rozbierał dokładnie wobec Boga i w świetle przez Boga sobie udzielonym, wszystkie poruszenia swej duszy, zaglądał w najskrytsze jej tajniki, docierał do źródła pociech i utrapień, które przychodziły w różnych czasach i w różny sposób, i znowu, stosownie do przestrogi Chrystusowej, z owoców starał się poznać drzewo, pamiętając, że ani dobre

drzewo złych, ani złe drzewo dobrych owoców nie rodzi. Pilne to badanie własnej duszy, jej dziejów i walk, toczących się w niej i o nią, dało poznać Świętemu taktykę wojenną odwiecznego naszego wroga; nauczyło go jak się bronić, jak korzystać z hojnej pomocy Bożej; doprowadziło do kilku ogólnych zasad i praktycznych wskazówek, których kto się trzyma, ten za łaską Bożą może być pewnym zwycięstwa. Zasady te i wskazówki, z własnego doświadczenia zaczerpnięte, streścił Ignacy w nieocenionych regułach *O rozeznawaniu wzruszeń duszy*, które niezbędne są dla każdego, ktokolwiek przystępując do służby Bożej, musi przygotować swą duszę na pokusy. O zbawienie duszy anioł światłości i duch ciemności toczą walkę zaciętą i straszną, a jedna w niej klęska, jeden fałszywy krok nieraz rozstrzyga o całej wieczności człowieka.

W inny sposób dobry i zły duch przemawiał i usiłował za sobą pociągnąć Ignacego w Loyoli, kiedy łaska jakby z pewnym gwałtem i siłą do serca jego się wdzierała; w inny, wręcz przeciwny sposób w Manrezie, zwłaszcza w późniejszych miesiącach pobytu w tym miejscu, kiedy szatan kusił się zdobyć serce, zajęte już w zupełności przez miłość i łaskę Bożą. W pierwszym okresie kroczył Ignacy po drodze, zwanej przez ascetów "oczyszczającą", oczyszczając się żalem i pokutą z dawnych grzechów i złych nawyknień; w drugim rozkazał mu Bóg postąpić i powiodł drogą "oświecającą", ucząc i zachęcając nie tylko do pokuty za dawne grzechy, ale i do naśladowania cnót, do dążenia do doskonałości, której nas nauczył Zbawiciel świata, żyjąc na tym świecie. Są to dwa okresy życia duchownego, dwa tygodnie, jak je św. Ignacy później nazwie. Jak różnej taktyki zły duch chwyta się w walce z duszą w obu tych tygodniach, jak Bóg pobożnymi natchnieniami i oświeceniami duszę ubezpiecza i broni, jak nie każdemu duchowi wierzyć można, ale doświadczać należy, jeśli z Boga są (8), jak ciężkie a różne boje odbywały się w sercu samego Ignacego w dwóch tych "tygodniach", to skreślił on sam, w dwóch szeregach "Prawideł dla rozpoznania wzruszeń duszy, wznieconych przez rozmaitych duchów, ażeby przyjmować tylko dobre, a złe odrzucać".

1. "Pierwszy szereg tych prawideł – ostrzega św. Ignacy – odpowiada i stosuje się szczególnie do pierwszego tygodnia życia duchownego. Niektórzy nawet w tym pierwszym «tygodniu» właściwie nie znajdują się, nie zastanawiając się nad tym, że w duszy ich coś ustawicznie się dzieje, coraz inne myśli, pragnienia, uczucia przyływają i odpływają bez żadnego dozoru i straży, a grzechy ciężkie mnożą się bez liczby i zastanowienia. Takim ludziom



nieprzyjaciel nasz zwykł poddawać ponęty cielesne, ciągnąć do zmysłowych uciech, aby tak utrzymać ich w grzechach i ciężar ich coraz bardziej powiększać. Przeciwnie, dobry duch ustawicznie porusza ich sumienie, na sąd pożywa, rozum odstrasza od grzechu".

2. "Innym, którzy postępując oczyszczającą drogą pierwszego «tygodnia», troskliwie starają się pozbyć przywar i grzechów, a ćwicząc się w służbie Bożej, co dzień dalej w niej postępują, zły duch nasyła utrapienia, skrupuły, smutki, błędne zdania i inne tego rodzaju niepokoje, którymi usiłuje wstrzymać ich w postępowaniu naprzód. Dobry zaś duch dobrze działającym dodaje odwagi, pociesza, pobożne łzy wyciska, umysł oświeca i spokojem napełnia wszystkie przeszkody usuwając, aby dalej w dobrych uczynkach się ćwicząc, swobodniej i raźniej wciąż naprzód postępowali".

3. "Duchowna pociecha wtedy ma miejsce, kiedy dusza przez wewnętrzne jakieś wzruszenie, zapala się miłością Stwórcy i Pana swojego, tak iż żadnej już rzeczy na całym tym świecie kochać nie może dla siebie samej, ale wszystkie stworzenia miłuje jedynie dla Stwórcy i w Nim. Również, gdy łzy wylewa, pobudzające do tej miłości Pańskiej, bądź, że łzy te płyną z żalu za grzechy, bądź z rozpamiętywania męki Chrystusowej, bądź z jakiegokolwiek innej przyczyny, odnoszącej się ku służbie i chwale Boskiej. Na koniec nazywam pociechą wszelki postęp w wierze, nadziei i miłości; wszelką radość wewnętrzną, która woła i pociąga człowieka do rzeczy niebieskich, do starania się o zbawienie duszy, napełniając ją ufnością i pokojem w Stwórcy swym i Panu".

4. "Utrapieniem duchownym nazywam wszystko co się sprzeciwia powyżej określonej pociesze: każde duszy zachmurzenie, zamieszanie, pociąg do rzeczy ziemskich i niskich, drażliwość z pokus płynącą, niepokój za jakim głosem iść, pobudzający do nieufności, wykluczający miłość i nadzieję. Stąd dusza widzi, że jest leniwą, oziębłą, smutną i jakoby odłączoną od swego Stwórcy i Pana. Albowiem tak jak pociecha wbrew przeciwna jest utrapieniu, tak też i myśli rodzące się z pociechy są wbrew przeciwnie myślom płynącym z utrapienia".

5. "Czasu utrapienia nie należy nigdy żadnej zmiany przedsiębrać, lecz silnie i wytrwale trzymać się postanowień poprzednich i nie zbaczać na krok z drogi, na którą się weszło w czasie poprzedzającym utrapienie lub w chwili pociechy. Albowiem jak w czasie pociechy prowadzi nas raczej i radą swą

kieruje duch dobry, tak w czasie utrapienia duch zły, którego rady i poduszczenia nie mogą nam dopomóc do powzięcia rozumnego, korzystnego postanowienia".

6. "Aczkolwiek człowiek utrapieniem przyciśniony bynajmniej nie powinien zmieniać poprzednich swych zamiarów, pożyteczną wszakże rzeczą dlań będzie obmyślać i pomnażać środki i broń przeciw utrapieniu, np. przykładając się pilniej do modlitwy, dokładniej rachując się ze sobą samym, zadając sobie odpowiednie umartwienia".

7. "Ten, kogo utrapienie uciska, niech uważa, iż Bóg pozostawia go samemu sobie dla próby, aby przyrodzonymi również siłami opierał się napadom nieprzyjacielskim. Może bowiem zawsze tym szturmom się oprzeć za pomocą Bożą, która nigdy go nie opuszcza, chociaż jej natenczas nie czuje, a nie czuje dlatego, iż Bóg odjął mu poprzedni ów zapał i na zewnątrz wylewającą się miłość, nie odejmując wszelako łaski, wystarczającej do zapewnienia sobie zbawienia wiecznego".

8. "Człowiek pokusą nękanym niech się stara o zachowanie cierpliwości; cierpliwość bowiem jest najdzielniejszym lekarstwem na wszystkie podobne uciski. Niech przywołuje na pomoc myśl i nadzieję o mającej niebawem zjawić się pociesze, a niech walczy z utrapieniem orężem, w szóstym prawie wskazanym".

9. "Trzy są główne przyczyny utrapienia. Pierwsza, gdy jesteśmy oziębli i leniwi i niedbali w naszych ćwiczeniach duchownych, a tak oddala się od nas duchowna pociecha za karę za winy nasze. Druga, gdy Pan Bóg doświadcza nas ileśmy warci i co gotowiśmy uczynić w Jego służbie i dla Jego chwały bez żołdu pociech i łask szczególnych. Trzecia, gdy Bóg chce nam dać jasną znajomość i zupełne przeświadczenie, że nie jest w naszej mocy nabyć lub zachować gorącą pobożność, potężną miłość, obfitość łez lub inną jakąkolwiek pociechę duchowną, lecz że to wszystko jest darem i łaską Boga, Pana naszego; abyśmy przypisując sobie samym nabożeństwo lub inne jakieś duchowne pociechy, nie zakładali gniazda w cudzym domu, wzbijając umysł w pychę lub próżną chwałę".

10. "Człowiek, obfitujący w pociechy, winien obmyślać, jak poczynąć sobie będzie przy spotkaniu się z utrapieniem, które później nadejdzie, i tak uzbrajać się w nowe siły na ów czas".

11. "Kto obfituje w pociechy, niechaj się stara upokarzać i poniżać samego siebie, o ile tylko może, rozważając, jak za natarciem utrapienia jest bezsilnym, jeśli go łaska i pociecha Boża nie dźwiga. Przeciwnie ten, kogo utrapienie uciska, niech pamięta, że wiele zdziałać może z pomocą łaski Bożej i że z tą pomocą mocen jest zwyciężyć wszystkich swoich wrogów, czerpiąc siłę w Panu i Stworzycielu swoim".

12. "Nieprzyjaciel nasz słabe mając siły, ale silną wolę, wielką złość i wściekłość, działa podobnie, jak zwykła działać kobieta. Kobieta bowiem, gdy z mężczyzną jakim sprzecza się, a tenże okazuje jej twarz nieustraszoną, natychmiast traci ducha i ucieka; a przeciwnie, skoro mężczyzna nie może się zdobyć na odwagę i do ucieczki się zabiera, wtedy gniew, zemsta i gwałtowność kobiety rośnie i przekracza wszelkie granice. Podobnie wróg nasz zwykł tracić siłę i ducha, a pokusy jego sromotnie nikną, ilekroć duchowny zapaśnik staje nieustraszoną czołem i wręcz im przeciwdziała, czyniąc to właśnie, od czego szatan poduszczeniami swymi chciał go odwieść, nie czyniąc tego, do czego zamyślał go pobudzić. Jeśli zaś duchowny zapaśnik ulega bojaźni i traci serce w walce z pokusami, nie ma na całym świecie żadnej tak wściekłej bestii, która by z taką złością dążyła do spełnienia przewrotnych swych zamiarów, jak wróg rodzaju ludzkiego".

13. "Ten nasz wróg, o ile stara się, aby działalność jego pozostała w tajemnicy, postępuje sobie również jak zwykł postępować próżny, zdradliwy lubieżnik. Taki bowiem obłudnik, który pragnie uwieść córkę uczciwych rodziców lub żonę uczciwego jakiego męża, stara się, aby słowa jego i namowy nie wyszły na jaw, i nadzwyczaj mu się nie podoba, kiedy córka ojcu, lub małżonka mężowi swemu wyjawia zdradliwe jego słowa i złe zamiary, bo dobrze rozumie, że wskutek tego nie przeprowadzi powziętego planu. Podobnie i nieprzyjaciel natury ludzkiej usiłuje, ażeby dusza, którą chce zgubić fortelami i poduszczeniami swymi, tała zdracze jego podstępny; bardzo zaś mu się nie podoba, kiedy zwierza się z nich i z nimi zaznajamia dobrego swego spowiednika, lub inną jaką osobę duchowną, bo stąd wnosi, że skoro zdrady jego na jaw wyszły, nie będzie w stanie dokonać złośliwego swego dzieła, jakie rozpoczął".

14. "Wróg nasz zwykł także naśladować wodza wojska, który pragnąc zdobyć i zrabować osaczoną twierdzę, pilnie bada obóz, siły i fortyfikacje nieprzyjacielskie, a następnie uderza na słabsze miejsce. Równie więc i wróg człowieka obchodzi duszę, chytrze śledząc, jakimi murami cnót teologicznych,

kardynalnych i moralnych jest uzbrojoną; a gdzie widzi, że jesteśmy słabsi i mniej na żywot wieczny ubezpieczeni, tam uderza i stara się nas pokonać".

Takie walki dusza stacza, w taki sposób szatan na nią napada, a Bóg z pomocą jej przychodzi w pierwszym okresie czyli "tygodniu" po jej nawróceniu się, gdy dopiero co zrzuciwszy ze siebie starego Adama, poznaje z przerażeniem, jak źle dotąd żyła; przejmuje się słuszną bojaźnią na myśl o karach doczesnych i wiecznych, na jakie zasłużyła; pokutą dawne grzechy obmywa i święcie sobie przyrzeka, że z pomocą Bożą nigdy już żadnym grzechem nie obrazi Stwórcy swego i Sędziego. W drugim "tygodniu", gdy spełniwszy już napomnienie Przesłannika Jezusowego: *Czyńcie pokutę, albowiem przybliżyło się Królestwo niebieskie* (9), idzie człowiek za samym Jezusem, aby naśladować Jego życie, stać się doskonałym, *jako Ojciec nasz niebieski doskonałym jest* (10), wtedy toczy się innego rodzaju, mniej może głośna, ale tym niebezpieczniejsza walka. Szatan używa wtedy bardziej wyszukanych fortelów, ażeby duszę podejść, ale i Bóg inną broń w tej walce podaje duszy i innymi drogami prowadzi ją do zwycięstwa. Przebieg całej tej walki, którą Ignacy dla swego i dla naszego pożytku stoczył już w Manrezie, zwłaszcza w późniejszych miesiącach swego tam pobytu, taktykę dobrego i złego ducha, sposób wojowania, jakiego my sami w drugim tym "tygodniu" naszego duchownego życia trzymać się mamy, podał Święty w drugim szeregu "Prawideł pożytecznych do dokładniejszego zbadania duchów, a odpowiadających na pierwszym miejscu drugiemu tygodniowi".

1. "Właściwym jest Bogu i Aniołom Jego wlewać do duszy, na którą działają, prawdziwą radość i wesele duchowne, oddalając wszelki smutek i niepokój, dzieło rąk szatańskich. Przeciwnie, wróg nasz zwykł walczyć przeciw tego rodzaju pociechom i duchownej radości, przywodząc pozorne racje, subtelności, zręcznie usnute sofizmaty".

2. "Sam tylko Bóg, Pan nasz, może pocieszyć duszę bez żadnej poprzedniej przyczyny, z której by pociecha taka wypływać mogła, gdyż wyłącznie sam tylko Stwórca może do duszy wchodzić, z niej wychodzić i poruszać ją, pociągając ją zupełnie do miłowania Boskiego swego Majestatu. Wtedy zaś mówię, że żadna nie poprzedza przyczyna, kiedy ani zmysłom, ani woli, ani rozumowi nic takiego się nie przedstawia, co by mogło tego rodzaju pociechę do duszy sprowadzić".

3. "Kiedy jakaś przyczyna poprzedza pociechę, sprawcą tej pociechy może być równie dobry, jak i zły duch, którzy jednak, podobnego używając środka, dążą do celów przeciwnych. Dobry duch dąży do udoskonalenia duszy, aby rosła i postępowała od tego, co dobre, do tego, co jeszcze lepsze; zły zaś duch pragnie przeciągnąć ją do przewrotnych swych zamiarów i złości".

4. "Jest obyczajem złego ducha przybierać zewnętrzną postać anioła światłości, a rozpoczynając od poddawania pobożnej duszy odpowiednich jej usposobieniu myśli, prowadzi ją nieznacznie do niecznych myśli i chęci. Z początku sprowadza dobre i święte myśli, zgodne z usposobieniem takiej duszy sprawiedliwej, a następnie powoli stara się dojść do swego celu, ciągnąc duszę do ukrytych swych zasadzek, pozyskując dla przewrotnych swych zamiarów".

5. "Bardzo pilnie winniśmy roztrząsać cały ciąg i przebieg naszych myśli, jeżeli początek ich, jak środek i koniec są zarówno i zupełnie dobre i zdążają do tego, co ze wszech miar jest dobrem, jest to dowodem działania dobrego anioła. Jeżeli zaś szereg myśli, umysłowi poddanych, kończy się na czymś takim, co z siebie jest złem, lub od dobrego odwodzi, lub pobudza do czegoś, co mniej jest dobrem od tego, co dusza poprzednio przedsięwziąć sobie postanowiła, albo samą duszę osłabia, niepokoi i trwoży, odbierając jej dawny spokój i pogodę, – jasny to znak, że sprawcą tych myśli jest duch zły, wróg postępu naszego na drodze duchownej i zbawienia wiecznego".

6. "Ilekroć ktoś kuszony schwyta wroga natury ludzkiej i rozpozna go po węzowym jego ogonie i złym celu, do którego prowadzi, bardzo pożyteczną będzie dlań rzeczą rozpatrzyć na nowo całe poprzednie rozumowanie i zauważyć, w jaką dobrą myśl z początku nieprzyjaciel przystroił się i w jaki sposób poprzednią ową słodycz i pogodę ducha nieznacznie z serca oddalał i jad swój wpuścić usiłował. Po takim zbadaniu i zapisaniu sobie w pamięci zwykłych zasadzek nieprzyjaciela, będzie się mógł człowiek uchronić przed nimi na przyszłość".

7. "Do dusz, które w dobrem postępują, każdy z obydwóch duchów wchodzi we wręcz odmienny sposób. Dobry duch dotyka się takiej duszy słodko, lekko, łagodnie, jak kropla wody w gąbkę wsiąkająca; zły duch dotyka się jej gwałtownie, głośno, niespokojnie, jakoby deszcz spadający na opokę. Tych zaś, którzy co dzień gorszymi się stają, dotykają oba duchy w sposób przeciwny. Przyczyną tej różnicy jest usposobienie samejże duszy stojącej lub nie stojącej w sprzeczności z wzmiankowanymi duchami. Gdy bowiem dusza

stoi w sprzeczności z dobrym lub złym duchem, wchodzi on do niej z wstrząśnieniami, hałasem, po których łatwo poznać jego zbliżanie się. Jeśli zaś jest z nim zgodną, wchodzi duch spokojnie, jakoby do własnego domu i otwartą bramą".

8. "Kiedy pociecha bez żadnej danej uprzednio przyczyny napęlnia duszę, to chociaż – jak wyżej powiedzieliśmy – zdrady w niej nie ma, ponieważ w takim razie wyłącznie od Boga, Pana naszego pochodzi, osoba jednak duchowna, której zsyła Bóg taką pociechę, powinna z wielką uwagą i pilnością zastanowić się i odróżnić właściwą chwilę obecnej pociechy od chwili zaraz po niej następującej, kiedy to dusza jeszcze pała i czuje jeszcze łaskę Bożą i pozostałe ślady minionej pociechy. Często bowiem w drugim tym czasie ukształca różne postanowienia i zamysły, które nie są bezpośrednim darem Boga, Pana naszego, ale wynikają z własnego jej rozumowania, opartego na różnych wnioskach, zdaniach i sądach, do których pobudził bądź dobry, bądź zły duch. Dlatego, zanim kto zupełnie na nie się zgodzi i w wykonanie wprowadzi, powinien poprzednio bardzo pilnie je roztrząsać".

Ciężka, zacięta walka, którą dobry i zły duch, Anioł Stróż i szatan, toczyli o duszę Ignacego, to tylko jakby jedna lekcja, udzielona mu przez Boga w manreskiej szkole doskonałości. Wszystkie, najważniejsze przynajmniej nauki, którymi Bóg wzbogacił tutaj jego rozum i serce, streścił Ignacy, ujmując je w jedną całość, w krótkiej, ale prawdziwie złotej, nigdy dosyć nieocenionej książeczce *Ćwiczeń duchownych*. Choćby Święty nic innego, prócz tej książeczki nie zostawił, to już położyłby niewymowne zasługi dla Kościoła i dusz Krwią Chrystusową odkupionych, z których tyle tysięcy w tych *Ćwiczeniach* znalazło nawrócenie, źródło życia i łaski. Rycerz nieumiejętny, który dopiero co zrzucił ziemską zbroję, aby w szaty Chrystusowe się przyodziać, nie mógł z własnego tylko rozumu spisać tego jakby podręcznika chrześcijańskiej doskonałości, w którym po dziś dzień nikt nic ująć, nic dodać nie potrafił; na to potrzeba było wyższej pomocy i łaski. Najwyższy nauczyciel, Bóg sam musiał mu dopomagać w tej pracy, musiał go sam w Manrezie kierować w pierwszych tych rekolekcjach, które w książce swej spisał i oddał Kościołowi do użytku.

Najwyższy wódz Chrystus, wybrawszy sobie Ignacego do uformowania męznego hufca, którego celem miała być walka z nieprzyjaciółmi imienia Bożego i rozszerzanie po świecie całym chwały tego imienia, opatrzył go nową bronią, przed której siłą najoporniejsze nawet serca muszą się kruszyć i

ustępować. Bronią tą rekolekcje. Istotnie "ćwiczenia duchowne" były i są taką bronią, takim cudownym środkiem przekształcającym serca; a nadto noszą one na sobie to wybitne znamię Boże, że im kto więcej i bliżej z nimi się zapoznaje, tym więcej harmonijnie ze sobą związanych prawd w nich odkrywa, tym jaśniej czyta w nich niejako dzieje własnego swego serca, tym bardziej dziwić się musi, skąd manreski pustelnik posiadał tak dokładną znajomość serc ludzkich i dróg Pańskich. Bóg tylko, wszechwładny Pan serc i rozumów, mógł podyktować Ignacemu, mniejsza o to, w jaki sposób, duchowne to arcydzieło i tak też powstanie jego tłumaczą najznakomitsi cnotą i nauką mężowie.

Czym są, jaki cel mają "ćwiczenia duchowne"? – "Ćwiczenia", jak pięknie wyraża się jeden z mistrzów chrześcijańskiej ascezy (11), to jędrne streszczenie wszystkich nauk, odnoszących się do duchownego wykształcenia serca ludzkiego; to krótki, ale zupełnie wystarczający przewodnik, wskazujący, jak zbawić duszę, jak ją prowadzić ze stopnia na stopień aż do najwyższej doskonałości. Sam Ignacy tak ten cel określa: "«Ćwiczenia duchowne» do tego zmierzają, aby człowiek sam siebie zwyciężył i uporządkował swe życie, nie dając się powodować żadną nieporządną skłonnością". Mają one zatem na pierwszym miejscu zniszczyć i wykorzenić wszystko, co w sercu jest niedobrego, nieporządnego, co się sprzeciwia rozumowi i wierze; mają następnie okazać czego Bóg od każdego z nas w szczególności domaga się i dopomóc do uregulowania życia stosownie do tej jasno poznanej woli Bożej. Bez oczyszczenia najprzód serca z rozrastających się w nim chwastów na próżno próbowalibyśmy siać na nim nasienie zasługujących na niebo i Bogu miłych uczynków; jedno z drugim iść musi w parze, jeżeli "ćwiczenia" wydać mają właściwy sobie dojrzwały owoc, jeżeli mają przeprowadzić reformę całego życia według woli i myśli Bożej.

To cel równie wzniosły, jak jasny, prosto do każdego serca przemawiający. A jaka droga do tego celu? "Ćwiczenia duchowne" nie wlewają do duszy gotowej już niejako doskonałości, ale przygotowują dla niej miejsce, dają do ręki oręż dla zwalczania przeszkód, które jej wstęp do serca tamują, otwierają na oścież bramę dla przyjęcia hojnie płynącej łaski Bożej. Przede wszystkim usunąć muszą ze serca grzech, ową główną, zasadniczą przeszkodę na drodze do Boga. Kto zrozumie czym jest grzech, jaka jego natura i skutki, jak straszne to odstępstwo od Boga i jakie ściąga kary i w tym już życiu i w wieczności, ten musi nabrać obrzydzenia do grzechu i jak najsilniej sobie postanowić, że wedle sił zwalczać go będzie. A jakie środki do tej walki, jakiej

metody trzymać się w niej należy? Ignacy odpowiada na to pytanie podając i ucząc z kolei coraz innych "ćwiczeń" niezbędnych dla duszy, jak dla ciała potrzebne są odpowiednie jemu ćwiczenia: chodzenie i bieganie. Podaje i uczy różnych sposobów rozmyślania, ustnej modlitwy, rachowania się z sumieniem; uczy na czym właściwie dobra i skuteczna modlitwa polega, jakie ma ją poprzedzać przygotowanie, jak wśród niej, jak po niej się zachowywać.

Nieocenionej wartości są te nauki i przestrogi; niezgłębiona to kopalnia, z której od czasów Ignacego wszyscy – bez przesady powiedzieć można – "ćwiczący się" w służbie Bożej czerpią pełną dłoń, tak pełną, że dziś zasady te i praktyczne wskazówki stały się poniekąd istotną częścią chrześcijańskiej ascezy, a bardzo wielu czerpiących z tej szeroko płynącej rzeki ani się domyśla z jakiego ona wyszła źródła. Ignacy nie wynalazł oczywiście ani modlitwy myślniej, ani rachunku sumienia; znane one i praktykowane były nie tylko w chrześcijaństwie, lecz rzecz by można od tej pierwszej chwili, w której człowiek podniósł myśl swą do Stwórcy i zrozumiał do jakiego stopnia od Niego zależy. Zasługą Świętego było to, że pobożne te ćwiczenia ujął w pewien jasny system, dla każdego przystępny, że z dziwną znajomością serca ludzkiego nakreślił dla nich prawidła, których kto wiernie się trzyma, pewnym być może, że ze swojej strony zrobił co mógł, aby jego modlitwa była miłą Bogu. Przed rozmyśleniem nakazuje Ignacy dokładnie przygotować się do tej ważnej, prawdziwie wielkiej pracy, żywo sobie uprzytomniając, jaką prawdą, jaką tajemnicą wiary mamy zająć umysł i serce, do czego w modlitwie dążyć, o co w niej szczególnie Boga prosić. W samym rozmyśleniu biorą udział wszystkie władze duszy: wyobraźnia, rozum, wola rywalizują niejako ze sobą, przyczyniając się każda ze swojej strony do należytego poznania i zgłębienia prawdy. Kiedy wyobraźnia z pamięcią silnie już ją postawiła przed okiem duszy, wtedy rozum wszechstronnie ją bada, do wszelkich kryjówek zagląda, aż utworzywszy silny i pewny sąd, pociąga za sobą wolę i nakazuje jej z nieubłaganą siłą kochać, co miłości godne, nienawidzieć, co na nienawiść zasługuje. Rozum dobre poznaje, wola do dobrego się skłania, ale z dobrych tych chęci owoc nie wyrośnie, jeżeli sam Bóg nie oświeci tego drobnego nasionka promieniami swej łaski; z tego przekonania musi powstać konieczna, całemu rozmyśleniu towarzysząca potrzeba bezpośredniego odnoszenia się do Boga to z korną prośbą o oświecenie, o pomoc, o miłosierdzie, to ze szczerym przeproszeniem za dawne uchybienia, to z innymi uczuciami, pragnieniami, które sam Najwyższy Pan duszy poddaje. To bezpośrednie zwrócenie się do Boga nadaje rozmyśleniu



właściwą cechą modlitwy, bo to już rozmowa nie tylko ze sobą samym, ale rozmowa z Bogiem.

Do poznania głębin własnego serca, do wykorzenia nie tylko grzechu, ale, o ile to możliwe, nawet jego korzeni, złych skłonności i namiętności, służyć mają w pierwszej linii, obok rozmyślania, dwa inne "ćwiczenia": rachunek sumienia **powszechny**, czyli ogólny, i rachunek sumienia **szczegółowy**. Podobnie, jak modlitwa myślna, tak oba te "rachunki" były dobrze znane w głównych swych zasadach najdawniejszym nauczycielom życia duchownego i praktykowane przez każdego, ktokolwiek szczerze dążył do doskonałości; ale znowu dopiero Ignacy ujął je w ścisłe przepisy, ogólne zasady przemienił na praktyczne, do najdrobniejszych szczegółów sięgające wskazówki. Rachunek **powszechny** ma na celu oczyścić duszę ze wszystkich w ogóle grzechów i wad. Dlatego powołuje duszę dnia każdego, lub parokrotnie na dzień, na sąd jej uczyć i myśli, słów i uczynków, smutny ten widok, połączony z przypomnieniem kto i kogo obraził, zniewala do szczerego żalu za popełnione uchybienia, do mocnego postanowienia poprawy na przyszłość i obmyślenia mogących ku temu posłużyć najskuteczniejszych środków. Rachunek **szczegółowy** wypowiada wojnę temu w szczególności grzechowi, czy błędowi, lub tej namiętności, która w sercu najsilniej się rozpościera i jest źródłem innych grzechów, prowadzi walkę o zdobycie już nie wszystkich cnót razem, ale jednej cnoty, najbardziej na razie potrzebnej. Walka ta, wedle przepisów Ignacego, nie ogranicza się bynajmniej na kilku chwilach zajętych przez rachunek w ścisłym słowa tego znaczeniu, rachunek z pewnego rodzaju wykroczeń, lub aktów pewnego rodzaju cnoty; ona obejmuje całego człowieka i do wszystkich czynności wnika. Rano przypomnienie sobie, z jakim to błędem i w jaki sposób mamy toczyć walkę, obwarowanie duszy przeciw nadarżającym się sposobnościom do upadku; w południe i wieczór ścisłe obrachowanie się, czy i jakie mamy zanotować klęski, lub zwycięstwa, czy i o ile postąpiliśmy w wytkniętym kierunku lub cofnęli się; przez dzień cały, bacność i wytężona uwaga, aby dopełnić powziętych postanowień, nie zejść z nakreślonej z góry drogi, a w razie potknięcia się i upadku, czym prędzej z pomocą Bożą dźwigać się i przeprosiwszy Boga, odwagi nie tracąc, kroczyć dalej naprzód.

Do należytego odprawiania i korzystania jak z rozmyślania, tak z rachunków sumienia, i w ogóle ze wszystkich pobożnych ćwiczeń, służy niemało, liczne, z zadziwiającą znajomością natury ludzkiej, nakreślone i gorąco zalecone  **pomocnicze środki**. Nacisk w nich, zdawałoby się, położony jest na

drobiazgi; ale jeśli gdzie i kiedy, jeżeli w życiu fizycznym, to bardziej jeszcze w życiu duchowym widać jak wielką rolę odgrywają pozorne drobiazgi, a doświadczenie uczy, że kto nie chce z dziecięcą prostotą przykładać do nich wielkiej wagi, temu ani marzyć o szybkim postępie na drodze doskonałości, ani o modlitwie gorącej, wytrwałej, skutecznej. Pomocnicze te środki mają głównie na celu pobudzić duszę i utrzymać ją w niełatwym nieraz skupieniu, zmusić niejako wyobraźnię i zmysły, aby nie tylko nie przeszkadzały, lecz owszem pomagały do żarliwej modlitwy. Stąd odrębne przepisy, jak przedmiot rozmyślenia z góry obmyśleć i ku niemu zwracać myśl przez czas poprzedzający modlitwę, jak bezpośrednio przed modlitwą do niej się gotować, stając z żywą wiarą w obecności Bożej, uprzytomniając sobie prawdę lub tajemnicę, która ma być przedmiotem rozmyślenia, prosząc Boga o osiągnięcie odpowiedniego owocu; jakich używać środków dla powstrzymania wyobraźni w zakreślonych granicach; jak zmysły, oczy, język, uszy na wodzy trzymać, jak poskramiać je i umartwiać, aby niczego do duszy nie przypuszczały co by ją mogło zamącić i od rozmowy z Bogiem odwrócić. Nie trudno zrozumieć, jak bardzo wszystkie te środki ułatwiają skupienie i podniesienie myśli do Boga, jaką pomoc przynoszą i jak hojną łaskę Bożą ściągają na tego, kto z całą pokorą i prostotą wiernie się nimi posługuje.

Rozmyślenia, podwójny rachunek sumienia, dobrowolnie przyjęte umartwienia zdążają i zdążać muszą na pierwszym miejscu do wykorzenia ze serca grzechu i namiętności; występują do walki przeciw tym nieprzyjaciołom Bożej chwały i wiecznego naszego szczęścia, odprowadzającym nas od celu, dla którego przez Boga jesteśmy stworzeni. W walce tej nie moglibyśmy nigdy nawet zamarzyć o zwycięstwie bez pośrednictwa i pomocy Zbawiciela świata; dopiero Chrystus, gdy na ziemię przyszedł, wskazał ludziom swym przykładem drogę do zwycięstwa, a jednocześnie łaską swoją zwycięstwo im umożliwił i ułatwił. Wódz to nasz, który we wszystkim, prócz grzechu, chciał się stać do nas podobnym, wspólny z nami walczy przeciw wszystkiemu złemu, wciąż przed nami idzie i tego tylko domaga się, abyśmy wiernie, bez ociągania się szli Jego śladami. W pierwszym okresie duchownego życia, w pierwszym "tygodniu", jak Ignacy wyraża się, rzekł Jezus do duszy sparaliżowanej namiętnością, leżącej w grzechu: *Wstań!* W okresie drugim wzywa uzdrowionego: *Idź za mną!* Aby iść za tym niebieskim Wodzem, trzeba Go poznać, trzeba Mu się przypatrzeć w tajemnicach życia ukrytego i publicznego, przypatrzeć się cnotom, których nas przykładem swym uczy, zbadać Jego zasady, myśli, pragnienia, wniknąć w Jego sposób myślenia, w pobudki, które kierowały Jego czynami.

To wzór. Wedle tego wzoru powinien każdy urządzić swe życie, kto pragnie Bogu wiernie służyć i chwałę Mu oddawać, każdy, kto się poczuwa do chęci wstąpienia w szeregi Zbawiciela świata, aby walczyć o rozszerzenie Królestwa Bożego najprzód w duszy swej własnej, następnie w duszach swych bliźnich. Kto już poprzednio wybrał sobie pewien stan, którego zmienić mu nie wolno, ten ma przynajmniej, wedle wzoru, jaki nam Chrystus zostawił, życie swe w danym stanie uregulować i zreformować; kto dopiero namyśla się, w jakim stanie, na jakiej drodze, ma służyć Bogu, ten znajduje gotową odpowiedź w zasadach, słowami i życiem całym głoszonych przez Boskiego Mistrza i Wodza. Jakie to są zasady, a jakie są przeciwne im zasady świata, który od prawdziwej drogi, prawdy i życia odciągnąć nas usiłuje, to plastycznie maluje Ignacy w rozmyślaniu, powiedzieć by można w obrazie, przedstawiającym dwa wrogie sobie obozy. Naczelnicy wódzowie tych obozów, Chrystus i Lucyfer, zwołują wojowników pod swe sztandary, przedstawiają swe plany, swe zamiary, odsłaniają całą swą wojenną taktykę. Duch zły, duch tego świata, rozacza złudne blaski dóbr ziemskich, od ukochania bogactwa prowadzi do rozmiłowania się w płynących z nich zaszczytach i jeden jeszcze krok, a pycha w towarzystwie wszystkich innych grzechów wszechwładnie w sercu się rozsiada, despotycznie króluje. Duch dobry, duch Chrystusowy, okazuje prawdziwą piękność i wyższość wyrzeczenia się wszystkiego co ziemskie, co przemijające, dalej prowadzi na wyższy stopień i uczy kochać, co człowiekowi cielesnemu jest najwstrętniejszym – cierpienie i wzdarcie; z tego zamięłowania ubóstwa i z zamięłowania upokorzeń wykwita, jak piękny kwiat, cnota pokory, której naturalnie towarzyszą już wszystkie inne cnoty.

Kto jakkolwiek rozumie swój stosunek do swego Stwórcy, Zbawiciela i Wodza, ten nie może ani na chwilę wahać się którą drogą iść, któremu wezwaniu odpowiedzieć. Ale ścieżka, wskazana przez Chrystusa, jest prawdziwie wąska, niewygodna, ale, pomimo i wbrew wyraźnemu nakazowi rozumu, wola, serce, zmysły buntują się i zdecydować nie mogą, aby na ścieżkę tę energicznie wstąpić i wytrwale nią podążać, ale tysiące ubocznych względów, tysiące racyj przez niezdrową miłość własną dyktowanych, radzą odwlec przynajmniej wykonanie powziętego postanowienia, nakłaniają do zgubnych w swych następstwach, w gruncie rzeczy niemożliwych kompromisów.

Dla przecięcia drogi tym pokusom, dla wypróbowania siebie, czy nie oszukujemy samych siebie, pochlebając sobie, że chcemy istotnie jak najlepiej i najdoskonalej Bogu służyć, każe Ignacy w osobnym, charakterystycznym

rozmyślaniu, wpatrzeć się w wizerunek trzech odrębnych typów ludzi, zbadać ich usposobienie i charakter. Pierwsi z nich powtarzają sobie ciągle, że chcą coś dobrego, pożytecznego uczynić, ale nigdy w tym celu ani ręką nie ruszą; drudzy gotowi użyć jakiegoś środka, mniejsza o to, czy skutecznego, czy najwłaściwszego, byleby ich nie kosztował wyęźonej pracy i jeśli co robią, to raczej dla przygłuszenia sumienia, niż dlatego, aby coś istotnie pożytecznego dokonać; trzeci wreszcie chcą na serio dojść do celu, a więc chcą też na serio chwycić się najodpowiedniejszych środków. W sprawach, w interesach ziemskich tylko o tym trzecim rodzaju ludzi powiedzieć byśmy mogli: "oni naprawdę chcą" i dlatego oni tylko jedni dojdą do tego, czego chcą; czyż w sprawie postępu w dobrem wystarczyć by miała mniej silna wola, mniej zahartowana na wszelkie trudności?

Do tego głosu samego rozumu przyłącza się, umacniając wolę, silniejszy głos wiary, przemawiający z Krwi Jezusowej, za nas wylanej; otuchy dodaje obraz chwały zgotowanej przez Najwyższego Wodza tym, którzy wiernie za Nim tu na ziemi krzyż swój dźwigali. Rozpamiętywanie gorzkiej męki Zbawiciela stanowi trzeci etap na nakreślonej przez Ignacego drodze do doskonałości, trzeci "tydzień", aby użyć własnego jego sposobu wyrażania się. Jak nie zapalić się do mężnej walki z grzechem i namiętnością, patrząc na Boga zmywającego grzech Krwią własną? jak na ten widok nie zapłonąć miłością i wdzięcznością, nie zrozumieć ceny duszy ludzkiej i nie powiedzieć sobie z całą mocą przekonania, że nie ma ofiary, której by dla jej zbawienia nie było warto i nie należało ponieść?! Tym bardziej warto i należy, że za ukrzyżowaniem idzie zmartwychwstanie. Rozpamiętywania o chwalebnych tajemnicach uwielbionego życia Jezusowego zajmują czwarty "tydzień", przypominając i zapewniając, że kto z Chrystusem współcierpiał, wspólnie też z Nim będzie uwielbiony, kto mężnie walczył i do zwycięstwa się przyczynił, ten w tej samej mierze weźmie udział w triumfie, w nagrodzie.

Najwyższą cnotą i koroną życia duchownego jest miłość; pięknie też i słusznie, doszedłszy w budowie do szczytu wspaniałego gmachu doskonałości, wieńczy go Ignacy kontemplacją o "osiągnięciu miłości Bożej". Złota nić miłości Bożej ciągnęła się przez całe "ćwiczenia duchowne" i ze sobą je łączyła; lecz teraz dopiero, gdy z serca już grzech się oddalił, namiętność w niewolę wzięta, gdy nasienie cnoty, przez przykład Chrystusowy w sercu zasiane, zaczyna owoce przynosić, – teraz dopiero ta królowa cnot wszystkich, zrzućwszy dotychczasowe zasłony, występuje w pełnym blasku, w niebieskiej

piękności. Dokładnie zrozumieć, czym Bóg jest dla nas, czym jest sam w sobie nie zdołamy nigdy; ale i to, co dostępne dla ludzkiego oka, tak jest niewymownie wielkie, podziwu godne, od Boga takie źródła łask w przyrodzonym i nadprzyrodzonym porządku spływają w serce człowieka, że musi ono przejąć się miłością i wdzięcznością bez granic.

Tak harmonijnie zamyka się cykl "ćwiczeń duchownych" wyczerpując całą teoretyczną i praktyczną naukę doskonałości. Rozpoczynając od pytania: "dlaczego na świecie żyjesz?" poprowadził Ignacy duszę za Wodzem Chrystusem, po coraz wyższych szczeblach, aż do tronu Boga, aż do tej Miłości, która przez całą wieczność stać się ma jej "nagrodą zbytnie wielką". Przejęte miłością serce oddaje się Bogu w zupełnej ofierze, niczego sobie nie zatrzymuje, wszystko składa swemu Stwórcy, swemu Zbawicielowi, swemu Wodzowi: "Przyjm – woła i błaga – i weź Panie całą wolność moją, pamięć, rozum, wolę moją i wszystko, co mam i posiadam; Tyś mi to wszystko dał i Tobie dar Twój zwracam. Rządź wszystkim wedle woli Swojej, bo Twoim jest wszystko. Daj mi tylko miłość i łaskę Swoją, a dość mię wzbogacisz i niczego nadto nie pragnę!".

Na tym złożeniu całego siebie u stóp Bożych w pokornej ofierze zakończył Ignacy "Ćwiczenia duchowne".

Już z niedostatecznego tego streszczenia poznać można, jaką za pośrednictwem Ignacego, dał Bóg Kościołowi broń przeciw duszom opierającym się łasce, jak potężne zostawił lekarstwo na wszystkie choroby serca, jak niezawodny środek wskazał dla dopięcia wysokiej doskonałości. Najlepszym dowodem i przykładem cudownych skutków rekolekcji był sam Ignacy: całe jego życie od pierwszych w grocie manreskiej odprawionych rekolekcji, to ciągłe postępowanie z doskonałości w doskonałość torem w rekolekcjach wskazanym. Wszystkie następne jego przedsięwzięcia i czyny, budzące podziw śmiałością nakreślonych planów, a bardziej jeszcze zadziwiający energią i niczym nie dającą się przełamać wytrzymałością w wykonaniu raz powziętych zamiarów, wzięły początek i jak ze źródła wypłynęły z rekolekcji. W rozmyślaniach "o Królestwie Chrystusowym" i "o dwóch sztandarach" zarysował się już przed oczami Ignacego plan zakonu, niby hufca mężnych rycerzy, który pod dowództwem samego Chrystusa, bronią i w sposób przezeń przekazany – ubóstwem i pokorą zwalczać miał nieprzyjaciół Pańskich, zdobywać całą ziemię dla Boga, "siejąc wszędzie świętą naukę Zbawiciela". Gdy później zebrał Ignacy taki hufiec "towarzyszów Jezusowych", cel, który im

nazaczył, reguły, które im dał, były tylko naturalnym rozwinięciem i praktycznym zastosowaniem prawd zawartych w rekolekcjach.

Nie dziw, że *Ćwiczenia duchowne*, którym tyle dusz zawdzięczało i zawdzięcza nawrócenie do Boga, zupełną zmianę życia i osiągnięcie wysokiej doskonałości, a które na domiar są fundamentem i niby korzeniem zakonu, mającego na celu walkę z wszystkimi bez wyjątku nieprzyjaciółmi imienia Bożego, spotkały się i spotkać się musiały z najwyższymi pochwałami dobrych, z nienawiścią złych i tych wszystkich, którzy dobrowolnie oczy na prawdę zamykają. "Cokolwiek Bóg dobrego przez nas działa – pisali później do Ignacego jego świątobliwi towarzysze – to działa za pośrednictwem rekolekcji". "Ponieważ Błogosławiony – czytamy w procesie kanonizacyjnym św. Ignacego – ułożył *Ćwiczenia duchowne* nie będąc jeszcze z naukami obznajomionym, uznać musimy, że Bóg sam użyczył mu rozumu i światła potrzebnego w nadprzyrodzony sposób". Słynny Ludwik z Granady zwykł był mawiać, że całego choćby najdłuższego życia nie wystarczyłoby, by należycie rozwinąć te wieczne, Boże prawdy, których nauczył się w rekolekcjach. "Jeśli jest co we mnie dobrego, powtarzał często św. Karol Boromeusz, to wszystko zawdzięczam rekolekcjom". Św. Franciszek Salezy, dobry i doświadczony w tej mierze sędzia, zaręczał: "*Ćwiczenia duchowne* więcej nawróciły grzeszników, niż zawierają w sobie liter". Ważniejszym jeszcze od tych świadectw jest sąd Kościoła, zawarty w bulli Pawła III z 31 lipca 1548, z góry niejako odpierający wszelkie zarzuty: "Pewną naszą wiedzą się kierując – pisze ten papież – uznajemy, pochwalamy i powagą tego pisma naszego zatwierdzamy nauki i powyżej wzmiankowane *Ćwiczenia* w ogóle i w każdym z osobna szczególnie i usilnie w Panu zachęcamy wiernych obojga płci, wszystkich narodowości do korzystania z pobożnych tych ćwiczeń i bogobojnego tychże odprawiania".

Taki sąd o rekolekcjach wydał Kościół, wydali święci i najznakomitsi uczeni chrześcijańscy; sąd stwierdzany po dziś dzień tysiącami cudów łaski Bożej, którą Bóg za pośrednictwem rekolekcji w duszę wlewa, z dawnych niemocy ją uzdrawia, do heroicznych czynów w służbie Swej pobudza. Czym zresztą są rekolekcje i jakie praktyczne skutki wyrzucić mogą, to najlepiej – raz jeszcze powtarzamy – pokaże nam dalszy ciąg życia Ignacego.

---

### **Przypisy:**

(1) Ekklez. II, 1.

(2) Ozeasz II, 14.

- (3) Do Rzym. VII, 24.
- (4) Izajasz XXXVIII, 14.
- (5) *Acta antiquissima*, Boll., str. 650.
- (6) *Exercitia spiritualia*, De scrupulis dignoscendis.
- (7) *Vita antiquissima*, Boll., str. 651.
- (8) I Jan. IV, 1.
- (9) Mt. III, 2.
- (10) Mt. V, 48.
- (11) Suarez, *De religione Societatis Jesu*, l. IX. Por. Meschler, *Das Exercitien-Büchlein des hl. Ignatius von Loyola*.



### III.

## Pielgrzymka do Ziemi Świętej

Wśród zmieniających się ze sobą walk z szatanem i pociech niebieskich, oschłości i cudownych oświeceń, przebył Ignacy w Manrezie – tej prawdziwej szkole duchownego życia i wyższej doskonałości – mniej więcej dziesięć miesięcy. Posty, czuwania i biczowania, rozliczne pokuty, do których przyłączyła się jeszcze przez czas pewien ciężka choroba, nadwątlily ciało, ale dusza ciągle wzmacniała się i gorzała coraz silniejszym ogniem miłości Bożej. Ogień ten objawiał się i na zewnątrz: umartwione życie, heroiczne cnoty zaczęły ściągać do samotnej jaskini Ignacego licznych ciekawych i pobożnych, którzy nie taili dlań swego uwielbienia i nieraz mówili o nim otwarcie, jako o mężu świętym. Cześć ta jeszcze bardziej wzrosła, gdy choroba zmusiła Świętego do chwilowego zamieszkania w szpitalu. Kto i w jaki sposób mógł spieszył choremu z pomocą, pragnął go przynajmniej odwiedzić, pewnym będąc, że zjedna sobie przez to szczególne błogosławieństwo Boże. Czart, chcąc wyzyskać dla siebie te oznaki czci, zaczął szeptać Ignacemu, pobudzając go do

zbytnej ufności w sobie, jak dawniej starał się doprowadzić go do rozpacz: "Zgładziłeś wszystkie grzechy, zyskałeś wiele zasług; gdybyś teraz umarł, uchodziłbyś za świętego". "Idź precz szatanie! – odpowiadał Święty – nie dla ciebie zacząłem, nie dla ciebie też skończę". Lecz nie dość pokusy oddalać, trzeba je było w źródle zatamować. Dlatego Ignacy pragnąc stanowczo uniknąć ciężących sobie oznak czci, tak niezgodnych, jak pobożnie rozmyślał, z powołaniem rycerza walczącego pod Wodzem cierniem ukoronowanym, postanowił opuścić Manrezę.

Do postanowienia tego przyczyniło się bardziej jeszcze pragnienie bojowania pod sztandarem Jezusowym nie tylko w ten sam sposób, lecz i na tych samych miejscach, które Boski Wódz, przebywając między ludźmi, uświęcił obecnością swoją. Podobne uczucie, które dawnych Krzyżowców prowadziło do Palestyny, napępiało serce Ignacego; od pierwszej chwili nawrócenia zamierzał on zwiedzić święte miejsca, Krwią Jezusa zbroszone, a manreskie ćwiczenia duchowne jeszcze silniej utwierdziły go w tym zamiarze. Gdzie stosowniej rozpocząć i prowadzić wyprawę przeciw wrogowi dusz ludzkich, kuszącemu je do pożądania bogactw, próżności i pychy, gdzie łatwiej iść za Jezusem w ubóstwie, znoszeniu wzgardy, pokorze, jak nie na tych jerozolimskich polach, na których Wódz nasz raczej przykładem, niż słowami, pierwszy nas tych cnót nauczył?! Jeruzalem, grób Chrystusowy, znajdował się pod panowaniem niewiernych; czyż nie było obowiązkiem wystąpić przeciw nim do walki mieczem słowa Bożego, rozszerzyć między nimi i na całym Wschodzie znajomość imienia i nauki Jezusowej? "Tak, tego Bóg chce!" mówił do siebie Ignacy i pełen ufności w Bogu, nie zważając na gorące prośby mieszkańców Manrezy, którzy świętego męża pragnęli u siebie zatrzymać, puścił się z początkiem r. 1523 w drogę do Barcelony, skąd spodziewał się dostać morzem do Włoch, a stamtąd do Ziemi Świętej.

Nauczony doświadczeniem i lepiej już teraz woli i dróg Bożych świadomy, umiarkował Ignacy w tej podróży pierwotny zapał do zewnętrznych umartwień, pamiętając, że nie są one celem, ale tylko środkiem, i że o tyle tylko są korzystne, o ile służą do celu, do osiągnięcia świątobliwości. Dlatego zastosowując praktycznie spisane przez siebie samego w *Ćwiczeniach duchownych* reguły o umartwieniu, zdjął z siebie na czas drogi włosiennicę i żelazne łańcuszki, którymi się opasywał, dla ochrony się od zimna, bardzo dokuczliwego w tym czasie, przyjął w darze od paru pobożnych kobiet manreskich dwie suknie z grubego sukna, a nadto, ustępując naleganiom ludzi



pobożnych i rozumnych, przyrzekł, że nie będzie drogi odbywać boso i z gołą głową. Do ostrożności tych zmuszały Ignacego nie tylko zwykła roztropność, ale i bardzo niedobry stan zdrowia, zwłaszcza silne żołądkowe bóle, które przez całe życie były mu ciężkim krzyżem. Znajomi manrescy, wiedząc o słabości odchodzącego pielgrzyma, chcieli go jeszcze opatrzyć w inne wygody, ale tych Ignacy stanowczo nie przyjął. Nie chciał też wziąć ze sobą towarzysza drogi, choć kilku, którzy bliżej świątobliwe życie jego poznali i z nauk jego i przykładu pragnęli korzystać, dobrowolnie ofiarowali się towarzyszyć mu nie tylko do Barcelony, ale do samej Jerozolimy. "Jakże sobie dasz radę – tłumaczono mu – w tak długiej i uciążliwej podróży, kiedy nie umiesz ani po włosku, ani po łacinie?". – "Bóg sam jedyną ucieczką moją, – odpowiadał Ignacy (1) – i choćby brat albo syn udzielnego jakiego księcia chciał ze mną pielgrzymować, aby mi ułatwić tę trudną drogę, nie zgodziłbym się na tę jego ofiarę, bo dość mi mieć ze sobą trzy cnoty: wiarę, nadzieję i miłość, a Bóg mnie nie opuści, kiedy całą nadzieję i ufność we wszystkich przypadkach i niedostatkach w Bogu wyłącznie, nie w ludziach, położę".

W Barcelonie zatrzymał się Ignacy około dni dwudziestu, czekając na jakieś pewniejsze wieści z Włoch o zarazie, która miała tam wybuchnąć i powstrzymywała okręty od żeglugi w te strony. Tymczasem, zdawszy się zupełnie na wolę i Opatrzność Bożą, służył chorym po szpitalach, wszelkiego rodzaju nędzaczom po więzieniach, przy czym, podobnie jak w Manrezie, co dzień najmniej siedem godzin poświęcał na żarliwą modlitwę. Sam będąc żebrakiem, zebrał dla innych; mając nieraz kawałek suchego chleba za pożywienie na cały dzień, dzielił się nim z biedniejszymi. Czym następnego dnia żywić się będzie, jakim sposobem bez pieniędzy, bez znajomości do Włoch się dostanie, o to się nie troszczył, zastosowując w całej heroicznej rozciągłości napomnienie Chrystusowe: "Szukajcież naprzód Królestwa Bożego i sprawiedliwości Jego: a to wszystko będzie wam przydane. Nie troszczcie się o jutro, albowiem jutrzejszy dzień sam o się troskać się będzie" (2). Jakoż Opatrzność Boża, która ptactwo niebieskie żywi i lilie polne tak wspaniale przyodziewa, wzięła w opiekę wiernego swego sługę i nigdy ani na chwilę go nie wypuściła z opieki tej prawdziwie cudownej przez cały przeciąg życia; była z nim w najrozmaitszych przygodach, w zmiennych kolejach losu i w takich, które ludzie zwali szczęśliwymi, i w takich, które uważali za nieszczęśliwe.

Obecnie wybrał sobie Bóg za narzędzie swej Opatrzności względem Ignacego pobożną matronę Izabellę Roser (3). Razu pewnego zacna ta, a bogata

pani znajdowała się w kościele, słuchając uważnie kazania, gdy rzuciwszy okiem na stopnie ołtarza, spostrzegła na nich wśród licznego grona dzieci nieznanego sobie żebraka, w ubogim, pielgrzymim stroju, z szlachetnym, miłością Bożą jaśniejącym obliczem. Wysokie czoło owego żebraka – jak później sama Roser opowiadała żywotopisarzowi Ignacego, Ojcu Ribadeneira – otaczał jakby jakiś pierścień, albo raczej wieniec świetlany, który oko i serce dziwnie do siebie pociągał. "Idź, rozmów się z tym mężem – przemówił wewnętrzny głos do Izabelli – dopomóż mu do spełnienia zamiarów, powziętych dla większej mej chwały". Pobożna pani posłuchała natchnienia i ledwie wróciła do domu, poprosiła męża, aby kazał przywołać owego dziwnego żebraka, człowieka bez wątpienia świętego. Wysłany sługa sprowadził Ignacego; Izabella zaprosiła go do stołu, a mąż święty, wywdzięczając się za to miłosierdzie, tak pięknie i rzewnie wysławiać zaczął wielkość i dobroć Bożą, że nikt z obecnych nie mógł leż powstrzymać. W toku rozmowy wyjawiał Ignacy swój zamiar udania się do Ziemi świętej i powiedział, że jak się spodziewa, nazajutrz już będzie mógł odpłynąć z Barcelony na małym statku, na który zniósł już nawet cały swój majątek: pisma i parę książek. Zaledwie Ignacy z postanowieniem tym się zwierzył, gdy Izabella, jakby wyższemu jakiemuś głosowi ulegając, zaczęła go prosić i zaklinać, aby na tym statku nie odjeżdżał, lecz raczej poczekał jeszcze dni kilka na odpłynięcie większego okrętu, na którym ona chętnie za niego przejazd zapłaci. Widocznej, rozumnej przyczyny nie było do tych tak natarczywych próśb i łatwo wydać się one mogły każdemu kapryśnym kobiecym przywidzeniem; lecz Bóg, który nakłonił do tych próśb Izabellę, skierował zarazem w tymże samym kierunku serce Ignacego, tak, iż bez trudności zgodził się na to żądanie. Skutek okazał, że istotnie działała tu opatrzna ręka Boża. Ów statek, na którym miał odpłynąć przyszły rycerz Kościoła Bożego, mężny zapaśnik w walce z niewiarą i błędem – rozbił się o skały niedaleko od barcelońskiego portu, a rozbił się tak nieszczęśliwie, że ani jeden nie tylko z podróżnych, ale nawet z marynarzy nie uratował życia.

Ignacy, ustępując prósbom pobożnej Rosery, przesiadł się z jednego statku na drugi, ale pieniędzy na przejazd w żaden sposób nie chciał przyjąć. "Ubogim jestem – mówił – za ubogim Chrystusem iść chcę, słusznie więc się należy, aby jako ubogiego, z miłości dla Jezusa, na statek mię przyjęto, jako rzeczywiście ubogiego, nędznego żebraka traktowano". Kapitan okrętu zgodził się przewieść bezpłatnie Ignacego; zażądał wszakże, aby tyle ze sobą zabrał chleba i sucharów, by mu wystarczyło na całą żeglugę. "Dość, że ci dam miejsce na okręcie, mówił, ale żywić cię sam nie myślę i pozwolić nie mogę, abyś miał

przez twe żebractwo naprzykrzać się innym podróżnym". Na chwilę Święty się zawahał, obawiając się, czy zaopatrując się w pożywienie na całą podróż, nie okaże pewnej nieufności w cudowną Opatrzność Bożą, która tak go hojnie dotychczas we wszystko zaopatrywała; dopiero spowiednik wątpliwości te usunął, a Ignacy uspokojony jego nakazem, uzebrał sobie, chodząc od domu do domu, wymaganą ilość chleba.

Obok jałmużny dla ciała dawano mu nieraz i inną jałmużnę, której z miłości dla Ukrzyżowanego Wodza daleko bardziej pożądał: obelgi, wzgardę, sromotne przezwiska. Jedną zwłaszcza pani, nazwiskiem Zepiglia, której syn opuściwszy przed latami dom rodzinny, włóczył się po świecie jako ostatni łotr i żebrak, uniosła się niepohamowanym gniewem na widok pielgrzyma, który również jak sądziła, z miłości dla awanturniczego życia, musiał opuścić dom rodzinny, zostawiając po sobie żalobę i hańbę. Długi czas płynęły, niby bystry potok z ust rozżalanej niewiasty, wyrzuty i przekleństwa; Ignacy słuchał ich z okiem w ziemię utkwionym, aż gdy Zepiglia, zmęczona mówić przestała, odparł spokojnie: "Prawdę mówisz, jestem wielki, bardzo wielki grzesznik, a gdybyś mię lepiej poznała, mogłabyś mi słusznie daleko cięższe uczynić zarzuty. Niech ci Bóg zapłaci za twoją szczerość!". Pokora ta rozbroiła gniew rozbolełej kobiety; zmieniając od razu ton mowy, przeprosiła ze łzami pielgrzyma i opatrzyła go kilku bochenkami chleba, bo pieniędzy nie chciał Ignacy, wierny powziętemu postanowieniu, ani od niej, ani od nikogo innego przyjmując. Kilka sztuk monety, które mu gwałtem do ręki wciśnięto, zostawił na brzegu morza, mówiąc sobie, że ktoś potrzebujący, ręką Opatrzności prowadzony, tam je pewnie znajdzie, a choćby ich i nikt nie znalazł, to lepiej, że zginie trochę złota, niż gdyby on sam miał się sprzeniewierzyć Chrystusowemu ubóstwu i niczym nieograniczonej ufności w miłosierną pomoc Bożą.

Po pięciu dniach bardzo uciążliwej żeglugi okręt wiozący Ignacego przybił do Gaety. We Włoszech panowała w tym czasie zaraza, dlatego przy bramach każdej miejscowości, równie po wsiach, jak po miastach, czuwali strażnicy, aby nikogo obcego nie wpuścić; na polach nawet i drogach, gdy z daleka okazała się nieznajoma jaka twarz, uciekano z przerażeniem i zamykano się po domach, ostrzegając sąsiadów: "Idzie zapowietrzony!". Z strasznym tym okrzykiem spotykał się raz po raz Ignacy aż do samych bram Rzymu; zmęczony i głodny błagał często na próżno o kawałek chleba, zapewniając, że jest zdrow; a parę razy, nie znajdując nigdzie wytchnienia ani pomocy, tak upadał na siłach,

że nie mogąc dalej iść, leżał przez kilka godzin na pół martwy na publicznym gościńcu.

Wreszcie w Niedzielę Palmową 1523 r. stanął w Rzymie. Papież Hadrian VI udzielił pobożnemu pielgrzymowi pozwolenia i błogosławieństwa na dalszą drogę; wzmocniony papieskim błogosławieństwem i gorącą modlitwą u grobu świętych apostołów, wyruszył Ignacy w tydzień po Wielkiejnocy, jak zawsze pieszo, żebrząc po drodze, na Padwę do Wenecji. Kilku miłosiernych Hiszpanów usiłowało powstrzymać swego rodaka od tego "zuchwałego", jak je nazywali, przedsięwzięcia; a gdy ani prośby, ani namowy nie skutkowały, opatrzyli go siedmiu dukatami na zapłacenie statku do Jerozolimy. Ignacy przestraszony groźbą, że z wszelką pewnością na okręt bez zapłaty się nie dostanie, przyjął ofiarowaną jałmużnę, ale ledwie wyszedł za mury Rzymu, wyrzucać sobie zaczął ten brak ufności w doświadczoną pomoc Bożą i wszystkie pieniądze rozdał ubogim.

Jak w drodze z Gaety do Rzymu, tak i obecnie wychudłe oblicze i postami i umartwieniami nachylona ku ziemi postać Ignacego wzniecała powszechny przestach; drzwi przed nim się zamykały, najlitościwsi rzucali mu z daleka przez okno kawałek chleba; inni, obawiając się zarazy, próśb nawet słuchać nie chcieli. Przez pewien czas przyłączyło się do Ignacego kilku innych podróżnych, ale gdy Święty, zmęczony i osłabiony, nie mógł z nimi równie szybkim krokiem podążać, zostawili go w środku pola na Opatrzność Bożą. Istotnie Opatrzność Boża, czuwająca nad każdym ptaszkiem, nad najmniejszym, oku ludzkiemu niewidzialnym robaczkiem, opiekowała się miłosiernie wiernym swym sługą. Wśród największego zmęczenia i ogołocenia z wszelkiej pomocy ludzkiej, doznawał Ignacy tak wielkich, nadprzyrodzonych pociech, miłość Boża tak jasnym płomieniem w sercu mu się paliła, że ogniem tym rozgrzany nie czuł głodu i utrudzenia i szedł naprzód z radością, chwając Boga i wielbiąc nieskończone Jego miłosierdzie. Na pół drogi między Padwą a Chioggia okazał się Pan Jezus zmęczonemu wędrowcowi, a napełniwszy go samym swym widokiem niewymowną pociechą, wzmocnił na siłach i przyobiegał, że za Jego pomocą dostanie się bez trudności do Padwy i Wenecji. Istotnie "nie zaniechał Pan i nie opuścił" (4) swego sługi; a kiedy owi podróżni, którzy tak nielitościwie ze Świętym się obeszli, musieli przewycieżyć mnóstwo trudności, zanim za bramy miejskie się przedostali, to Ignacego wpuszczano i wypuszczano bez najmniejszej przeszkody: widocznym było, że z woli Bożej przedsięwziął mąż

święty swą pielgrzymkę i że Anioł Boży, jak niegdyś Rafał Tobiasza, "prowadził go i dobrze około niego sprawował wszystko" (5).

Do Wenecji przybył nasz pielgrzym późnym wieczorem, a nie mogąc nigdzie znaleźć noclegu, ułożył się do snu pod galerią jednego z wspaniałych pałaców przy placu św. Marka. Jednocześnie świątobliwy właściciel tego pałacu, patrycjusz wenecki Marek Antoni, usłyszał w półśnie jakby jakiś nadziemski głos, który go pytał natarczywie: "Jak to! ty wygodnie w domu swym spoczywasz wśród zbytku, a sługa mój na zimnie, na twardej ziemi?". "Co znaczyć może ten głos, te pytania, których odpędzić od siebie nie mogę?" pytał się zaniepokojony patrycjusz, a nie chcąc mieć sobie nic do wyrzucenia, wyszedł przed pałac i niebawem natknąwszy się na śpiącego pod galerią pielgrzyma, zabrał go ze sobą i przez cały czas pobytu jego w Wenecji obiecał się opiekować tak szczególnie miłym Bogu sługą, jak własnym synem. Ignacy wdzięczny był Bogu za cudownie zesłanego opiekuna, ale zarazem pamiętając, że postanowił sobie iść w ubóstwie za ubogim Jezusem, jedną tylko noc przepędził u dobroczyńnego senatora, a nazajutrz, znów jako nieznany żebrak, wyciągał rękę, prosząc o kawałek chleba. Nie mógł jednak zostać, jak pragnął, zupełnie nieznanym; poznał go pewien kupiec hiszpański, a dziwiąc się pokorze dawnego słynnego rycerza, zapytał czy nie mógłby mu w czym być pomocnym? Ignacy nie przyjął ofiarowanego ubrania i pieniędzy; prosił tylko o wyrobienie mu wstępu do ówczesnego doży weneckiego Jędrzeja Gritti, którego zamierzał prosić o wolne miejsce na okręcie, który miał za parę dni odpłynąć do Cypru. Doża chętnie wysłuchał prośby, popartej przez poważanego w mieście kupca, dzięki temu 14 lipca 1523 wsiadł wreszcie Ignacy, mimo silnej febry, na okręt, szczęśliwy, że wbrew tylu przeszkodom ujrzy miejsca uświęcone obecnością Boskiego swego wodza, i odda Jezusowi całe swe życie na służbę, tam, gdzie Jezus dla niego życie swoje ofiarował.

Na okręcie równie podróżni jak i majtkowie wiedli wesołe, hulaszcze życie: gra i pijatyka osłodzić im miała trudy długiej drogi; przekleństwa, bluźnierstwa, rozpustne pieśni rozlegały się bez przerwy, dniem i nocą. Bezustanne to obrażanie Boga napelniało duszę Ignacego głębokim smutkiem; z początku starał się pokornymi, pełnymi miłości słowami wpłynąć na towarzyszków; widząc, że to nie skutkuje, zagroził im sądem Bożym, zapytał, czy nie lękają się piekła, od którego dzieli ich zaledwie kilkucalowa deska? Napomnienia te i groźby natchnione miłością Bożą i dusz ludzkich nie poszły w smak rozpustnym marynarzom. "Po cóż – rzekli do siebie – trzymać tu tego

wariata, którego zrządzenie zatruwa nam wszelką zabawę; najlepiej wysadzić go na pierwszą wyspę, którą spotkamy". Kilku poczciwszych Hiszpanów posłyszało zmawiających się w ten sposób marynarzy; ostrzegli też Ignacego, aby hamował swój zapał, ale Święty bynajmniej się nie przeraził pogroźkami, mówiąc głośno: "Bez woli Bożej i włos z głowy mi nie spadnie". Istotnie skoro statek zbliżył się do wyspy, na której rozpustni żeglarze chcieli wysadzić Ignacego, powstał nagle gwałtowny przeciwny wicher, który rzucił okręt daleko od brzegu, nie pozwalając im spełnić niecnego zamiaru. Na wyspie Cyprze dopiero przesiadł się Święty na inny okręt, wiozący licznych pielgrzymów do Jerozolimy i bez żadnego innego wypadku po 48 dniach żeglugi wylądował w Joppie ostatniego sierpnia 1523 r.

Pojąć niełatwo, opisać niepodobna jakie uczucia rozpały się w sercu wiernego żołnierza Chrystusowego, kiedy stanął na ziemi, którą obecnością i życiem swoim raczył uświęcić Boski jego mistrz i wódz. Uczucie gorącej miłości ku Jezusowi buchnęło silniejszym jeszcze ogniem, gdy karawana pielgrzymów, do której i Ignacy się przyłączył, stanęła po czterech dniach drogi na wzgórzu, z którego po raz pierwszy ujrzeć można było miasto święte Jeruzalem.

"Zsiądźmy z osłów, rzekł jeden z pielgrzymów, pobożny Hiszpan, Dydak Manes, bo ziemia po której stąpamy ziemia święta jest; idźmy pieszo, jak na prawdziwych pokutników przystało, w milczeniu, z sumieniem się rachując i ukrzyżowanego Jezusa za grzechy swe przepraszając". Posłuchali wszyscy i wśród głębokiego milczenia, przerywanego tylko westchnieniami i biciem się w piersi, weszli do Jerozolimy, prowadzeni przez kilku miejscowych Franciszkanów, którzy wyszli na spotkanie pielgrzymów. Z kolei zwiedzał Ignacy drogie sercu miejsca, które w Manrezie przed oczy duszy stawiał, a teraz oczami ciała oglądał: w Betleemie dziękował Przedwiecznemu Słowu, że ciałem dla nas stać się raczyło; chodząc po ulicach i okolicach jerozolimskich, przysłuchiwał się naukom, przypatrywał się cudom, którymi tutaj Pan Jezus stwierdzał boskość swej nauki; w Betanii chwalił i składał dzięki za okazane jawnogrzesznicy miłosierdzie, tak pocieszające dla nas wszystkich grzeszników, miłosierdzia potrzebujących; w Wieczerniku, na górze Oliwnej, na Golgocie rozpamiętywał gorzką mękę Jezusową, uczył się cierpieć i cierpieniem miłość prawdziwą udowadniać; a potem wracał znowu na górę Oliwną, przyglądał się okiem duszy, jak Pan z tej góry do nieba wstępował i powtarzał sobie: "Jeżeli chcę być z Chrystusem współuwielbiony, muszę być z Nim wprzód

współkrzyżowany; jeżeli chcę się z Wodzem moim dzielić zdobyczą, muszę wprzódy, jak przystało na dobrego rycerza, podzielić z Nim pracę, trudy wojenne, cierpienia".

Tak idąc śladami Jezusa od Betleemu do Golgoty, powtarzał Ignacy rozmyślania manreskie, uzupełniał je, w powziętych postanowieniach się utwierdzał. Drogimi mu były te miejsca, z których woła ciągle do Boga krew brata naszego najlepszego Jezusa, domagając się już nie pomsty, nie sprawiedliwości, ale miłosierdzia; nie dziw, że zapragnął życie tutaj spędzić, tutaj poświęcić się nawracaniu dusz, aby głos krwi Zbawicielowej na tych miejscach przynajmniej, na których krew ta dla nas została przelaną, nie brzmiał na próżno. Na razie nie wyjawiał nikomu postanowienia nawracania niewiernych, bo rozumiał, że do tego dzieła musi się odpowiednio przygotować; natomiast oświadczył gwardianowi Franciszkanów w Jerozolimie gorącą chęć stałego zamieszkania w Ziemi świętej, nie sądząc, aby mógł w tym względzie napotkać na jakie trudności. Ale Bóg inną pracę Ignacemu wyznaczył, do walki z innymi wrogami wiary miał go użyć, i dlatego nie dozwolił, aby pobożne jego chęci pracowania w Palestynie miały przyjść do skutku. Gwardian na pierwsze słowa Ignacego oświadczył mu stanowczo, że na dłuższy pobyt w swym klasztorze i w ogóle w Ziemi świętej ani myśli pozwolić. "Nie rozumiem zupełnie, mówił, co byś tu robił; zresztą klasztor nasz ubogi, tak ubogi, że kilku nawet zakonników muszę dla braku utrzymania odesłać do Europy; ty zaś byłbyś tylko dla nas niepotrzebnym a niemałym ciężarem; zrobisz więc najlepiej wracając zaraz z innymi do swej ojczyzny". Na próżno pobożny pielgrzym zaręczał, że nie żąda żadnej jałmużny, żadnej pomocy prócz ściśle duchownej; gwardian, a następnie prowincjał Franciszkanów, którzy z wieloletniego doświadczenia nauczyli się zaręczeniom takim nie ufać, a nadto nieraz już z powodu nie dość oględnego postępowania pielgrzymów narażeni byli na duże trudności, nie chcieli nawet słuchać dalszych próśb i obietnic. Ale i Ignacy nie chciał odstąpić od tego, co mu się wydawało wolą Bożą, a myśl, że Turcy pochwycają go w niewolę lub zabiją jako chrześcijanina podniecała jeszcze bardziej pragnienie pozostania w Ziemi świętej.

"Zdaje mi się, rzekł skromnie, ale energicznie, że Bóg domaga się ode mnie, abym Mu tutaj, nie gdzieindziej służył; nic więc mię do wyjazdu nie skłoni, chyba gdybym się przekonał, że nie wyjeżdżając, obraziłbym tym Boga". – "Owszem, ciężko byś Boga obraził, odparł prowincjał, gdybyś wbrew memu rozkazowi chciał tu zostać, albowiem Stolica Apostolska zwierzyła mi władzę

rozstrzygnięcia, kto tu może a kto nie może zamieszkać i mam prawo rzucenia klątwy na nieposłusznych".

Na dowód prawdziwości swych słów chciał prowincjał pokazać bulę papieską, ale Ignacy nie patrząc na nią, oświadczył skłaniając pokornie głowę: "Wiem już teraz, że macie władzę zabronić mi pobytu tutaj; posłusznym więc będę i jutro odpłynę". Tymczasem, korzystając z kilku pozostających godzin, zapragnął gorąco pomodlić się raz jeszcze na górze Oliwnej, ucałować miejsce, na którym Jezus, wstępując do nieba, pozostawił wyryte w kamieniu ślady stóp swoich. Nie pytając więc nikogo, nie wzięwszy ze sobą tureckiego przewodnika, bez którego wstęp do miejsc szczególnie uświęconych obecnością i cudami Zbawiciela surowo był zakazany, pobiegł Ignacy co prędzej do ogrodu Oliwnego. Przed wejściem stał strażnik i nie chciał wpuścić pielgrzyma chyba za opłatą; pieniędzy Ignacy nie miał, ale miał tłumoczek z najpotrzebniejszymi rzeczami, wydobyl więc z niego mały nożyk i nim okupił sobie wstęp do ogrodu. Pomodliwszy się gorąco, skierował kroki do pobliskiego kościółka w Betfadze, ale po drodze przekonał się ze smutkiem, że nie dość uważnie przypatrzył się śladom stóp Jezusowych, tak, że nie mógł zdać sobie sprawy, w którą stronę świata zwrócił Zbawiciel Boskie swe oblicze, kiedy wstępował do nieba. Wrócił więc do ogrodu Oliwnego, dając strażnikowi jedyną rzecz, której mógł się jeszcze pozbyć, nożyczki; klękawszy ponownie, gorąco się zaczął modlić, całując ślady nóg Chrystusa i oblewając je gorącymi łzami.

W klasztorze tymczasem spostrzeżono, że Ignacego nie ma i wielce się tym zaniepokojono. Gwardian wysłał jednego ze sług klasztornych, Ormianina, polecając mu odszukać nieroztropnego pielgrzyma i choćby siłą do domu sprowadzić; odszukanie nie zajęło zbyt dużo czasu, bo Ignacy sam wracał już z ogrodu oliwnego, ale sługa niekontent, że trudzić się musiał i chcąc dać dowód swej gorliwości, obsypał Świętego zarzutami i obelgami, a schwyciwszy go za ramię, grożąc kijem, prowadził jak nieposłusznego więźnia. "Tędy szedł i Jezus, skutny dla mnie, wśród bluźnierstw i złorzeczeń, jako cichy baranek na rzeź wiedziony" – myślał Ignacy, a radość niebieska napełniła jego serce na myśl, że i on na tym samym miejscu może choć drobne upokorzenie Jezusowi ofiarować. Sługa klasztorny wciąż groził i znieważał go, ale Ignacy nie słyszał już nawet obelżywych słów, bo zdawało mu się, że widzi przed sobą Chrystusa, wskazującego mu swe rany, krzyż ciężki i prowadzącego go do klasztoru. Widok ten osłodził mu smutny skądinąd odjazd z Jerozolimy; zresztą nie tracił jeszcze nadziei, że uda mu się powrócić do Ziemi świętej, żyć, pracować,



cierpieć i śmierć ponieść dla Jezusa tam, gdzie Jezus dla nas żył, cierpiał i umarł.

Drogę do Cypru odbył Święty spokojnie wspólnie z innymi pielgrzymami; w porcie cypryjskim trzy okręty stały gotowe do dalszej drogi do Wenecji: średnich rozmiarów statek turecki, mała i stara raczej galera niż okręt i wybornie zbudowany, obszerny, mogący, jak się zdawało, oprzeć się najsroższym burzom, statek pewnego bogatego kupca weneckiego. Towarzysze Ignacego udali się z prośbą do kapitana weneckiego okrętu, aby dla miłości Chrystusowej przyjął na pokład biednego pielgrzyma, który, jak zapewniali, jest mężem świętym i niechybnie za okazane sobie dobrodziejstwo ściągnie na okręt i jego załogę obfite błogosławieństwo Boże. "Jeżeli to święty, odparł szyderczo kapitan, nie potrzebuje mego okrętu; po morzu i po bałwanach bezpiecznie może spacerować". Tak nielitościwie odepchnięci, udali się towarzysze Ignacego do kapitana owej małej starej galery i bez najmniejszej trudności otrzymali żadaną łaskę. O świcie wypłynęły z portu wszystkie trzy okręty, a Bóg zawsze w dziełach swych cudowny, okazał naocznie, jak tutaj już na ziemi za miłosierdzie miłosierdziem płaci. Wieczorem tego samego dnia, którego trzy owe okręty opuściły port cypryjski, powstała straszna burza: statek turecki zatonął wspólnie z wszystkimi podróżnymi, potężny okręt wenecki rozbił się o skały otaczające Cypr i ledwie że podróżni z wielkimi wysiłkami zdołali uratować życie; natomiast owa, na wpół już rozbita galera, na której znajdował się Ignacy, przypląnęła, choć z niemałym trudem, po blisko trzechmiesięcznej żegludze, sama jedna do Wenecji.

Już na okręcie wycierpiał Ignacy bardzo wiele od głodu, a więcej jeszcze od zimna, od którego uchronić go nie mogły podarte, za krótkie i za ciasne, prawdziwie żebracze suknie ze zgrzebnego płótna. Gorzej jeszcze było w Wenecji, do której przybył w połowie stycznia 1524 r.; gęsto spadły śnieg zalegał drogi, dokuczliwe zimno, jakiego najstarsi ludzie nie pamiętali, powodowało liczne choroby, liczne zgony. Szczęściem za sprawą Opatrzności Bożej, jeden z dawnych dobrodziejów Ignacego poznał go na ulicy i opatrzył kilku złotymi i kawałkiem sukna, by ubezpieczyć się od najgwałtowniejszego zimna. Tak opatrzony, pytał już tylko Święty co dalej ma czynić, jak i gdzie spełnić ma praktycznie wolę Bożą, którą poznał w Manrezie, w jaki sposób najdoskonalej i najbliższej iść za Jezusem i za sobą poprowadzić innych królewską drogą przez Jezusa wytkniętą?

Pytania te stały ciągle przed oczami Ignacego od chwili, w której posłuszeństwem zniewolony opuścić musiał Jerozolimę. Czy Bóg da mu jeszcze wrócić do tego świętego miejsca dla nawracania mahometan i pogan? Na pytanie to odpowiedzieć sobie oczywiście nie mógł; lecz jeśli nie byłoby woła Bożą, aby mógł znowu kiedyś do Palestyny zawitać, to czyż i w Europie pola nie są dojrzałe ku żniwu; czyż i tutaj nie sprawdza się słowo Pańskie, że "żniwo wielkie, ale robotników mało?" (6). Bezwątpienia, mało robotników, zwłaszcza, że nieprzyjaciel nasiał był właśnie kłokolu herezji, a z kłokolem tym rozrosły się wszelkie złe zielska; żeńcy w służbie Gospodarza niebieskiego podwójną mieli przed sobą pracę: najprzód wyplenić musieli kłokol, później dopiero mogli skutecznie siać dobre nasienie. "Pan wzywa robotników i mnie wzywa, mówił sobie Ignacy, ale jakże do pracy pójde, jakże będę zwalczał błędy, jakże będę szerzył naukę Chrystusową, gdy sam jej dokładnie nie znam, nie umiem nieraz prawdy od fałszu rozróżnić?". Przede wszystkim więc – dobrze Święty to rozumiał – musiał postarać się o oręż, którym by mógł za sprawę Bożą wojować: o odpowiednią naukę, której mu zupełnie brakowało. Nie łatwe to było zadanie dla człowieka w sile wieku, który nigdy nie zajmował się książką, który, na rycerza, nie na zakonnika chowany, umiał zaledwie, obyczajem tych czasów, czytać i pisać w języku ojczystym. "Ale kto chce celu, musi chcieć środków" – powtórzył sobie Ignacy zasadę rekolekcji – i mając przed oczami wyłącznie większą chwałę Bożą, nie oglądając się na żadne trudności, postanowił wrócić do Hiszpanii i w Barcelonie wziąć się energicznie do nauki, zdobyć sobie choćby największymi wysiłkami ową broń niezbędną do walki, mającej na celu obronę wiary, zdobywanie dusz ludzkich dla Boga i nieba.

"*Tak Bóg chce!*" – z tym hasłem dawnych krzyżowców podążył Ignacy, nie myśląc nawet o wypoczynku po trudach mozolnej drogi, na tę nową wyprawę, prawdziwie krzyżową, stokroć cięższą od dawnych wojennych wypraw, w których ziemskiej sławy i zaszczytów z takim zapalem się dobijał. Z Wenecji wyszedł Ignacy obdarowany hojną jałmużną, ale jak zawsze, tak i teraz pieniędzy tych długo przy sobie nie miał zatrzymać. Przechodząc przez Ferrarę, wszedł do kościoła i zaczął gorąco się modlić; wtem zbliżył się do niego jakiś żebrak, prosząc o wsparcie. Ignacy wyciągnął pierwszą monetę, która mu pod rękę podpadła i wręczył proszącemu. Zachęceni niezwykłą tą hojnością, zaczęli się zewsząd zbiegać inni żebracy; Święty nie odmawiał nikomu, aż wreszcie po krótkim czasie spostrzegł, że sam już jest bez grosza. "Darujcie mi bracia! rzekł, wszystko co miałem, rozdałem; sam teraz pójde użebrać sobie kawałek chleba". "Cóż to za człowiek?" pytali się wzajemnie zdziwieni żebracy, a gdy Ignacy

wyszedł z kościoła, szli za nim przez czas dłuższy, wołając do przechodniów: "Patrzcie, to święty człowiek! Wszystko nam rozdał, nic sobie nie zostawił!".

Szczęśliwy, że znowu nic nie ma i jako prawdziwie ubogi iść może za nagim i ubogim Jezusem, puścił się Ignacy w dalszą drogę do Genui. Jeszcze w Ferrarze ostrzegano go, aby omijał starannie główny gościniec, na którym ustawicznie kręciły się to hiszpańskie, to francuskie oddziały, staczając ze sobą krwawe potyczki, a jednocześnie grabiąc całą okolicę, napastując przechodniów. Ignacy nie posłuchał tej rady, a ufny w swą niewinność, ubóstwo i pomoc Bożą, szedł prosto przez nieprzyjacielskie obozy. Żołnierze kilkakrotnie zatrzymywali go i znowu wypuszczali na wolność; raz zwłaszcza schwycili śmiałego pielgrzyma żołnierze hiszpańscy, a pewni, że dostali w swe ręce niebezpiecznego szpiega, zaprowadzili go do osobnego domku i rozpoczęli formalne śledztwo. "Nic o tym wszystkim nie wiem, o co mię pytacie" – zaręczał Ignacy; ale żołnierze odpowiedzią tą niezadowoleni, sami szukać zaczęli jakichś ukrytych listów, a gdy nie znaleźli ani śladu żadnego podejrzanego pisma, zaprowadzili jeńca do dowódcy.

Po drodze, w czasie której zdawało mu się, że idzie za Jezusem pojmanym, do Annasza i Kajfasza wiedzionym, bił się Ignacy z myślami, w jaki sposób się znaleźć ma wobec dowódcy: czy starać się go dla siebie zjednać grzecznością i rycerskimi manierami, czy przeciwnie przemawiać doń z prostotą, jak żebrak. Ale czy dowódca – nasuwały się dalsze myśli – sądząc, że ma przed sobą człowieka z gminu, względem którego na żadne względy baczyć nie potrzebuje, nie zechce biciem, torturami, przekonać się czy istotnie nie ma przed sobą szpiega? Coraz większa bojaźń wkradać się zaczęła do serca Ignacego i usiłowała go przekonać: "Okaż czym jesteś, jakiego jesteś rodu, jakie masz zasługi, a nie tylko nic ci się nie stanie, ale jeszcze otoczą cię należną czcią"; lecz Święty wnet się spostrzegł i usunął energicznie wszystkie te myśli, jako pokusy: "Jeżeli Jezus, pomyślał, mógł uchodzić przed Herodem i jego dworem za głupiego, dlaczegoż ja miałbym się bronić? Niech stanie się co chce; dobrowolnie przyjętej szaty ubóstwa i wzgardy się nie zaprę, przecież bez woli Bożej nawet włos z głowy mi nie spadnie". I rzeczywiście nie spadł ani jeden włos z głowy, a nie spadł właśnie dlatego, że dobry uczeń wiernie naśladował Boskiego Mistrza.

Dowódca pytał: "Kto jesteś? jak się nazywasz? skąd i dokąd idziesz? dlaczego naraziłeś się na oczywiste niebezpieczeństwo i wszedłeś w sam środek naszego obozu?". Ignacy na wszystkie te pytania nie dał żadnej odpowiedzi,

dopiero gdy usłyszał zapytanie: "Czy jesteś szpiegiem?" odparł: "Nie", obawiając się, aby milczeniem, które łatwo mogło uchodzić za przyznanie się do winy, nie dał ze swej strony powodu do wydania niesprawiedliwego sądu. Zdawałoby się, że takie postępowanie, zwłaszcza stałe milczenie miało się z roztropnością; tymczasem skutek okazał, że podjęte dobrowolnie upokorzenie się po ludzku nawet dobrze się opłaciło. Nie otrzymując żadnej odpowiedzi, dowódca osądził, że ma do czynienia z wariatem; zgromił ostro podwładnych, że nie umieją rozróżnić szpiega od szaleńca i nakazał im wypuścić go natychmiast na wolność. Żołnierze musieli polecenie spełnić, ale mszcząc się na niewinnym Ignacym za doznany zawód, urządzili sobie barbarzyńską zabawę, obsypując go obelgami, bijąc i policzkując. "Dziwną mię wtedy pociechą Bóg napełnił, opowiadał później sam Święty; zdawało mi się, że stoję obok Pana Jezusa przed Piłatem i Herodem i że współ ze Zbawicielem mym cierpię; nie czułem też prawie bólesci, nie zważałem na hańbę, tylko dziękowałem Bogu, że mi dozwolił stanąć tak blisko pod sztandarem ubiczowanego i cierniem ukoronowanego Syna swego". I kto wie, jak długo jeszcze i w jak okrutny sposób niecni żołdacy znęcaliby się nad swoją ofiarą, gdyby nie trafił się poczciwszy jakiś oficer, który uwolnił Ignacego z rąk oprawców, nakarmił go u siebie, zatrzymał na nocleg i nazajutrz, sownie opatrzwszy, puścił w dalszą drogę.

Tego samego jeszcze dnia wieczorem przytrzymali znowu naszego pielgrzyma żołnierze francuscy i zaprowadzili do swego dowódcy. "Skąd jesteś?" zapytał tenże. "Z prowincji Guipozcoa", odparł Ignacy. "I ja mieszkałem w tamtej okolicy, i znam ją dobrze", rzekł na to francuski oficer i nie pytając więcej, kazał jeńcowi podać posiłek i na wolność go natychmiast wypuścić.

Chwaląc Boga za wszystko, równie za zsyłane cierpienia, jak za szczególną pomoc w tylu różnych niebezpieczeństwach, doszedł Ignacy do Genui, skąd już morzem zamyślał dostać się do Barcelony. I tę drogę ułatwiła mu Opatrzność Boża. Przechodząc koło hiszpańskiego statku, który właśnie w kierunku Barcelony miał wyruszyć, poznał Ignacy dawnego swego towarzysza na dworze króla Ferdynanda, Roderyka Portundo i zaraz udał się do niego z prośbą, czyby mu nie mógł wyjednać miejsca na odpływającym okręcie. "Bez trudności, odpowiedział Roderyk, gdyż ja właśnie jestem kapitanem tego okrętu". Ignacy podziękował Bogu i chętnie skorzystał z ofiarowanego sobie dobrodziejstwa, które zarazem stało się prawdziwym dobrodziejstwem dla

samegoż kapitana: ledwie statek jego wypłynął na pełne morze, puścił się za nim w pogoń wojenny okręt słynnego Jędrzeja Dorii, zostającego w tej chwili w służbie francuskiej i niechybnie by go dopędził i zatopił, gdyby nie jawna pomoc Boża, wyproszona modlitwą poczuwającego się do wdzięczności Świętego.

Z przybyciem Ignacego do Barcelony nowa w życiu jego otwiera się epoka. Dotąd pracował tylko nad własnym zbawieniem i udoskonaleniem, surową pokutą zgładzał dawne grzechy, poskramiał zmysły, umartwieniami ciało, upokorzeniami wolę i rozum do wiernej służby Bożej nagiął. Odtąd starać się zaczął o niezbędną broń do walki o dusze ludzkie, o osiągnięcie narzędzia, bez którego niepodobna było skutecznie pracować nad zbawieniem i udoskonaleniem innych. Tą bronią, tym narzędziem była nauka.

---

### **Przypisy:**

- (1) *Acta antiquissima*, Bol., str. 652.
- (2) Mt. VI, 33-34.
- (3) Lub, jak inni ją nazywają, *Rosellę*.
- (4) Do Żydów XIII, 5.
- (5) Tobiasz V, 27.
- (6) Mateusz IX, 37.



## IV.

### **Pokorny uczeń**

W czasie wielkiego postu roku 1524, przybył Ignacy do Barcelony w zamiarze nabycia potrzebnej nauki do apostolskiej pracy, ale nie zdając sobie dokładnie sprawy czego i w jaki sposób ma się uczyć. Dla poradzenia się w tym względzie i dla bliższego określenia przyszłego sposobu życia wybrał się Święty do Manrezy do pewnego znajomego świątobliwego zakonnika; nieszczęściem, nie zastał już go przy życiu, więc pomodliwszy się tylko na miejscu, na którym obdarzył go Bóg tak licznymi i wielkimi łaskami, powrócił do Barcelony. Tutaj wreszcie znalazł to, czego na próżno szukał w Manrezie. Znana już Ignacemu matrona Elżbieta Roser, ofiarowała mu dla miłości Chrystusa utrzymanie przez cały czas pobytu w Barcelonie; dopomagały mu również inne zacne niewiasty, jak Agnieszka Pascual, Stefania de Requesens, Elżbieta de Bojados, Elżbieta de Josa. Jednocześnie pobożny nauczyciel elementarnej szkoły, Hieronim Ardebalo, dozwolił mu bezpłatnie uczęszczać do swej szkoły, obiecał szczerze się nim zająć i, o ile można, w najkrótszym czasie nauczyć go języków, zwłaszcza łaciny. Dawny, sławny rycerz, liczący obecnie trzydziesty trzeci rok życia, zasiadł na ławce szkolnej wspólnie z liczną gromadą spoglądających z podziwieniem na nowego kolegę dzieciaków i z zapałem począł przykładać się do pierwszych początków gramatyki. Teraz wprowadzał w czyn zasadę rekolekcyjną: "Powinniśmy zachowywać obojętność odnośnie do wszystkich rzeczy stworzonych; powinniśmy zawsze i wszędzie tego tylko pragnąć i to sobie wybierać, co odpowiedniejszym jest do osiągnięcia celu, dla którego jesteśmy stworzeni".

W żmudnej tej z samej swej natury pracy doznał Święty jeszcze szczególniejszej przeszkody. Kiedy mając przed sobą otwartą gramatykę, usiłował wbić w pamięć zawile odmiany i formy, stawały mu nagle przed oczami jakby niebieskie jakieś widzenia, serce napełniało się dziwną pociechą, która odrywając umysł od książki, pozornie wznosiła go do Boga. Nauczyciel, na przykład, kazał odmieniać słowo łacińskie "kocham"; Ignacy na sam dźwięk tego wyrazu zapominał o wszystkich odmianach, o gramatyce i szkole, i wpatrywał się, jakby jakiejś przemocy ustępując, w długi szereg obrazów okazujących dzieje miłości Bożej względem ludzi; zamiast uczyć się zaczynał się modlić. Przez czas pewien nie mógł Ignacy zrozumieć jaki mają cel i skąd

pochodzą te pociechy i oświecenia. "Cóż to może znaczyć, pytał z niepokojem, że gdy się modłę, spowiadam się, gdy do Stołu Pańskiego przystępuję i ciała swe postami i biczami karczę, nie odczuwam jednak takiej słodyczy i taką miłością nie płonę, jak wtedy, gdy otworzę gramatykę i właśnie dla służby Bożej cały umysł w nauce powinien bym zatopić? Nie może to być nic innego, jak tylko, że szatan tymi kłamliwymi oświeceniami chce mię odciągnąć od należytego spełnienia woli Bożej; chce wmówić, że oddać się raczej powinienem życiu kontemplacyjnemu; zły duch w Anioła światłości się przemienia, lecz dzięki Bogu poznaję go po węzowym ogonie i dlatego wręcz przeciwnie jego namowom postąpię". Poznawszy zasadzkę nieprzyjacielską, postanowił Ignacy odkryć ją swemu nauczycielowi i w ten sposób zwalczyć wroga, który "niczego tak nie pragnie, jak aby dusza przezeń kuszona zachowywała w tajemnicy zdradliwe jego namowy". Spełniając to postanowienie energicznie, bez oglądania się na jakie bądź ludzkie względy, zaprowadził Ignacy nauczyciela do kościoła Najświętszej Panny Morskiej, a padłszy na kolana, wyznał, że dotąd dla źle zrozumianego nabożeństwa nie dosyć korzystał z jego nauk. "Teraz jednak, mówił ze łzami dalej, poznałem za łaską Bożą czartowską pokusę, pragnę przewyciężyć ją i dlatego uroczyście obiecuję zabrać się jak najpilniej do nauki; pomóż mi w tym, obchodź się ze mną nie jak z człowiekiem dorosłym, ale jak z leniwym i głupim chłopcem; karć, bij, jeśli na to zasłużę, jak karcisz lenistwo i nieuwagę innych twych uczniów". – Zdziwiony i zbudowany taką pokorą nauczyciel obiecał Ignacemu, że będzie mu wedle sił dopomagał w nauce. Więcej jednak, niż wszelka ludzka pomoc, działało owo szczere a pokorne wyznanie trapiącej pokusy; diabeł widząc, że zasadzka jego odkryta, ustąpił z ułudnymi swymi pociechami i oświeceniami, i odtąd mógł już Święty spokojnie i zupełnie – tak jak to później synom swym duchownym polecał – czas poświęcony nauce, oddawać nauce, a czas na modlitwę wyznaczony – modlitwie.

Z nauką i modlitwą łączył Święty umartwienie, nie tak ostre jak w Manrezie, bo pojmował, że do nauki potrzebuje sił i zbyt hojnie szafować mu nimi nie wolno, nie mniej jednak umartwienie ciągłe; umartwienie to nie tak wpadało w oczy, ale może właśnie dlatego tym dotkliwiej krzyżowało na każdym kroku starego człowieka. Na wieczerzę, a bardzo często i na obiad wystarczał mu kawałek chleba, użebrany, gdy szedł do szkoły, lub z niej wracał. Wprawdzie Agnieszka Pascual, która z miłosierdzia pozwoliła mu mieszkać w swym domu w małej izdebce pod strychem, chętnie by mu także dostarczyła

pożywienia, on jednak, co tylko dostał, a czego natychmiast nie spotrzebował, rozdawał innym ubogim.

"Czemu, zapytała raz pobożna kobieta, skoro tylko dostaniesz coś więcej lub co lepszego, zaraz to dajesz innym? Przecież sam ubogim jesteś i o sobie powinieneś mieć staranie". – "A cóżbyś uczyniła, odparł Ignacy, gdyby Chrystus poprosił cię o jałmużnę? Czyżbyś Mu czego odmówiła, nie wyzuła się dlań ze wszystkiego?".

Rozdawał też Święty hojnie nie tylko pożywienie, ale i pieniądze i ubranie, które mu darowywano. Sam spał na ziemi, nieraz po kilkakroć jednej nocy biczował się; nie chcąc zwracać na siebie uwagi, nie nosił pokutniczego worka, jak w Manrezie, ale natomiast pod zwykłym ubogim ubiorem ukrywał ostrą włosiennicę; na pierwszy rzut oka zdawało się, że chodził w trzewikach, ale trzewiki te były z wyciętą podeszwą. Znaczną część nocy przepędzał na kolanach, modląc się żarliwie, przeprasząc Boga za popełnione przez siebie i przez innych grzechy i prosząc o miłosierdzie. "Nieraz, opowiadał później syn pobożnej Agnieszki, Jan Pascual, zakradałem się wiedziony ciekawością o późnej godzinie, pod izdebkę naszego gościa. Zazwyczaj, o której bądź godzinie przyszedłem, klęczał przed łóżkiem i modlił się; czasami cały pokój napełniony był jakąś dziwną światłością, a Ignacy blaskiem tym otoczony, unosił się zawsze na klęczkach, w powietrzu; wyciągał ręce do góry, jakby kogoś widział, to znowu płakał, bił się w piersi i wołał: «Boże mój! jakże nieskończenie musisz być dobry, kiedy mnie grzesznika, zbrodniarza dotąd jeszcze cierpisz!»". – "Gdybyście widzieli to, co ja widziałem, powtarzał Jan w wiele lat później swym dzieciom i wnukom, to byście ten domek nasz uważali za miejsce święte, nie przestalibyście łzami skrapiać i całować tych ścian ubogich, w których spodobało się Bogu obsypywać takimi cudami swej łaski wybranego swego sługę".

Ogień wzniecony na modlitwie, umartwieniem podsycany, musiał z samej swej niejako natury szerzyć się i udzielać się innym sercom. Jeśli każdy grzech, każda obraza Boża napełniała bólem kochającą duszę Ignacego, to z największą żalnością spoglądał na zgorzenie, jakie dawał znajdujący się obok Barcelony żeński klasztor pod wezwaniem świętych Aniołów. W klasztorze, mającym być miejscem pokuty i modlitwy, zbierało się raz po raz wesołe barcelońskie towarzystwo; nie ustawały odwiedziny, huczne zabawy i ucztę. "Tak być dłużej nie może" – powiedział sobie Ignacy. Chcąc Boga przebłagać za te zniewagi, a zarazem uprosić zakonnikom łaskę nawrócenia, zaczął chodzić dzień po dniu do



klasztornego kościoła i tutaj długie godziny klęcząc spędzał na modlitwie. Niebawem zwróciły zakonnice uwagę na tak gorąco modlącego się człowieka, którego głośny płacz rozlegał się nieraz wśród pustych murów. "Kto to być może?" – zaczęły się dopytywać, a słysząc wszędzie odpowiedź: "To święty", zapragnęły Świętego tego poznać i poprosiły go, aby im coś powiedział o Bogu. Na tę chwilę czekał Ignacy. Nie oglądając się na żadne względy, z gorliwością i śmiałością apostołską przedstawił z jednej strony wzniosłość powołania zakonnego i wielkie obowiązki, jakie powołanie to za sobą ciągnie, z drugiej strony odmalował w żywych a prawdziwych kolorach wielką niewdzięczność i złość zakonnika niewypełniającego swych ślubów, ruinę tylu dusz przez zły jego przykład spowodowaną, straszną karę, którą Bóg sprawiedliwy zsyła za wyrządzoną sobie zniewagę. Zakonnice słuchały przerażone; zdawało im się, że po raz pierwszy te prawdy słyszą, że teraz dopiero zaczynają pojmować, jaki cel mają klasztory, co znaczą zakonne śluby. Korzystając z dobrego usposobienia tych biednych zbłąkanych serc, Ignacy przedkładał im z kolei prawdy w Manrezie poznane: po raz pierwszy użył broni, którą Bóg mu w rękę dał, rekolekcij, a skutek okazał, że broń to prawdziwie cudowna. Po kilku dniach zmienił się do niepoznania klasztor Świętych Aniołów: milczenie, pokuta, modlitwa, śpiewy pobożne zajęły miejsce dawnych zabaw i zbyt wesołych rozmów; jaśniejące nie ziemską, ale niebieską jakąś radością, promieniejące nabożeństwem oblicza świadczyły, że poświęcone Bogu dziewice czują się do swej godności.

Ale jeśli Aniołowie w niebie i ludzie dobrej woli na ziemi cieszyli się z tej zmiany, to natomiast weseli, hulaszcy młodzieńcy, którzy utracili sposobność do hucznych zabaw i przekonali się, że bramy klasztorne dawniej na oścież otwarte, teraz raz na zawsze dla nich się zamknęły, postanowili zemścić się na sprawcy tej reformy. Z początku usiłowali groźbami powstrzymać Ignacego od dalszej opieki nad klasztorem; gdy to nie skutkowało, kilku sług, zapłaconych przez rozpustną młodzież, po dwakroć zaczęło się na Świętego i zbiło go kijami; wreszcie bezecnicy ci, jakby na dowód, że rozpusta prowadzi do najokropniejszych zbrodni, uradzili go zabić. Jakoż razu pewnego, gdy Ignacy wracał właśnie z klasztoru w towarzystwie pewnego pobożnego kapłana, nazwiskiem Pualto, wypadło z zasadzki, niedaleko od bramy miejskiej św. Daniela, dwóch podstawionych w tym celu maurytańskich niewolników i poczęli bić idących grubymi pałkami. Pualto padł na ziemię, w własnej krwi się tarzając, i umarł w kilka dni później z odniesionych ran; Ignacy stracił również przytomność, tak, iż mordercy, sądząc, że ofiara ich żyć przestała, nie męczyli

go dłużej i czym prędzej uciekli. Niebawem jakiś podróżny, przejeżdżający tą drogą, spostrzegł skrwawionego Ignacego, wziął go na pół żywego na swego konia i odwiózł do domu Agnieszki Pascual. Przez kilka tygodni znajdował się Święty między życiem a śmiercią, teraz dopiero okazało się, jaką czcią i miłością otaczali go równie bogaci jak ubodzy; do ubogiego domku cisnęła się dzień cały procesja panów i pań, kupców, żebraków, którzy to pytali się o zdrowie swego "Apostoła", jak go powszechnie nazywano, to dziękowali Bogu, że go przy życiu zachował, to znowu wzywali na niecnym morderców pomsty Bożej i ludzkiej. Jeden tylko Ignacy nie tylko nie myślał o zemście, lecz przeciwnie, wciąż modlił się za swych prześladowców i prosił, aby Bóg ich oświecił, prawdziwą skruchą serca ich napełnił i popełnioną zbrodnię im darował. Jakże nie miał Bóg wysłuchać tej heroicznej modlitwy za nieprzyjaciół, którą dobry uczeń naśladował wiernie Boskiego swego Mistrza modlącego się na krzyżu: "Odpuść im, bo nie wiedzą co czynią!". Jakoż, gdy po paru miesiącach wstał wreszcie Ignacy z łóżka i znowu niczym nieustraszony puścił się na zwykłą wędrówkę do klasztoru Świętych Aniołów dla pokrzepienia w dobrem nawróconych zakonnic, zastąpił mu drogę pewien młody barceloński kupiec i rzucając się na kolana, wyznał ze łzami: "To ja chciałem cię zabić, ale widząc twą cierpliwość, widząc, że zemsty nie szukasz i teraz jak poprzednio, dbasz tylko o chwałę Bożą, błagam cię o przebaczenie dla miłości Chrystusowej". Ignacy podniósł klęczącego, uściskał go serdecznie i nie tylko mu przebaczył, ale wyprosił u Boga zupełne nawrócenie. Młodzieniec ten, znany dotychczas ze złego życia i obyczajów, stał się odtąd przykładem życia i cnót prawdziwie chrześcijańskich.

Chcąc ułatwić służbę swemu podjętą pracę nad zbawieniem dusz i prowadzeniem ich do doskonałości, udzielił mu Bóg, jak udzielił Apostołom i głosicielom wiary w pierwszych wiekach chrześcijaństwa, nadzwyczajnego daru cudów i prorocत्व. Czasem wśród modlitwy wznosił się cudownie w powietrze, a z serca jego i ust miłością Bożą rozplomienionych, wznosił się okrzyk: "O czemuż Panie, ludzie Cię nie znają?!". Raz znowu jakiegoś nieszczęśliwego samobójcę przywołał gorącą modlitwą na krótki czas do życia, by mógł wzbudzić żal za popełnioną zbrodnię. Janowi Pascual przepowiedział Święty całą przyszłość, wesołe i smutne koleje życia, dokładną liczbę synów i córek, którymi go Bóg obdarzy, i wszystkie te przepowiednie jak najdokładniej się spełniły. Te cuda i prorocтва, ale najbardziej umartwione, świątobliwe życie Ignacego zjednały mu w całej Barcelonie taką miłość i cześć, że kiedy w piętnaście lat później jeden z uczniów jego i krewnych, O. Antoni Araoz przybył

do tego miasta, mnóstwo mieszkańców i ci, co osobiście Świętego znali, i ci co o nim tylko wiedzieli z opowiadania, szli w długiej, niekończącej się procesji, do domku, w którym zamieszkał świeżo przybyły kapłan, a wszyscy się pytali: "Co robi Ignacy?" i prosili: "Pobłogosław nam w imieniu tego świętego męża".

Czterech zwłaszcza młodzieńców, patrząc na cnoty Ignacego i cuda, które Bóg działał za jego przyczyną w Barcelonie, zapragnęło pod jego kierunkiem i rozkazami Boga służyć. Byli to: Jakub de Cezares, członek magnackiej, bardzo bogatej rodziny, Artiaga, o którym życiopisarze Świętego żadnej nam bliższej wiadomości nie zostawili, dawniej już Ignacemu znany Kalikst i Francuz Jan. Nauki i przykład świętego mistrza pomogły im niemało do lepszego poznania i umiłowania niebieskiego Wodza; toteż skoro po dwuletnim pobycie w Barcelonie, dostatecznie wyćwiczywszy się w języku łacińskim, musiał udać się do innego miasta dla rozpoczęcia kursów filozoficznych, udali się za nim i pierwsi ci jego uczniowie, z którymi jednak niedługo wspólnie miał przebywać. Innych za to i gdzie indziej, bardziej widocznie odpowiednich uczniów przeznaczył mu Pan Bóg do wykonania dzieła, do którego go powołał.

Z wiosną 1526 r. zdał Ignacy surowy egzamin z języka łacińskiego przed nauczycielem swym Ardebalo i za jego zachętą i poradą wyruszył, jak zawsze, piechotą do Alcala de Henares, gdzie w słynnym na cały świat uniwersytecie, gromadziło się w tym czasie około 10.000 słuchaczy. Do otwarcia filozoficznych kursów pozostawało jeszcze około trzech miesięcy; czasu tego użył Święty na modlitwę i dobre uczynki. Niebawem przybyli też barcelońscy towarzysze, a przybrawszy ten sam strój, obchodzili wspólnie domy, prosząc o jałmużnę dla ciała, a w zamian udzielając jałmużny duchownej, zachęcając do unikania grzechów i ćwiczenia się w cnotach. Mieszkańcy poznali wkrótce świętość Ignacego i tak hojnymi obdarowywali go datkami, że znowu mógł wiele świadczyć innym uboższym, ci znowu rozgłaszając jego miłosierdzie, ściągali całe zastępy kalek i żebraków pod bramy szpitala, w którym Święty znalazł schronienie. Tymczasem szybko minęły letnie miesiące; wykłady uniwersyteckie już się rozpoczęły, a Ignacy widząc, że nie potrafi należycie z wykładów tych korzystać, poświęcając się jednocześnie dziełom miłosierdzia i nawracaniu grzeszników, opuścił Boga dla Boga i umartwiwszy zbyt gwałtowną żarliwość i chęć modlitwy, z całym zapalem zabrał się do naukowej pracy. Ale zbyt, rozsądkiem nie umiarkowany zapal popchnął go i w tym kierunku na niepraktyczne ścieżki. Pragnąc jak najprędzej stać się zdolnym narzędziem do rozszerzania chwały Bożej, zaczął Ignacy od razu uczyć na wykłady logiki,

fizyki i teologii, skąd wynikało, że żadnej z tych nauk nie miał ani czasu, ani sposobności gruntownie i dokładnie przestudiować. Nadto, nie mogąc powstrzymać w sobie trawiącego go ognia miłości Bożej, przerywał czasem naukę i po ulicach i placach głosił nieskończone miłosierdzie i sprawiedliwość Bożą; wołał na przechodniów: "Grzesznicy! nawróćcie się do Stwórcy, Zbawiciela waszego!". Wkrótce zebrał koło siebie grono bardziej miłujących Boga uczniów uniwersytetu i z ucznia w mistrza się zmieniając, przekształcał ich serca "ćwiczeniami duchownymi", uczył ich dróg wyższej doskonałości. Chwała Boża bezwątpienia szerzyła się, ale "czy Bóg chce, pytał się niespokojny Ignacy, abym teraz w ten sposób chwałę Jego szerzył, czy raczej, kiedy w Alcali niepodobna mi prawie szczerze i wyłącznie oddać się nauce, kiedy widzę, że dotychczasowa gorączkowa, raz po raz przerywana nauka, pożądaných owoców nie wydaje – nie powinien bym się przenieść do innego jakiego uniwersytetu, gdzie już bez przeszkód i bez żadnych innych obowiązków, mógłbym zupełnie się poświęcić spokojnym a uregulowanym filozoficznym studiom?".

Ignacy wahał się, jak ma sobie na to pytanie odpowiedzieć. Wahanie to przerwała dopiero Opatrzność Boża, kierująca całym jego życiem. Jednakowy ubiór uczniów Ignacego, gorące jego napomnienia do unikania grzechów, heroiczne uczynki miłosierdzia, zwróciły na siebie uwagę równie duchownych, jak świeckich dostojników Alcali i wzniciły w nich podejrzenie, czy to przypadkiem nie wilk w owczą skórę przybrany, czy nie jaki heretyk, który przesiąkłszy zagranicą szeroko w tej właśnie chwili rozpościerającymi się błędami religijnymi, chciałby je w pozory cnoty przybrać i zaszcześcić nieznacznie w katolickim tym kraju, zwłaszcza między uniwersytecką młodzieżą. Wobec smutnych wiadomości o szerzeniu się herezji w Niemczech, panowała w Hiszpanii we wszystkich warstwach społeczeństwa prawdziwa panika o zachowanie bez skazy najdroższego skarbu wiary; nie dziw, że skarbu tego strzeżono pilnie, lękliwie, czasem aż do zbytku i bez przyczyny lękliwie. Obawy były tym żywsze, że przed paru miesiącami odkryto w Hiszpanii nowych heretyków, tak zwanych Illuminatów; kto wie, mówiono sobie, czy i Ignacy do sekty tej nie należy, czy to nie tajemnym jej naukom zawdzięcza on ów dziwny wpływ, wywierany na każdego, co się doń zbliża? Dziwiono się również, a nieraz i gorszono, że Ignacy i jego towarzysze przystępowali regularnie co tydzień do komunii św.; rzecz w owych czasach niezwykła, o wiele rzadsza, niż dziś komunია codzienna. Rzecz prosta, że niepoehlebne i niechętnie wieści szerzone o Ignacym, zwiększały się i rosły przechodząc z ust

do ust, aż wreszcie w olbrzymich już rozmiarach doszły do mających czuwać nad czystością wiary i obyczajów inkwizytorów w Toledo. Dwóch z nich, dla bliższego zbadania rzeczy, przyjechało do Alkali; ale przekonawszy się tutaj, że o szerzeniu, a tym bardziej zakładaniu nowej jakiejś herezji mowy nie ma, nie pozwalali nawet Ignacego przed swój sąd i poruczyli całą tę sprawę do ostatecznego zbadania i załatwienia generalnemu Wikariuszowi z Alkali, Janowi Rodrygesowi de Figueroa.

Po kilku dniach nowy sędzia kazał przywołać do siebie Ignacego i towarzyszków jego i oznajmił im, że dokładnie wywieściawszy się o ich nauce i obyczajach, nie znalazł w nich nic naganego; mogą więc bez żadnej przeszkody żyć i pracować jak przedtem; wszakże, ponieważ nie są zakonnikami, lepiej będzie, jeżeli odtąd nie będą używać jednego i tego samego stroju, który niepotrzebnie zwraca na nich oczy i uwagę ludzi. Ignacy chętnie zgodził się na to żądanie, jak równie chętnie, gdy tego następnie Figueroa zażądał, przestał chodzić boso, pamiętając o zapisanym w księgach świętych napomnieniu: "Lepsze jest posłuszeństwo niż ofiary". Zdawało się, że szybkim tym posłuszeństwem zjednał sobie Święty sędziego i że już odtąd spokojnie będzie mógł modlić się i pracować, szatan wszakże nie zasypiał sprawy i za pośrednictwem częścią przewrotnych, częścią lekkomyślnych ludzi, coraz inne gotował przeszkody. Figueroa zniewolony wciąż nadpływającymi oskarżeniami, przedsięwziął po paru już miesiącach powtórne, bardzo surowe badanie słów i czynów Ignacego i znowu żadnej w nim nie znalazł winy. Tymczasem, ledwie to śledztwo się ukończyło, z nową wystąpiono skargą. Dwie znane dobrze w całym mieście kobiety, wdowa Maria del Vado i młoda przystojna jej córka, Ludwika Velasquez, powodując się nieroztropną pobożnością, same pieszo puściły się na długą, a jak w ówczesnych okolicznościach, pod każdym względem niebezpieczną pielgrzymkę do świątyni Najświętszej Panny z Gwadalupy. Kto mógł je namówić do tego nieroztropnego kroku? "Zapewne Ignacy, powiedział ktoś niechętny, wszak on nieraz z nimi rozmawiał, on był ich doradcą i duchownym nauczycielem". Lekkomysłnie rzucone słowa szybko znalazły wiare i nie upłynęło dni kilka, a nikt z zajmujących się tą rzeczą nie wątpił, że Ignacy jest głównym sprawcą złego; przekonanie to zyskało sobie wstęp i do domu Figueroi, a ten postanowił tym razem postąpić sobie z bezwzględłą surowością i stanowczo przeszkodzić dalszej nieroztropnej, a szkodliwej, jak mniemał, działalności nieznanego, podejrzanego nawet o heretyckie dążności pielgrzyma.

Dnia pewnego w czerwcu, czy w lipcu, zjawił się przed mieszkaniem Ignacego sługa biskupi i nie wyjaśniając przyczyny, nie tłumacząc od kogo rozkaz otrzymał, zaprowadził go ze sobą i zamknął w więzieniu. Przez dni siedemnaście przebył Święty w więzieniu, nie wiedząc o co go obwiniają; szczęściem, więzienie nie było zbyt ściśle: wielu dawnych znajomych, liczni czciciele cnót Ignacego przychodzili go pocieszać, a on hojnie im się odwzajemniał, wykładając im "ćwiczenia duchowne". Między innymi, odwiedzali więźnia: sławny profesor Pisma św., Jerzy Navero i pobożne a znakomite rodem i cnotą niewiasty: Teresa de Cardenas i Eleonora Mascarena, późniejsza nauczycielka następcy tronu hiszpańskiego, Filipa II. Navero przejęty był tak głęboką czią dla Ignacego, że razu pewnego przyszedłszy wprost z więzienia do uniwersytetu, rozpoczął swój wykład od słów: "Widziałem Pawła we więzach". Obie znów niewiasty, a przede wszystkim Teresa de Cardenas, chciała swym wpływem wyjednać Świętemu uwolnienie, a jeśliby to się okazało niepodobnym, ułatwić mu ucieczkę, ale Ignacy odrzucił stanowczo te propozycje. "Ten, rzekł, dla którego miłości tutaj się dostałem, potrafi też, skoro zechce, wyprowadzić mnie stąd".

Wieść o uwięzieniu Świętego doszła do Segowii, gdzie przebywał w tym czasie jeden z barcelońskich uczniów jego i towarzyszków, znany nam Kalikst. Choć dopiero co z choroby powstał, wybrał się Kalikst natychmiast do dawnego swego mistrza i uprosił sobie jako wielką łaskę, aby go z nim zamknięto w tym samym więzieniu. Parę dni przepędzili obaj na wspólnych modlitwach i świętych rozmowach; następnie Ignacy widząc, że towarzysz jego coraz silniej na zdrowiu podupada, nakazał mu całą swą powagą i powagą sprowadzonego przez siebie doktora więzienie opuścić. W parę dni później przyszedł wreszcie sam Figueroa do więzienia i rozpoczął śledztwo.

"Czy znasz, zapytał (1), dwie owe kobiety, matkę i córkę, które same na pielgrzymkę się wybrały?". – "Znam", odpowiedział więzień. – "A czyś wiedział poprzednio, zanim miasto opuściły, o powziętym przez nich zamiarze?". – "Nie, odparł Ignacy, a mówię to pod przysięgą świętą, którą się związałem".

Na te słowa Figueroa położył rękę na jego ramieniu i z wyrazem radości rzekł: "A przecież właśnie z tej przyczyny wtrącono cię do więzienia"... – Więzień zapytał: "Czy mam dać w tej mierze bliższe objaśnienia?". – "Daj", rzekł Wikariusz. – "Nieraz, mówił więzień, kobiety te zwierzały mi się, że chcą pielgrzymować po całym świecie i służyć ubogim po szpitalach to w tym, to w

innym mieście. Ja zaś zawsze im to odradzałem, zwłaszcza dlatego, że córka jest jeszcze młoda i piękna, i przekładałem im, że jeżeli tak bardzo pragną nawiedzać ubogich, mogą się oddawać tej pobożnej praktyce w Alkali i mogą tutaj pielgrzymować, idąc na procesjach za Najświętszym Sakramentem".

Figuroa kazał spisać wszystkie te odpowiedzi notariuszowi; zadał jeszcze parę mniej ważnych pytań i oddalił się, obiecując szybkie wydanie wyroku. Pielgrzymujące kobiety wróciły tymczasem do domu po przeszło miesięcznej nieobecności, a gdy ich zeznania zgadzały się najzupełniej z odpowiedziami Ignacego, wypuszczono go 1 czerwca 1527 po 42 dniach więzienia. Wyrok, wydany przez Figuroę, a odczytany więźniowi przez biskupiego pisarza, zawierał trzy punkty. Pierwszy stwierdzał zupełną niewinność Ignacego i jego towarzyszków, drugi nakazywał przybrać zwykły strój uniwersyteckich studentów, trzeci zabraniał im surowo wykładać ludowi prawdy wiary i moralności, zanim sami nie poświęcą przynajmniej czterech lat na gruntowną naukę filozofii i teologii. W pierwszej chwili po odczytaniu wyroku Ignacy sam nie wiedział co dalej czynić; zdawało mu się, że podane warunki zamykają mu stanowczo drogę do dalszej pracy nad zbawieniem dusz, a nadto sprzeciwiają się ubóstwu, które z miłości dla ubogiego Jezusa Bogu w duszy poślubił. Ostatecznie postanowił udać się do arcybiskupa toledońskiego Alfonsa Fonseca i przed nim jako wyższym sędzią raz jeszcze całą sprawę wytoczyć; postanawiając sobie, że cokolwiek bądź, choćby coś najtrudniejszego arcybiskup mu nakaze lub poradzi, to spełni wiernie, jako rozkaz nie ludzki, lecz Boży.

Fonseca przyjął uprzejmie pobożnego pielgrzyma, z wielką uwagą wysłuchał całego jego opowiadania i zgodnie z życzeniem Ignacego poradził mu, aby udał się do Salamanki, "małego Rzymu kastylijskiego", dokąd głośny uniwersytet ściągał z całej Hiszpanii chciwych wiedzy uczniów. Ale i tutaj nie miał długo Ignacy pozostać; Opatrzność gdzieindziej, poza granicami Hiszpanii, przygotowała mu odpowiednich uczniów i stosowne warunki do spełnienia wielkiego dzieła, do którego go przeznaczyła. Nie upłynęło jeszcze dwóch tygodni od przybycia Świętego do Salamanki, a już podobnie jak w Barcelonie i Alkali gromadzili się koło niego liczni pobożni, którym publicznie i prywatnie mówił o Bogu, przedkładał do rozważania prawdy wieczne, zachęcał do częstego przystępowania do spowiedzi i komunii świętej. Wpływ ten, wywierany na coraz liczniejsze umysły i serca, zaniepokoił gorliwych stróżów wiary, Dominikanów z klasztoru św. Szczepana. Czy nieznany nikomu bliżej

pielgrzym, pytali pobożni zakonnicy, nie ukrywa przypadkiem pod maską świętobliwości, innych jakich, zdrożnych celów, czy nie jest to ukryty heretyk, czy ma dostateczną naukę, aby słuchaczy swych w błąd nie wprowadzać, dostateczną znajomość serc, aby zamiast lekarstwa nie podawać im trucizny? Obowiązkiem naszym, powiedzieli sobie Dominikanie, sprawę tę wyjaśnić i w tym celu polecili spowiednikowi Ignacego, jednemu z członków swego zakonu, aby zaprosił swego penitenta na najbliższą niedzielę na obiad do klasztoru. Po obiedzie zastępca nieobecnego przeora i dwóch innych Dominikanów zaprowadzili swego gościa do klasztornej kaplicy, ostrzegając go z góry, że pragną sami o jego wiedzy i sposobie myślenia się przekonać.

"Dużo dobrego, mówił uprzejmie zastępca przeora (2), słyszeliśmy o tobie i o towarzyszu twym Kalikście, o apostołskim twym sposobie życia i nauczania. Obowiązkiem naszym jest czuwać nad czystością nauki katolickiej, i dlatego chcielibyśmy od ciebie samego czegoś więcej w tej mierze się dowiedzieć. Gdzie i czegoś się uczył?"

Ignacy wyznał bez ogródek, że bardzo mało umie, a i tego, czego się uczył, nie nauczył się gruntownie.

"Dlaczegoż więc i na jakiej podstawie mawiacie kazania?" pytał zakonnik. – "Kazań nie mawiamy, ale czasami tylko rozmawiamy po przyjacielsku o rzeczach Bożych, z tymi, którzy nas do siebie zapraszają na obiad". – "A o czym w szczególności rozmawiacie, bo o tym właśnie pragnęlibyśmy się wywiedzieć?". – "To tę, to znowu inną jaką cnotę zalecamy, odpowiedział Ignacy, lub karcimy występki".

"Nauki teologicznej nie posiadacie, a jednak rozprawiacie o cnotach i grzechach? Chyba więc Duch Święty w nadprzyrodzony sposób was oświecił i okazał te tajniki teologicznej wiedzy. Czy takie jest istotnie wasze mniemanie?"

Ignacy zamilkł na chwilę, bo, jak mu się wydawało, ostatni wniosek nie bardzo logicznie był wyciągnięty: wszak może ktoś nie mieć głębokiej, teoretycznej znajomości prawd wiary, nie wiedzieć, jak się w książkach nazywają i dzielą różne rodzaje cnót i grzechów, a mimo to może grzechów tych się strzec i innych przed nimi, jako przed największym złem, przestrzegać i do praktycznego wykonywania cnoty zachęcać. Zakonnik, tłumacząc fałszywie to milczenie, sądził, że jest ono przyznaniem się do winy i ostrzej zaczął nacierać. "Czemu milczysz? Czy nie wiesz, w jak niebezpiecznych czasach teraz żyjemy,



jak błędy Erazma i wielu innych po świecie się rozchodzą? Odpowiadaj szczerze, abyśmy poznali, czy i ty błędnymi jakimi mniemaniami nie jesteś zarażony!".

"Nic już więcej nie powiem, odparł wreszcie Ignacy po namyśle, i tłumaczyć się nie będę przed nikim, jak tylko przed moimi przełożonymi, którzy mają prawo mi to nakazać".

"Kiedy tak, rzekł na to zakonnik, to tutaj pozostaniesz, a naszą już będzie rzeczą postarać się, abyś wszystko szczerze wyznał".

Po tych słowach zaprowadzono Ignacego i jego towarzysza do osobnej celki i przez trzy dni trzymano ich w klasztorze pod zamknięciem, namyślając się tymczasem i naradzając, co dalej z więźniami zrobić i czy nie należałoby ich oskarżyć przed sądem duchownym, jako podejrzanych o herezję. W czasie tych narad liczni zakonnicy schodzili się do więźnia i słuchali ze zdziwieniem jego słów, pełnych miłości Bożej i gorliwości o zbawienie dusz tych, których słusznie mógł uważać za swych nieprzyjaciół. Niebawem wyrobiły się w klasztorze odnośnie do Ignacego dwa wręcz odrębne zdania: jedni uważali go za świętego i domagali się wypuszczenia go na wolność, twierdząc, że widocznie sam Bóg wybrał go sobie za narzędzie dla rozszerzania swej chwały; drudzy przyznawali chętnie, że więzień wygląda na człowieka świątobliwego, ale czy roztropną jest rzeczą, pytali, dozwolić człowiekowi nieuczonemu zapuszczać się w wykład tajemnic wiary, czy ręczyć można, że pod zewnętrznymi pozorami świętości nie ukrywają się jakie złe zamiary? Drugie zapatrywanie wzięło górę; po trzech dniach zjawił się w klasztorze wezwany urzędnik i wśród głośniego żalu wielu zakonników zaprowadził Ignacego i Kaliksta do publicznego więzienia.

Właściwe więzienie zajęte już było przez kilku włóczęgów i złodziei; nowych więc przybyszów umieszczono w górnym pokoiku, a raczej ciemnej i stęchłej kryjówce, służącej zazwyczaj jako skład na rozmaite niepotrzebne rupiecie. Dla większego bezpieczeństwa przykuto obu więźniów do jednego łańcucha, utwierdzonego do grubej belki, tak że najmniejszy ruch jednego drugiemu natychmiast się udzielał. Całą noc przepędzili więźniowie bezsennie; nazajutrz wikariusz biskupi, bakałarz teologii Frias wziął każdego z osobna na śledztwo, pytając czego i dlaczego uczy, jakie życie prowadzi, jakie nadal prowadzić zamysła, jakich ma towarzyszy? Ignacy zamiast odpowiedzi wręczył wikariuszowi wszystkie swe pisma, na pierwszym miejscu *Ćwiczenia duchowne*. "Oto, rzekł, cała moja nauka i reguła życia; tego mnie Pan Jezus

nauczył, tego i ja innych uczę. Towarzyszków, prócz uwiezionego już Kaliksta, mam jeszcze dwóch; miejsce ich pobytu chętnie wskażę". Na dany rozkaz schwytano i tych towarzyszków i wtrącono ich do dolnego więzienia, zapowiadając, że niezadługo zostaną powołani przed sąd. Jak Ignacy, tak i jego towarzysze, ufni w własną niewinność i słusność tej sprawy, nie chcieli, mimo licznych namów, przybrać sobie obrońcy, a tym mniej prosić o wstawienie się kogokolwiek z możliwych swych przyjaciół. "Dla Boga walczymy, powtarzali, Bóg nas nie opuści, ale sam najlepiej pokieruje wszystkim stosownie do najmędrszych swych celów".

Wyznaczeni przez władzę duchowną sędziowie: 3 doktorów teologii Izydor, Paravigna, Frias i znany nam już bakałarz Frias dokładnie rozpatrzyli się w *Ćwiczeniach duchownych* i po paru dniach przywołali Ignacego przed swój trybunał. W *Ćwiczeniach* jeden tylko ustęp im się nie podobał, a mianowicie postawienie zasady, wedle której rozróżnić można, czy zła jaka myśl jest grzechem śmiertelnym, czy powszednim. Samej wprawdzie postawionej zasadzie nic nie mogli zarzucić, ale "rzecz to, mówili, zbyt trudna i zawiła, aby człowiek niewykształcony gruntownie w teologii, mógł bez niebezpieczeństwa błędu o niej rozprawiać". Ignacy odpowiedział po prostu, podobnie jak Pan Jezus odpowiedział w czasie swej męki słudze Annaszowemu: "Do was sąd należy, czym podałem naukę prawdziwą, czy nieprawdziwą; jeżeli nie jest prawdziwą, potępcie ją". Sędziowie nie odpowiedzieli na to wezwanie, lecz natomiast poczęli badać Świętego w najtrudniejszych teologicznych kwestiach, odnoszących się do dogmatu Trójcy Świętej, Wcielenia i Sakramentu Ołtarza; Frias zadał nawet kilka pytań z prawa kanonicznego. "Nie wiem, co uczeni i doktorzy w tej mierze mówią i jakich zdań się trzymają", odparł skromnie Ignacy, ale rozkazem sędziów przynaglony, tak jasno i głęboko rozwiązał wszystkie przedstawione sobie trudności, tak dobrze wyłożył całą katolicką naukę o tych dogmatach, że słuchający nie mogli ukryć zdziwienia. Następnie rozpoczął Święty, z polecenia sędziów, wykład pierwszego przykazania Bożego, w ten sposób w jaki zwykł był uczyć katechizmu i zachęcać do służenia Bogu po placach i ulicach miasta. Słowa te proste, ale pełne ognia, natchnione miłością Boga i bliźniego, wywołały jeszcze żywsze nie tylko już zdziwienie, ale i wzruszenie. Nie pytając więcej, przerwali sędziowie przesłuchanie i nakazali odprowadzić Ignacego do więzienia.

Przesłuchanie to rozniosło sławę Świętego po całej Salamance, a wielu ciekawych i pobożnych cisnęło się do więzienia, aby ujrzeć Ignacego, pomówić z nim o rzeczach Bożych i rady jego zasięgnąć. Między innymi przyszedł doń w

towarzystwie Friasa, młody wówczas Franciszek de Mendoza, późniejszy kardynał i arcybiskup z Burgos. Po pierwszych słowach powitania, zapytał Franciszek Ignacego przyjaźnie, czy bardzo mu przykro znajdować się w więzieniu, w kajdanach? "Odpowiem ci, odparł Święty (3), tymi samymi słowami, którymi dziś właśnie odpowiedziałem pewnej znakomitej matronie, użalającej się nad mym losem, nad kaźnią tą, nad łańcuchem, do którego mnie przykuto. Żałując mnie, rzekłem, uważając więzienie za coś tak strasznego, tym samym okazujesz, że nie pragniesz dla miłości Chrystusowej kajdan nosić. Ja ci zaś zaręczam, że w całej Salamance nie ma tyle więzów, łańcuchów, kajdan, ile bym ich chciał dźwigać z miłości dla Jezusa".

Nie były to próżne tylko słowa, jak niebawem się okazało, gdy jeden ze strażników zostawił nieostrożnie bramę więzienną otworem i wszyscy więźniowie, z wyjątkiem Ignacego i jego towarzyszków, uciekli korzystając z tak szczęśliwej wyjątkowej sposobności. Dopiero nazajutrz rano spostrzeżono z niemałym przerażeniem ucieczkę więźniów, ale jednocześnie z większym jeszcze zdziwieniem ujrano kilku z nich spokojnie klęczących i modlących się, jak gdyby nie wiedzieli, że od ich dobrej woli tylko zależało odzyskać wolność. Widok ten poruszył do żywego sędziów, a wieść o całym tym wypadku rozeszła się wnet po mieście, jednając coraz liczniejsze grono przyjaciół dla niesłusznie skrzywdzonych. "Ci ludzie, mówiono, muszą być niewinni, bo tylko niewinny wyroku się nie lęka, ani nie ucieka przed sądem". Ulegając powszechnemu temu zdaniu, nakazali sędziowie przeprowadzić towarzyszków Ignacego z więzienia do pobliskiego wygodnego domku; sam tylko Ignacy, zawsze cierpień żądny, aby do Ukrzyżowanego jak najbardziej się upodobnić, wyprosił sobie u Boga, że, choć niesprawiedliwie i niekonsekwentnie, pozostawiono go tymczasem w więzieniu. Wreszcie po dwudziestu dwóch dniach zapadł wyrok, który uwalniał uwięzionych od wszelkich podejrzeń, dozwalał im nawet opowiadać ludowi naukę Bożą i zachęcać do cnoty, ale zakazywał wdawać się w tłumaczenie pewnych, trudniejszych kwestyj. Do takich trudniejszych rzeczy zaliczano np. pytanie jaka różnica zachodzi między grzechem ciężkim, a grzechem powszednim; wstrzymać się od dysputowania o tym aż do otrzymania dyplomów z odbytych nauk teologicznych.

Jeszcze w więzieniu postanowił Święty opuścić na lat parę ojczystą Hiszpanię i udać się do słynnego wówczas na cały świat uniwersytetu paryskiego, aby tam bez obawy ciągłych śledztw i przykrości, dopiąć wreszcie w ukryciu i spokoju dawno pożądanego celu. Wydany przez sędziów

salamanckich wyrok utwierdził go w tym postanowieniu. "Gdy i tak, myślał sobie, praca dla dobra dusz nadal tutaj przede mną zamknięta, nie mam już żadnej przyczyny dłużej się w Hiszpanii zatrzymywać". I rzeczywiście, nie upłynęły jeszcze trzy tygodnie od chwili, w której Święty opuścił bramy więzienne, a już nie zważając na dotkliwe zimno, na niebezpieczeństwa jakie w drodze go czekały z powodu świeżo wybuchłej wojny między Francją a Hiszpanią, pożegnał licznych swych dobroczyńców, szczerze żałujących go przyjaciół i skierował swe kroki, idąc zawsze piechotą, pędząc przed sobą obciążonego szkolnymi książkami osiołka, na Barcelonę do Paryża.

---

### **Przypisy:**

- (1) Całe to śledztwo podane dosłownie wedle *Acta antiquissima*, Boland., str. 657 nast.
- (2) Rozmowa ta podana w *Acta antiquissima*, Boland., str. 658.
- (3) *Acta antiquissima*, Boland., str. 659.



## **V.**

### **W paryskich szkołach**

2 lutego 1528 r. "pomyślnie i w dobrym zdrowiu", jak sam donosił (1) dobrodziejce swej Agnieszce Pascual, stanął Ignacy w Paryżu, aby dalej się uczyć "dopóki mi Pan czego innego czynić nie rozkaże". Nie bez przyczyny wybrał sobie, z miasta do miasta pędzony uczeń, właśnie Paryż; nie bez przyczyny Opatrzność Boża tam właśnie kroki jego skierowała. W starożytnym uniwersytecie paryskim wrzało wówczas i rozwijało się życie naukowe w całej pełni; dość powiedzieć, że liczba studentów wynosiła od dwunastu do piętnastu tysięcy, a jedna z trzech głównych dzielnic Paryża, tak zwany "Uniwersytet", zaledwie była w stanie ich pomieścić. Bogatsi, których zresztą było daleko mniej, żyli oczywiście na własny swój koszt, zazwyczaj po kilku lub kilkunastu

razem w jednym domu pod kierunkiem wytrawnego pedagoga; dla uboższych stały otworem liczne "kolegia", rodzaj dzisiejszych burs, w których, za niewielkim stosunkowo wynagrodzeniem, mogli słuchać wykładów profesorów i mieć skromne utrzymanie; najubożsi wreszcie starali się zarobić na życie, służąc u bogatych kolegów, u profesorów, a nawet po domach prywatnych, a na wykłady w "kolegiach" uczęszczali kiedy i o ile dozwalała służba i troska o chleb powszedni. Rzecz prosta, że nie wszyscy studenci, ci zwłaszcza, którzy za dużo mieli pieniędzy i ci, którzy ich mieli za mało, aby porządnie się utrzymać, myśleli na serio o nauce i świecili przykładem budującego życia; w ogóle jednak zapał do pozyskania wiedzy między wielotysięczną, z różnych narodów złożoną rzeszą studencką bardzo był silny, a spadająca po kostki, prostym rzemieniem przepasana, suknia paryskiego studenta budziła zasłużony i powszechny szacunek.

Już w pierwszych tygodniach po pierwszym zbliżeniu się do nowych profesorów i kolegów spostrzegł Ignacy nie bez pewnego przerażenia, jak małe dotąd postępy zrobił w naukach, wędrując wciąż z jednego do drugiego miasta i wciąż z nowymi walcząc trudnościami. Niewesołe to spostrzeżenie dodało mu tylko bodźca do tym wytrwalszej, w dokładniejszy, niż poprzednio system ujętej, a równie energicznej pracy. Przed wszystkim postanowił wyuczyć się dokładnie języka łacińskiego i w tym celu uczęszczał przez całe półtora roku do szkoły Montaignu, nazwanej tak od imienia pobożnego swego założyciela, kardynała Piotra de Montaignu. Od 1 października 1529 r. zapisał się Ignacy na wykłady filozoficzne w kolegium św. Barbary i słuchał ich z taką pilnością i uwagą, że sam profesor Jan Penna zachęcił go po półczwarta roku, aby dłużej nie zwlekając, poddał się przepisany egzaminom. Idąc za tą radą złożył Święty, tak zwany w ówczesnej studenckiej gwarze "kamienny" egzamin i 13-go marca 1533 r. otrzymał stopień licencjata, a w dwa lata później magistra filozofii. Teraz dopiero pod jesień 1535, należycie już przygotowany, stanął w szeregach słuchaczy teologii, zbierających się na wykłady w klasztorze Dominikanów przy ulicy św. Jakuba, by znów jak wszędzie dotąd żelazną swą wytrwałością w pracy w słuszny podziw wprawiać i mistrzów i towarzyszy. Dwaj z ówczesnych jego kolegów, a późniejszych duchownych uczniów, Laynez i Salmeron, złożyli w tym względzie, jako naoczni świadkowie, następujące świadectwo: "Choć Ignacy miał w swych naukach do walczenia z większymi trudnościami, niż kto bądź z współczesnych, a może i w ogóle niż kto bądź na świecie, to przecież, wszystko razem zważywszy, górował pilnością nad wszystkimi kolegami. Niemalże też uczynił postępy w naukach, jak

dostatecznie o tym świadczą złożone przezeń publiczne egzaminy i naukowe dysputy ze współuczniami".

Trudności, z którymi Święty do walczenia miał w Paryżu, były mniej więcej te same, z którymi dobrze zapoznał się już w Hiszpanii: brak materialnych środków na utrzymanie życia i gorliwość o zbawienie dusz swych szkolnych towarzyszków, która, choć obecnie w ścisłe ujęta karby, ściągnęła nań pomimo tego niejednokrotnie groźne niechęci i prześladowania. Na utrzymanie, wespół już z wszelkimi szkolnymi kosztami, potrzeba było co najmniej około 50 dukatów rocznie. Pobożne panie barcelońskie, zwłaszcza Elżbieta Roser i Agnieszka Pascual, nadesłały wprawdzie na początek znacznieszą jałmużnę, ale Ignacy, nie chcąc sam mieć nic z pieniędzmi do czynienia, oddał całą tę sumę do przechowania pewnemu młodemu Hiszpanowi, który razem z nim w jednym pokoju mieszkał, a ten nie miał nic pilniejszego, jak przetrwonić w paru dniach powierzone sobie pieniądze. "Bogu niech będą dzięki i chwała!" zawołał Święty, gdy się dowiedział o tym, tak skądinąd smutnym dla siebie wypadku. Przytułek znalazł na razie w ufundowanym dla Hiszpanów szpitalu św. Jakuba; skromne pożywienie wypraszać sobie musiał z dnia na dzień, żebrząc od drzwi do drzwi. Do żebranego chleba, do mieszkania w szpitalach Ignacy był już przyzwyczajony; co go jedynie niepokoiło, to to, że żyjąc w ten sposób, nie zbliżałby się dość szybko do wytkniętego celu i musiałby znowu, jak w Hiszpanii, naukę odłożyć na drugi plan. Wykłady w kolegium rozpoczynały się wczesnym porankiem, jeszcze przed otwarciem bramy szpitalnej, kończyły się zaś wieczorem, już po jej zamknięciu; nadto szpital tak był daleko od kolegium, że sama już droga tam i na powrót zabierała bardzo wiele czasu. Ignacy byłby z chęcią, idąc zresztą za przykładem niejednego z ubogich swych kolegów, przyjął służbę u któregoś z profesorów, aby zabezpieczyć sobie w ten sposób utrzymanie i mieszkanie w samym kolegium, lecz mimo własnych starań, mimo starań paru szczerych przyjaciół nie udało mu się znaleźć takiej służby. Ciężkie były te pierwsze miesiące pobytu w Paryżu, ale Święty, mimo że dobrze czuł cały ten ciężar a później, korzystając z nabytego doświadczenia, nigdy podobnym ciężarem innych nie dozwalał obarczać, nie stracił przecież ani na chwilę otuchy, ani nie zmienił w niczym raz wytkniętego planu, pewny, że cudowna Opatrzność Boża nad nim czuwa i że go nie zawiedzie.

Jeden z przyjaciół Ignacego, widząc że w Paryżu trudno o znacznieszą jałmużnę, zwłaszcza dla Hiszpanów, na których Francuzi patrzyli w owym czasie bardzo niechętnie, doradził mu, aby w czasie letnich wakacyjnych

miesiący wybrał się do Niderlandów, wówczas do Hiszpanii należących i u tamtejszych bogatych kupców wyprosił sobie hojniejszy jaki zasiłek. Myśl ta okazała się w zastosowaniu nader praktyczna. Dwa lata z rzędu, w pierwszych zaraz dniach po ukończeniu szkolnych wykładów wyruszał nasz pielgrzym w drogę pieszo i jak zawsze o zebranym chlebie, i zdążał do Bruges i Antwerpii, gdzie głównie znajdowali się zamożni kupcy. Po dziś dzień pokazują jeszcze w tych miastach domy, w których, wedle podania, miał Ignacy przebywać i hojnej doznawać gościnności. Trzeciego roku wybrał się aż do Anglii, a bawiący tamże hiszpańscy kupcy obdarowali go jeszcze wspaniałomyślniej, niż ziomkowie ich w Niderlandach. Nie mamy, niestety, żadnych bliższych szczegółów o tych "wakacyjnych" z wieloma bezwątpienia trudnościami i upokorzeniami połączonych wycieczkach; ze skutków ich tylko, z miłości i czci, z jaką w wiele lat później pobożni dobroczyńcy wspominali o świętym żebraku, wolno nam się domyślać, jaką woń cnoty wszędzie roznosił. Świadczy o tym i ta okoliczność, że dobroczynni Hiszpanie, poznawszy lepiej Ignacego, postanowili oszczędzić mu w następnych latach mozolnej i męczącej drogi i sami nadsyłali mu odtąd do Paryża potrzebne pieniężne zasiłki.

Z niezbędnej konieczności podjęte, prawdziwą pokorą uświęcone żebracze te pielgrzymki, znalazły między najbliższym otoczeniem Świętego kilku bardzo surowych krytyków. Najbardziej gorszył się nimi i najgłośniej przeciw nim występował niejaki Jan Madera, również rodem z Hiszpanii, a który za pomocą stosunków zachowanych w ojczyźnie, odkrył kim był Ignacy, z jakiego pochodził domu i jakie przedtem wiódł życie. "Nie godzi się i nie wolno bez obrazy Bożej, – powtarzał i tłumaczył, usiłując przemówić do sumienia Świętego – żyć z jałmużny, gdy kto nosi tak świetne nazwisko i ma tak zamożnych krewnych. Postępowaniem swym zmuszasz innych do utworzenia sobie fałszywego sądu, że krewni twoi albo są ostatnimi nędzarzami, albo najstraszniejszymi skąpcami. Pomyśl, czy to nie grzech narażać tak na szwank dobre imię swych bliźnich i to tych w dodatku, z którymi Bóg tylu węzłami cię połączył?".

Nie trudna była odpowiedź na ten zarzut a Ignacy nie zawahał się ani na chwilę, czy dobrze czyni, wstępując jak najbliżej w ślady ubogiego Chrystusa; wszakże dla przekonania przyjaciela i tych, którzy zbyt łatwo dawali się przekonać jego racjami, przedstawił kilku najuczestszym teologom paryskiego uniwersytetu następujące pytanie: "Czy wolno szlachcicowi, który wyrzekł się świata dla miłości Chrystusa Pana, żebrać po rozmaitych krajach i czy przez to

krzywdzi swych krewnych, lub przynosi uszczerbek własnemu sumieniu?". Jednomyślna, na piśmie wręczona Ignacemu odpowiedź wszystkich teologów brzmiała, jak brzmieć musiała: "W tego rodzaju postępowaniu nie ma ani grzechu, ani cienia grzechu". Odpowiedź ta zamknęła usta nieroztropnym przyjaciółom, nie umiejącym zrozumieć korzyści i ocenić wzniosłości ewangelicznego ubóstwa; ale jeszcze ta niegroźna zresztą chmura zupełnie się nie rozproszyła, gdy już z innej strony zbliżała się inna, która w skutkach swych mogła się istotnie okazać groźną.

Ignacy postanowił spożytkować pobyt w Paryżu, o ile tylko mógł najlepiej, na nabycie nauki, a zatem chronić się wszelkich zajęć i prac, które choć w sobie najświętsze, mogłyby mu być jednak przeszkodą w nauce. W tym celu ograniczył sobie ściśle czas modlitwy, wiedząc, że praca dla Boga podjęta stanie mu za najgorętszą modlitwę; przytłumiał siłą pobożne uczucia, odrywające myśl od naukowych kwestyj, z towarzyszami mieszkania zawarł umowę, że nigdy w czasie godzin na naukę przeznaczonych nie będą rozmawiali o rzeczach niebieskich, bo, jak wiedział z doświadczenia, rozmowa tego rodzaju tak rozpalala mu serce, że długie godziny upływały mu na niej, jak jedna chwila, i długo jeszcze później żadną inną kwestią nie mógł zająć umysłu. Wszakże i w granicach tych surowych praw, nałożonych na samego siebie i święcie zachowywanych, nastęrczało się Ignacemu samą siłą rzeczy wiele sposobności do szerzenia chwały Bożej, zwłaszcza w duszach szkolnych towarzyszków. Sam jego przykład, sama podawana z ust do ust historia jego życia, dokładność w pełnieniu najdrobniejszych szkolnych obowiązków w tak stosunkowo późnym wieku, pokora i umartwienie wyryte na obliczu, ukazujące się w każdym kroku tego dumnego niegdyś rycerza, były najwymowniejszym ciągłym kazaniem. Cóż dopiero, gdy Ignacy dozwolił wystąpić na jaw długo w sercu powstrzymywanemu ogniowi, gdy w poufnej rozmowie z kilku towarzyszami rozwijać przed nimi począł rekolekcyjne prawdy i pytał: "co nam pomoże wszystko, co osiągnąć możemy na ziemi, co nauki, co chwała, jeżeli nie osiągniemy celu, dla którego Bóg nas stworzył, jeżeli nie zbawimy swej duszy?". Gorące te słowa, przykładem poparte, tak silnie podziałały na pewną liczbę młodych znajomych i kolegów Ignacego, iż odbywszy pod jego kierunkiem ćwiczenia duchowne, zmienili zupełnie dotychczasowe, lekkomyślne życie i zaczęli przystępować często i regularnie do świętych sakramentów. Trzech Hiszpanów, Jan de Castro, noszący już tytuł sorbońskich doktorów, Peralta, i młodszy od nich wiekiem, ale obdarzony nadzwyczajnymi zdolnościami Amador, zapragnęli wyższej jeszcze doskonałości i rozdawszy



wszystko, co mieli, ubogim, zamieszkali wspólnie z Ignacym w szpitalu św. Jakuba. Wiadomość o nadzwyczajnym tym zdarzeniu rozeszła się szybko między uczniami i profesorami uniwersytetu i była iskrą rzuconą na dawno już przygotowany palny materiał niechęci i uprzedzeń w sercach wszystkich, których dawno już korciły i gniewały tak nieraz niezgodne z własnym ich życiem nauki i sposób życia Świętego.

Szczególnie oburzeni byli i z oburzeniem swym wcale się nie taili głośny już wówczas ze swej nauki Dr. Piotr Ortiz, profesor Ignacy Penna i rektor kolegium św. Barbary, Govea. "W jaki sposób, pytali się oni, jakich używając środków czy czarów, wywiera Ignacy tak wielki wpływ na swych współpracowników? w jakim kierunku wpływu tego używa? czy nie szerzy niezdrowego mistycyzmu, a może i heretyckiego fałszu?". Gdyby pytania te i wątpliwości, które wyszedłszy z ust tak poważnych, dalej się szerzyły, pochodziły li tylko z rozumnej chęci przekonania się o prawdzie, nie można by im nic zarzucić. Niestety, więcej płynęły one z zazdrości i z innych pozorami gorliwości zasłoniętych, bynajmniej w sobie nieszlachetnych pobudek.

Z poduszczenia, a w każdym razie z cichym przyzwoleniem swych mistrzów zebrała się w jednym z najbliższych dni cała wielka banda uczniów uniwersytetu pod bramami szpitala św. Jakuba, i z krzykami i groźbami domagać się zaczęła, aby Ignacy wypuścił na wolność trzech swych – jak ich nazywali – więźniów i niewolników. Kilkunastu wtargnęło do samego szpitala i mimo próśb i zaręczeń rzekomych więźniów, że dobrowolnie się tu znajdują, wywiedli ich przemocą na ulicę i poprowadzili w triumfie do zabudowań uniwersyteckich. Zmęczeni walką, zwyciężeni prośbami kolegów, powagą profesorów, przyrzekli wreszcie trzej "oswobodzeni" Hiszpanie, że na razie przynajmniej opuszczą Ignacego i nic stanowczego nie przedsięwzięją przed zupełnym ukończeniem nauk. De Castro wstąpił następnie do klasztoru Kartuzów; o dalszych losach dwóch jego towarzyszy nie mamy bliższych szczegółów; w każdym razie, odstąpiwszy raz od mistrza, w którego ręce i pod którego kierunek, zdawało się, Bóg chciał ich oddać, nigdy już w szeregach jego tak później licznych uczniów znaleźć się nie mieli.

Po hałaśliwej, studenckiej demonstracji, wzięli sami profesorowie sprawę w swe ręce; Ortiz i Govea zanieśli przed trybunał Inkwizycji formalną skargę na Ignacego, jako podejrzanego o szerzenie herezji i zajmowanie się magią. Inkwizytorem w Paryżu, przysłanym tamże przez papieża Klemensa VII w celu zwalczania coraz bardziej szerzącego się we Francji protestantyzmu, był

wówczas Mateusz Ori, z zakonu św. Dominika; odczytał on uważnie wręczone sobie oskarżenie, a choć nie taił, że nie wydaje mu się dość ugruntowanym, przyrzekł je zbadać. Tymczasem w kołach uniwersyteckich rozeszła się wieść, że Ignacy, lękając się wyroku Inkwizycji, uciekł z Paryża. Nieprzyjaciele triumfowali. "Widocznie obłudnik ten, głosili wszędzie z zadowoleniem, poczuwał się do winy i lękał sprawiedliwego sądu, widocznie nie miał nic do powiedzenia na swoją obronę".

Istotnie Ignacy nie był w tej chwili w Paryżu, ale opuścił miasto na krótki czas i z zupełnie innej przyczyny. Młody ów Hiszpan, który mieszkając z nim razem, roztrwonił tak nieuczciwie dane sobie do przechowania pieniądze, wybrał się był z powrotem do ojczyzny, ale w drodze zapadł tak ciężko na zdrowiu, że musiał dłuższy czas zatrzymać się w Rouen, gdzie wkrótce wyczerpał do ostatniego grosza skromne swe zasoby. Choroba i nędza stawały się z dnia na dzień groźniejsze; nieszczęśliwy nie mając do kogo zwrócić się z prośbą o pomoc, wspomniawszy sobie – nowy syn marnotrawny – o miłosierdziu Ignacego i w długim pokornym liście przedstawił mu straszne swe położenie. Zaledwie Ignacy list odczytał, udał się do kościoła Dominikanów, aby poradzić się Boga na modlitwie co ma uczynić: czy pospieszyć do chorego, aby go pielęgnować, czy też wyjednać mu tylko pomoc od przyjaciół paryskich, a w miarę możliwości i o opiekę się dlań wystarać. Wątpliwość ta tym bardziej była uzasadniona, że Święty czuł się w tym czasie niezdrowym, a nadto przewidywał, iż nagle jego zniknięcie z Paryża dać może powód do najgorszych przypuszczeń. Wszystkie te względy zwyciężyła ostatecznie miłość prawdziwie heroiczna, której wierny uczeń Jezusowy mógł się tylko nauczyć u stóp swego Mistrza, modlącego się na krzyżu za swych nieprzyjaciół.

Wczesnym rankiem wybrał się Ignacy w drogę boso i na czczo, ale ledwie zrobił parę kroków, takie go nagle ogarnęło osłabienie, że na razie wydało mu się czystym niepodobieństwem iść dalej. "Widoczna to pokusa", rzekł do siebie po chwili, i walcząc na każdym kroku, z przygnębiającym znużeniem, szedł naprzód, jak mógł najspieszniej. Tak dowlókl się raczej niż doszedł, aż do wioski d'Argenteuil, o trzy mile od Paryża. Tu na widok dość stromego i wysokiego pagórka, który koniecznie przebyć musiał, zaczął znowu upadać na duchu, ale wnet zawstydził sam siebie, wezwał Boga na pomoc i, dobywając reszty sił, już nie poszedł, lecz pobiegł pod górę. W tejże chwili opuściło go dotychczasowe znużenie, tak że trzeciego już dnia po wyjściu z Paryża stanąć mógł w Rouen i zająć się losem niewdzięcznego swego przyjaciela. Na samym

wstępie uściskał go serdecznie, pocieszył i zaręczył, że odtąd niczego mu już nie będzie brakowało. Istotnie, Bóg zrządził, że gdy Ignacy wybrał się na zbieranie jałmużny, otrzymał tyle i tak hojnych zasiłków w tym zupełnie obcym mieście, iż wystarczyły nie tylko na chwilowe potrzeby chorego, ale nadto umożliwiły mu wygodny powrót do ojczyzny. Nie zadawalając się tym, Ignacy wyjednał mu jeszcze wolne miejsce na okręcie, odpływającym właśnie do Hiszpanii i zaopatrzył w listy polecające do przyjaciół swych w Salamance. Teraz dopiero, zemściwszy się, jak Święci mścić się umieją, pomyślał o sobie samym, o zasłonięciu się przed krzywdzącymi potwarzami, które tymczasem zyskiwały w Paryżu dnia każdego na objętości i sile.

Jeden z dobrych znajomych Ignacego zawiadomił go listownie o tym stanie rzeczy, zaklinając, aby dłużej z powrotem nie zwłóczył i oczyścił się z czynionych sobie zarzutów przed inkwizytorem, który wszędzie polecił go szukać. List ten otrzymał Święty na ulicy. Nie tracąc chwili, spełniwszy już zresztą obowiązek miłości, która go przywiodła do Rouen, udał się do publicznego notariusza i zażądał od niego świadectwa, że natychmiast po otrzymaniu odnośnych wiadomości, pospieszył do Paryża, aby tam dobrowolnie stanąć przed sądem. Inkwizytor, Mateusz Ori, zadziwił się niemało, gdy w parę dni później ujrzał przed sobą zmęczonego daleką podróżą pielgrzyma, który wprost z drogi, nie wstępując nawet do własnego mieszkania, do niego się udał i okazując spisany w Rouen protokół, oświadczył, że przychodzi poddać się śledztwu, od którego uchylać się wcale nie zamierzał. Krok ten utwierdził tym silniej inkwizytora w dawniejszym przekonaniu o zupełnej niewinności Ignacego. "Bądź spokojny, rzekł mu; wręczono mi wprawdzie oskarżenie przeciw tobie, ale może ci ono nie zaszkodzić bo nie opiera się na żadnym najmniejszym nawet dowodzie".

Stanowczość i sprawiedliwość Mateusza Ori zamknęła na dłuższy czas usta niechęciom i potwarzom, tym bardziej, że Ignacy, wierny danemu sobie postanowieniu, obracał cały czas na naukę, w przekonaniu, że Bóg tego teraz od niego wymaga, a nie bezpośredniej pracy nad ratowaniem dusz. "Co to takiego, – zagadnął go razu pewnego jeden z poufnych znajomych, Dr. Frabies, – że ci sami nawet, którzy jeszcze niedawno nie mieli dość słów na czynienie ci przeróżnych zarzutów, teraz publicznie i gorąco cię chwalą? Jaka może być przyczyna tej zmiany?". – "Poczekaj tylko, odparł z uśmiechem Ignacy, aż uwolnię się z krępujących mię dziś więzów i ukończę filozofię, a dowiesz się o

przyczynie tej ciszy. Niech tylko czynniej zacznę pracować, a zazdrość wzbudzi wnet przeciw mnie dawne i groźniejsze jeszcze burze".

Słowa te sprawdzić się miały i to prędzej, niż sam Ignacy może w tej chwili się spodziewał. Choć wziął sobie za regułę nie udzielać tymczasowo nikomu ćwiczeń duchownych i filozoficznym studiom cały czas i uwagę poświęcać, to przecież w chwilach wytchnienia, w przyjacielskiej rozmowie z kolegami szkolnymi, nadarzała mu się raz po raz, niejako mimo woli, sposobność podnoszenia umysłów do Boga, zachęcania do prawdziwego chrześcijańskiego życia. Szczególnie przypominał Ignacy z naciskiem obowiązek słuchania w niedziele i święta Mszy św., co nader utrudniali niektórzy profesorowie, naznaczając na ranne godziny w dniu świąteczne rozmaite publiczne naukowe ćwiczenia. Napomnienia te nie mijały bez wpływu: kościoły w niedziele napełniały się studentami, sale uniwersyteckie świeciły pustkami. Obelgę tę, jak ją nazywał, wziął sobie przed innymi do serca, powyżej już wspomniany i od dawna Ignacemu niechętny, profesor Penna, i zagroził mu po kilkakrotnie, aby się nadal nie ważył szerzyć między uczniami niepokojów i odrywać ich od nauk, jeżeli nie chce narazić się na jego gniew i ściągnąć na siebie najsmutniejszych następstw. Gdy groźby nie pomogły, postanowił Penna przystąpić do ich skutecznienia. Umówiwszy się z rektorem kolegium św. Barbary, Jakubem Goveą, przesłał Ignacemu ostatnie urzędowe ostrzeżenie, zagrażając mu karą tak zwanej "sali".

Sromotną tę karę nakładano tylko na najgorszych niepoprawnych uczniów. Odbywała się ona w następujący sposób: na głos dzwonu zbierali się do największej sali w kolegium, zazwyczaj do refektarza, wszyscy uczniowie i profesorowie, ci ostatni z różgami w rękę. Następnie sługa uniwersytecki wprowadzał winnego, rozebranego po pas, tenże iść musiał zwolna między dwoma szeregami profesorów i otrzymywał od każdego lekkie uderzenie. Kto raz przeszedł przez "salę", ściągał na siebie powszechną hańbę; uczniowie strzegli się wszelkich z nim stosunków, jak z zarażonym, po ulicach nawet pokazywano go sobie ze śmiechem i odrazą.

Nic dziwnego, że kiedy uniwersytecki sługa stanął w pokoiku Ignacego i wezwał go na "salę", w duszy dawnego rycerza zerwała się straszna burza sprzecznych uczuć i myśli. Pot wystąpił mu na czoło, na chwilę zdawało mu się, że takiego upokorzenia znieść nie potrafi; ale wnet ujarzmił siłą woli naturalne te, z nieumartwionej – jak sobie wyrzucał – miłości własnej, pochodzące uczucia. "Cóż to, ośle! gromił sam siebie, wierzgasz przeciw ościeniowi; nie

miło ci upokorzeniu się poddać? otóż właśnie poddasz mu się i wyjdzie ci ono na zdrowie!". Z drugiej jednak strony obronić się nie mógł przed poważną wątpliwością, czy mając na względzie, nie naturalny wstręt, ale jedynie większą chwałę Bożą, nie ma obowiązku starać się zasłonić od hańbiącej kary. "Bezwątpienia, wszelkie cierpienie przynieść mi może tylko korzyść, ale co stanie się z tymi, którzy idąc za moimi radami, zrobili dopiero pierwsze kroki na wąskiej ścieżce wiodącej do nieba? Ileż wątłych tych roślinek uschnie i zginie z tego powodu? Czyż nie winienem raczej zważać na zbawienie tylu dusz, niż na własny duchowy pożytek? Czy to nie wstyd, czy nie będzie to przeciwnym chwale Chrystusa Pana, gdy chrześcijanin zostanie publicznie w chrześcijańskim uniwersytecie ukarany i zhańbiony, dlatego jedynie, że szedł za Chrystusem i innych do Chrystusa usiłował pociągnąć?".

Tak chwilę bił się Ignacy z myślami, prosząc Boga, aby go oświecił, co ma począć. Wreszcie roztropna miłość dusz krwią Zbawiciela odkupionych przeważyła szalę, zwrócił się przeto do czekającego sługi i rzekł mu, że gotów udać się za nim na "salę"; wprzód jednak rozmówić się musi z rektorem Goveą, który znajdował się jeszcze w swoim pokoju. "Co do mnie – oświadczył rektorowi ze zwykłą sobie pokorą, ale śmiało i otwarcie – niczego sobie bardziej życzyć nie mogę, jak razów i zniewag poniesionych dla Pana Jezusa i nieraz już z łaski Bożej wycierpiałem dla Niego więzienie i kajdany. O co się jedynie lękam, to o to, że obecnie, gdy ja utracę cześć, wielu innych może utracić zbawienie. Osądź więc sam, czy można narażać na takie niebezpieczeństwo tylu z pomiędzy własnych twych uczniów, nie dość jeszcze utwierdzonych w cnocie, czy godzi się karać mię jako zbrodniarza, dlatego żem odwodził od grzechów i zachęcał do pilnego spełniania prawa Bożego?".

Govea słuchał z początku ze zdziwieniem, następnie z rosnącym za każdym słowem wzruszeniem. Teraz dopiero, jakby mu nagle łuski spadły z oczu, zrozumiał i ocenił całe postępowanie Ignacego, oddał hołd wzniosłym pobudkom, które nim kierowały, przyznał w swym sumieniu, że prześladowając tak cnotliwego człowieka, prześladował właściwie samą świętość i cnotę, którą przecież kochał i poczuwał się do obowiązku bronienia jej i rozszerzania. Należało złe naprawić, a naprawić stanowczo i bez zwłoki. Jeszcze Ignacy nie przestał mówić, gdy Govea chwyta go za rękę i prowadzi szybkim krokiem na salę przed zgromadzonych i niecierpliwących się zbyt długim oczekiwaniem profesorów i uczniów. Ręce, uzbrojone w różgi, podniosły się do góry, ale szybciej jeszcze opadły na dół na pierwsze, łzami przerywane, słowa Govei.

"Macie przed sobą prawdziwego świętego, zawołał, bo nie zważając na własny ból i hańbę, myślał on tylko o chwale Bożej, o duszach swych bliźnich". Następnie mimo próśb i oporu Ignacego, rzucił się przed nim na kolana i błagał go o przebaczenie, wyznając ze łzami, że bardzo lekkomyślnie dał się zwieść ciskanym przeciw niemu potwarczym zarzutom. W prawdziwym triumfie zawstydzony i nie wiedząc gdzie się ukryć przed oznakami czci, które mu teraz ze wszech stron składano, opuścił Ignacy salę.

Nie tylko Govea, późniejszy żarliwy misjonarz w Indiach Wschodnich, zmienił zupełnie swe zdanie o Ignacym; wielu innych profesorów, a między nimi na pierwszym miejscu Ortiz i Penna weszli z nim w pełną szacunku przyjaźń i uważali go odtąd za swego przewodnika w życiu duchownym. Współuczniowie spoglądać nań zaczęli jak na świętego, w trudnych wypadkach udawali się do niego po radę, a niektórzy z nich, zasłyszawszy o nadzwyczajnych skutkach "ćwiczeń duchownych", zapragnęli je odprawić pod jego kierunkiem. Tak, wypadek, który miał zgubić Ignacego i zagrozić mu drogę do dalszej pracy, przyczynił się właśnie do rozszerzenia koła jego działalności i do większej chwały Bożej.

W pierwszych latach pobytu swego w Paryżu szerzył Święty chwałę Bożą tylko między najbliższymi szkolnymi towarzyszami i to w ogóle samym tylko przykładem; w następnych do takiego doszedł panowania nad sobą, i tak potrafił sobie czas i zajęcia rozdzielić, iż nie potrzebując lękać się o uszczerbek w naukach, mniej już hamował swą apostołską gorliwość. "Innych – stawiał sam ogólną zasadę (2) – trzeba lekarstw w pierwszej chwili, po otrzymaniu ciężkiej rany, innych później; co było mi niezbędnym na początku przedsięwziętej drogi, ustąpić dziś już może miejsca innemu sposobowi postępowania"... Z naturalnego usposobienia posiadał Ignacy szczególną łatwość i zdolność w jednaniu serc i umysłów; umiał się zastosować do różnych charakterów, skłonności i przyzwyczajzeń; przyciągał wesołą twarzą, ujmującym a szczerym sposobem postępowania. Przyrodzone te zalety, wprzęgnięte w służbę Bożą, a łaską wzmocnione i uszlachetnione, skupiały około Świętego coraz liczniejsze grono przyjaciół, którym, skoro tylko zaufanie ich pozyskał, zaczynał mówić o Bogu, o najważniejszej sprawie na ziemi o zbawieniu duszy, i nie ustawał w swych zabiegach, dopóki ich nie doprowadził do szczerzej spowiedzi i uporządkowania życia wedle zasad prawdziwie chrześcijańskich. Wielu z tych młodszych zwłaszcza przyjaciół było zarażonych protestanckim jadem; tych pouczał Ignacy, przekonywał, dopomagał im modlitwą i gorącymi słowami do

walki z namiętnością, która zazwyczaj odgrywała najgłówniejszą rolę w tym przechyleniu się do herezji i następnie prowadził ich sam do Mateusza Ori, aby przed nim, bez niepotrzebnego rozgłosu, wyrzekli się swych błędów.

Jak wielką była gorliwość Ignacego, jaka roztropność i przemyślność w pozyskiwaniu dusz dla Boga i jak mu nic w tym względzie nie było zbyt trudnym, pokazuje się najlepiej z paru faktów z tego czasu, które nam historycy jego życia bardziej szczegółowo opisali. Jeden z jego znajomych zakochał się w jakiejś zameźnej kobiecie, mieszkającej w okolicy Paryża i utrzymywał z nią grzeszne stosunki. Ignacy, skoro tylko o tym się dowiedział, przedstawił mu ciężkość popełnianego grzechu, prosił i błagał, aby przestał Boga obrażać. Wszystkie te uwagi nie czyniły najmniejszego wrażenia na nieszczęśliwym niewolniku namiętności. Silna była choroba; silniejszego widocznie niż same, choć najbardziej przekonywujące słowa, wymagała lekarstwa. Pewnego zimowego wieczora, gdy rozpustnik szybko zdążył znowu do zbyt dobrze znanego sobie domu i przechodził obok na wpół już zamarzniętego stawu, zatrzymać się musiał nagle na grzmiące, jakby z pod stóp swych wychodzące napomnienie: "Dokąd idziesz nieszczęśliwy? Czy nie słyszysz piorunów grzmiących już nad twą głową? Spiesz nasycić twą chuć bezecną, ja tu tymczasem będę za ciebie pokutował!". Ze strachem oglądając się naokoło, by zrozumieć skąd ten głos pochodzi, ujrzał grzesznik Ignacego, zanurzonego po szyję we wodzie. Widok ten wstrząsnął nim do głębi; zrozumiał złość popełnianego przez siebie występku, ocenił miłość Świętego, który nie cofnął się przed takim umartwieniem, byle jego od wiecznego cierpienia wyratować. Łaska, poświęceniem Ignacego do duszy jego wprowadzona, w innego zmieniła go człowieka. Za chwilę wracał dawniejszy rozpustnik, a obecnie pokutujący grzesznik ze swym wybawicielem do Paryża i o to go tylko prosił, aby go odtąd chciał uważać za swego wiernego i najposłusznieszego ucznia.

Innego fortelu nauczył Bóg Ignacego dla ocalenia pewnego kapłana-zakonnika, który gorszącym życiem wystawiał na pośmiewisko stan swój a pośrednio wiarę. Pewnej niedzieli klęknął Święty przed jego konfesjonalem i uczynił spowiedź z całego życia z takim żalem serdecznym, tak w niczym miłości własnej nie oszczędzając i tak gorzko oplakując swe przewinienia, że kapłan ów mimo woli niejako zwrócić musiał uwagę na smutny stan własnego sumienia i zapytać się: "A jakież sąd winieneś wydać o sobie, kiedy człowiek świecki, nie obdarzony tak wysokim, jak ty, posłannictwem, nie obarczony tak ciężką odpowiedzialnością i który bez porównania mniej ciężkimi grzechami

Boga obraził, tak surowo się sędzi?". Pod wpływem tych myśli zwrócił się teraz nawzajem skruszony już spowiednik do swego penitenta, odkrył mu stan swej duszy i również ze łzami zażądał pomocy i rady. Ignacy poradził mu odprawić "ćwiczenia duchowne", a z ich pomocą nie tylko wyprowadził biednego księdza z przepaści grzechu, ale i wprowadził na ścieżki prawdziwie świętobliwego życia.

Kiedy indziej znów dość ważny interes przyprowadził Ignacego do domu pewnego doktora teologii, człowieka w gruncie niezłego, ale zbyt oddającego się ziemskim zabawom i interesom. Gospodarz grał z kilku przyjaciółmi w bilard i natychmiast zaprosił przybyłego do wzięcia udziału w mającej się właśnie rozpocząć partii. Ignacy próbował się tłumaczyć, że grać nie umie, ale gdy obecni, radzi, że będą mieli z kogo się uśmieć i nażartować, naglili dalej, zgodził się z uśmiechem i stanął przy bilardzie. "Lecz o cóż grać będziemy?" zapytał. "Taki biedak, jak ja, nie może grać o pieniądze, a grać na próżno nie ma przyjemności. Chcecie, to grajmy tak: jeśli przegram, będę wam służył przez cały miesiąc i wszystko będę robił, co mi nakazecie; jeżeli wygram, to wy będziecie musieli spełniać przez miesiąc, co wam każę". Rozumie się, propozycja została jednomyślnie przyjęta i gospodarz stanął do gry z swym gościem. Z niemałym zdziwieniem wszystkich, Ignacy, który po raz pierwszy z bilardem miał do czynienia, pokonał wyćwiczonego gracza i zażądał od niego, stosownie do umowy, aby odprawił przez miesiąc "ćwiczenia duchowne". Miesiąc ten spędzony w służbie, już nie Ignacego, ale prawdziwie w służbie Bożej, zmienił do niepoznania zasady i zwyczaje dotychczasowego sługi świata.

Główną wszakże uwagę zwracał Ignacy nie tak na te niejako przypadkowe i okolicznościowe nawrócenia, chodziło mu raczej o pozyskanie sobie odpowiednich pomocników i towarzyszków w wielkim dziele rozszerzania Królestwa Chrystusowego, w owej wyprawie pod wodzą i sztandarem Zbawiciela, do której sam przez tyle już lat, z takim mozołem, z tylu trudnościami się przygotowywał. Po parękroć i w Hiszpanii i w Paryżu przyłączyło się doń paru zapalonych jego słowami i przykładem młodzieńców, ale po krótkim czasie odstępowali go znowu, szukając, w ogóle na próżno, na innych drogach szczęścia i kariery. Pierwszych stałych i wiernych do zgonu towarzyszków znalazł Ignacy, a raczej Bóg mu wybrał, w dwóch przyjaciółach z kolegium św. Barbary, Piotrze Lefevre, lepiej znanym i czczonym zazwyczaj pod nazwiskiem bł. Piotra Fabra, i w św. Franciszku Ksawerym.



Faber pochodził z bardzo ubogiej rodziny, zamieszkałej w wiosce Villaret w Sabaudii, i dziecinne i chłopięce lata spędził przy paszeniu bydła. Do nauki wziął się późno, ale opóźnienie to wynagrodził wielkimi zdolnościami i zdumiewającą pilnością. Dalszą historię swego życia i zapoznanie z Ignacym tak nam w swym *Pamiętniku* opowiada:

"W r. 1525, licząc lat dziewiętnaście, opuściłem me miejsce rodzinne i przybyłem do Paryża. W 1529 r. otrzymałem 10 stycznia stopień bakałarza, a po Wielkiejnocy licencjata, pod profesorem Janem Penna, mężem odznaczającym się głęboką nauką. Niechaj dobroć Boża na wieki błogosławioną będzie, że dała mi takiego nauczyciela i towarzyszków, których znalazłem w jego mieszkaniu. Mam tu zwłaszcza na myśli Magistra Franciszka Ksawerego, należącego dzisiaj do Towarzystwa Jezusowego. Tegoż roku Ignacy Loyola zamieszkał w kolegium św. Barbary, w tym samym z nami pokoju, zamierzając uczęszczać razem z nami na kursy filozoficzne, rozpoczynające się z dniem św. Remigiusza. Katedrę tę objąć miał Mag. Franciszek Ksawery. Zlecił mi on powtarzać lekcje filozoficzne ze świętym tym mężem, Ignacym, i w ten sposób nadarzyła mi się szczęśliwa sposobność wejścia z nim w bliższy stosunek. Mieszkaliśmy w jednym pokoju, jedli przy jednym stole, czerpali z jednej sakiewki; on był mistrzem w życiu duchownym. Wreszcie złączyliśmy się ze sobą tak ściśle, że tworzyliśmy jedno tylko serce i jedną wolę... W r. 1534, a dwudziestym ósmym życia mego, otrzymałem święcenie kapłańskie i po raz pierwszy sprawowałem ofiarę Mszy św. w dzień św. Magdaleny, mej orędowniczki i patronki wszystkich grzeszników i grzesznic".

Innego usposobienia, niż cichy i łagodny Faber, był równocześnie z nim przez Ignacego pozyskany, Franciszek Ksawery. Dumny ze szlchetnego rodu, z wysokich urzędów zajmowanych niegdyś przez ojca na dworze królewskim, z własnych talentów i rycerskiej urody, myślał Ksawery o tym tylko, jak się odznaczyć, jak zabłysnąć w świecie i zdobyć sobie głośnie imię na polu naukowym, podobnie jak Ignacy pragnął sobie niegdyś zdobyć sławę w zawodzie wojskowym. W takim usposobieniu bogatszy w nadzieje i ambitne zamiary, niż w pieniądze, przybył Franciszek w r. 1527 do Paryża. W trzy lata później, mimo, że liczył dopiero dwudziestu czwarty rok życia, objął katedrę filozofii w kolegium "Beauvais".

Z dnia na dzień liczniejsze grono słuchaczy kupiło się koło młodego mistrza i roznosiło daleko jego sławę; dawniejsze marzenia oblekały się zwolna w rzeczywistość i ustępowały miejsca nowym, jeszcze bardziej uroczym,

światniejszym. Upojony tymi pierwszymi triumfami, nie zwrócił Franciszek z początku uwagi na starszego już wiekiem, powagą i pilnością odróżniającego się od innych uczniów, który bardzo regularnie uczęszczał na jego prelekcje; natomiast Ignacy poznał się wkrótce na nader bogatej, szlachetnej naturze słusznie chwalonego i cenionego profesora i zrozumiał jak wielkich dzieł byłby on w stanie się podjąć dla chwały Bożej, jeśli z takim zapałem pracował dla marnej własnej chwały. Bliższe zapoznanie się z Franciszkiem w kolegium św. Barbary utwierdziło Świętego w tym przekonaniu. Aby utworzyć drogę do jego serca, a tym samym do pozyskania nad nim wpływu, starał się Ignacy oddawać mu rozmaite przyjacielskie usługi: werbował i przyprowadzał mu nowych słuchaczy, wyrażał się z zupełnie zresztą zasłużonym uznaniem o jego talentach i wykładach, dopomagał mu ze szczupłych swych zasobów w materialnych kłopotach. Słowem, spełniał dobrze Świętym znaną w apostołskim i w codziennym życiu przez roztropnych ludzi spełnianą naukę, którą później zostawił na piśmie: (3) "W pozyskiwaniu dusz na większą służbę Bożą, trzymać się nam należy tej samej taktyki dla ich dobra, której trzyma się nieprzyjaciel rodu ludzkiego względem dobrej duszy dla jej szkody. A mianowicie nieprzyjaciel wchodzi drzwiami duszy, a wychodzi swoimi; wchodząc nie sprzeciwia się jej obyczajom, ale raczej je chwali; następnie dopiero, krok za krokiem stara się wyjść swymi drzwiami, pociągając duszę pod pozorem dobrego do jakiegoś nieodpowiedniego czynu, mami ją i w błąd wprowadza, a wszystko kieruje ku złemu celowi. Podobnie i my możemy wszystko ku dobremu kierując, zgadzać się z kimś odnośnie do pewnej dobrej rzeczy, a na inne złe tymczasem oko przymrużać, a gdy go już dla siebie pozyskamy, natenczas możemy śmielej postępować. Tak wchodząc jego drzwiami, wychodzimy naszymi, wiodącymi do Boga".

Pełne miłości postępowanie Ignacego, z niejedną trudnością i zaparciem siebie samego połączone usługi musiały mu pozyskać wdzięczność i przyjaźń Ksawerego. Wdzięcznego przyjaciela mógł już teraz Święty ostrzec przed niejednym niebezpieczeństwem, niejedno mu powiedzieć, co przed kilku miesiącami nie byłoby przyniosło żadnego skutku, lecz spowodowało niechęć i odrazę. W poufnej rozmowie zapytał Ignacy przyjaciela słowami Chrystusowymi: "Cóż pomoże człowiekowi, choćby cały świat pozyskał, jeżeli na duszy swej szkodę poniesie?". Zapytał, wskazując na niebo i na ziemię, czy prawdziwie wielkie serce może się nasycić szczęściem i sławą, jakie niebo jedynie dać jest w stanie. "Chcesz coś wielkiego zdziałać, a coś większego, jak rozszerzanie chwały Bożej, ratowanie dusz nieśmiertelnych? Chcesz być

sławnym, – zdążaj do sławy, ale rzeczywistej, przed Bogiem, nie przed ludźmi, wiecznej, nie przemijającej".

Słowa te trafiły do serca Ksawerego. Nie bez ciężkiej walki ze sobą samym, ale z tym większym poświęceniem i gotowością do wszelkich ofiar, gdy z walki tej wyszedł zwycięzcą, oddał się zupełnie w ręce Ignacego, aby nim kierował, jako duchownym swym synem i uczniem. I miał też rzeczywiście aż zbyt wiele słusznych przyczyn do uważania Ignacego za prawdziwego ojca. O paru z nich, o uczuciach, które go względem Świętego ożywiały, donosił sam z szczególnym naciskiem w liście pisanym do brata: (4) "Abyś jasno poznał, ile winienem Panu naszemu, że mi dał poznać Magistra Ignacego, święcie ci zaręczyć mogę, że przez całe życie nigdy mu się dostatecznie nie będę w stanie odplacić. W kłopotach moich starał mi się o pieniądze i o przyjaciół i odwiódł mnie od złych towarzystw, na których, ja niedoświadczony, nie umiałem się wówczas poznać, teraz zaś, gdy nowe herezje nawiedziły Paryż, nie chciałbym z nimi nic mieć do czynienia za żadne skarby świata. Pod tym też względem, nie wiem kiedy się będę mógł wywdzięczyc Mag. Ignacemu, któremu winienem, że się w towarzystwa te nie wdałem i nie związałem stosunków z ludźmi, nie zdradzającymi się niczym nagannym na zewnątrz, ale wewnątrz przesiąkłymi herezją, jak się po uczynkach ich pokazało... Nie dziw, że odkryłem Ignacemu całe serce, tak iż zna on biedy me i troski lepiej, niż ktokolwiek inny na całym świecie".

Widoczna zmiana, jaka zaszła w postępowaniu tak chętnie popisującego się dotąd zdolnościami i dowcipem, siłą i zręcznością profesora, mocno oburzyła kilku jego dotychczasowych przyjaciół. Największym gniewem zapłonął jeden z nich, niejaki Michał Navarro, któremu szlachetny z natury Ksawery nieraz już, choć później samemu przyszło biedę cierpieć, przyszedł z hojną pomocą pieniężną. Gniew ten, pochodzący, zdaje się, głównie z obawy utraty zasiłków pobieranych od lat już kilku, zwrócił się z całą siłą przeciw Ignacemu, a podsycany przez inne namiętności, przez rozmowy i namowy towarzyszków, poprowadził nieszczęśliwego na ścieżkę, wiodącą wprost do zbrodni. Pewnej nocy, Navarro podsunął drabinę pod okno, wiodące do izdebki, w której, jak wiedział, Ignacy w tej chwili sam jeden się znajdował, by odebrać mu życie wyostrzonym sztyletem, który niósł ze sobą. Już wstąpił na pierwsze szczeble drabiny, gdy wtem posłyszał wyraźne, groźne zapytanie: "Nędzniku, dokąd i po co idziesz?". Tajemniczy ów głos, wyraźne napomnienie Boże, taką go przejął bojaźnią, że odjął mu niemal przytomność; atoli zamiast cofnąć się,

szedł dalej, ale wszedłszy do pokoiku Ignacego, rzucił się przed nim na kolana, wyznał swój zbrodniczy zamiar i począł błagać o miłosierdzie i przebaczenie. Święty postąpił sobie, jak wszyscy wierni naśladowcy Chrystusa zwykli postępować z nieprzyjaciółmi: przycisnął go do piersi i napomniał tylko, aby i z Bogiem co prędzej się pojednał. Niestety! głos Boży powstrzymał zbrodniczą rękę, wstrząsnął na chwilę sercem grzesznika, ale nie przedostał się aż do jego głębi, po ochłonięciu z pierwszego wrażenia, Navarro wrócił do dawnego życia i dawnego sposobu myślenia i za lat kilka stanąć miał znowu w szeregach jawnych nieprzyjaciół Świętego.

Do pierwszych dwóch uczniów Ignacego, Ksawerego i Fabra, przyłączyło się w niedługim odstępie czasu kilku innych. Dwaj nadzwyczaj utalentowani młodzieńcy, Jakub Laynez i Alfons Salmeron, przybyli w r. 1533 z Alkali do Paryża zarówno w zamiarze dalszego kształcenia się, jak i dla zapoznania się z "pielgrzymem", o którym nasłuchali się w rodzinnych swych stronach tyle nadzwyczajnych rzeczy. Laynez liczył w tej chwili dwudziesty pierwszy rok życia, od czterech lat nosił tytuł doktora filozofii i teraz już zadziwiał wszystkich bystrością umysłu i wiedzą, która go miała uczynić jednym z największych uczonych i najgłębszych teologów swego wieku. Młodszy o dwa lata Salmeron oddawał się z szczególnym upodobaniem nauce języków starożytnych. Zaledwie młodzi podróżni wjechali do Paryża i przed poleconą sobie gospodą zsiadli z koni, zwrócił ich uwagę poważny jakiś człowiek, który bacznie im się przypatrywał. "To nie może być kto inny, tylko Ignacy!" zawołał wiedziony przecuciem Laynez i zbliżył się do nieznanomego. Znajomość zawarta w ten sposób zmieniła się po kilku dniach w ścisłą przyjaźń, a wynikiem jej było, że dwaj świeżo przybyli poddali się niebawem zupełnie pod kierunek starszego doświadczonego przyjaciela.

Bez trudności również i bez długich walk uznali w Ignacym wybranego sobie od Boga mistrza i przewodnika młody Portugalczyk, Szymon Rodriguez z Azevedo, i były profesor filozofii w Valladolid, Mikołaj Bobadilla. Ten ostatni znajdował się w bardzo przykrym materialnym położeniu i zawdzięczał Ignacemu nie tylko pokarm dla duszy, ale często posiłek ciała. Rodriguez łączył w sobie prawdziwie anielską niewinność obyczajów z wielką gorliwością o zbawienie dusz, dla których pragnął pracować na misjach, a przede wszystkim w Palestynie. Z pragnieniem tym zwierzył się Ignacemu, a gdy i ten przedłożył mu podobne plany i zamiary, nie trudno było o wzajemne porozumienie się.

Porozumienie to jednak nie mogło być zupełnym; przyprowadzeni do Ignacego ręką Bożą przyjaciele nie mogli objąć w całości i zrozumieć we wszystkich szczegółach zamierzonej przezeń pod sztandarem Chrystusowym wyprawy w celu utwierdzenia i rozszerzenia Królestwa Bożego na ziemi, dopóki nie otrzymali niejako klucza do wzniosłych tych planów w "ćwiczeniach duchownych". Faber odprawił je w zimowych miesiącach, r. 1534, po powrocie z Sabaudii, gdzie spędził kilka miesięcy w rodzicielskim domu. Łaska Boża spływała pełnymi strumieniami do jego serca i napełniała je takim światłem i pociechą, że zdawało mu się chwilami, jakby już nie na ziemi, ale w niebie przebywał. Przez pierwszych sześć dni nie wziął nic do ust i dopiero na rozkaz Ignacego musiał przerwać ten post. Pomimo wyjątkowo ostrej zimy stał całymi godzinami na podwórku odosobnionego domu, do którego się schronił, a wpatrując się w niebo i o nim rozmyślając, zapominał o ziemi; pałając wewnętrznym ogniem, nie czuł zimna. W tym samym mniej więcej czasie odprawili rekolekcje Laynez, Salmeron, Rodriguez i Bobadilla i również wyszli z nich jakby innymi ludźmi, jeden mając przed sobą cel służyć pod wodzem Chrystusem, jedno pragnienie wstępować we wszystkim i zawsze jak najbliżej w Jego ślady. Ksawery odłożyć musiał, z powodu profesorskich zajęć, odprawienie rekolekcji na letnie wakacyjne miesiące.

Sześciu tych ludzi, skupionych koło Ignacego, oddało już Panu swą wolność, rozum i wolę; powiedziało ze serca najwyższemu swemu Hetmanowi: (5) "Chcę i pragnę i silne mam postanowienie naśladować Cię w ponoszeniu wszelkich krzywd i wszelkiej wzgardy i w zupełnym ubóstwie tak rzeczywistym, jak duchownym". Niebawem jeszcze jaśniej mieli sobie określić, w jaki sposób w jeden hufiec złączeni, uroczystą przysięgą wierność Chrystusowi zaprzysięgłszy, mieli rozszerzać cześć i chwałę Bożą. W lipcu 1534 r. zalecił Ignacy współtowarzyszom błagać Boga w szczególny sposób przez podwojone modlitwy i umartwienia o łaskę oświecenia co do przyszłego rodzaju życia. Bez długich rozpraw zgodzili się wszyscy jednomyślnie, że Bóg domaga się od nich pracy nad zbawieniem dusz. Pracy tej pragnęli się poświęcić w tym samym kraju, w którym Chrystus przechodził od miasta do miasta, od wsi do wsi, wszędzie dobrze czyniąc i opowiadając Królestwo Boże. W tym celu postanowili po ukończeniu swych nauk udać się do Ziemi Świętej i tam przez całe życie pracować nad nawróceniem żydów i pogan. W razie gdyby pielgrzymka do Jerozolimy okazała się z jakich bądź przyczyn niemożliwą, uradzili udać się do Wenecji i tam czekać przez rok na usunięcie napotkanych trudności, jeśliby zaś w tym czasie trudności nie dały się przezwyciężyć, jeśliby

nie mogli znaleźć miejsca na żadnym statku odpływającym do Ziemi Świętej, lub władze duchowne nie pozwoliły im w Palestynie pozostać, natenczas zebrać się mieli w Rzymie i oddać się papieżowi do rozporządzenia, aby jako Namiestnik Chrystusowy tam ich posłał i do tego ich użył, co będzie uważał za najodpowiedniejsze dla większej chwały Bożej i dla własnego ich dobra i dla zbawienia dusz. Aby się obwarować przeciw możliwym pokusom i trudnościom w spełnieniu tych postanowień i większą z wykonania ich mieć przed Bogiem zasługę, uchwalili zobowiązać się do nich odrębnym ślubem, a zarazem złożyć niezbędne do wprowadzenia ich w życie śluby czystości i ubóstwa.

"Siedmiu pierwszych Ojców – opowiada jeden z ich liczby, Szymon Rodriguez (6) – po należyтым namyśle, złożyli pierwsze swe śluby 15 sierpnia 1534 r. w uroczystość Wniebowzięcia Najświętszej Panny Maryi. Do aktu tego wybrali kaplicę św. Dionizego, leżącą w połowie drogi na szczyt Góry Męczenników (Montmartre). Byli tam zupełnie sami, z dala od zgiełku, nie potrzebowali się lękać, aby im kto przeszkodził. O. Faber odprawił Mszę św. Kiedy miał rozdać komunię św. swym towarzyszom, wziął Hostię w rękę i obrócił się ku nim. Z sercem w Bogu utkwionym, klęcząc na posadzce, złożyli wszyscy jeden po drugim swe śluby, wyraźnym głosem, tak że obecni bez trudności słyszeć ich mogli, a następnie przystąpili do komunii św. – O. Faber, skoro powrócił do ołtarza, złożył również swe śluby, dobitnym i wyraźnym głosem, tak aby go przytomni mogli słyszeć, a potem spożył Przenajświętszą Hostię. Pierwsi ci Ojcowie oddali się Bogu bez żadnego zastrzeżenia. Całopalną ofiarę ze siebie samych złożyli z taką radością, zrzekli się tak zupełnie własnej swej woli, pokładając całą swą nadzieję jedynie w miłosierdziu Bożym, że dziś jeszcze, gdy sobie te czasy przypominam, opanowuje mię wzruszenie, nabożeństwo we mnie się wzmaga, podziw rośnie. Niechaj Bóg na wieki będzie błogosławiony za wszystkie łaski, których nam w dniu tym udzielił; niechaj będzie wychwalony na wieki, że raczył na nas wejrzeć i nad nami się zmiłować!... Udaliśmy się później do źródła św. Dionizego, aby tam przepędzić resztę dnia. Źródło to, w którym św. Dionizy, niosąc głowę w rękach, obmył ją ze ściekającej krwi, leży u stóp góry, ale po stronie przeciwnej, niż kaplica, w której złożyliśmy śluby. Radość w duszach naszych była wielką, wyjawiała się ona na zewnątrz i nie rozmawialiśmy o niczym innym, jak tylko o służbie Bożej. Wieczorem o zachodzie słońca, wróciliśmy do siebie, chwając i błogosławiąc Panu".

"W dwóch następnych latach (1535 i 1536) – uzupełnia to opowiadanie bł. Piotr Faber – zeszedliśmy się znowu w tymże samym dniu i w tejże samej kaplicy i ponowiliśmy nasze postanowienia, z wielką za każdym razem pociechą duchowną. Byli już wtedy z nami Mag. Klaudiusz le Jay, Mag. Jan Codure i Mag. Paschazjusz Broet".

Trzej wymienieni przez Fabra nowi uczniowie i towarzysze Ignacego, rodem Francuzi, zapisali się do tego wybranego hufca, również wskutek odprawionych "ćwiczeń duchownych". U wszystkich było serce i dusza jedna; nie było "mego" i "twego", a jeśli zachodziło jakie współzawodnictwo, to jedynie w tym chyba, kto bliżej stanie Bożego Wodza, kto sobie przygotowuje lepszą broń na zamierzone walki. Jak mogli najczęściej, schodzili się wszyscy razem, aby w wspólnej modlitwie i rozmowie pokrzepić się na duchu i utwierdzić w powziętych postanowieniach. Co dzień odprawiali rozmyślanie, co tydzień przystępowali do spowiedzi i komunii św., a te pobożne ćwiczenia nie tylko nie przeszkadzały im w naukach, lecz przeciwnie nowego wciąż dodawały bodźca do pilnej wytrwałej pracy: wiedzieli, że wielkiemu Panu służą, pamiętali, że wszystko co czynią, czynić winni – jak im Ignacy wciąż słowem i przykładem powtarzał – na większą chwałę Bożą.

Tak z dniem każdym zbliżała się chwila, w której wielkie, w manreskiej grocie pod wyraźnym natchnieniem Bożym powzięte zamiary oblec się miały w rzeczywistość. Aby lepiej łasce Bożej odpowiedzieć i lepiej się do wskazanego sobie przez Opatrzność zadania przygotować, obawiając się, aby długie lata nauki nie ostudziły w jego sercu dawnego zapалу, zapragnął Ignacy powrócić teraz choć w części i na krótki czas do manreskiego sposobu życia. Na "Górze Męczenników" odnalazł odosobnioną, ponurą jaskinię i tam długie godziny spędzał na modlitwie i ostrej pokucie. Zapałowi duszy, pragnącej cierpieć dla Chrystusa, nie odpowiedziały jednak siły ciała i tak już nadwątlone dawnymi umartwieniami i ciągłą wyteżoną pracą. Bóle żołądka, które trapiły go już od wielu lat, wzmogły się teraz nadzwyczajnie, a do nich przyłączyło się ogólne osłabienie, nie pozwalające na serio poświęcać się naukom. Lekarze próbowali różnych środków zaradczych, wreszcie oświadczyli, że tylko powietrze rodzinnego kraju może przynieść zastarzałej chorobie gruntowną pomoc. Jednocześnie inna jeszcze, w myśli Ignacego ważniejsza przyczyna domagała się podróży jego do Hiszpanii. Ksawery, Laynez i Salmeron musieli uregulować pewne domowe interesy i rozporządzić stosownie do złożonego ślubu ubóstwa przypadającym sobie majątkiem; ale przeprowadzając osobiście te sprawy,

łatwo narażeni być mogli na różne trudności i niechęci ze strony rodziny. Dlatego domagali się od Ignacego, aby on w ich imieniu z większą wolnością i nie potrzebując się oglądać na żadne względy, prócz jednej tylko chwały Bożej, pozałatwiał te sprawy, przy czym, niejako mimochodem, mógłby także spełnić polecenie lekarzy i odzyskać zdrowie. "Usłuchał wreszcie Pielgrzym – opowiada później sam Ignacy (7) – rad towarzyszków i postanowił wybrać się w drogę".

Przedtem jednak załatwić jeszcze chciał pewną sprawę, która bardzo mu na sercu leżała, bo jasno i widocznie o nic innego w niej nie chodziło, jak tylko o większą chwałę Bożą. Wyróżniające się od innych pobożnością i skupieniem życie towarzyszków Ignacego dało powód do najrozmaitszych plotek a nawet oszczerstw; odezwały się głosy, że w Paryżu tworzy się jakaś nowa sekta, łącząca w sobie niedorzeczności dawnych mistyków z błędami nowych kacerzy; o "ćwiczeniach duchownych", nie mając o nich, i właśnie dlatego, że nie miano o nich najmniejszego pojęcia, opowiadano niestworzone baśnie. Kilku gorętszych, czy nieroztropniejszych przeciwników ułożyło z tych baśni formalny akt oskarżenia i wniosło go przed trybunał inkwizytora Walentego Lieven. Święty rozumiejąc, jak to oskarżenie szkodzić mu może w przyszłych pracach podjętych na chwałę Bożą, udał się sam do inkwizytora z gorącą prośbą, aby zbadał dokładnie wszystkie podniesione zarzuty i wydał sprawiedliwy wyrok. Lieven przychylił się do tego wezwania; przeprowadził śledztwo, a następnie ogłosił urzędowy dekret, który raz na zawsze powinien był zamknąć usta wszystkim oszczercom Ignacego, gdyby zła wola, gdyby zbyt głęboko zakorzeniona nienawiść cnoty była w stanie jakimi bądź względami się hamować.

---

### **Przypisy:**

(1) 3 marca 1528, *Cartas*, I. 2.

(2) *Cartas*, t. I, l. c. – Do brata Marcina Garcia de Onaz, w czerwcu 1532.

(3) *Cartas*, t. I. Dok. 6. Instrukcja dla nuncjuszków w Irlandii z 1541 r.

(4) *Cartas*, t. I. Dok. 7. List datowany 25 marca 1535.

(5) *Ćwiczenia duchowne*, drugi tydzień.

(6) Memoriał O. Szym. Rodrigueza, spisany dla generała Towarzystwa Jezusowego, O. Ewerarda Merkuriana, 25 lipca 1557.

(7) *Acta quaedam*, str. 112.





## VI.

### W Hiszpanii i we Włoszech

Odbywszy mozolną wędrówkę, częścią konno, częścią pieszo, stanął Ignacy na ojczystej ziemi, a ledwie odetchnął górskim rodzinnym powietrzem, poczuł, że wracają mu siły i zdrowie. Kilku hiszpańskich podróżnych poznało jeszcze w Bajonnie dawnego rycerza i pana na Loyoli; za ich pośrednictwem rozeszła się szybko w całej okolicy Azpeitii, po zamkach krewnych i przyjaciół, wieść o pojawieniu się świętego pielgrzyma. Brat Ignacego, Marcin Garcia, wysłał swe sługi na zwiady o chwili przybycia pożądanego gościa, kiedy posłańcy donieśli, że już przybywa, uderzyły w kościele dzwony i wielka procesja duchowieństwa, ludu i licznych krewnych Ignacego, wyruszyła na jego spotkanie. Marcin i księża chcieli poprowadzić Ignacego jakby w triumfie do zamku w Loyoli; lecz Święty, mimo najgorętszych próśb, zgodzić się na to nie chciał i stanowczo z góry oświadczył, że nie zamieszka w rodzinnym zamku, ale w Azpeitii, w szpitalu św. Magdaleny. "Zostałem ubogim dla Jezusa Chrystusa – tę samą powtarzał odpowiedź na wszystkie prośby i zarzuty – nie wolno mi i nie chcę gdzieindziej mieszkać, jak w domu ubogich".

Nie tylko mieszkał między ubogimi, ale i żył jako jeden z nich, a przykładem takiego umartwionego, wyniszczonego życia więcej dobrego działał, niż zdziałać by mógł najwymowniejszymi kazaniami. Brat posyłał mu jedzenie, postarał się o wygodne łóżko; Ignacy przysyłane potrawy rozdzielał między swych towarzyszków – żebraków, a sam zadawałał się kawałkiem czarnego chleba; łóżko odstąpił jakiemuś choremu, a sam sypiał na ziemi, zamiast poduszek, podkładając pod głowę kawałek drzewa. Powróciło lepsze zdrowie, a jednocześnie powróciły dawne ostre pokuty: włosiennice, krwawe biczowania. Do rodzinnego zamku raz tylko się wybrał i to dlatego, aby nie zasmucić swej bratowej, Magdaleny de Araoz, która klękała przed nim i w imię Jezusa Chrystusa błagała go o tę łaskę. "Takiemu wezwaniu odmówić nie mogę"

– odparł Święty, i stanąwszy w zamku, tegoż samego jeszcze wieczora zgromadził w największej sali wszystkich domowników i przemówił do nich tak gorąco o tym, czym jest życie doczesne, a czym wieczne, że wszyscy się rozplakali. Następnie poprowadzono Ignacego na spoczynek do przygotowanego dlań pokoju; tu całą noc przebył na modlitwie, a wczesnym rankiem powrócił do szpitala.

Apostolską pracę w Azpeitii rozpoczął Ignacy – tak jak ją później swym współpracownikom zawsze rozpoczynać polecał – od zgromadzenia koło siebie dzieci i uczenia ich katechizmu. "Nikt nie przyjdzie cię słuchać!" – odradzał Marcin Garcia, gdy mu Ignacy zwierzył się z swym zamiarem. – "Niech przyjdzie tylko jedno dziecko – odparł Święty – a nie żal mi będzie pracy". Niebawem nie jedno, ale mnóstwo dzieci z całej okolicy, a między nimi i wielu starszych kupiło się około katechety, świętością swą i słodyczą jednającego sobie wszystkich; w ich rzędzie stał i sam Marcin i dziwił się, że tyle prawd Bożych, choć na pozór znanych, teraz mu dopiero jasno staje przed oczami, teraz dopiero do serca przenika.

W niedziele i święta zbierały się do Azpeitii tłumy ludu z całej okolicy, żadne posłyszeć pałającego miłością Bożą kaznodzieję, o którym wokoło cuda rozpowiadano. Ani część zgromadzonych nie mogła znaleźć miejsca w kościele; dlatego Ignacy urządził przed kościołem rodzaj ambony i z niej przemawiał do cisnących się około niej tłumów. W pierwszym zaraz kazaniu pozyskał sobie serca wszystkich, a u Boga, który pokornym obiecał błogosławieństwo swe wyjednał sobie szczególne łaski dla podjętych prac, aktem głębokiej pokory. "Różne przyczyny – mówił – do was mię sprowadziły, ale jedną z najważniejszych było pragnienie wyznania i zadośćuczynienia za pewną winę popełnioną tu dawnymi laty. Kiedy byłem jeszcze dzieckiem, zakradłem się z kilku towarzyszami do pewnego ogrodu, narwaliśmy w nim owoców i uciekli. Właściciel, podejrzewając o tę kradzież pewnego biedaka, kazał go przytrzymać i wtrącić do więzienia, a sąd skazał go na zapłacenie pięciu czy sześciu dukatów kary". "Tego niewinnie skazanego widzę teraz pomiędzy wami" – ciągnął dalej Ignacy; wymienił jego nazwisko i błagając o przebaczenie za wyrządzoną krzywdę, obdarzył go publicznie dwoma kawałkami gruntu, które dotąd były jeszcze jego własnością.

Na kazaniach, w naukach katechizmowych i w prywatnych rozmowach nie zadawał się Ignacy ogólnym ganieniem występków i wychwalaniem cnoty; ale rozpatrzywszy się, jakie głównie grzechy panują w tej okolicy, jakie

nałogi więcej do piekła prowadzą nieśmiertelnych dusz, przeciw tym grzechom i nałogom obracał swe napomnienia, szukał praktycznych środków, które by im mogły skutecznie tamę postawić. I tak, wpływem swym wyjednał u gubernatora prowincji, że zarządził i wprowadził w życie surowe kary przeciw rozpucie i szulerstwu. Kilka kobiet złego życia, skruszonych jego słowami, poprosiły o publiczną pokutę dla naprawienia danego zgorszenia, a następnie poświęciły resztę życia służbie chorych i ubogich po szpitalach. Po innym znów kazaniu zapamiętali gracze rzucili w oczach wszystkich swe karty i kości do rzeki i przez trzy lata, jak zapewniają historycy, nikt w całej Azpeitii nie wziął kart do ręki. W czasie nauki o zbytkach i nieskromnych strojach, powstał nieutulony płacz i jęk; kobiety biły się w piersi, głośno obiecywały poprawę i co ważniejsza, obietnic swych dotrzymały. Odtąd przez wiele lat nie słyszano też w całej tej okolicy tak zwykłych dotychczas przysiąg i zaklęć; gdy ktoś zaczynał przeklinać, drugi przypominał mu Ignacego, a jedno to słowo zdolne było powstrzymać w zapędzie nawet najzapalczywszych.

Wykorzeniając grzechy, starał się jednocześnie gorliwy misjonarz o obudzenie w sercach miłości cnoty i o ułatwienie drogi do niej. Co udało mu się zrobić za łaską Bożą, a czego trwale ślady długo jeszcze pozostawały, o tym opowiada sam w liście pisanym w pięć lat później do mieszkańców miasta Azpeitia:

"Gdym przybył do was z Paryża, nie czułem się zdrowym, ale Bóg Pan nasz użył mi, wedle zwykłego swego miłosierdzia, trochę sił do pracy, jakieście tego doznali. Czegom zrobić zaniechał, to przypisać należy grzechom moim wszędzie mi towarzyszącym... Dobre wtedy było usposobienie wasze; święte i chwalebne zwyczaje zaprowadziliście u siebie, a mianowicie postanowiliście wzywać wiernych dzwonieniem do modlitwy za pozostających w grzechu śmiertelnym, wspomagać ubogich, aby żebractwo zupełnie w okolicy waszej ustało, zaprzestać gry w karty i nie dopuszczać do domów waszych ludzi, którzy je sprzedają i wyrabiają, nie dozwałać złym kobietom noszenia oznak, właściwych tylko kobietom zamężnym, co było powodem niemałej obrazy Pana Boga. Przypominam też sobie, że przez cały czas pobytu mojego strzeżliście i przykładowie zachowywaliście te świeżo w życie wprowadzone święte zwyczaje z niemałą pomocą i łaską Bożą, która pobudziła was do tak świętego przedsięwzięcia" (1).

Przede wszystkim pragnął Święty rozpaścić wielką miłość dla Pana Jezusa, ukrytego w Najświętszym Sakramencie i w tym celu założył podwaliny

osobnego bractwa, dla którego później wystarał się o potwierdzenie Stolicy Apostolskiej, o odpusty i łaski duchowne: "Proszę was – pisał przesyłając bulle papieską (2) – błagam i zaklinam przez miłość i chwałę Boga Pana naszego, czcijcie, wielbijcie, służcie z wielką miłością, wyteżając wszystkie swe siły, Jednorodzonemu Synowi Bożemu, Chrystusowi Panu naszemu, w tym tak wielkim dziele Jego – w Najświętszym Sakramencie, – w którym Boski Jego Majestat, jako Bóg i jako człowiek się ukrywa, a tak jest wielkim, tak całym sobą bez ujmy żadnej, tak potężnym i tak nieskończonym, jak jest w niebie. W bractwie waszym domagają się ustawy, aby każdy członek przystępował raz na miesiąc do spowiedzi i komunii świętej; wszakże zawsze z dobrej swej woli i nie zobowiązując się do tego pod grzechem. Nie wątpię i najmocniej jestem przekonany, że postępując sobie w ten sposób i wiernie spełniając wasze brackie obowiązki, osiągnięcie niewypowiedziane wielkie korzyści duchowne".

Ignacy nie żałował sił w podjętej pracy; ożywiająca go gorliwość o zbawienie dusz, dodawała mu niejako skrzydeł, nie pozwalała czuć niewygód i utrudzenia, ale pomimo to nigdy by z pewnością nie osiągnął tak zadziwiających skutków, gdyby sam Bóg nadprzyrodzoną pomocą nie otwierał mu drogi do serc. Jeden z najciężej chorych w szpitalu, w którym Ignacy mieszkał i usługiwał, przyszedł w jednej chwili do zupełnego zdrowia, skoro sługa Boży nad nim się pomodlił i dotknął rozpalonego jego czoła. Pewna kobieta, mająca od dawnego już czasu rękę sparaliżowaną, ucałowała tylko z wielką ufnością suknię Ignacego, a natychmiast odzyskała w ręku władzę i dawną siłę. Na wieść o tych cudach, przyniesiono z dalszych okolic kilku chorych, o których życiu rodzina już zrozpaczyła; sługa Boży przeżegnał ich, pomodlił się, kazał silnie ufać w miłosierdziu Pańskim, i istotnie miłosierny Pan powrócił tym chorym zdrowie. Z darem czynienia cudów połączył Bóg dar patrzenia w przyszłość. Pewnemu jękającemu się chłopczykowi, z którego powszechnie się wyśmiewano, Święty przepowiedział, że zostanie księdzem i wiele zdoła na chwałę Bożą; błogosławiąc innemu, rzekł do matki: "Dziękuj Panu Bogu, syn twój doczeka się późnego wieku i liczego potomstwa". Obie te przepowiednie dosłownie się spełniły.

Cudownie lecząc, troskliwie innych pielęgnując, Ignacy sam ciężko zachorował, ale dzięki troskliwej opiece dwóch swych bratowych, które go jak świętego czciły, Marii de Oriala i Szymonowej de Algaza, a bardziej jeszcze dzięki nadprzyrodzonym pociechom, którymi Bóg hojnie go za podjęte trudy nagradzał, przyszedł niezadługo do zdrowia o tyle przynajmniej, iż mógł wybrać

się w dalszą drogę. Mieszkańcy Azpeitii, Loyoli i okolicznych wsi i miasteczek dowiedzieli się z niezmierną boleścią, że Święty zamyśla ich opuścić. Wielu łzami i prośbami próbowano choć o kilka miesięcy, choć o kilka tygodni odwlec chwilę rozstania się. "Nie proście – odpowiedział Ignacy – większa chwała Boża gdzieindziej mię wzywa, a wobec tego względu wszystkie inne muszą ustąpić". – "To przynajmniej, zażądał don Garcia, nie przynoś nam wstydu, i odbywaj dalszą podróż do Hiszpanii konno, w orszaku sług, których ci dodam, jak przystało na członka naszej rodziny". Ignacy nie chcąc zbyt brata zasmucić, przyjął ofiarowanego sobie wierzchowca i kilku sług, ale przybywszy do granic Guipuzcoi odprawił sługi i otrzymane podarunki przez nich do Loyoli odesłał, a sam puścił się dalej piechotą, żyjąc po drodze z jałmużny.

W Obanos, małym miasteczku, leżącym trzy mile od Pampelony, mieszkał starszy brat Franciszka Ksawerego, Jan de Azpecuete; tutaj więc najprzód wstąpił Święty, aby oddać powierzone sobie listy i załatwić majątkowe i rodzinne sprawy przyszłego Apostoła Indyj. Następnie przez Almazan i Toledo, gdzie uregulować musiał sprawy dwóch innych swych towarzyszy, Layneza i Salmerona, podążył na Walencję do Segorbii, do dawnego swego paryskiego nauczyciela i przyjaciela, Jana de Castro, z którym pragnął się rozmówić i poradzić co do swoich zamiarów na przyszłość. Jan de Castro wstąpił był właśnie przed paru miesiącami do nowicjatu Kartuzów; przyjął pielgrzyma z otwartymi rękami, a gdy ten nakreślił mu w głównych zarysach plan i cele przyszłego zakonu, tak do tej myśli się zapalił, iż w pierwszej chwili chciał sam natychmiast opuścić kartuzję, aby móc walczyć pod chorągwią, przez Ignacego zatkniętą.

– "Nie! – odparł Ignacy – Bóg tutaj cię powołał, tutaj więc pozostań; módl się tylko, aby Bóg w zamiarach naszych nam pobłogosławił, a modlitwą swą więcej z pewnością zdziałasz i więcej dusz zbawisz, niż gdybyś sam, wbrew woli Bożej, opowiadał Ewangelię choćby po świecie całym".

Równie w Segorbii, jak w Walencji, odradzano Ignacemu morską podróż do Włoch z obawy przed strasznym, stojącym w służbie sułtana korsarzem, Barbarossą, którego statki krążyły po Śródziemnym morzu. Przed tym niebezpieczeństwem Bóg go obronił; natomiast groźna burza o mało co nie zatopiła okrętu i wszystkich podróżnych. Wściekły wichur poprzerywał liny, zdruzgotał maszty i rzucał dowolnie statkiem to w tę, to w tamtą stronę. Podróźni pewni, że ostatnia ich godzina nadeszła, nie próbowali już przed nią się bronić, ale tylko przygotowywali się do niej żarliwą modlitwą. Ignacy zaczął

również sumienie swe roztrząsać i przepraszać Boga za to, że jak mu się zdawało, nie dosyć korzystał z otrzymanych łask, nie kupczył należycie poręczonymi sobie talentami. Tymczasem burza straciła nieco na sile i po wielogodzinnych usiłowaniach udało się wreszcie żeglarzom wprowadzić skołatany, na pół zniszczony statek do genueńskiego portu.

Ledwie ustąpiło jedno niebezpieczeństwo, a już drugie, niemniej groźne, w oczy zaglądnęło. Pielgrzym nasz, udając się do Wenecji, przejść musiał przez góry Apenińskie; pewnego dnia zgubił drogę, aż wspinając się coraz wyżej stromą, nad przepaścią wiodącą ścieżką, znalazł się nagle w miejscu, z którego każdy krok niechybną, zdawało się, groził śmiercią. Deszcze zmieniły grunt w olbrzymie bagno, skały dalszą tamowały drogę, pod stopami odzywał się dziki szum wezbranego i z szaloną szybkością pędzącego górskiego potoku. Ignacy był przekonany, że godzina śmierci jego nadeszła; poleciał Bogu duszę, a następnie rękami sobie dopomagając, nurzając się w błocie, to znów przeskakując z kamienia na kamień, doczołgał się wreszcie raczej niż doszedł do jakiejś ścieżki. Przechodnie pokazywali sobie palcami to straszidło błotem okryte; ale za dopuszczeniem Boga, doświadczającego cierpliwość swego sługi, nikt mu pomocnej ręki nie podał. Siły tak opuściły Świętego, że na moście przed samą Bolonią nie mógł już dłużej utrzymać się na nogach i padł do rowu napełnionego wodą i błotem. Zimno orzeźwiło go; podniósł się z trudem i wśród śmiechu i żartów pospólstwa, obchodzić począł znaczniejsze domy, błagając o kawałek chleba, o starą jakąś odzież. Rzecz dziwna, zwłaszcza w tak bogatym, z miłosierdzia skądinąd słynnym mieście, wszystkie bramy zamykały się przed nieszczęśliwym, wszyscy, których o pomoc prosił, odwracali się od niego ze wstrętem, lub gorszym od wstrętu szyderczym śmiechem. Wreszcie zlitowało się paru miłosiernych Hiszpanów i zaprowadziło ledwie już mogącego ruszać się z głodu i z choroby Ignacego do szpitala. "Na piętnaście dni przed Bożym Narodzeniem – pisał Święty z Wenecji pod datą 12 lutego 1536 r., do przyjaciela swego, Jakuba Cazadora (3) – takem się w Bolonii rozchorował, że położyć się musiałem i leżałem przez dni siedem czując dreszcze, gorączkę, bóle żołądka. To opóźniło moją podróż do Wenecji, gdzie znajduję się już od półtora miesiąca. Znacznie jestem zdrowszy i mam szczęście być w domu i znajdować się w towarzystwie pewnego bardzo uczonego i dobrego męża, tak, iż zdaje mi się, że nigdzie lepiej by mi być nie mogło".

W Wenecji, gdzie stosownie do dawniejszej umowy miał czekać na paryskich towarzyszy, wziął się Ignacy na nowo do przerwanych przez

dłuższy czas nauk teologicznych, a jednocześnie starał się, gdzie i jak mógł, pozyskiwać dusze Bogu. Kilku senatorów weneckich, kilku znakomitych Wenecjan, między innymi Piotr Contarini, późniejszy biskup na Cyprze, odprawili rekolekcje pod kierunkiem Świętego. Kilku Hiszpanów, znajomych Ignacego jeszcze z Alkali, zatrzymało się w Wenecji w tym samym celu, wracając z pielgrzymki do Jerozolimy, a w parę lat później stali się zakonnikami synami duchownego swego mistrza. Inny uczony Hiszpan, Hozjusz, nasłuchiwał się tyłu najróżniejszych bajek o rekolekcjach, że chociaż Ignacego osobiście znał i czczył, wahał się dłuższy czas i zdecydować się nie mógł na rozpoczęcie "ćwiczeń duchownych". Wreszcie zdecydował się; lecz nie mogąc zupełnie jeszcze pozbyć się nieufności, zabrał ze sobą kilka teologicznych dzieł, aby z ich pomocą zwalczać błędy, które by mu w rekolekcjach poddawano. Niedługo trwała nieufność. Po pierwszych rozmyślaniach, nowy jakiś wyższy świat otworzył się przed umysłem Hozjusza; ze łzami otworzył Ignacemu swe serce i o to tylko prosił, aby zechciał go przyjąć do liczby uczniów swych i towarzyszków.

Święty niejednokrotnie pisał w swych listach: "Nieprzyjaciół rodu ludzkiego, widząc, że ktoś wiernie Bogu służy i wiele dobrego działa dla chwały Bożej, stara mu się w tym wszelkimi środkami przeszkodzić"; prawdziwość tych słów miała się okazać i obecnie w samym życiu piszącego, zresztą nie pierwszy i nie ostatni raz. Kilku niechętnych, zazdrosnych wpływu, jaki Ignacy sobie z dnia na dzień zyskiwał, rozpuściło pogłoskę, że ów tak wielbiony dla swej świętobliwości człowiek jest niebezpiecznym włóczęgą, karany po kilkakrotnie w Hiszpanii, ściganym w Paryżu, gdzie nawet miano go zasądzić na karę śmierci. Potwarze te mogły Ignacemu zaszkodzić w dalszej pracy nad duszami; dlatego nie dozwolił swobodnie im się krzewić, lecz stanąwszy sam przed nuncjuszem papieskim, Hieronimem Veralli, zażądał surowego śledztwa i wydania na siebie potępiającego lub uniewinniającego wyroku. Nuncjusz zbadał dokładnie sprawę i ogłosił publicznie wyrok, w którym wracał Ignacemu w całej pełni złośliwie wydartą dobrą sławę, a oskarżycieli jego piętnował zasłużoną nazwą podłych oszczerców.

Tymczasem, kiedy Ignacy pracował i cierpiał w Hiszpanii i we Włoszech, paryscy towarzysze również przez pracę, przez cierpienia gotowali się do przyszłych bojów o dusze. Zwłaszcza Piotr Faber udzielał bardzo wielu szkolnym kolegom "ćwiczeń duchownych" a Pan Bóg dawał jego słowom moc prawdziwie cudowną. Dzięki tym "ćwiczeniom" przyłączyło się do szczupłej

gromadki, zgromadzonej już poprzednio przez Ignacego, trzech nowych towarzyszków: Klaudiusz le Jay, Jan Codure i Paschazjusz Brouet; dwaj pierwsi byli już kapłanami, trzeci ukończył również teologiczne nauki i w każdej chwili mógł być wyświęconym. "W dzień Wniebowzięcia Najświętszej Panny – czytamy w zeznaniach złożonych w wiele lat później przez Ojców Layneza i Salmerona – odnowiliśmy na Górze Męczenników śluby nasze i w ten dzień, podobnie jak wielekroć kiedy indziej, zasiedliśmy razem do wspólnego posiłku, ściśle miłością zjednoczeni. W oznaczonych odstępach czasu udawaliśmy się kolejno do domu jednego z pośród nas. Częste te zebrania i pobożne rozmowy, do których dawały nam sposobność, przyczyniały się niemało do podtrzymywania w nas gorliwości Bożej. Jednocześnie Pan Bóg dopomagał nam w szczególny sposób w naukach i uczyniliśmy w nich dość znaczne postępy, skierowane za łaską Bożą, do chwały Pańskiej i korzyści bliźnich. Przede wszystkim jednak zawdzięczaliśmy pomocy Bożej gorącą miłość, która nas jednoczyła i uczyła, jak mamy sobie wzajemnie dopomagać, nawet w doczesnych potrzebach. Takim był nasz rodzaj życia, przepisany przez Ojca naszego Ignacego".

Wedle dawniej ułożonego planu mieli paryscy towarzysze opuścić stolicę Francji i udać się w drogę do Wenecji, aby tam z Ignacym się połączyć, w uroczystość Nawrócenia św. Pawła, 25 stycznia 1537 r. Wojna, jaka wybuchła między cesarzem Karolem V a królem francuskim Franciszkiem I o następstwo tronu mediolańskiego, pokrzyżowała te plany i zmusiła do pospiesznego opuszczenia Paryża. Nie trzeba było zresztą długich przygotowań do długiej i mozolnej drogi; mały, na plecach niesiony tłumoczek z pismami teologicznymi i pokutniczymi narzędziami stanowił cały majątek i wszystkie podrózne zasoby odważnych wędrowców. Na kilka dni przed opuszczeniem Paryża, Ksawery otrzymał wiadomość, że został zamianowany kanonikiem pampelońskim; niedaleko Melun zabiegł znowu pielgrzymom drogę brat Szymona Rodrigueza i tysiącnymi czułymi prośbami i namowami usiłował odłączyć go od reszty towarzyszków i pociągnąć za sobą do rodzinnej Portugalii. Próżne zabiegi! – jak Ksawerego nie przemogła ambicja, tak w sercu Rodrigueza nie potrafiła miłość rodziny przewyciężyć miłości Bożej.

Na większe niebezpieczeństwo naraziła Ksawerego nie dość tym razem roztropna żądza cierpienia i umartwiania się. Po paru dniach podróży towarzysze spostrzegli, że Ksawery postępuje zaledwie krok za krokiem i to z wielką trudnością. Zdziwieni i zaniepokojeni wypytywać go zaczęli, czy nie chory, a raczej co mu dolega, a choć Ksawery z początku widocznie nie rad był



tym pytaniom, ostatecznie musiał przyznać się szczerze do prawdy. Dawniejszymi laty słynął on w gronie znajomych i sam niemało był próżny z wielkiej swej szybkości w biegu, z zręczności w skakaniu, w szermierce, z pięknej, prawdziwie rycerskiej postawy; za próżność tę szczerze już i niejednokrotnie przeproszał Boga, a pragnąc za nią bardziej jeszcze odpokutować, tak silnie przed samym odejściem z Paryża pościskał sobie nogi i ramiona ostrymi sznurkami, że w czasie drogi zagłębiły się one w ciało i okrutnie je raniły. Przywołany w pierwszym napotkanym miasteczku cyrulik przyglądał się ranom i oświadczył z góry, że tu nic sztuka jego nie pomoże: "Trzeba by, mówił, całe ręce i nogi pokrajać, a do takiej operacji, w której nie trudno o żyłą jaką zawadzić i do śmierci przyprowadzić, nie chcę się zabierać; nic innego nie pozostaje, tylko Panu Bogu się polecić, bo ludzka pomoc nie wystarczy". Ksawery i wszyscy jego towarzysze poszli za tą radą, a Bóg wysłuchał ich prośby, okazując tym samym jak miłym Mu było umartwienie może nieroztropne, ale z dobrą wiarą podjęte. Nazajutrz rano poczciwy cyrulik nie mógł wyjść z podziwienia, widząc, że na ciele wczoraj jeszcze tak strasznie zbolałym, nie ma ani śladu rany, ani śladu bólu.

Przez całą Lotaryngię prześladowały pielgrzymów ustawiczne deszcze i śniegi; nieraz zatrzymywały ich rozrzucone po całym kraju wojska francuskie; ale Boska Opatrzność nie przestawała czuwać nad swymi sługami i znanymi sobie, najmędrszymi drogami wyprowadzać z niebezpieczeństw. Poza granicą francuską czekały na nich inne, nie mniejsze przykrości i trudności. Heretycy niemieccy, widząc różańce zawieszane na szyi, lub u pasa, rozpoznawali od razu po nieomylnym tym znaku katolickich pielgrzymów i nie szczydzili im wyrzutów, szyderstw i obelg. W Bazylei kilku protestanckich hersztów wyzwało ich na publiczną dysputę; odmówić było niepodobna, ale wyzywający pożałowali wnet swej śmiałości; a jeden otwarcie uznał się za zwyciężonego. W małej znów jakiejś wiosce, o pięć mil od Konstancji, pewien nieszczęśliwy ksiądz apostata zwołał do gospody wszystkich mieszkańców, aby byli świadkami walnego zwycięstwa, które, jak głośno się chełpił, miał niewątpliwie odnieść w uczonej walce z katolickimi "nieukami". Dysputa trwała godzin kilka z rzędu; wreszcie pijany od gniewu i zbyt hojnie użytego wina apostata przerwał rozmowę groźbą: "Jutro rano każę was wszystkich wrzucić do więzienia, a wtedy przekonacie się, czy nie mam słuszności!".

Wczesnym rankiem dnia następnego zjawił się przed gospodą nieznanym jakiś młodzieniec, prawdopodobnie żarliwy katolik, który dowiedział się o niebezpieczeństwie, zagrażającym pobożnym pielgrzymom i ubocznymi,

góorskimi ścieżkami przeprowadził ich na główny gościniec, wiodący już wprost do Konstancji. Niedaleko od miasta spostrzegła idących z okien szpitala znajdująca się tamże staruszka, a widząc różańce zawieszane na szyjach nieznanym wędrowców, wybiegła z okrzykami radości i głośno wołać zaczęła do gromadzących się tymczasem mieszkańców pobliskich domów: "Czyż nie mówiłam wam zawsze, że kłamiecie, kiedyście we mnie wmawiali, że na całym świecie już tylko luterska wiara panuje!? A ci tu skądże przychodzą, czy z poza świata? A przecież mają różańce, do Matki Boskiej się modlą, są katolikami, jak tu wszyscy dawniej byli katolikami, dopóki nie przedostała się i nie zniszczyła wszystkiego luterska zaraza!".

Pocziwa, wzruszona do łez staruszka ucałowała ze czcią różańce, a za chwilę wyniosła ze swego pokoiku cały kosz napełniony krzyżami, różańcami i obrazami, które zebrała z pobliskich kościołów i kaplic, chroniąc je w ten sposób przed świętokradzką ręką fanatycznych heretyków. Pielgrzymi nie mniej byli wzruszeni tą prostą, a tak silną wiarą, której żadne namowy, ani pokusy naruszyć nie zdołały. Uklękli, oddali Bogu chwałę i pobożnie ucałowali połamane już, zbezczeszczone krzyże i obrazy. Widok ten pobudził paru gorętszych protestantów do śmiechów i obelg; wędrowcy odpowiadali spokojnie na obelgi cytatami z Pisma św. i dowodami rozumowymi.

6 stycznia 1537 r., po 54 dniach bardzo uciążliwej i męczącej podróży złączyli się towarzysze Ignacego z mistrzem swym w Wenecji. O szczęśliwym tym połączeniu, o następnych kolejach, o zamiarach na przyszłość, opowiada sam Święty w liście, pisanym do jednego z dawnych swych barcelońskich przyjaciół i opiekunów (4).

"Z Paryża przybyło tutaj w połowie stycznia dziewięciu moich przyjaciół w Panu, wszyscy ze stopniem magistrów nauk wyzwolonych, w teologii bardzo wykształceni: czterech Hiszpanów, dwóch Francuzów, dwóch Sabaudczyków, jeden Portugalczyk. Wszyscy oni po podróży odbytej pieszo, w najostrzejszej zimie, przez prowincje zajęte walczącymi wojskami, rozdzielili się tu pomiędzy dwa szpitale, w których służyli ubogim chorym, spełniając usługi najniższe i naturze najbardziej przeciwne. Po dwóch miesiącach takiej pracy udali się z kilku innymi, którzy podobne jak oni żywią zamiary, do Rzymu, aby tam przepędzić Wielki Tydzień. Ubodzy, bez pieniędzy i protekcji ludzi uczonych, bez żadnej innej tego rodzaju pomocy, nadzieję mając i ufając jedynie w Panu, dla którego do Rzymu przybyli, znaleźli tam i to bez trudności więcej, niż pragnęli. Mieli audiencję u papieża i w jego obecności wielu kardynałów,

biskupów i uczonych wdało się z nimi w teologiczne dysputy, a między innymi Dr. Ortiz, który okazał się dla nich nadzwyczaj przychylnym, równie jak i inni znakomici uczeni, tak że papież, a wspólnie z nim wszyscy słuchacze, bardzo był zadowolony i natychmiast udzielił im wszystkich możliwych łask i pozwoleń. Mianowicie zaś: 1) dał papież pozwolenie na drogę do Jerozolimy, dwukrotnie pobłogosławił temu zamiarowi i zachęcił, aby w nim wytrwali; 2) Dał im natychmiast jałmużnę, 60 dukatów, kardynałowie i inne obecne osoby wręczyły im przeszło 150 dukatów, tak że obecnie mają w ręku kwity na 210 dukatów; 3) kapłanom pozwolił spowiadać wiernych; 4) tym, którzy święceń kapłańskich jeszcze nie otrzymali, wydał listy, na mocy których każdy biskup mógł ich wyświęcić w trzy dni świąteczne, lub trzy niedziele. Toteż, gdy powrócili do Wenecji, siedmiu nas (5) otrzymało wszystkie święcenia, na końcu kapłańskie w uroczystość św. Jana Chrzciciela, i złożyliśmy ślub wiecznego ubóstwa na ręce papieskiego legata (Hieronima Verallo), nie z jego rozkazu, ale z własnej naszej dobrej woli. Tenże papieski delegat dozwolił nam bez żadnego ograniczania nauczać, głosić kazania i tłumaczyć Pismo św. publicznie i prywatnie w całym państwie weneckim... Tak Bóg, Pan nasz dopomaga nam, że sami nie wiemy, jak i w jaki cudowny sposób, bez naszego współdziałania, wszystkie pragnienia nasze się ziszczają"...

"Bardzo pragnąłem i spodziewałem się dostać w tym roku do Jerozolimy, ale z powodu tureckiej wojny żaden okręt w tę stronę się nie wybrał i nie wybiera. Zgodziliśmy się zatem wspólnie, aby dane nam kwity na 210 dukatów odesłać do Rzymu, ponieważ nie chcemy używać tych pieniędzy na co innego tylko na drogę, na którą nam ich udzielono; w ten sposób nikt nie będzie mógł myśleć, że pragniemy i łakniemy rzeczy, które świat do śmierci prowadzą... Teraz towarzysze moi po całych Włoszech rozproszą się po dwóch i będą pracować na chwałę Bożą, czekając aż do następnego roku na sposobność żeglugi do Jerozolimy; jeśliby zaś Bogu Panu naszemu nie podobało się sposobności tej użyć, dłużej czekać nie będą, lecz pójdą dalej w wytkniętym już dziś kierunku".

W opowiadaniu swym wspomina Ignacy zaledwie paru słowami o pracach podjętych przez towarzyszy swych w Wenecji; a przecież jak towarzysze ci, tak na pierwszym miejscu on sam, okazali się tu najszczytniejszymi bohaterami chrześcijańskiego miłosierdzia, które troszczy się o dusze, a nie zapomina i o ciele, o doczesnych potrzebach bliźniego. Pięciu, między nimi Ignacy, zamieszkało i posługiwało chorym w szpitalu św. Jana i

Pawła; pięciu, mając na czele św. Franciszka Ksawerego, w szpitalu nieuleczalnych. Ksawery, pragnąc przewyciężyć naturalny wstręt do wrzodów i ran, pielęgnował tych przede wszystkim, od których zwykli szpitalni posługacze odwracali się z obrzydzeniem, owszem nieraz rany całował, z wrzodów wysysał materię. Chorzy, wdzięczni dobroczyńcom swym i lekarzom, z daleka wyciągali do nich ręce, słuchali ze czcią ich nauk, jednali się z Bogiem przez szczerą skruchę i spowiedź. Jeden tylko był głos w obu szpitalach, jeden głos niezadługo w całej Wenecji, powtarzany po ubogich chatkach rybackich, jak po senatorskich pałacach: To chyba nie ludzie, ale Aniołowie; to Święci prawdziwie i po Bożemu "reformujący" świat!

Korzystając z dyspens i pozwoleń papieskich, Ignacy otrzymał niższe święcenia 10-go czerwca 1537 roku; subdiakoniat 15-go, diakonat 17-go, święcenia kapłańskie 24 czerwca z rąk Wincentego Nigusanti, biskupa arbeńskiego. Nigusanti zwykł był później mówić, że nigdy w życiu nie doznał tylu pociech duchownych, jak kiedy kładł ręce swe na głowy Ignacego i jego towarzyszków, udzielając im święceń. Jakaż dopiero słodycz Boża przepelniać musiała serce samych tych nowych kapłanów! Postanowili oni teraz, aby lepiej i w większym spokoju móc się przygotować do odprawienia pierwszej niekrwawej ofiary, opuścić Wenecję i rozproszyć się po okolicznych miastach. Ksawery i Salmeron udali się do Monte-Celso, Codure i Hocez do Trewiry, Le Jay i Rodriguez do Bassano, Broet i Bobadilla do Werony, Ignacy wreszcie z Fabrem i Laynezem do Wicencji. Powtórzyły się niejako manreskie czasy: modlitwa, pokuta stanowiąca i dotąd tło życia nowozacieżnych Chrystusowych rycerzy, zapelnąć teraz miały jeszcze wyłącznie czas oddzielający każdego z nich od pierwszej Mszy św.

"Koło Wicencji – donosił Ignacy weneckiemu swemu uczniowi Piotrowi Contarini (6) – mniej więcej o milę (włoską) od bramy Świętego Krzyża, znaleźliśmy klasztor, znany pod nazwą «Św. Piotra w Vanello», zupełnie opuszczony. Zakonnicy z klasztoru Najświętszej Panny Łaskawej z Wicencji dozwolili nam mieszkać w opuszczonym tym klasztorze, jak długo będzie się nam podobało. Zostaniemy też tu przez kilka miesięcy, jeśli taka będzie wola Boża... Dotąd za łaską Bożą zdrowie nam ciągle służy i dnia każdego coraz wyraźniej doświadczamy prawdy owych słów: «Nic nie mający, a wszystko posiadający» – wszystko, co Pan obiecał dodać tym, którzy na pierwszym miejscu szukają królestwa Bożego i sprawiedliwości Jego"...

Opuszczony klasztor, w którym Ignacy z dwoma towarzyszami swymi znalazł przytułek, niewiele skądinąd różnił się od manrezańskiej grotty. Wybite od dawna okna i drzwi popsute nie chroniły ani od zimna, ani od deszczu; trochę słomy na kamiennej posadzce rozsypanej było jedynym zbytkiem i jedynym zabezpieczeniem od cisnącej się wszystkimi szparami wilgoci. Dwa razy dziennie Faber i Laynez szli do miasta prosić o kawałek chleba i istotnie nie dostawali zazwyczaj nic innego, prócz paru kawałków nieraz nadpsutego, zawsze suchego chleba. Ignacy nie brał udziału w żebraczych tych wycieczkach z powodu silnego bólu oczów, nadwątłonych ciągłymi łzami przy modlitwie, a tak cały prawie czas poświęcić mógł pobożnym rozmyślaniom i serdecznej rozmowie z Bogiem.

Po czterdziestu dniach spędzonych w ten sposób w ścisłym słowa znaczeniu na puszczy, podzielili Ignacy, Faber, Laynez i Codure, który tymczasem do nich się przyłączył, całą Wicencję między siebie i zaczęli jednocześnie na czterech różnych ulicach nauczać prawd wiary i nawoływać do pokuty. Wszyscy czterej byli cudzoziemcami, słabo mówili po włosku, nie znali i znać nie chcieli przeróżnych sposobów, jakimi świecka wymowa ściąga, porusza i porywa słuchaczy; ale w prostych ich słowach o przeznaczeniu człowieka, o strasznych sądach Bożych i nieskończonym miłosierdziu Bożym, taka była siła i taka z nich tryskała miłość ku duszom nieśmiertelnym, samo ich wychudzone umartwieniami oblicze tak wymownie napominało do pokuty, że żadne oko nie pozostawało suche, a najzatatwardzialszy grzesznicy z jękiem błagali o spowiedź, na wszystko gotowi, byle duszę swą zbawić.

Ciągła praca, ciągle odmawianie sobie najniezbędniejszych potrzeb, przyprawiły Ignacego o silną gorączkę; jednocześnie zapadł Laynez na zdrowiu, a z Bassano doszła bolesna wiadomość, że Rodriguez jest śmiertelnie chory i lada dzień może się z tym światem pożegnać. Ignacy, na własną chorobę nie zważając, puścił się natychmiast z Fabrem w drogę do Bassano. Miłość dodawała mu skrzydeł; lękając się, czy zastanie drogiego towarzysza przy życiu, biegł tak szybko, że zdrowy zupełnie Faber nie mógł za nim nadążyć. Nie mało też Faber się zdziwił, kiedy na skrócie drogi ujrzał nagle Ignacego, który widocznie dopiero co wstał z modlitwy, z zupełnie już uspokojonym, rozradowanym obliczem. "Jakże nie mam się cieszyć, rzekł Ignacy po prostu, widząc to zdziwienie; nasz brat Szymon nie umrze z choroby, która obecnie go dręczy". Zapewnienie to powtórzył Święty z całą pewnością siebie choremu Rodriguezowi i istotnie tenże zaczął w tej samej chwili mieć się lepiej, a po paru dniach wróciło mu dawne zdrowie. Równie Rodriguez, jak wszyscy inni obecni,

nie wątpili ani na chwilę, że tak szybkie, powiedzieć można, cudowne uzdrowienie, zawdzięczają potężnej u Boga modlitwie Ignacego.

Zaledwie Święty wyrwał Rodrigueza z objęć śmierci, a już bronić go musiał od innego rodzaju, lecz nie mniej groźnego niebezpieczeństwa. Ciężką swą chorobę przebył Rodriguez w leżącym tuż pod bramami miasta Bassano, ubogim domku, raczej "pustelni św. Wita", jak powszechnie domek ów nazywano, w której z braterską miłością pielęgnował go sędziwy pustelnik brat Antoni. Łagodna powaga, rozlana na obliczu pustelnika, długie jego i gorące modlitwy, życie wyłącznie Bogu i pracy nad własną doskonałością poświęcone, zrobiły głębokie wrażenie na umyśle Rodrigueza. "Czyż ten człowiek, myślał, nie obrał sobie najlepszej części? czyż nie bezpieczniej ze światem się nie stykać, niż wciąż wśród niego przebywać, nie lepiej oddać się kontemplacji w samotnej pustelni, niż z miejsca na miejsce wśród ciągłych roztargnień, bezustannych niebezpieczeństw za Ignacym wędrować?". Myśli te, odwodzące od rozpoczętego już w imię Boże i na chwałę Bożą dzieła, a zatem nie pochodzące bezwątpienia od dobrego ducha, ale zabarwione pewnymi pozorami prawdy, nęcące złudnym obrazem wyższej doskonałości, męczyły Rodrigueza całymi dniami i nocami, choć dni już kilka przeszło, odkąd zdrów i silny opuścił gościnną pustelnię św. Wita. Ostatecznie postanowił zwierzyć się ze swymi trudnościami bratu Antoniemu i zastosować się najściślej do danych przezeń wskazówek.

W tym celu, nie mówiąc nikomu z towarzyszków, co ma na myśli, wybrał się cichaczem pewnego dnia z Bassano do pustelni św. Wita z zamiarem nie powrócenia już więcej do Ignacego, jeżeli tylko pustelnik zechce go przyjąć za duchownego swego syna. Ale Bóg, którego Opatrzność czuwała w szczególny sposób nad formującym się zastępem Chrystusowych rycerzy, mających stanąć w obronie zagrożonej wiary i cnoty, sam rozstrzygnął tę sprawę i dał poznać, jak Mu się nie podoba, gdy kto powołany przezeń do życia apostolskiego, cofa się, ogląda wstecz i zbyt często troską o samego siebie zajęty, nie pyta, jaka wola Boża, gdzie większa chwała Boża. Niedaleko od pustelni, spostrzegł nagle Rodriguez przed sobą uzbrojonego męża, który patrząc nań dzikim, strasznym wzrokiem, dalszą drogę mu tamował. Na chwilę zatrzymał się, widokiem tym przerażony; później dodając sobie otuchy, posunął się parę kroków. Nieznany ów mąż rzucił się wtedy naprzód – jak następnie sam Rodriguez niejednokrotnie opowiadał – z wyciągniętym mieczem w rękę i nie przestał ścigać uciekającego co siłą, dopóki tenże ze strachu na wpół umarły, nie wpadł do domku, w którym

mieszkał Ignacy. Liczni przechodnie patrzyli ze zdziwieniem na biegnącego Rodrigueza, słyszeli jego wołania o pomoc, ale nie widząc nikogo goniącego go, zrozumieć nie mogli, kogo i czego właściwie się lęka. Jeden Ignacy widział i zrozumiał, jak poprzednią pokusę, tak nadzwyczajny środek, którego podobało się Bogu użyć do jej zwalczania. Ze spokojną twarzą przystąpił do drżącego jeszcze ze strachu towarzysza, i biorąc go za rękę, powtórzył słowa, którymi niegdyś Pan Jezus skarcił niewiarę św. Piotra: Człowieku małej wiary, czemuś wątpił?

Wojna z Turkami trwała nieprzerwanie, dlatego o jerozolimskiej żegludze nie można było myśleć. Stosownie do umowy zawartej w Wenecji, Ignacy zwołał wszystkich swych towarzyszków do Wicencji, aby wspólnie naradzić się, gdzie i w jaki sposób mają nadal Panu Bogu służyć. Narady odbywały się w znanych nam już poklasztornych ruinach; potrzebnych środków do życia zgromadzonym nie brakowało, bo mieszkańcy Wicencji, poznawszy świętobliwość i gorliwość trzech z pośród nich, nie kryli swego podziwienia i z własnego popędu dostarczali wszystkiego aż nadto hojnie. Po dokładnych naradach i długich, a gorących modlitwach zgodzili się wszyscy, że kiedy Bóg nie dozwala im udać się do Ziemi świętej, powinni w Europie wspólnymi siłami rozszerzać znajomość i chwałę Bożą. Dla większej jednostajności, dla skuteczniejszej pracy w służbie Pańskiej, postawili kilka głównych zasad i przepisów, których wszyscy "towarzysze" sumiennie mieli się trzymać. Oto w streszczeniu te przepisy i zasady:

Utrzymywać się będziemy wyłącznie z jałmużny, mieszkać w szpitalach; nie zbierać kwesty w czasie lub bezpośrednio po kazaniach, owszem dla uniknięcia wszelkich pozorów interesowności, nie przyjmować nawet w tym czasie żadnej jałmużny. Co tydzień zmieniać się będzie kolejno przełożony, a przełożonemu temu wszyscy inni, wespół z nim pracujący, obowiązują się być jak najściślej posłuszni. Głównym zadaniem naszym jest prowadzenie ludzi do Boga przez spowiedź, wykładanie katechizmu dzieciom i nieumiejętnym, nauki i kazania na publicznych placach. Ubogich i chorych po szpitalach będziemy pielęgnować wedle sił i starać się o wrócenie zdrowia ich ciałom i duszom. Słowem, obowiązkiem i powołaniem naszym niczego nie zaniechać, co przyczynić się może do chwały Bożej i zbawienia bliźnich.

W kilku tych krótko rzuconych rysach, mieści się już ogólny plan wielkiej budowy, stającej coraz wyraźniej przed pałającym miłością Boga i bliźniego

okiem Ignacego. Pierwsze, fundamentalne linie, nakreślił sam Bóg w jego umyśle w manreskiej grocie; na hiszpańskich uniwersytetach, w Paryżu, w Wenecji wzmacniały się one i dopełniały; obecnie gotowe już były główne zarysy, gotowi pierwsi współpracownicy w wielkim dziele. Niewiele jeszcze miesięcy, a manreskie rozmyślenia w całej pełni w ciało się oblekają: nowy zakon powołany do życia przez Ignacego stanie wśród innych pułków walczących już dawniej pod chorągwią Chrystusową i walczyć będzie boje Boże.

---

### **Przypisy:**

(1) *Cartas*, t. I, l. XXI.

(2) *Cartas*, t. I, l. XXI. Bulla nosi datę 30 listopada 1539. Bractwo rozszerzyło się wkrótce po całej Europie; w Azpeitii jeszcze dzisiaj istnieje.

(3) Archidiakon barceloński został w r. 1546 biskupem w Barcelonie i dopomógł św. Ignacemu do ufundowania w tym mieście kolegium Towarzystwa Jezusowego.

(4) Do Magistra Verdolay, Wenecja 24 lipca 1537. *Cartas*, t. I, nr 11.

(5) Ignacy, Ksawery, Laynez, Salmeron, Bobadilla, Rodriguez, Hozjusz.

(6) Sierpień 1537 r. *Cartas*, t. I, l. 12.

---





## VII.

### **Nowy zakon. – Pierwsze prace. – Pierwsze prześladowania**

Z początkiem zimy, opróżniły się ruiny "św. Piotra w Vanello", brzące dotąd modlitwą i świętymi naradami. Salmeron i Paschazjusz Broet udali się na apostolską pracę do Sieny, Ksawery i Bobadilla do Bolonii, Klaudiusz Le Jay i Szymon Rodriguez do Ferrary, Jan Codure i Hozjusz do Padwy; sam zaś Ignacy z Fabrem i Laynezem skierowali się ku Rzymowi, aby tam ofiarować siebie i wszystkich swych towarzyszków na rozkazy papieża, z zupełną gotowością udania się następnie tam, gdzie się im udać każe. Jak wielokrotnie poprzednio w Manrezie, Barcelonie, Paryżu, Wenecji, tak teraz w szczególności, na drodze do wiecznego miasta, sam Bóg bezpośrednio niejako przemówił do serca Ignacego, objawiając raz jeszcze swą wolę najświętszą, powołując go na organizatora i wodza zakonnego hufca, który miał po całym świecie roznosić cześć imienia Jezusowego, obiecując pomoc Swą niezawodną w spełnieniu tego dzieła. Oto, co opowiadał następnie O. Laynez, towarzysz Świętego w pielgrzymce do Rzymu, wyjaśniając, dlaczego Ignacy założonemu przez siebie zakonowi pragnął nadać koniecznie nazwę "Towarzystwa Jezusowego".

"Zdążyliśmy we trzech do Rzymu: Ojciec Ignacy, Ojciec Faber i ja, drogą prowadzącą na Sienę. Ojciec Ignacy doświadczał w tym czasie większych jeszcze niż zazwyczaj duchownych pociech i łask niebieskich, zwłaszcza, gdy przyjmował w komunii św. Boskiego Zbawiciela, bo Faber i ja odprawialiśmy Mszę św., ale Ignacy od odprawiania Mszy jeszcze się wstrzymywał. Podczas tej drogi powiedział mi, że Bóg wyrył mu głęboko w sercu słowa: «Ja wam w Rzymie będę miłościwym» i że całego znaczenia tych słów dotąd jeszcze nie rozumie. «Nie wiem – mówił – co się z nami w Rzymie stanie; kto wie, może nas tam na krzyż poprowadzą!» i dodał, że zdawało mu się, jakoby widział Chrystusa Pana naszego, obarczonego ciężkim krzyżem, a obok Niego stał Ojciec Przedwieczny i mówił: «Pragnę, Synu mój, abyś tego tutaj wziął sobie za sługę». Jezus zaś przycisnął Ignacego do siebie i do krzyża i rzekł: «Dobrze! biorę cię za sługę swego»".

Widzenie to, o którego prawdziwości Ignacy nigdy na chwilę nie wątpił, napełniło jego duszę niewymowną radością i ufnością. W trudnych późniejszych

przejściach przypominał sobie, jak "Ojciec postawił go obok Boskiego swego Syna", a samo to przypomnienie starczyło za najsilniejsze wzmocnienie, najskuteczniejszą pociechę. Jak nazwa, tak i pieczęć zakonu wyrażać miała imię Jezusowe, imię najwyższego Wodza, który Ignacego i jego towarzyszków wziął sobie w szczególny sposób za sługi. Pieczęć zakonna: IHS, wprowadzona przez Ignacego, jest skróceniem najśłodszego imienia Jezus. Co do nazwy zakonu, to Ignacy z nadzwyczajną siłą i stanowczością obstawał przy podanej przez siebie, a raczej przez samego Zbawiciela nazwie "Towarzystwa Jezusowego", a na wszystkie trudności i zarzuty odpowiadał po prostu, nie zawsze mówiąc, ale zawsze widocznie myśląc o cudownym objawieniu na drodze do Rzymu: "Taka jest wola Boża!".

Trzej pielgrzymi stanęli w Rzymie na kilka lub kilkanaście dni przed świętami Bożego Narodzenia 1537 r. O pierwszych pracach i trudnościach, jakie ich tu spotkały, opowiada Święty w liście pisanym w rok później do dawnej swej dobrodziejki Izabelli Roser: (1)

"Rok już minął od chwili, w której my trzej członkowie «Towarzystwa» przybyliśmy do Rzymu. Dwóch towarzyszków moich rozpoczęło natychmiast bezpłatnie nauczać w uniwersytecie, zwanym Sapienzja; jeden wykładał pozytywną, drugi scholastyczną teologię, a to na wyraźny rozkaz papieża. Co się mnie tyczy, poświęciłem się zupełnie udzielaniu «ćwiczeń duchownych» i w Rzymie i poza Rzymem. Staraliśmy się także zjednać dla siebie kilku ludzi uczonych, a mówiąc dokładniej dla chwały Boga, Pana naszego, ponieważ o nic nam innego nie idzie, jak o służenie Bożemu Majestatowi. Chwyciliśmy się tego sposobu, aby pokonać trudności ze strony ludzi światowych i móc z większą wolnością rzucać nasienie słowa Bożego na rolę, która, o ile się nam zdaje, przynosi bardzo mało dobrych owoców, a bardzo wiele złych. Kiedy już z pomocą Bożą pozyskaliśmy przez «ćwiczenia duchowne» kilka osób wybitnych nauką i znaczeniem, postanowiliśmy po czteromiesięcznym pobycie tutaj zejść się tu wszyscy, ilu nas jest członków «Towarzystwa», a skoro jeden po drugim przybywał, staraliśmy się o pozwolenie słuchania spowiedzi i głoszenia kazań i nauk".

"Wikariusz papieski dał nam bardzo obszerną władzę, choć tymczasem przed jego wikariuszem zanesiono na nas bardzo wiele zażaleń, które opóźniły ekspedycję odnośnego aktu. Otrzymawszy go wreszcie, rozpoczęliśmy w czterech, czy pięciu, mówić kazania w niedziele i święta po rozmaitych kościołach, a w innych znów kościołach uczyć chłopców katechizmu, tłumacząc

naukę o przykazaniach, grzechach śmiertelnych itd., nie opuszczając przy tym wykładów w Sapienzy i słuchania spowiedzi. Wszyscy inni mówili kazania po włosku, ja jeden po hiszpańsku (w kościele Najświętszej Panny z Monserratu), i zawsze dosyć miałem słuchaczy, bez porównania więcej, niż spodziewaliśmy się; nie spodziewaliśmy się zaś obfitego połowu z trzech przyczyn: 1) ponieważ rozpoczęliśmy te nauki w czasie niezwykłym tj. po Wielkanocy, kiedy już ustały postne i wielkanocne kazania, a tutaj jest zwyczaj mówić kazania tylko w czasie Postu i Adwentu; 2) ponieważ zazwyczaj grzeszna natura po umartwieniach i naukach postnych, ciągnie bardzo wielu raczej do wytchnienia i świeckich zabaw, jak do tego rodzaju lub nowych jakichś nabożeństw; 3) ponieważ nie uważaliśmy za stosowne zdobić mowę naszą kwiatami i wytwornymi zwrotami. A pomimo tego wszystkiego, przekonaliśmy się i wiemy z długiego doświadczenia, że Pan nasz w nieskończonej i najwyższej Swej dobroci o nas nie zapomina i przez nas biednych i nic nie znaczących dopomaga wielu ludziom i łaską Swą ich obdarza".

Pomiędzy pozyskanymi dla Boga mężami "wybitnymi nauką i znaczeniem", o których Święty w sprawozdaniu swym wspomina, najwybitniejszymi byli: kardynał Contarini i ambasador cesarski, znany nam z Paryża, Piotr Ortiz. Obaj odprawili pod kierunkiem Ignacego rekolekcje; obaj zapalili się w nich gorącą żądzą szukania coraz większej chwały Bożej i pytali tylko: Panie, co chcesz, abym czynił? Ortiz, lękając się, aby obowiązki przywiązane do jego urzędu i godności nie przeszkadzały mu w Rzymie do wyłącznego oddania się rekolekcyjnym rozmyśleniom, uprosił Ignacego, iż udał się wspólnie z nim na Monte Cassino i tam w świętej ciszy, od świata i ludzi daleko, Bogiem jedynie i sprawami duszy swej zajęci, spędzili czterdzieści dni na wspólnej modlitwie i pokucie. Głośny dyplomata i uczonec nie zawahał się następnie wyznać, że w czasie błogosławionych tych dni daleko więcej skorzystał dla serca i umysłu, niż przez długie lata poprzedniej, wyężdżającej pracy. "Zdawało mi się, mówił, że gruntownie znam teologię, że nie mało umiem, a oto teraz odkryły się przede mną nowe światy, o których i wyobrażenia nie miałem. Jakaż to różnica uczyć się na to, aby uczyć drugich, a na to, aby własne życie urządzić! Tamta nauka rozum oświeca, ale ta nadto i wolę zapala".

W czasie pobytu Ignacego na Monte Cassino przeniósł się do lepszego życia ostatni z pozyskanych przezeń towarzyszy, Jakub Hozjusz. Pan Bóg uwiadomić raczył o tym wypadku, a zarazem pocieszyć swego sługę cudownym widzeniem. Tego samego dnia, w którym zmarły z ziemią tą się pożegnał,

Ignacy ujrzał wyraźnie na modlitwie jakąś duszę, otoczoną światłością i wznoszącą się ku niebu; bliżej się widzeniu przypatrując, wątpić nie mógł, że ma przed sobą duszę Hozjusza. W pewności tej utwierdził się jeszcze, gdy słuchając Mszy św. i powtarzając pobożnie słowa Confiteor: "I wszystkim Świętym", zobaczył przed sobą długi, nadzwyczaj wspaniały orszak świętych, a wśród nich rozróżnił wyraźnie chwałą i weselem jaśniejącą duszę drogiego towarzysza. Radość i wdzięczność dla Boga wycisnęły mu obfite łzy; pewność, że Hozjusz, zaliczony do grona mieszkańców niebieskich, będzie się wstawiał za gromadką walczących towarzyszy, napęliła go nowym zasobem męstwa i świętej ufności.

Choć wyświęcony na kapłana jeszcze w czerwcu 1537 r., nie odważył się dotąd Ignacy złożyć Bogu bezkrwawej ofiary Mszy św. Pierwszy raz po długim a gorącym przygotowaniu i w Monte Cassino tylu modłami bogobojnych zakonników uświęconym i w Rzymie, przesyconym krwią Chrystusowych wyznawców, stanął przy ołtarzu w samą uroczystość Bożego Narodzenia 1538 r. O tym tak uroczystym i ważnym dla siebie wypadku, donosi jędrnie, ale serdecznie braciom swym, "panom na Loyoli": (2) "W dzień Bożego Narodzenia, w kościele Najświętszej Panny Większej, w kaplicy mieszczącej żłóbek, w którym Boskie Dziecię Jezus było złożonym, odprawiłem za Jego pomocą i łaską pierwszą Mszę świętą".

Niebieskie pociechy, jakie całym strumieniem zlały się w tym dniu szczęśliwym do serca wiernego rycerza Pańskiego, dodały mu otuchy w licznych a ciężkich cierpieniach i prześladowaniach, którymi Najwyższy Wódz w tym właśnie czasie z szczególną siłą doświadczać go pozwalał. Dawne, tylokrotnie i w Hiszpanii i w Paryżu zwalczone potwarze i oszczerstwa, podniosły znów głowę, a na chwilę zdawało się, że potrafią zniweczyć całe dotychczasowe dzieło Ignacego, w zbawiennej pracy mu przeszkodzą, rozproszą zebraną przezeń gromadkę uczniów.

Najzarliwiej powtarzał i rozszerzał najrozmaitsze te potwarze niejaki Agostino, na pozór bardzo gorliwy zakonnik reguły św. Augustyna, w gruncie zarażony luterskimi błędami. Człowiek ten zły, a sprytny i wymowny, szerzył dotąd zwolna i ostrożnie, ale bez żadnej przeszkody, jad protestancki nie tylko w prywatnych rozmowach, ale i z ambony. Paru towarzyszy Ignacego, którzy w Niemczech mieli wyborną sposobność zapoznać się z wszystkimi wykrętami i fortelami heretyków, zdumieli się i przerazili, spotykając się z tymi samymi wykrętami w stolicy chrześcijaństwa, a sądząc pocziwie, że O. Agostino raczej

grzeszy brakiem nauki niż złością, najprzód po bratersku, a gdy to nie pomogło, ostrzej i publicznie zwrócili mu uwagę na niestosowność wielu jego twierdzeń i wyrażań. Rozgniewany heretyk, widząc, że obłudna jego taktyka wykryta, postanowił się pomścić. Spryt i wymowa zjednały obłudnemu zakonnikowi niemałą liczbę zwolenników i wielbicieli; nie trudno mu też było puścić w obieg i zjednać wiarę dla całego szeregu potwornych bajek, czerniących najsromotniej Ignacego i jego towarzyszków. Dorzucając szczyptę prawdy do swych fałszów, opowiadał na prawo i na lewo, jak Ignacy więziony był i potępiony za herezję w Alkali, Salamance, Paryżu, Wenecji; jak nawet skazany już był na stos i tylko ucieczce życie zawdzięcza. Aby tym potwarzom nadać większy pozór prawdy, zmówił chytry Agostino trzech Hiszpanów, którzy mieli świadczyć, że sami należeli niegdyś do sekty utworzonej przez Ignacego, lecz opuścili ją, przekonawszy się dobitnie o jej niegodziwości. Do grona oszczerców przyłączył się jeszcze Michał Navarro, ten sam, który w Paryżu godził na życie Ignacego, a zdawało się na chwilę, że łaską Bożą wzruszony, przemieni się w jego ucznia. Navarro obiecał, za dość znaczną sumę pieniędzy, podjąć się publicznego oskarżenia swego dawnego dobroczyńcy, i istotnie, nie tylko oskarżył Ignacego przed gubernatorem rzymskim, Benedyktem Conversino, jako bardzo niebezpiecznego, wielokroć karanego heretyka, ale nadto zeznanie swe potwierdził przysięgą.

"Przez całe osiem miesięcy – opisuje sam Ignacy dalszy przebieg tej sprawy (3) – znosiliśmy gwałtowne zaczepki i prześladowanie najsroźsze, jakiegom w życiu doświadczył. Wreszcie stanęliśmy przed sądem, a wespół z nami dwóch naszych oskarżycieli; gdy jeden z nich zajął wobec sędziego stanowisko zupełnie inne, niż tego się spodziewano, inni, których sądowego przesłuchania również domagaliśmy się, tak się tym zmieszali, że stracili wszelką chęć i odwagę do dalszego prowadzenia procesu i wyjednali zakaz nie pozwalający nam wytoczyć procesu przed innymi sędziami. Ponieważ zaś byli to ludzie mający stosunki z dworem, znający się na interesach i bogaci, tak wykrecali się i obracali rzecz całą przed kardynałami i wielu innymi urzędnikami na dworze papieskim, że przez długi czas musieliśmy walczyć i nie mogliśmy dojść do końca".

"Wreszcie dwóch głównych rozsiewaczy fałszywych wieści o nas stanąć musiało przed gubernatorem i wyznało, że bywali na naszych kazaniach i wykładach i złożyli świadectwo zupełnie nas usprawiedliwiające tak odnośnie do nauki naszej, jak i do obyczajów. Wikariusz i gubernator, choć pełni są

szacunku dla nas, chcieli jednak, aby cała ta sprawa, ze względu na tych i na owych, pokrytą została milczeniem. My przeciwnie, uważaliśmy za rzecz słuszną i kilkakrotnie prosiliśmy, ażeby publiczne śledztwo wykazało, co jest dobrego lub złego w naszej nauce, w celu usunięcia zgorzenia szerzącego się między ludem; ale dopiąć tego nie mogliśmy, choć odwoływaliśmy się i do sądu i do prawa. Tyle tylko dopięliśmy, że z bojaźni przed sądem, nie rzucano na nas takich oszczerstw, jak poprzednio, przynajmniej nie tak jawnie. Jeden z naszych przyjaciół widząc, że nie możemy się doczekać ani wyroku, ani żadnego wyjaśnienia w tej sprawie, przedłożył ją papieżowi, po powrocie tegoż z Nizy i prosił, aby wyrok wydać nakazał. Papież obiecał, ale gdy skutku tej obietnicy nie można się było doczekać, mówiło z nim jeszcze w tej mierze dwóch z naszego «Towarzystwa»; a gdy niezadługo potem wyjechał do swego zamku, udałem się tamże i rozmawiałem sam na sam z Jego Świątobliwością w jego pokoju, przeszło godzinę. Wyłożyłem mu obszernie, jakie mamy cele i zamiary; otwarcie opowiedziałem, ile razy wytoczono mi procesy w Hiszpanii i w Paryżu, ile razy byłem w więzieniu w Alkali i w Salamance, bo chciałem, aby wszystkich szczegółów o mnie nie od kogo innego, ale ode mnie samego się dowiedział, i aby go te szczegóły spowodowały do zarządzenia śledztwa, które ostatecznie doprowadzić by musiało do wydania wyroku i zdania o naszej nauce. Ostatecznie, ponieważ ze względu na głoszone przez nas kazania i nauki, potrzebujemy koniecznie zachować dobrą sławę nie tylko u Boga, Pana naszego, ale i u ludzi, i musimy bronić się przeciw podejrzeniom co do naszych obyczajów i nauki, prosiłem w imieniu wszystkich Jego Świątobliwość, aby raczył złemu zapobiec i nakazał zbadać zwykłemu jakiemu sędziemu, którego zechciałby nam naznaczyć, naszą naukę i obyczaje, a jeśli ów sędzia za złe je uzna, chętnie poddamy się wszelkiej karze i naganie, jeśli zaś uzna je za dobre, Jego Świątobliwość nie odmówi nam zapewne swej opieki. Papież, jak wnioskuje z całej rozmowy, przyjął bardzo dobrze tę prośbę, chwalił nasze zdolności i że dobrze ich używamy, i przemówiwszy do nas, jak przystało na prawdziwego, dobrego Pasterza, nakazał z naciskiem gubernatorowi (który jest biskupem i najwyższym sędzią w tym mieście równie dla spraw kościelnych, jak i świeckich), aby natychmiast naszą sprawą się zajął. Istotnie, gubernator bardzo gorliwie zajął się procesem, a gdy w dodatku papież powrócił do Rzymu i po wielekroć publicznie wyraził się na naszą korzyść i to w obecności członków «Towarzystwa», którym rozkazał co 15 dni do siebie przychodzić i prowadzić dysputy w czasie obiadu Jego Świątobliwości, rozeszła się w znacznej części wisząca nad nami burza i z dnia na dzień piękniejszą mamy pogodę, tak, że

nasze sprawy, zdaniem moim, wzięły tak pomyślny obrót jak tylko tego mogliśmy sobie życzyć ze względu na chwałę i służbę Boga Pana naszego. Wielu biskupów i prałatów natarczywie się od nas domaga, abyśmy w ich diecezjach zbawienne owoce pracą naszą przynosili; tymczasem jednak trzymamy się jeszcze na uboczu, czekając na odpowiedniejszy czas i sposobność".

"Spodobało się teraz Bogu i Panu naszemu wyjaśnić naszą sprawę i doprowadzić ją do wydania wyroku. Przy tym wydarzyło się coś istotnie dziwnego. Gdy gruchnęła tu pogłoska, że uciekliśmy z wielu miejsc, a mianowicie z Paryża, Hiszpanii i Wenecji, przybyli do Rzymu i to właśnie w czasie, w którym wyrok na nas miał być wydany, prezydent Figueroa, który w Alkali dwa razy proces mi wytoczył, a raz do więzienia wtrącił, generalny wikary weneckiego legata, który także zarządził przeciw mnie śledztwo, kiedy zaczęliśmy nauczać w Rzeczypospolitej Weneckiej, Dr. Ori, który również wytoczył mi proces w Paryżu i Biskup z Wicencji, w którego diecezji trzech lub czterech nas mówiło kazania przez czas pewien. Wszyscy ci dali świadectwo na naszą korzyść. Nadto miasta Siena, Bolonia i Ferrara nadesłały uwierzytelnione świadectwa za nami, a książe Ferrary nie tylko wydał pisemne świadectwo, ale nadto uważając, że rozchodzi się tu nie tyle o nas, ile raczej o chwałę Boga, Pana naszego, wziął sobie bardzo naszą zniewagę do serca i osobne instrukcje dał swemu posłowi i napisał po kilkakroć do naszego «Towarzystwa», oświadczając, że całą tę sprawę uważa za swoją własną, ponieważ przekonał się, z jakim pożytkiem pracowaliśmy i w jego mieście i w innych, choć wcale niełatwą było rzeczą w nich pozostawać i utrzymać się".

"Od chwili, w której pracować rozpoczęliśmy, aż do dnia dzisiejszego, – za co dzięki składamy Bogu, Panu naszemu, – mieć mogliśmy w każde święto dwa lub trzy kazania i dzień w dzień dwa razy publiczne wykłady, podczas gdy inni słuchali spowiedzi, a inni dawali «ćwiczenia duchowne». Teraz gdy na koniec wyrok zapadł, będziemy mogli, jak się spodziewamy, więcej kazać i katechizować; a jakkolwiek ziemia twarda i nieurodzajna i doświadczyliśmy tak wielkiej przeciwności, to jednak żalić się nie możemy, bo pracy nam nie brakuje, a Pan Bóg nasz daleko więcej przez nas działa, niż ze względu na naszą naukę i rozum moglibyśmy sobie słusznie tuszyć. W szczególności wchodzić nie chcę, aby nie grzeszyć zbytnią rozwlekłością; w ogóle mówiąc, Bóg Pan nasz bardzo nam błogosławi. Nadmienię tylko, że wiem już o czterech lub pięciu, którzy postanowili wstąpić do naszego «Towarzystwa» i od wielu dni i miesięcy

trwają w tym postanowieniu. Nie śmiemy ich jeszcze przyjąć, ponieważ pomiędzy innymi zarzutami i ten się znajdował, że bez upoważnienia papieskiego zakładamy jakieś stowarzyszenie czy zakon i innych do niego wciągamy. Ale choć obecnie wspólnie i razem nie żyjemy, złączeni jesteśmy duchownie, aby się później rzeczywiście złączyć; co spodziewamy się, Bóg nasz niebawem zarządzi, na większą służbę swoją i chwałę"...

Nadzieje te ziścić się miały niebawem. Papież oświadczył Ignacemu, że prawdopodobnie wyśle paru jego towarzyszków do różnych miast włoskich bronić zagrożonej wiary i obyczajów; tym bardziej więc należało z czasu korzystać i póki wszyscy w Rzymie byli zgromadzeni, ułożyć podstawy do dalszego wspólnego i jednomyślnego działania; "złączyć się rzeczywiście" – jak wyrażał się Święty – w jeden hufiec silny nie tylko jednością zamiarów, ale i organizacji. O podróży do Ziemi Świętej nie było już co myśleć; Ignacy pozwracał przeto hojnym dobroczyńcom udzielone sobie na ten cel jałmużny, a całą uwagę zwrócił ku pytaniu, jakim ma być, jakimi prawami ma rządzić się formujący się zastęp Jezusowych "towarzyszków", którzy już nie w samej Palestynie, ale na całym świecie walczyć mieli o zdobycie i rozszerzenie królestwa Bożego? Wspólne konferencje nad tymi pytaniami trwały przez trzy miesiące. Dzień obracali "towarzysze" na uczynki miłosierne, na kazania i słuchanie spowiedzi, w nocy zaś zbierali się razem i wezwawszy Boga na pomoc, w największym porządku ciągnęli obrady, które wytykały główne linie przyszłych reguł i całego zakonnego instytutu. Sam Ignacy spisywał własnoręcznie protokół z tych narad. Oto, częścią dosłownie, częścią w streszczeniu najgłówniejszego z niego ustępy: (4)

"Ponieważ zbliżał się czas, w którym mieliśmy się rozproszyć na różne strony, postanowiliśmy, w ubiegłym Wielkim Poście (1539 r.) zgromadzać się przez czas pewien i naradzać nad powołaniem naszym i sposobem życia. Wszyscy zgadzaliśmy się w pragnieniu spełniania jak najlepiej i najdoskonalej woli Bożej, ale różne były zdania, jakich w tym celu używać środków. I nie dziw, bo i do różnych narodowości należeliśmy: francuskiej, hiszpańskiej, sabaudzkiej, kantabryjskiej; zresztą nawet między Apostołami i innymi najdoskonalszymi mężami były nieraz różnice zdań. Ażeby dowiedzieć się, jaką drogą idąc, złożyć możemy siebie samych Panu Bogu w zupełnej ofierze, postanowiliśmy za wspólną zgodą przyłożyć się z większą, niż zazwyczaj, gorliwością do modlitwy, rozmyślania, Mszy świętej, a następnie wszystkie



nasze myśli złożyć u stóp Pańskich, spodziewając się od najhojniejszego i najlaskawszego Pana nieomyłnej pomocy".

"Na zebraniach naszych przedstawialiśmy kolejno różne wątpliwości i trudności. Wśród prac dziennych każdy myślał, jak je rozwiązać i Boga o światło prosił, a w nocy zdanie swe innym przedstawiał. Potem wszyscy godzili się na to, na co padła większa liczba głosów. W pierwszej nocy zastanawialiśmy się, czy mamy tworzyć jedno wspólne ciało, czy tylko każdy, sobie samemu niejako zostawiony, spełniać ma wszystkie rozkazy i polecenia papieża. Ponieważ najmiłościwszy i najlitościwszy Bóg raczył nas połączyć i wspólnie zjednoczyć, chociaż tak jesteśmy nędzni, choć z tak różnych miejsc pochodzimy i byliśmy przyzwyczajeni do bardzo różnego sposobu życia, nie powinniśmy rozrywać jedności i związku, którym Bóg nas złączył, lecz owszem wzmacniać go i utwierdzać w jedno ciało się łącząc, starając się jedni o drugich i zatrzymując wspólne porozumienie, aby tak móc skuteczniej dla dobra dusz pracować. Wszystko to rozumie się i wszystko tak i o tyle uchwalamy, jak i o ile Stolica Apostolska na to zezwoli".

"Następnie roztrząsaliśmy, czy należałoby się związać względem kogo z pomiędzy siebie ślubem posłuszeństwa, jak związaliśmy się ślubem ubóstwa i czystości, abyśmy z większą szczerością i zasługą mogli spełniać zawsze i we wszystkim wolę Boga, Pana naszego. Dla lepszego rozwiązania tej trudności zaczęliśmy się zastanawiać nad użyciem różnych środków, które by nam do rozwiązania jej mogły dopomóc. Jednym z nich było udać się na miejsce jakie samotne i tam przez 30 lub 40 dni modlić się, pościć i pokutować, aby Bóg nas oświecił; innym środkiem: wysłać trzech lub czterech w imieniu wszystkich; lub wreszcie, jeśliby nikt z nas Rzymu opuścić nie mógł, poświęcić pół każdego dnia na tę główną sprawę, a przez drugie pół dnia oddawać się zwyczajnym naszym ćwiczeniom, kazaniom i spowiedziom. Ostatecznie postanowiliśmy zostać w Rzymie, aby nie dać powodu do jakich plotek i oszczerstw i nie zostawiać bez robotników pola, na którym Pan tak bardzo nam błogosławi. Nadto postanowiliśmy przygotować duszę (5), stawiając ją w zupełnej obojętności, tak, aby gotową była raczej do słuchania, niż do rozkazywania, i wyobrażając sobie, że do «Towarzystwa» nie należymy, ani do niego należeć nie będziemy, aby z większą wolnością roztrząsnąć, co lepsze i odpowiedniejsze na większą służbę Bożą i nadanie Towarzystwu większej trwałości. Nazajutrz jeden po drugim wyliczali zarzuty przeciw związaniu się posłuszeństwem; a

dnia następnego powody skłaniające do tego związania się, pożytki i owoce posłuszeństwa"...

"Po wielu dniach spędzonych na wszechstronnym rozbieraniu tej kwestii i na modlitwie, postanowiliśmy nie większością głosów, ale jednomyślnie, iż korzystniejszym będzie, owszem, że jest koniecznym poddać się pod posłuszeństwo jednego, aby tak lepiej i dokładniej skutecznie najgłówniejsze nasze pragnienie spełniania we wszystkim woli Bożej, aby Towarzystwo lepiej zabezpieczyć, a wreszcie aby móc należycie kierować wszystkimi poszczególnymi sprawami i zajęciami, tak duchownymi jak i doczesnymi".

"W podobny sposób przechodziliśmy i badali inne różne kwestie, od połowy Wielkiego Postu aż do dnia św. Jana Chrzciciela, z wielkimi pociechami i oświeceniami duszy".

Na fundamencie założonym w trzymiesięcznych tych naradach, stanął później cały gmach zakonnych reguł i przepisów. Na razie obradom położył koniec rozkaz papieża, polecający kilku "towarzyszom" ważne misje poza Rzymem. Ostra zima 1539 r. i w ślad za nią idące straszny głód i zaraza dały sposobność równie Ignacemu, jak całemu zebranemu przezeń zastępowi, do bohaterskich uczynków miłosiernych, do jawnego okazania, co płomieniejąca miłość Boża zdziałać potrafi. W całym Rzymie opowiadano sobie cuda o tych dziwnych ludziach, którzy sami nic nie mając, założyli w domu, gdzie ich samych z miłosierdzia przyjęto, przytułek dla ubogich, szpital dla chorych i uratowali tysiące od śmierci z głodu lub choroby. Wieść o nowych "apostołach", jak lud ich nazywał, rozeszła się szeroko i z wielu stron, od wielu zwłaszcza włoskich biskupów nadeszły do papieża gorące prośby o przysłanie bogobojnych, z takim błogosławieństwem Bożym pracujących misjonarzy. Stosownie do życzenia papieskiego, Paschazjusz Broet wyruszył do Sieny z misją zaprowadzenia reformy w pewnym klasztorze zakonnicy; Klaudiusz Le Jay do Brescii, Faber i Laynez do Parmy i Placencji, Bobadilla do Kalabrii. Ignacy pozostał w Rzymie i nie ustając w zwykłej pracy w kościołach i szpitalach, poświęcił się głównie staraniom o uzyskanie potwierdzenia papieskiego dla nowo formującego się zakonu, dla wspólnie obmyślanych zasad, którymi miał się kierować.

Zasady te streścił Święty w jędnym memoriale dla papieża przeznaczonym: "Ktokolwiek w Towarzystwie naszym, które imieniem Jezusowym nazwać pragniemy, chce dla Boga walczyć pod sztandarem krzyża i

służyć wyłącznie tylko Panu, tudzież rzymskiemu papieżowi, jako namiestnikowi Bożemu na ziemi, ten złożony ślub wiecznej czystości, uważać i zrozumieć ma, że jest członkiem Towarzystwa, na to przede wszystkim założonego, aby starało się o doskonalenie dusz w życiu i nauce chrześcijańskiej, o rozszerzanie wiary przez publiczne kazania i głoszenie słowa Bożego, przez «ćwiczenia duchowne» i dzieła miłosierdzia, a zwłaszcza przez uczenie katechizmu dzieci i prostaczków, tudzież słuchanie spowiedzi wszystkich wiernych chrześcijan. Środkiem i drogą do osiągnięcia tego celu jest najściślejsze posłuszeństwo papieżowi, tak aby mógł używać nas, jak i gdzie zechce, wysyłać dokąd zechce, czy do Turków, czy do innych niewiernych, heretyków, schizmatyków, czy wreszcie do wiernych. Nadto wszyscy ślubować będą wieczyste ubóstwo i ściśle posłuszeństwo przełożonemu Towarzystwa, w którym uznawać będą obecnego niejako Chrystusa. Niełatwe to bezwątpienia powołanie i dlatego też postanowiliśmy nikogo nie przyjmować do naszego Towarzystwa, nie wypróbowawszy go wprzód długo i dokładnie. Ten tylko, kto w tych próbach odznaczy się chrześcijańską roztropnością, nauką i czystością życia, przyjętym być może do hufca Chrystusa Pana, który niechaj drobnym początkom naszym błogosławić raczy na chwałę Ojca Niebieskiego, któremu samemu niech będzie na wieki cześć i chwała".

Dnia 3 września 1539 r., przedłożył Ignacy ten memoriał Pawłowi III w Tivoli, gdzie papież spędzał jesienne miesiące. "Pragnęliśmy – donosił jednemu z przyjaciół (6) – wyjednać dla Towarzystwa naszego zatwierdzenie Stolicy Apostolskiej, abyśmy tak z większą gorliwością i pokorą mogli służyć i chwalić Stwórcę i Pana naszego, z pomocą łaski Jego, choć najniegodniejszymi łaski tej jesteśmy. Udałem się więc do Jego Świątobliwości... i papież pochwalił i potwierdził wszystko, co przedstawiliśmy mu. Później dopiero, gdy przyszło do urzędowego załatwienia sprawy, zaczęli niektórzy robić trudności i mieliśmy niemało do wycierpienia".

Trudności pochodziły głównie od kardynała Bartłomieja Giudiccioni, jednego z trzech, których papież wyznaczył do przejrzenia wręczonego sobie przez Ignacego memoriału i wydania o nim sądu. Kardynał wychodził z zasady, że nie należy mnożyć nowych zakonów, lecz raczej reformować dawne i przyprowadzać je do pierwotnej gorliwości; stąd też z góry, nie myśląc nawet rozejrzeć się dokładniej w danych sobie dokumentach, oświadczył się jak najenergiczniej za odmówieniem żądanego zatwierdzenia. Zdanie tak uczonego i wytrawnego kanonisty, za jakiego nie bez słuszności uchodził Giudiccioni,

pociągnęło za sobą innych kardynałów. Po ludzku sądząc, rzecz cała zdawała się zrozpaczoną; Ignacy wiedział też, że od ludzi niczego spodziewać się nie może, ale z drugiej strony nie wątpił, że Bóg, który tak wyraźnie natchnął go do założenia nowego zakonu, dopomoże mu z pewnością. I sam Święty i wszyscy "towarzysze" z jego polecenia nie przestawali modlić się dniem i nocą, a łązy ich i modlitwy odniosły stanowcze zwycięstwo. Giudiccioni, zawsze i z jak największą stanowczością przeciwny wszelkim nowym zakonom, wyznał teraz jakby jakąś nadprzyrodzoną siłą zmuszony, że opierać się nie może zamiarom Ignacego, bo czuje, że opierając się im, wystąpiłby do walki z wolą Bożą. "Głos jakiś wewnętrzny, zwierzał się, przynagla mię do poparcia tego dzieła, choć skądinąd zdawałoby się, że tak sobie postępując, sprzeciwiam się własnym długoletnim zasadom. Ale na to nie ma sposobu! Gdy głos Boży tak jawnie, tak dziwnym i niewytłumaczalnym sposobem w sercu się odezwie, to na próżno rozum ludzki próbowałby go przygłuszyć".

Tak, za wdaniem się Boga, usuniętą została najważniejsza, powiedziec można, jedyna na szali ważąca trudność. Papież, otrzymawszy nadzwyczaj przychylne sprawozdanie kardynalskiej komisji, chciał jeszcze sam przejrzeć memoriał przez Ignacego nakreślony, a czytając go, zawołał pełen podziwu: "Palec Boży tu jest!". Niebawem mógł Święty z radością donieść: (7) "Otrzymaliśmy wreszcie, 27 września (1540 r.), bullę zatwierdzającą nas, a ułożoną zupełnie tak, jakśmy o to prosili".

Bulla ta, zaczynająca się od słów: *Regimini militantis Ecclesiae*, przytacza dosłownie memoriał Ignacego, treść jego nazywa "pobożną i świętą", pochwała i przyjmuje nowy zakon pod szczególną opiekę Stolicy Apostolskiej, dozwala "układać i w życie wprowadzać ze wszelką wolnością, odrębne ustawy, które samiż towarzysze uznają za odpowiednie do osiągnięcia celu swego Towarzystwa, chwały Chrystusa Pana naszego i pożytku bliźnich". W jednym z ostatnich ustępów, pismo papieskie ogranicza liczbę członków nowego zakonu do sześćdziesięciu. Ograniczenie to zniósł w niecałe trzy lata później sam jeszcze Paweł III bullą *Iniunctum nobis*, datowaną dnia 14 marca 1543 r. Następca Pawła, Juliusz III, potwierdził ponownie na prośby Ignacego cały instytut Towarzystwa Jezusowego i stanowczo zamknął drogę powstałym z różnych stron trudnościami, niechętnym i fałszywym komentarzom w bulli *Exponit debitum* z 19 lipca 1550 r. Nie wspominamy o innych, nieraz w bardzo silnych wyrazach ułożonych bullach, w których następni papieże, od Piusa IV do Leona XIII, zatwierdzali i pochwalali bądź cały instytut Towarzystwa Jezusowego, cel jego i prawodawstwo, bądź pewne, szczególnie zwalczane i

zaczepiane punkty; nie wspominamy dlatego, ponieważ dokumenty te, wydane po śmierci Ignacego, nie stoją w bezpośredniej łączności z jego żywotem.

Po uroczystym zatwierdzeniu zakonu przez papieża należało przede wszystkim pomyśleć o wyborze naczelnego przełożonego, tak zwanego w zakonach "generała", który z równą roztropnością, jak odwagą, kierowałby łódką w imię Boże na morze puszczone. W połowie Postu 1541, zebrali się w tym celu w Rzymie wszyscy Ojcowie pracujący we Włoszech; inni, a mianowicie Ksawery, Faber i Rodriguez, i którzy w żaden sposób przybyć nie mogli, zostawili byli lub nadesłali już poprzednio swe głosy własnoręcznie spisane i zapieczętowane (8). Zgromadzeni przepędzili trzy dni w samotności na modlitwie; czwartego dnia spisali swe zdania, po czym znowu modlili się przez trzy dni, aby Bóg raczył pobłogosławić uczynionemu wyborowi i dopiero po upływie tego czasu wspólnie otworzyli i odczytali zebrane głosy. Wszystkie, z wyjątkiem głosu samegoż Ignacego, padły jednomyślnie na "dawnego – jak wyraził się św. Franciszek Ksawery – i prawdziwego Ojca naszego, Ignacego, który jak złączył nas z trudem niemałym, tak również nie bez trudu potrafi nas najlepiej zachowywać, kierować i prowadzić do tego, co dobre, do tego, co lepsze, bo on najdokładniej zna każdego z nas".

Ignacy spisał swe zdanie w następujących, tchnących pokorą i roztropnością wyrazach.

"Wyłączając siebie samego, wybieram, w Panu naszym na przełożonego Towarzystwa, tego, który zbierze największą liczbę głosów. Zdawało mi się odpowiedniejszym żadnego nazwiska nie wymieniać; wszakże gdyby Towarzystwo osądziło, że większa chwała Boga, Pana naszego wymienienia jasnego domaga się, gotów jestem to uczynić".

Wynik jednomyślnego, tak oczywiście przez Ducha Świętego kierowanego wyboru napęłnił wielką radością serca wszystkich towarzyszków: tylko Ignacy niewymownie się zasmucił. W głębokiej swej pokorze sądził, że nie wola Boża, ale chyba jakaś zasadzka szatańska zadecydowała w tej sprawie. Przypomniawszy towarzyszom dawne swe życie, złe i grzeszne, jak z naciskiem się wyrażał; zwrócił im uwagę na słabe swe siły nie tylko duchowe ale i fizyczne; błagał, aby uwolnili go od ciężaru, którego unieść nie potrafi, ale wymodliwszy od Boga lepsze światło, przystąpili do ponownego wyboru. Zgromadzeni ustąpili tym gorącym prośbom, nie śmiąc zbyt zasmucić ukochanego Ojca; po trzech dniach spędzonych na modlitwie oddali swe głosy, ale głosy te nie różniły się w niczym od danych poprzednio. "Masz dowód – rzekł teraz Laynez,

gdy Ignacy próbował się jeszcze wymawiać – masz aż do zbytku wyraźny dowód woli Bożej; pamiętaj, że jak w czym innym, tak i w tym wypadku nie wolno ci sprzeciwiać się jej i że dając taki przykład niekarność, sam niszczysz w zarodku zakon nasz dopiero się zakładający". – Stanowcze te słowa przekonały Ignacego; z drugiej jednak strony wstręt do wszelkich godności, do objęcia tak gorąco zazwyczaj przez ludzi pożądaną władzę, był zbyt silny w sercu Świętego, aby za pierwszym silniejszym natarciem mógł od razu ustąpić. Po długich jeszcze prośbach, namowach, rozprawach, towarzysze zgodzili się wreszcie na następną propozycję Ignacego: "Oddam całą tę sprawę w ręce mego spowiednika. Otworzę mu wszystkie rany i niedoskonałości duszy, opowiem o wszystkich słabościach ciała, a jeśli pomimo tego, nakaze mi w imię Pana naszego Jezusa Chrystusa przyjąć na siebie wkładany mi przez was ciężar, natenczas posłucham".

Przypadał właśnie czas najodpowiedniejszy do rozmyślania i pokuty: wielki tydzień. Trzy ostatnie dni: Wielki Czwartek, Piątek i Sobotę spędził Ignacy u OO. Franciszkanów w klasztorze "Świętego Piotra in Montorio". Tu pod opieką swego patrona, który w Loyoli wrócił mu życie, a sam niegdyś na tym miejscu śmierć za Chrystusa poniósł, wyspowiadał się Ignacy z całego życia przed dotychczasowym swym duchownym przewodnikiem, Bratem Teodozjuszem i zapytał: "Jak każesz mi postąpić?". Świątobliwy zakonnik nie mógł mieć w tym względzie wątpliwości; rozumiejąc jednak dobrze całą doniosłość sprawy, obiecał dokładnie się przed Bogiem zastanowić i ostateczną pisemną odpowiedź dał dopiero w kilka dni później. W odpowiedzi tej publicznie przed zgromadzonymi "towarzyszami" odczytanej, Brat Teodozjusz nakazywał Ignacemu przyjąć bez dalszych zwłok i wymawiań się nałożoną sobie godność. Teraz już wątpliwości być nie mogło; Święty uchylił głowę i tegoż samego dnia, 19 kwietnia 1541 r., oświadczył, wśród powszechnej radości, że przyjmuje urząd generalnego przełożonego.

Nic już teraz nie stawało na drodze pierwszym członkom Towarzystwa Jezusowego do złożenia uroczystej profesji zakonnej.

W piątek, po niedzieli wielkanocnej, 22 kwietnia, odbyli wspólnie pobożną pielgrzymkę do siedmiu bazylik rzymskich, kończąc ją w bazylice św. Pawła poza murami. Tu Ignacy wyszedł ze Mszą przed ołtarz Najświętszej Panny, stojący po lewej stronie Wielkiego ołtarza; przed komunią św. zwrócił się do klęczących u stopni ołtarza towarzyszków, i trzymając w jednej ręce

patenę z Przenajświętszą Hostią, w drugiej spisanej formułę profesji, głośno odczytał wieczyste swe, miłe z pewnością Bogu, zobowiązanie:

"Ja, Ignacy Loyola, przyobiecuję Bogu Wszechmogącemu i Papieżowi Rzymskiemu, namiestnikowi Bożemu na ziemi, w obecności Najświętszej Panny i Matki Maryi i całego dworu niebieskiego, tudzież w obecności Towarzystwa: wieczne ubóstwo, czystość i posłuszeństwo dla sposobu życia nakreślonego w bulli, zakładającej Towarzystwo Jezusa Pana naszego, i wedle ustaw już ogłoszonych, lub które następnie będą ogłoszone. Nadto obiecuję szczególne posłuszeństwo Ojcu Świętemu odnośnie do misyj, jak to w tejże bulli jest wyrażonym. Obiecuję przykładać się do uczenia dzieci katechizmu, stosownie do tychże bull i ustaw".

Z kolei wygłaszali teraz inni towarzysze swą profesję w tychże samych słowach, z tą jedynie różnicą, iż ślubami swymi nie wiązali się bezpośrednio wobec papieża, ale składali je na ręce "zastępującego sobie miejsce Boga" Ignacego. Następnie przyjęli komunię św. z rąk Świętego i długo a serdecznie dziękowali Bogu za wyświadczone sobie tego dnia łaski. Wzruszenie pomnożyło się, hojne łzy wyciśnięte przez nadziemską pociechę popłynęły obfitym strumieniem, gdy ucałowawszy najprzód relikwie świętych Apostołów Piotra i Pawła, złączyli się we wspólnym, braterskim uścisku. – "Daj pracować, daj cierpieć, pozwól chwałę swą rozszerzać Panie!" – wołał każdy z przepelnionego serca, gotów na wszystko, byle iść w ślad za Najwyższym Wodzem, któremu przed chwilą uroczyście "wobec całego dworu, całego wojska niebieskiego" dozgonną służbę zaprzysiągł.

Choć serca wszystkich pałały ogniem Bożym, a wewnętrzne wesele było tak wielkie, iż musiało szukać dla siebie ujścia na zewnątrz, to najbardziej w oczy bijąca radość malowała się na twarzy Jana Codure. "Byłem tam – opowiada późniejszy znakomity historyk i uczony, młodzieńcy wówczas Ribadeneira – wspólnie z innymi Ojcami, i patrzyłem, na wszystko co się działo. – Jan Codure szedł przed nami razem z O. Laynezem, i słyszeliśmy, jak wylewał uczucia swej duszy, w płaczu i westchnieniach, tak, iż sądzić było można, iż ciało znieść nie potrafi gwałtowności tych uczuć, iż miłość pierś mu rozsadzi i wyswobodzi z więzienia tego życia śmiertelnego. Istotnie tegoż roku 1541 Codure, który pierwszy po Błogosławionym Ojcu Ignacym profesję złożył, pierwszy też ziemię opuścił. Umarł w Rzymie 29 sierpnia, w dzień ściecia św. Jana Chrzciciela. Ktoś bardzo nabożny (9) widział na modlitwie duszę tego Ojca wśród chórów anielskich, obleczoną w promieniejące światło; sam Ojciec

Ignacy pisał o tym do Mag. Piotra Fabra. Również Ojciec Ignacy, gdy szedł ze Mszą za chorego towarzysza, do św. Piotra in Montorio po drugiej stronie Tybru i przechodził przez most świętego Sykstusa właśnie w chwili, w której Jan Codure życie zakończył, Ojciec nasz stanął nagle i zwróciwszy się do swego towarzysza O. Jana Chrzyciela Viola – który żyje jeszcze i sam mi to opowiadał, rzekł: «O. Jan Codure przeszedł do lepszego świata»".

Hufiec dobranych rycerzy Jezusowych, oświadczających, że pójda wszędzie za swym Wodzem, ów hufiec, który w manreskiej grocie tak żywo stanął przed duchowymi oczami Ignacego, stał teraz przed nim w rzeczywistości, do drogi, do walk gotów, czekając tylko rozkazów, gdzie, kiedy, w jaki sposób samym do walki sposobić się i hartować, Królestwo Boże zdobywać, chwałę Bożą szerzyć. Drobny to jeszcze hufiec, ale niedługo czekać, a gorczyczne nasienie rozwinie się we wspaniałe drzewo. Już zewsząd spieszą ochotnicy, błagający jak o największą łaskę, aby i ich zaciągnąć w szeregi formującej się drużyny Jezusowej; gdzie okiem sięgnąć, otwiera się pole z dnia na dzień szersze, do chwalebnej walki o dusze, do bogatej w owoce pracy; wysłani przez dobrego gospodarza robotnicy na niwy, bielejące dojrzałymi do żniwa kłosami, pracy nastarczyć nie mogą, a zapobiegliwy Gospodarz coraz nowe zastępy pomocników formuje i do pomocy śle. Wspaniały to widok, podnoszący umysł, pocieszający serce; miły Bogu i ludziom hymn wzniesiony przez dobre sługi na większą cześć i chwałę swego Pana i Stwórcy.

---

### **Przypisy:**

(1) 19 grudnia 1538. *Cartas*, t. I, l. 14.

(2) *Cartas*, l. 13.

(3) Do Izabelli Roser, 19 grudnia 1538 r. *Cartas*, t. I, l. 14.

(4) Dokument ten w całości cytowany w *Cartas*, t. I, dok. 4; z pewnymi opuszczeniami u Bolandystów. *Comm. praev.* nr. 280-287.

(5) Jak nie trudno dojrzeć, są to po prostu rekolekcyjne "Reguły Wyboru" praktycznie zastosowane.

(6) Do P. Contarini, 18 grudnia 1540. *Cartas*, t. I, l. 23.

(7) Do P. Contarini, 18 grudnia 1540. *Cartas*, t. I, l. 23.

(8) Bobadilla wysłany przez papieża do Kalabrii, nie mógł ani na czas osobiście przybyć, ani głosu nadesłać.

(9) Nie kto inny, jak wiemy z innych świadectw, tylko św. Ignacy.





## VIII.

### Zasadnicze ustawy "Towarzystwa Jezusowego"

Nowy zakon powstał z manreskich rozmyślań; w nich też, jak w nasieniu, zawarte były zasady, którymi miał się rządzić i kierować. Samo zakonne hasło, bezustannie przez Ignacego powtarzane i wpajane: "Wszystko na większą chwałę Bożą", sama z rycerskich wspomnień powstała nazwa "Towarzystwo Jezusowe", określała, w najogólniejszych rysach i cel, do którego dążyć, i główne środki, za pomocą których świeżo powstały hufiec z Jezusem i za Jezusem miał iść, większą chwałę Bożą szerząc. Główne te rysy i zasady w pewnych najważniejszych szczegółach uzupełnione, otrzymały uroczyste potwierdzenie Stolicy Apostolskiej; obecnie gdy nowy zakon już istniał, sam z dnia na dzień się rozszerzał, a zarazem rozszerzał pole swej działalności, należało koniecznie ogólne te ramy wypełnić, należało postawić ścisłe, a jasne, praktyczne prawidła i wskazówki, jakiej taktyki z niezbędną do osiągnięcia zwycięstwa harmonią i jednostajnością w poszczególnych wypadkach się trzymać, jak ogólne zasady w życie wprowadzać.

Ignacy rozumiał doskonale tę potrzebę. "Acz najwyższa mądrość – czytamy na samym wstępie ułożonych przezeń ustaw zakonnych – i dobroć Boga Stwórcy i Pana naszego, jak wzbudzić raczyła to najmniejsze Towarzystwo, tak je też sama zachowywać, prowadzić i w swojej świętej służbie pomnażać będzie, z naszej zaś strony więcej do tego pomoże to wewnętrzne prawo miłości, które Duch Święty na sercach pisze, niż wszelkie zewnętrzne ustawy, – jednakże ze względu na uprzejme rozporządzenie Opatrzności Boskiej, która wymaga współdziałania swych stworzeń, oraz ponieważ Namiestnik Chrystusowy tak rozkazał i Święci taki nam przykład dali, i sam rozum tego nas w Panu naucza, za rzecz potrzebną uznajemy spisać ustawy, które by dopomagały do lepszego postępowania na rozpoczętej drodze służby Bożej w duchu zakonu naszego".

Jaki duch zakonu, jaki jego cel? Płynie on wprost z prawd poznanych i ukochanych w "ćwiczeniach duchownych": z gorącego pragnienia najwierniejszego naśladowania Jezusa. Jak Jezus był doskonałością samą, a na świat przyszedł, aby szukać co było zginęło, tak każdy towarzysz Jezusowy, tak całe Towarzystwo ma "nie tylko sprawie zbawienia i doskonałości własnej przy łasce Bożej się oddawać, lecz także do zbawienia i udoskonalenia bliźnich usilnie z pomocą tejże łaski Bożej się przykładać". W ten sposób zakon łączy w sobie życie kontemplacyjne i czynne, łączy modlitwę z pracą dla Boga, znowu podobnie, jak Jezus w życiu swym ziemskim je łączył.

Złączenie z Bogiem, głęboka a gruntowna cnota musi być tłem i podstawą całego życia. Aksjomat ten powtarza Ignacy niejednokrotnie: "Wszyscy, którzy do Towarzystwa należą, przekonani być winni, że na cnotach gruntownych i doskonałych i na rzeczach duchownych więcej zależy, niż na nauce, lub innych darach naturalnych i ludzkich; z owych wewnętrznych bowiem spływać ma skuteczność na zewnętrzne, ku celowi, który nam jest wytknięty". Szczytny i wzniosły, choć przykry dla zepsutej natury i do osiągnięcia niełatwy ideał owej cnoty gruntownej i doskonałej występującej po raz pierwszy wyraźnie w rozmyślaniu o dwóch sztandarach. Należy "obrzydzić sobie zupełnie, a nie połowicznie, wszystko co świat miłuje i obiera, a z drugiej strony przyjmować i pożądać całym sercem, cokolwiek Chrystus Pan umiłował i sobie obrał"; należy "przyoblec szaty i znamiona swego Pana, dla czci i miłości Jego", aby zaś "tym skuteczniej dojść do tego stopnia doskonałości, każdy starać się ma, aby z wszelką usilnością szukał w Panu zaparcia samego siebie i ciągłego wedle możliwości we wszystkim umartwienia".

Drogą do osiągnięcia tego ideału są trzy zakonne śluby, jakby trzy mury chroniące od złego, trzy potężne oręża we walce ze złem. Ubóstwo miłować należy, jako mocny mur zakonu, jako matkę, żadnej rzeczy jako swej własności nie używać, gotowymi być do zebrania od drzwi do drzwi, kiedy tego posłuszeństwo albo potrzeba wymagać będzie. Co dotyczy ślubu czystości, to usiłować trzeba anielską czystość naśladować czystością ciała i duszy. Posłuszeństwo ma być zupełne, uznając przełożonego, ktokolwiek nim będzie, za zastępcę Chrystusa Pana i w duszy go czcząc i miłując; ma objawiać się nie tylko w zewnętrznym wykonaniu, lecz sięgać do woli i rozumu, godząc zupełnie swą wolę i rozum z tym, co przełożony chce i sądzi, we wszystkim gdzie grzechu nie widać; ma być nie tylko w rzeczach obowiązkowych, lecz i w

innych, gdzie tylko znak woli przełożonego się spostrzeże, choć i bez wyraźnego rozkazu.

Z takich żołnierzy, w najdoskonalszym stopniu – ile to każdy przy łasce Bożej osiągnąć może – z Bogiem złączonych, wiernie pragnących naśladować Chrystusa w upokorzeniach i cierpieniach, ubogich, czystych, posłusznych, – składać się ma, wedle ideału nakreślonego przez Ignacego, Towarzystwo Jezusowe. W wewnętrznym ustroju dzieli się ono na kilka jakby odrębnych pułków. Sam rdzeń zakonu, wyborowy jego hufiec stanowią "profesi"; prócz trzech uroczystych ślubów zakonnych, składają oni jeszcze czwarty ślub szczególnego posłuszeństwa względem papieża, którym zobowiązują się, iż na rozkaz jego udadzą się natychmiast "bez wymówek, nie domagając się na drogę żadnego pieniężnego zasiłku, wszędzie, gdzie polecenie otrzymają, między wiernych lub niewiernych, w celach odnoszących się do czci Bożej i dobra religii chrześcijańskiej". Tuż obok tego hufca idą "profesi trzech ślubów", mężowie odznaczający się wyjątkowymi cnotami i zasługami, ale nie posiadający nauki w tak wysokim stopniu, w jakim Ignacy domaga się od profesów "czterech ślubów"; jak z samej nazwy ich wypływa, nie wiążą się oni czwartym osobnym ślubem szczególnego posłuszeństwa dla papieża co do przyjmowania najtrudniejszych nawet, po ludzku mówiąc zdesperowanych, misyj. "Duchowni pomocnicy" mają za zadanie – jak znowu sameż nazwisko ich wskazuje – dopomagać profesom w duchownych czynnościach, a więc w głoszeniu słowa Bożego, słuchaniu spowiedzi, nauczaniu, zarządzaniu poszczególnymi klasztorami. "Pomocnicy docześni", czyli bracia zakonni, dopomagają kapłanom w ich pracach, klerykom w nauce, starając się o zaspokojenie i załatwienie wszystkich ich potrzeb, odnoszących się do ciała. Profesi i "pomocnicy", równie duchowni jak docześni, to wyćwiczeni, wypróbowani żołnierze, walczący już w imię Boże ze wszelkim złem; "scholastycy", czyli uczniowie, związani mniej ściśle z zakonem, bo nie przez publiczne, lecz przez prywatne śluby, do przyszłych walk dopiero się gotują, ucząc się, próbując swych sił i zdolności, ucząc innych. Scholastycy, choć publicznych ślubów nie złożyli, są jednak, na mocy niejednokrotnie wydanych oświadczeń papieskich, zakonnikami w ścisłym słowa znaczeniu. Śluby swe składać mogą dopiero po ukończeniu dwóch lat nowicjatu; następnie ćwiczą się w naukach przez szereg lat, aż wreszcie gdy zostaną już kapłanami i odbędą jeszcze jeden rok ponownego nowicjatu, oddają się Bogu na najzupełniejszą ofiarę, łączą się najściślej z zakonem przez publiczne śluby profesów lub "pomocników duchownych".

Różnym hufcom odpowiadają, w pewnej przynajmniej mierze, różne, na odrębnych podstawach założone domy zakonne. W nowicjatach ćwiczą się w cnotcie nowicjusze; w kolegiach "scholastycy" łączą cnotę z nauką; w publicznych szkołach, istniejących przy kolegiach, wszyscy, którym posłuszeństwo nakaze, a więc profesy, duchowni pomocnicy, scholastycy, wychowują i kształcą młode pokolenia; z domów misyjnych, z domów profesów rozbiegają się na wszystkie strony robotnicy Pańscy, głoszą pokutę, kruszą serca, jedną ludzi między sobą i z Bogiem. Kolegia, szkoły, nowicjaty, mogą owszem powinny mieć stałe i zabezpieczone dochody, aby brak środków do życia potrzebnych nie przeszkadzał regularnemu biegowi podjętych w nich prac, a tym samym większej chwale Bożej. Przeciwnie, domy profesów dochodów takich mieć nie mogą i utrzymywać się mają z codziennej jałmużny.

"W każdej rodzinie – pisał Ignacy w jednym z swych listów (1) – w każdym królestwie, wszędzie, gdzie wielu razem żyje, musi być jeden przełożony, którego wszyscy obowiązani słuchać; widzimy też to zawsze w Kościele, widzimy we wszystkich zakonach". Na wzór hierarchicznego porządku, istniejącego w Kościele, w innych zakonach, w każdym należycie uorganizowanym społeczeństwie, ustanowił Ignacy i ścisłymi przepisami określił zarząd Towarzystwa. Na czele każdego domu stoi przełożony, w domach profesów nazwany po prostu "przełożonym"; w kolegiach, szkołach, nowicjatach: "rektorem". Wszystkie klasztory, znajdujące się w obrębie pewnego oznaczonego z góry terytorium, tworzą osobną zakonną "prowincję", nad którą władzę dźierży "prowincjał". Prowincjałowie podlegają bezpośrednio rezydującemu w Rzymie, obranemu na całe życie, "generałowi" całego zakonu. Generał winien posłuszeństwo najprzód, jak samo się przez się rozumie, papieżowi, następnie zakonowi, kiedy tenże zgromadzony jest na pewnego rodzaju walnym sejmie, tak zwanej "kongregacji generalnej". W skład tej kongregacji, zwoływanej tylko na wybór nowego generała lub w bardzo ważnych, nadzwyczajnych wypadkach, wchodzi wszyscy prowincjałowie i po dwóch delegatów z każdej prowincji. Delegatów wybierają kongregacje prowincjonalne; te ostatnie – przypominające w pewnej mierze dawne polskie sejmiki – mają prawo przedkładać wnioski, podawać prośby do generała, lub generalnej kongregacji, ale same ostatecznie decydować nic nie mogą. Natomiast kongregacja generalna jest ciałem ustawodawczym w ścisłym słowa znaczeniu, jest najwyższą władzą, której podlega również generał, jak wszyscy inni członkowie Towarzystwa.

Generałowi przydana jest stale do boku przyboczna rada, wybrana przez kongregację generalną, a złożona z przedstawicieli różnych narodowości. Rada ta, skądinąd od generała zależna, ma prawo w danym wypadku zwołać na własną rękę kongregację generalną, aby jej rozstrzygnięciu podać ważny jaki spór, zachodzący między nią a generałem, a nawet, gdyby tego zachodziła konieczna potrzeba, przedłożyć jej pytanie, czy nie należy generała złożyć z piastowanego urzędu? W ten sposób generał, którego władza, gdy idzie o czynienie dobrze, o rozszerzanie chwały Bożej, nie zna żadnych krępujących ścieżek, nie może jej jednak nadużyć na szkodę Kościoła i zakonu.

W zdążaniu do swego celu, w pracy nad zbawieniem i uświęcaniem dusz, nie miało Towarzystwo, wedle planu, który wypłynął z równie szerokiego serca, jak umysłu swego założyciela, ograniczać się do paru tylko ściśle wytkniętych ścieżek, lecz odważnie kroczyć na wszystkich, które i kiedy wieść mogły najodpowiedniej do "większej" chwały Bożej. Misje w krajach katolickich, heretyckich, pogańskich, spowiedzi, kazania, wykłady katechizmu, nauczania w szkołach, pisanie pobożnych i uczonych książek, w potrzebie pielęgnowanie chorych, zbieranie jałmużny dla nędzarzy, osładzanie smutnej doli więźniom, – to wszystko i wiele innych są zajęcia Towarzyszom Jezusowym właściwe, bo wszystkie są środkami odpowiednimi do szerzenia chwały Bożej na ziemi. Jezuita, w myśli Ignacego, to żołnierz gotowy w każdej chwili i na każde wezwanie iść tam, gdzie największa potrzeba i niebezpieczeństwo; nie przywiązany do żadnego miejsca, do żadnego stanowiska, dziś równie chętnie i z tym samym zapalem pracujący w rodzinnym swym mieście, z jakim jutro wybierze się na apostolską wędrowkę do Chin, Japonii, Ameryki. Słowem, aby użyć słów, którymi kodeks zakonny streszcza cel i główne zasady Towarzystwa: "Powołanie nasze wymaga ludzi ukrzyżowanych dla świata i dla których świat jest ukrzyżowany, ludzi nowych, którzy się z siebie wyzuli, aby Chrystusa przyoblec, którzy sobie umarli, aby żyć sprawiedliwości, którzy, jak mówi św. Paweł (2), w *pracach*, w *niespaniach*, w *pościech*, w *czystości*, w *umiejętności*, w *nieskwapliwości*, w *łagodności*, w *Duchu Świętym*, w *miłości nieobludnej*, w *mowie prawdy* okazują się sługami Bożymi i *przez broń sprawiedliwości*, *po prawicy i po lewicy*, *przez chwałę i zelżywość*, *przez osławienie i dobrą sławę*, *przez pomyślność wreszcie i niepowodzenie* i sami dążą wielkimi krokami do niebieskiej ojczyzny i innych wszelką, jaką mogą, pomocą i usilnością do tego pociągają, mając zawsze na oku jak największą chwałę Bożą".

Zadanie tak szeroko pojęte, zakres działania, obejmujący, śmiało powiedzieć można, świat cały, domagał się też koniecznie wprowadzenia nowej taktyki, użycia środków nowych, a w każdym razie nie używanych w innych, istniejących dotychczas zakonach. Już sam podział na różnorodne oddziały: profesów, pomocników, "duchownych" i "doczesnych", scholastyków, podział klasztorów na "kolegia", nowicjaty, domy profesów, domy misyjne, wielka dożywotnia władza pozostawiona generałowi – wprowadzały do wojska Chrystusowego nieznaną dotąd, w takiej przynajmniej mierze i w takich rozmiarach, a jak doświadczenie pokazało, nadzwyczaj praktyczną i rozumną organizację. Jeśli św. Benedykt, stosując się do potrzeb i warunków swego czasu, ustanowił, aby każdy klasztor stanowił dla siebie odrębną, niezależną całość, jeśli później św. Dominik i Franciszek poddali cały zakon jednemu przełożonemu, ale zmieniającemu się co lat parę – to Ignacy, zadośćczyniac nowym potrzebom, wprowadził w swe szyki ściślejszą jeszcze karność, bezwzględną niemal zależność, a zapewniając generałowi dożywotnie rządy, tym samym wzmocnił jego władzę, otworzył przed nim szerokie, niczym, rzecz by można, prócz względu na chwałę Bożą i dobro dusz, nieograniczone pole działania.

Bardziej jeszcze od wewnętrznego tego ustroju musiał wpadać w oczy zewnętrzny sposób życia, oparty w wielu punktach na zupełnie innych podstawach, niż w istniejących do tego czasu zakonach. Sposób ten życia miał, wedle myśli Ignacego, zbliżyć się jak najwięcej do zwykłego sposobu życia porządnych kapłanów świeckich; miał być bez żadnych nadzwyczajnych, regułą przepisanych pokut i ostrości, aby tak pracę apostolską ułatwić, większą swobodę ruchów w niej zostawić, a każdemu w szczególności zostawić szerokie pole do zasługiwania się Bogu przyjętymi dobrowolnie umartwieniami wedle potrzeby, czasu i natchnienia Ducha Świętego. Wychodząc z tej fundamentalnej zasady, nie przepisał Święty zakonowi odrębnego habitu, sam ubierał się, jak w tym czasie księża hiszpańscy zwykli się byli nosić, a jako ogólną normę w tym względzie dla całego Towarzystwa, postawił tylko następujące trzy warunki: "Ubiór nasz ma być przyzwoity, zastosowany do miejsca, w którym żyjemy, zgodny z zakonnym ubóstwem". Z tegoż powodu, "na większą chwałę Bożą i dla ułatwienia pracy nad duszami", nie chciał zaprowadzić wspólnego chóru. "Gdybym zważał tylko na własną skłonność i upodobanie, zwykł był mówić, zaprowadziłbym chór we wszystkich naszych kościołach, bo śpiew podwójną jest modlitwą i dziwnie duszę do Boga zbliża; ale nie wolno mi było mieć

względu na własne upodobanie, tylko na większą chwałę Bożą, na służbę Bożą, której chór niejednokrotnie musiałby się u nas sprzeciwiać!"

Dziś, gdy wszystkie niemal powstałe po Ignacym zgromadzenia zakonne, przejęły od niego główne zasady, którymi w urzędzeniu swego zakonu się kierował i nie tylko po części wewnętrzny ustrój, ale i wiele z zewnętrznych cech sobie przyswoiły, wydają nam się te zasady, te prawidła bardzo naturalne. W chwili jednak, w której Święty pierwszy raz je postawił, były one czymś zupełnie nowym i nie dziw, że na dłuższy czas stały się powodem pewnego wzburzenia umysłów i ożywionych aż do zbytku rozpraw i dysput. Różne oddziały, na które Ignacy zakonników swych podzielił, stosownie do ich cnoty, uzdolnienia, nauki, składanie profesji zakonnej nie po jednym, nie po dwóch, ale po wielu dopiero latach spędzonych na rozlicznych próbach, a natomiast wprowadzenie po dwóch latach nowicjatu ślubów prywatnych, które zakonni przełożeni w razie potrzeby, mogli rozwiązać i od nich uwolnić, dożywotnie rządy generała, skupienie w jego ręku władzy i przywilejów, które wedle dotychczasowych tradycji zakonnych, zależały od periodically zwoływanych kapituł, możność odcięcia od ciała zakonu niepożytecznych, zepsutych członków, zaniechanie wspólnego chóru i habitu, – wszystko to i wiele innych jeszcze drobniejszych szczegółów przerażało wprost swą nowością ciałniejsze, w kółku długoletnich pojęć i zwyczajów zasklepione umysły. Nie zważali ci ludzie, że na nowe choroby nowych potrzeba lekarstw, nie umieli objąć wzniosłych, a tak praktycznych do czasów i ludzi zastosowanych pomysłów Świętego, który wpatrzony we wzór dany przez Chrystusa i Apostołów, chciał dla wszystkich stać się wszystkim i nie o to pytał, czy środki, których użyć zamierzał, były dotychczas w użyciu, ale czy najskuteczniej dopomogą mu do osiągnięcia celu – do rozszerzenia chwały Bożej, do zbawienia dusz. Pokorny, posłuszny, sam sobie nie ufał, pytał się, radził, modlił lecz gdy raz wolę Bożą stanowczo zrozumiał, szedł śmiało naprzód, pewny, że sam Bóg usunie przeszkody. I nie zawiódł się w tej pewności; trzechwiekowa historia założonego przezeń zakonu, powszechne uznanie, nie tylko w słowach, ale i w czynach, zasad i przepisów, którymi Ignacy życie zakonne bardzo mnogich zgromadzeń wprowadził na nowe drogi, – są najoczywistszym dowodem tej szczególnej pomocy i błogosławieństwa Bożego.

Mądrość i roztropność ustaw spisanych przez Ignacego, uznawali od samego początku i po dziś dzień jednomyślnie uznają wszyscy, którzy bliżej im się przypatrzyli. Papieże oddają im w swych bullach i brewach najwyższe

pochwały, mężowie święci, jak Franciszek Salezy, Alfons Liguori, Karol Boromeusz, wyrażają się o nich jakby z synowską czcią i miłością; najznakomitsi katolicy asceci uważają je za bogaty skarb, z którego czerpią pełną dłoń; późniejsi zakonodawcy starają się duchem ich natchnąć, całe długie ustępy z nich odpisują; sami nawet jawni wrogowie katolickiego Kościoła uchylają głowę i choć niechętni nie usiłują zaprzeczyć ich genialności. Wobec takich tak zgodnych świadectw trudno nie powtórzyć za Pawłem III: "Palec Boży tu jest!". Istotnie, jeżeli Opatrzność Boża opiekuje się zawsze szczególnie tymi, których wybrała na zakonodawców i myślami, pragnieniami, zamiarami ich kieruje, to opieka ta nad Ignacym objawia się zwłaszcza wybitnie, bijąco w oczy. Jak z *Ćwiczeń duchownych*, tak z *Ustaw zakonnych* bije taka mądrość, roztropność, tak głęboka znajomość Boga i ludzi, że wszystko razem zważywszy, przyjąć trzeba, co jednogłośnie podają nam współtowarzysze Ignacego, że sam Bóg, oświeceniami swymi i natchnieniami kierował piórem dawnego hiszpańskiego rycerza, że Święty bardziej jeszcze *Ustawy* sobie wymodlił, niż je sam wymyślił.

Nowym dowodem w tym względzie jest sam sposób, w jaki Ignacy kodeks zakonny układał. Opowiada o tym znany już nam powiernik Świętego, O. Ludwik Gonzales: (3) "Pielgrzym (4) częste miewał objawienia w czasie Mszy św., również gdy spisywał *Konstytucje*. Z tym większą pewnością mógł to twierdzić, że dnia każdego notował sobie wszystko, co działo się w jego duszy i że notatki te miał w ręku. Pokazał mi też dość gruby zeszyt i odczytał z niego znaczną część. Było to przeważnie sprawozdanie z objawień, które miał na potwierdzenie niektórych ważniejszych punktów w ustawach zakonnych. To widział Boga Ojca, to znowu Przenajświętszą Trójcę, lub Matkę Bożą, która za nim się wstawiała. Wspomniał o dwóch zwłaszcza punktach, nad którymi zastanawiał się przez dni czterdzieści, odprawiając codziennie Mszę św. i codziennie hojne łzy przy niej wylewając. Punkty te odnosiły się do rozstrzygnięcia pytania, czy kościoły Towarzystwa mają mieć dochody i czy Towarzystwo będzie mogło nimi się posługiwać".

"Oto metoda, której trzymał się przy układaniu *Konstytucyj*: codziennie odprawiał Mszę św., w czasie niej przedkładał i ofiarowywał Bogu kwestię, którą w tym dniu się zajmował i modlił się na tę intencję. Mszy i modlitwie zawsze towarzyszyły łzy. Bardzo pragnąłem odczytać wszystkie, odnoszące się do całej tej sprawy notatki; prosiłem, aby mi ich na krótki czas użyczył, ale zgodzić się na to nie chciał".



Krótki, przechowany szczęśliwie przez historyków zakonu, wyjątek z tych notatek, odnoszący się do poruszonej już powyżej kwestii zakonnego ubóstwa, okaże najlepiej, jak Ignacy gruntownie i poważnie nad każdą z kolei sprawą zastanawiał się, jak Bóg hojnym światłem swej łaski go otaczał:

"Sobota, piąta Msza na cześć Przenajświętszej Trójcy. W czasie zwykłej modlitwy na początku trochę oschłości; potem w środku modlitwy dużo gorącego nabożeństwa i pociech duchownych, i zdawało mi się, jak gdybym wpatrywał się w wielką jakąś jasność. Gdy przygotowywano ołtarz do Mszy św., Jezus stanął przed duszą moją i poczułem, że powinienem postępować za Nim, ponieważ On jest głową i wodzem Towarzystwa. To najsilniejszy argument za obraniem zupełnego ubóstwa i wszechstronnego ogołocenia się ze wszystkich ziemskich rzeczy, chociaż nie brak i innych, do tego samego nakłaniających przyczyn... Myśl ta pobudzała mnie do nabożeństwa i do łez, niemniej jak do wytrwałości, tak że choćbym tego albo następnych dni nie miał doznać daru łez podczas Mszy św., zdawało mi się, że to uczucie wystarczyć mi winno do wzmocnienia się i utwierdzenia na godziny pokus i doświadczeń".

"Pobożne to uczucie rosło, kiedym się przyoblekał w kościelne szaty i zdawało mi się, że Trójca Przenajświętsza potwierdza poniekąd w ten sposób poprzednie postanowienie o ubóstwie, kiedy Syn Boży tak mi się udziela; pamiętałem bowiem dobrze na chwilę, w której Ojciec koło Syna swego mnie postawił. Po przyobleczeniu szat kościelnych czułem Imię Jezusowe coraz silniej na sobie wyciśnięte i jak to piętno utwierdza i umacnia mnie przeciw wszelkim wypadkom. Łzy i westchnienia z nową siłą się odezwały. Od samego początku Mszy wiele łask, uczuć pobożnych, długo trwający spokojny płacz. W czasie Mszy różnorodne uczucia, skłaniające do trwania w powziętym postanowieniu. Kiedym wziął w ręce i podniósł w górę Przenajświętszy Sakrament, rozżarzyła się wewnętrzna modlitwa i żywe pragnienie trwania zawsze wiernie przy Bogu, choć nie wiedzieć jakie przeszkody na drodze stanąć by miały. W sercu rozlała się nowa duchowna słodycz, zrodziły się nowe, dobre pragnienia".

"Silne to uczucie, pobudzając mnie do łez, trwało i po ukończeniu Mszy; przez cały dzień, ilekroć umysł do Jezusa się zwrócił, wzrastało nabożeństwo i pewność, że sam Bóg wpłynął na moje postanowienie".

W pięknym ogrodzie, który jeden z rzymskich przyjaciół oddał Ignacemu do rozporządzenia, przesiadywał Święty długie godziny i z widoku prześlicznej

przyrody do Twórcy jej się wznosząc, pisał, z Bogiem, bezustannie rozmawiając, niebieską mądrością i miłością nacechowane zakonne ustawy. Przedtem przestudiował pilnie reguły innych zakonów, wiedząc dobrze, że w tak wielkim dziele nie należy mu zaniechać niczego, co nakazuje ludzka roztropność; obecnie, w czasie samego spisywania ustaw, żadna książka przed nim nie leżała. "Całą biblioteką Ignacego – wyraża się pięknie jeden z jego życiopisarzów – była ustawiczna rozmowa z Bogiem; i w istocie w ustawach tych odnajdujemy rzeczy, nie będące wynalazkiem ludzkim, ale które chyba sam Bóg musiał podyktować".

Konstytucje, ułożone przez Ignacego, wypłynęły ze serca, z życia swego twórcy; okazują też jaki ideał życia doskonałego i apostołskiej działalności, stał przed oczami Świętego, a życie, to znowu i wszechstronnie rozwinięta działalność w zakonie i w Kościele, jest najpiękniejszym ich wyjaśnieniem. Od chwili wyboru na generała zakonu otworzyło się przed Ignacym niezmiernie pole do zasługującej pracy. Zakon, złożony dotąd z niewielu członków, szybko zaczyna się rozrastać, rozszerzać na coraz inne prowincje i kraje; pod okiem i ręką swego założyciela, rozwija się wewnętrznie i organizuje. Jednocześnie pod stopami niejako nowych, od Boga posłanych robotników, wyrasta coraz obfitsze żniwo; klasztory nowego zakonu stają po wszystkich stronach świata, ale jeszcze jednemu krajowi, jednej prowincji nie można było zadośćuczynić, a już w innej odzywają się nowe biedy i potrzeby, domagające się gwałtownie spieszego ratunku. Ignacy rządzi zakonem, ustala go i rozwija, formuje i wysyła robotników do winnicy Pańskiej; nie ruszając się niemal ze swej celki w ubogim rzymskim klasztorze, kieruje całą przedsięwziętą przez siebie wielką wyprawą przeciw wrogom religii i cnoty, a umierając, widzi z pociechą, że wyprawie tej Bóg błogosławi, że bądź co bądź przybliżyło i rozszerzyło się Królestwo Boże na ziemi.

Jak do tylu tak wielkich a różnorodnych prac i walk znalazł czas i siły, dostateczną odwagę, bystrość umysłu, szerokość serca? Znalazł je, bo był wiernym naśladowcą Zbawiciela, bo wpatrywał się w Serce Boże i z Niego czerpał wzór i moc. Mógł być i był genialnym organizatorem i wodzem zakonu; był zwycięskim, niezrównanym hetmanem w walce z ciemnością, ze złem, – a mógł tym wszystkim być, bo był wielkim Świętym.

**Przypisy:**

- (1) Do Scholastyków w Gandii 29 lipca 1547. *Cartas*, t. II, l. 112.
- (2) *II List do Korynt.* rozdz. VI.
- (3) *Acta antiquissima*, c. VIII.
- (4) Wiemy już, że Gonzalez pod tą nazwą rozumie zawsze Ignacego.

**IX.****Wewnętrzne rządy zakonu**

Wybrany na urząd generalnego przełożonego zakonu, Ignacy poświęcił się zupełnie rozlicznym, a trudnym obowiązkom, które włożyła nań ręka Boża. Byłoby mu miłszym zapewne pracować bezpośrednio nad duszami, jak pracować mogli jego towarzysze Faber, Ksawery, Rodriguez; jakże chętnie, dawne życzenia serca spełniając, poszedłby za nimi między pogan, między heretyków, opowiadać naukę Ukrzyżowanego; ale wola Boża była, aby pozostawszy w Rzymie, kierował stąd świeżo powstałym zakonem i czuwał nad jego wzrostem; a kiedy taką była wola Boża, należało ją spełnić całym sercem, całym sobą!

Pierwsze dni po wyborze zappełniła głównie modlitwa i różne upokorzenia i umartwienia: zamiatał dom, posługiwał w kuchni, gromadził koło siebie opuszczone dzieci i uczył je katechizmu. I później nie zaniechał nigdy tych pokornych ćwiczeń, ale mnożące się z dnia na dzień coraz ważniejsze zajęcia nie dozwalały mu poświęcać im tyle czasu, ile tego pragnął; na wstępie swego urzędowania niczym odwieść się od nich nie dał, pragnąc z jednej strony zaprowadzić niejako pobożną tradycję tego rodzaju pokornych zajęć dla wszystkich przełożonych w swym zakonie, wiedząc z drugiej strony, że niczym innym, równie łatwo i na pewno nie ściągnie hojnego błogosławieństwa Bożego.

Bóg też prawdziwie cudownie błogosławił. Niewielki domek, przy kościele "Matki Boskiej della Strada", gdzie zamieszkali pierwsi towarzysze, nie mógł niebawem pomieścić wszystkich, którzy ściągnięci wieścią o nowo założonym zakonie, jego wzniosłych celach i podjętych pracach, pragnęli doń się przyłączyć. Tym mniej sam kościółek mógł pomieścić cisnących się pobożnych. Szczęściem do ogrodu złączonego z ubogim domkiem przytykał opuszczony kościół pod wezwaniem św. Jędrzeja; Paweł III za wstawieniem się swego wikariusza w Rzymie, Filipa Archinto, oddał i ten kościół pod zarząd Towarzystwa. W r. 1543, Ignacy, dzięki jałmużnom groszowym, mógł położyć węgielny kamień pod budowę szczupłego co prawda, bynajmniej nie wygodnego "domu profesów", w którym pod jesień roku następnego sam zamieszkał. W kilka znowu lat później, r. 1551, gdy liczba zakonników, zwłaszcza młodych kleryków, coraz bardziej się zwiększała, otworzył Ignacy u stóp Kapitolu nowy klasztor, zawiązek przyszłego, przeniesionego niebawem na inne miejsce "Kolegium Rzymskiego". Pierwszym i właściwym fundatorem tego kolegium był dawniejszy książę Gandii, od r. 1547 pokorny zakonnik, święty Franciszek Borgiasz. Prace i starania dwóch Świętych wielkie przyniosły i po dziś dzień przynoszą owoce. W pierwszym roku uczęszczało na zaprowadzone w "kolegium" wykłady filozofii i teologii 14 scholastyków Towarzystwa; po pięciu latach liczba ich wzrosła do 200, a nadto korzystało z wykładów mnóstwo młodzieży ze wszystkich stron Europy.

Obok "domu profesów", obok "kolegium rzymskiego" powstało w krótkim czasie w samym Rzymie parę domów, o których przyjdzie nam jeszcze pomówić, gdy przypatrywać się będziemy apostolskiej działalności Świętego. Jednocześnie mnożą się kolegia, domy profesów i domy misyjne Towarzystwa we Włoszech, w Hiszpanii, Portugalii, Niemczech, Flandrii, Francji, nawet w dalekich Indiach. Miasta, kraje, królowie, biskupi, ofiarowują na wyścigi niejako nowe fundacje, a Ignacy w listach swych i pismach żali się tylko, że wszystkim tym prośbom nawet w części nie może odpowiedzieć. A w miarę, jak zakon rośnie i wzmaga się, rosną troski i prace jego założyciela i przełożonego. Umie on wprawdzie roztropnie wyrećcać się innymi; posiada tę tak rzadką a do dobrych rządów tak potrzebną skromność, iż bynajmniej nie chce wszystkiego wykonywać osobiście; zachowując sobie, zwłaszcza w nieco późniejszych latach, najwyższy tylko nadzór, zostawia wolne ręce, domaga się nawet do pewnego stopnia samoistnej działalności od niższych przełożonych, którzy zarządzają odrębnymi zakonnymi prowincjami i klasztorami. Ale i ten

najwyższy nadzór wymaga niemało pracy, energii, czujności, a przede wszystkim roztropności. Ignacy dobrze to rozumie, obejmuje wszechstronnie całą wielkość i trudność swego zadania, a zrozumienie to jest właśnie jedną z pierwszych i najgłówniejszych przyczyn, które wyrobiły zeń tak znakomitego organizatora i wodza zebranego na chwałę Bożą hufca Towarzysłów Jezusowych.

W konstytucjach zakonnych nakreślił Ignacy wspaniały, prawdziwie idealny obraz generalnego przełożonego zakonu, jakimi ma kierować się pobudkami, jakie ma mieć cnoty i zalety? <sup>(1)</sup> Obraz ten, mimowolnie skopiowany z samegoż życia Świętego, pokazuje ideał, do którego Ignacy w sprawowaniu urzędu swego dążył; najdokładniej odmalowuje nam własne jego postępowanie, odkrywa niejako własną jego duszę i działające w niej sprężyny.

"Najpierwszym ze wszystkich przymiotów – streszczamy słowa samegoż Świętego – które zdobić powinny generalnego przełożonego, jest jak największe zjednoczenie i złączenie z Bogiem, Panem naszym, zarówno w modlitwie, jak i we wszystkich innych zajęciach i sprawach. Następnie musi to być mąż, przyświecający przykładem wszelkiego rodzaju cnót; na pierwszym miejscu miłością względem Towarzystwa i wszystkich w ogóle ludzi. Namiętności winien trzymać na wodzy i tak je mieć umartwione, aby nie były w stanie wpłynąć na zdrowy sąd rozumu; również i na zewnątrz tak ma być ułożony, aby każdy jego uczynek, każde zwłaszcza jego słowo służyło do zbudowania. Niezbędną surowość i energię niechaj łączy z łagodnością i słodyczą, nie dając się niczym nagiąć i odwieść od tego, co wydawać mu się będzie miłszym Bogu, a z drugiej znów strony, współczując z potrzebami swych synów, napominając ich po ojcowsku, z miłością, aby sami błąd swój uznali i konieczność poprawy. Jak do tego znoszenia słabości wielu swych poddanych, tak do przedsięwzięcia wielkich rzeczy w służbie Bożej, bardzo mu jest potrzebną energia i wspaniałomyślność, aby ani dla powstałych przeciwności ducha nie tracił, ani żadnymi prośbami lub groźbami nie dał się odwieść od tego, czego domaga się służba Boża. Powinien być wyższym, panować nad szczęściem i nieszczęściem, w danym razie i śmierć ponieść powinien być gotów dla dobra Towarzystwa w służbie Pana naszego. Oprócz tego musi mieć rozum i sąd zdrowy, naukę, a bardziej jeszcze roztropność, znajomość życia duchownego, czujność, wytrwałość w prowadzeniu i doprowadzeniu do końca spraw raz rozpoczętych. Wreszcie, aby należycie i wszechstronnie wywiązać się mógł z włożonego na siebie trudnego zadania, potrzebne mu są pewne zewnętrzne przymioty:

zdrowie, siły ciała, odpowiedni wiek, ani za wczesny, ani za późny, dobra opinia u ludzi. W każdym zaś razie i choćby niektóre z powyższych warunków nie zupełnie dopisywały, brakować mu bądź co bądź nie może wielkiej prawości, miłości dla Towarzystwa i zdrowego rozsądku, idącego w parze z należytą nauką".

Programu tego, wysnutego zresztą z własnego swego postępowania, trzymał się Ignacy jak najściślej w swych rządach. Złączenie z Bogiem, panowanie nad namiętnościami odbijające się i na zewnątrz w całej postawie i sposobie postępowania, stało się u niego już jakby drugą naturą od czasu rozmyślań w manreskiej grocie. Tam też już, wpatrując się w wodza swego Chrystusa, uczył się od Niego, jak miłość i łagodność łączyć z niezbędną surowością; jak stosownie do różnych osób, potrzeb i okoliczności, uderzać to w tę, to w tamtą strunę, zawsze na większą chwałę Bożą, na większy pożytek dusz zdążających na górę doskonałości.

Miłość jego dla duchownych swych synów nie znała prawdziwie granic. "Towarzystwo Jezusowe, pisze w jednym z swych listów do św. Franciszka Ksawerego, jest towarzystwem miłości i zgody, która z góry wyklucza wszelką niewolniczą bojaźń. Przełożony, wzbudzający więcej bojaźni, niż miłości, i okazujący się raczej surowym panem, niż dobrym, kochającym ojcem, przyczynić by się musiał do przerzedzenia szeregów swego zakonu". Takim dobrym, kochającym ojcem był zawsze Ignacy, tak, iż jak mówili ci, którzy się z nim stykali, zdawać by się mogło, że cały jest miłością i dobrocią dla swych braci. Gdy ujrzał którego z nich z dalsza przybywającego, zwłaszcza po dłuższym niewidzeniu, rozjaśniał oblicze, spieszył go przywitać i uścisnąć i tak doń serdecznie przemawiał, "jakby go chciał w własnym sercu umieścić". Trudno też wyrazić jak cieszył się, kiedy nadchodziły pomyślne wiadomości od braci po całym świecie rozproszonych, jak smucił się wespół z nimi, pocieszał, dodawał sił i zachęty do dźwigania krzyżów, które Bóg na nich zsyłał!

Pełne miłości dla swych synów serce Ignacego najbardziej się okazywało, gdy Bóg nawiedził którego z nich chorobą ciała, czy duszy, smutkiem, pokusą. Wtedy nie był to już przełożony, nie był ojciec, ale najczulsza, a dziwnie rozumną miłością kochająca matka.

"Wiem od innych, czytamy w jednym z listów do tego przedmiotu odnoszących się (2), wiem i z własnego doświadczenia, jakieś powinien na zdrowie swe uważać; wiem również, że przy twym tak słabowitym zdrowiu

dajesz się gorliwością unosić do podejmowania przechodzących siły prac i ciężarów. Dlatego w obliczu Boga Pana naszego sędzę, iż sprawisz Majestatowi Jego rzecz przyjemniejszą, miarkując swój zapał, abyś dłużej w służbie Jego mógł pracować, i uważam za odpowiednie nakazać ci w Panu naszym, abyś we wszystkim, co się odnosi do posiłku, pracy, podziału czasu, spania, odpoczynku, słuchał zdania lekarza i abyś przez trzy następne miesiące, tj. aż do września, nie zajmował się kazaniami, ale pielęgnowaniem zdrowia". Chorującemu w Wenecji O. Rodriguezowi nakazuje: (3) "Donoś nam co tydzień o swym zdrowiu i staraj się o nie, używając odpowiednich środków". – "Jeśliby konieczność tego wymagała, zaleca Święty w okólniku rozesłanym do wszystkich przełożonych zakonu (4), uciec się należy do świętego zebrania od domu do domu, byle ulżyć cierpieniom żywych członków Chrystusa Pana naszego, którzy dla służby Jego potrzebują zdrowia i sił ciała, choć ze swej strony zupełnie są gotowi cierpieć dla Jego miłości wszelkiego rodzaju niedostatek".

Założony głównie za staraniem miejscowego biskupa klasztor w Bolonii tak był niezdrowym, wilgotnym, że wszyscy jego mieszkańcy pochorowali się. Dowiedziawszy się o tym, wysłał Święty natychmiast na wszystkie strony bardzo energiczne listy, domagając się dla swych braci zdrowszego pomieszczenia i to w jak najkrótszym przeciągu czasu. Do samego biskupa odzywa się bez ogródek: (5) "Wasza Biskupia Mość słyszała już zapewne i od lekarzy, że klasztor boloński to nie dom dla ludzi, ale jaskinia dla zwierząt i że dlatego musi być w nim zawsze pełno chorych... Nie przeraża nas ani choroba, ani śmierć podjęta dla chwały Bożej i pomocy dusz; wszakże w tym razie sumienie nie pozwala mi narażać nadal na takie niebezpieczeństwo tych, których Bóg, Pan nasz oddał mi pod opiekę". – Nie mniej wymownym jest następny urywek z listu do O. Antoniego de Cordoba: (6) "Mianuję cię mym zastępcą z pełną władzą, jaką sam posiadam, we wszystkim co się odnosi do zdrowia i sposobu życia O. Franciszka Borgiasza i Dr. Araoza, co do których dochodzą mię skargi, że o zdrowie swoje nie dosyć dbają".

Z napomnieniami i wskazówkami szły w parze bardziej od nich wymowne, bardziej jeszcze przekonywujące czyny. Dwa razy dziennie nakazywał sobie zdawać dokładne sprawozdanie, czy kto w domu nie zachorował, jak mają się chorzy i rekonwalescenci, czy nie brakuje im czego. "Dla chorych – zwykł był mówić, kiedy mu donoszono, że brak środków do życia najniezbędniejszych – znaleźć się musi i pewny jestem, że za pomocą Bożą znajdzie się wszystko, czego im potrzeba; my, zdrowi, łatwiej już sobie

damy radę, choćby wypadło i trochę głodu, lub chłodu pocierpieć". Gdy jeden z zakonnych braci zachorował na gorączkę, a lekarz zalecił dać mu delikatniejsze pożywienie, Święty nakazał obrócić na ten cel ostatnie trzy złote, które się znajdowały w kasie domowej. – "A cóż jutro dam na obiad?" – zapytał szafarz klasztorny. – "Dasz kawałek suchego chleba – odparł Ignacy – zdrowemu i to wystarczy, a dla chorego żałować nie wolno". – Kiedy indziej kazał sprzedać talerze, półmiski cynowe, nawet kołdry z łóżek, byle kupić dla chorych lekarstwa przez doktora przepisane. Raz znowu, dość już późno w noc dowiedział się, że brat opiekujący się chorymi zapomniał kupić jakiejś potrzebnej maści, czy olejku; chwili nie tracąc, pomimo, że żadne nie groziło niebezpieczeństwo, wysłał go z dwoma towarzyszami, oświecającymi ulice zapalonymi pochodniami, za kupnem owej maści.

Życiopisarze Świętego podają nam długi, bardzo długi szereg podobnych wypadków, rzucających tak piękne światło na ojcowskie serce Świętego. Dwóch nowicjuszów, jeden Włoch, drugi Hiszpan, zaledwie przestąpili progi klasztorne, zapadli w ciężką chorobę. W domu profesów znajdowało się wówczas około siedemdziesięciu osób, mieszkających w wielkiej ciasnocie i ubóstwie; toteż niektórzy z Ojców radzili, aby chorych, nie związanych jeszcze z zakonem żadnymi węzłami, odesłać do szpitala. Ignacy stanowczo temu się oparł, bo jak się wyraził, niegodną byłoby rzeczą, abyśmy tych, którzy łączą się z nami w miłości Bożej, mieli w potrzebie opuszczać. – Przechodząc korytarzem, dostrzegł przypadkiem, że jeden z nowicjuszów gorzej wygląda, niż zazwyczaj; natychmiast przywołał go do siebie, wypytał po ojcowsku o stan zdrowia, nakazał dłużej spać, a bezpośrednim przełożonym zalecił szczególną opiekę nad osłabionym młodzieńcem. Przed Wielkim Postem zwykł był corocznie wołać wszystkich domowników, pytać ich w obecności lekarza, jak czują się na siłach, a jeśli tylko lekarz uznał, że któryś jest słabszym i post mógłby mu zaszkodzić, natychmiast go od postu uwalniał. Uwolniony w ten sposób od postu, młodzieńcy naówczas (1545 r.) Piotr Ribadeneira, próbował wymówić się od danego sobie polecenia obawą, czy nie zgorszy którego z towarzyszy? "A któż, odparł Ignacy, miałby się gorszyć z tego, że jesteś słabowity? Każdy raczej podziękuje Bogu, że używa mu sił potrzebnych do poszczenia, których tobie nie zechciał użyzyć". – W rok później doszło istotnie do uszu Świętego, że ktoś, widocznie początkujący dopiero na drodze doskonałości, wyrzucał jednemu z towarzyszy, korzystanie z dyspensy i pytał go: dlaczego nie pości jak inni? Wiadomość o tym zapytaniu napęliła Ignacego oburzeniem, z którym bynajmniej się nie taił: "Jeżeli kto, rzekł surowo, jest do



tego stopnia niewyrozumiały i dla braci swych niemiłosierny, ten w zakonie naszym żyć nie wart!".

Szczególnie troszczył się Ignacy o zdrowie młodych kleryków, tracących zbyt szybko czerstwość i siły przy wyężdżającej pracy naukowej. Aby zapewnić im konieczne a regularne wytchnienie, postanowił zbudować dla nich na ustronnym zdrowym miejscu osobny domek, w którym by jeden przynajmniej dzień w tygodniu mogli zupełnie swobodnie spędzić na świeżym powietrzu, z dala od miejskiego gwaru i codziennych trosk i zatrudnień. Kilku przyjaciół, znających dobrze stan funduszków Świętego, a raczej brak zupełny wszelkich funduszków, usiłowali mu wybić z głowy powziętą myśl, jako niemożliwą do spełnienia. "Nie masz nieraz co dać jeść twym braciom – tłumaczyli – jakże i z czego chcesz dla nich willę budować?". Ignacy odpowiadał z uśmiechem: "Nie bójcie się, pieniądze się już z pewnością znajdują! Bardziej zresztą cenię sobie zdrowie jednego z młodych mych braci, niż skarby całego świata. W chorobie nie można dla bliźnich pracować; kto chce zupełnie się oddać na służbę Bożą i dużo zrobić dla chwały Bożej, ten musi mieć dobre zdrowie". Skutek okazał najlepiej, jak Bogu podobała się ufność i rozumna miłość Świętego, jak błogosławił najtrudniejszym, zdawało się niepodobnym do wykonania sprawom, w ich imię rozpoczętym!

Późniejszy dziejopisarz Świętego, Ribadeneira, tak z nietajonym rozrzewnieniem wspomina o ojcowskiej jego troskliwości dla siebie: (7) "Powiem, co się mnie samemu przydarzyło. Gdy mi w nocy krew z ręki puszczano, a Ignacy pozostawił takich, którzy by mię pilnowali, on sam miły, a dobry ojciec, gdy drudzy spali, długo w noc nie spał, raz i kilka posyłał, patrzeć, jeśli dobrze związana ręka, aby za otwarciem żyły krew mi nie uszła, a nagłej śmierci, co się niektórym przydarza, nie przyniosła. Osobliwej to Opatrzności Boskiej przypisywał, że sam tak wiele chorób miewał, aby z własnych swoich umiał sobie cudze poważać".

Ojciec tak troskliwy o zdrowie ciała swych synów, bardziej jeszcze, rzecz prosta, troszczył się o zdrowie ich duszy; większy miał jeszcze powód do dziękowania Bogu, że nawiedzać go raczył w pierwszych zwłaszcza latach po nawróceniu tak różnorodnymi doświadczeniami i chorobami duszy, "aby z własnych swoim umiał sobie cudze poważać" ... Wiedział, co to jest pokusa, jak wielka nieraz jej siła, jak trudno wśród burzy pokus zachować potrzebny spokój i przytomność umysłu, i dlatego wyrozumiałość jego dla nawiedzonych pokusą,

tych zwłaszcza, którzy pierwsze kroki stawiali na drodze doskonałości, nie znała, rzec można, granic: otwierał im na oścież swe serce, używał wszelkich możliwych środków i lekarstw, byle ich uchronić od upadku i zwątpienia. Gdy raz pewien nowicjusz, zwyciężony natarczywością szatańską, przyszedł mu oznajmić, że stanowczo zakon opuszcza, Ignacy wyprosił sobie formalnie u niego trzy dni zwłoki, a przez te trzy dni tak modlił się i tak ciężko pokutował, kawałka nawet chleba do ust nie biorąc, że wreszcie umartwieniem i modlitwą wyprosił u Boga miłosierdzie dla zbłąkanego młodzieńca. Innemu poświęcił całą noc i nie przestał tłumaczyć i prosić, aby łaski Bożej od siebie nie odrzucał, aż nowicjusz wzruszony i przekonany rzucił się przed nim na kolana i sam błagać zaczął ze łzami: "Nie wyrzucaj mię z zakonu! Nałóż choćby największą pokutę, którą mógłbym zmazać swą niestałość, ale dozwól mi w zakonie umrzeć!". Ignacy uszczęśliwiony uściskał marnotrawnego syna i rzekł z uśmiechem: "Za pokutę postanów sobie nigdy już na przyszłość wstecz się nie oglądać w służbie Bożej; co do innego rodzaju pokuty bądź spokojny, odprawię ją sam za ciebie".

Miłością i prawdziwie macierzyńską wyrozumiałością zatrzymał również Ignacy w zakonie znanego już nam młodzieńczego Ribadeneirę. Figlarz to był i psotnik czasami po prostu nieznośny; w żartach swych nikogo nie oszczędzał, najmniej samego Ignacego, a niektórym z poważniejszych Ojców tak się dał we znaki, że ci głośno wyrażali zdziwienie, jak i dlaczego zakon tak długo go cierpi. Ignacy znał grunt serca młodego Ribadeneiry i pomimo wszystko brał go w obronę; a choć czasami, w razie potrzeby, nie wahał się skarcić go surowiej, w ogóle przyjmował bardzo pobłażliwie wszystkie wybryki młodego nowicjusza. Zły duch widząc, że tą drogą do niczego nie dojdzie, bo bezgraniczna, zdawałoby się, wyrozumiałość Ignacego psuje mu wszystkie plany, uderzył w inną stronę. Nagle Ribadeneira, który dotychczas jak syn do ojca przywiązany był do Świętego, poczuł do niego jakiś wstręt; wesoły jego umysł zachmurzyła melancholia, serce wrywać się niespokojnie zaczęło poza mury klasztorne. Nie trudno było poznać tak doświadczonemu mistrzowi życia duchownego, jakim był Ignacy, nagłą tę zmianę, której twórcą, jak ze skutków jej aż za jasno się okazywało, dobry duch być nie mógł; przywołał więc do siebie Ribadeneirę i w długiej serdecznej rozmowie starał się rozproszyć nagromadzone w sercu i w rozumie ciemności. Próżne usiłowania! każde słowo rozjątrzało jakby tylko na nowo ciężką ranę; Ribadeneira z dziecięcym jakimś, nierozumnym ale niedającym się niczym przełamać uporem, na każdy argument jedną miał odpowiedź: "Wyjść stąd chcę, opuścić was chcę i muszę!". Teraz

Ignacy uciekł się do ostatniego, ale niezawodnego środka, do gorącej modlitwy; z płaczem prosił Boga: "Daruj mi tę duszę, Panie!" a powstawszy po długiej rozmowie z Bogiem pewnym już był, że został wysłuchanym. Istotnie, zaledwie przywołał ponownie do siebie Ribadeneirę i parę słów do niego przemówił, kiedy ten, jakby różdżką czarnoksięską od razu w innego człowieka zmieniony, zawołał z płaczem: "Zrobię Ojczy, wszystko, co każesz; odprawię ćwiczenia duchowne, jak tego sobie życzysz".

"Nie mogłem powiedzieć co innego, opowiada sam Ribadeneira, bo do wyrzeczenia słów tych popchnęła mnie jakaś siła niewidzialna, której nie byłem w stanie oprzeć się. Zaledwie rozpocząłem «ćwiczenia duchowne», zapragnąłem wyśpowiadać się z całego życia przed Ignacym, wylać przed nim całą duszę moją. Wysłuchał mojej spowiedzi, a na końcu te tylko wyrzekł słowa: «Piotrze! nie bądźże niewdzięcznym względem Boga twego, który ci dał tyle łask, obsypał tyłu darami». Na te słowa spadły mi jakby łuski z oczu, z serca ustąpiły wszelkie wątpliwości, a ustąpiły tak stanowczo, że przez przeciąg 52 lat, tj. od roku 1543, w którym to zdarzenie miało miejsce, aż po dziś dzień, kiedy je opisuję, nigdy nawet na myśl mi się nie nasunęła pokusa opuszczenia Towarzystwa".

Miłość prawdziwa, jeśli nie ma przerodzić się w niezdrową pobłażliwość, prowadzącą do niemęskiej słabości, musi się kierować rozumem i łączyć z niezbędną energią, nawet z surowością w razie potrzeby. Równie łagodność i wyrozumiałość, jak energia i surowość, to środki, których dobry, kochający przełożony używa stosownie do wytkniętego celu, zawsze dla dobra swych poddanych, zawsze dla chwały Bożej; w tym cała sztuka, aby wiedzieć, kiedy i jak w którą z dwóch tych strun uderzyć. Ignacy posiadał prawdziwie wyjątkową znajomość serc ludzkich i grał na nich jak mistrz na harmonijnym instrumencie; wyrozumiały czasem, gdy tego dobro sprawy i usposobienie duszy poddanego się domagały, aż do ostatecznych granic, umiał kiedy indziej, stosownie do zmienionych okoliczności, wystąpić z całą surowością, domagając się żołnierskiego posłuchu, karcąc i karząc za przewinienia.

Jak różne np. postępowanie, odmienny ton w rozkazach wydawanych dwóm równie z pewnością ukochanym towarzyszom: Jakubowi Laynez a Szymonowi Rodriguez. Pierwszy, najgłębszy może teolog swego czasu, późniejszy następca świętego Założyciela w rządach nad całym zakonem, szedł szybszym jeszcze krokiem na drodze cnoty, niż wiedzy; stał to była hartowna, której ciężkie uderzenia tylko blasku mogły dodać. Laynez był zawsze wzorem

posłuszeństwa; raz jeden okazał pewne niezadowolenie z nadeszłych z Rzymu rozkazów i niezadowolenie to objawił w zbyt może gorących wyrazach. Odpowiedź Ignacego aż zadziwia surowością: wytknąwszy obszernie, w szczegółach, ostrych zwrotów nie szczędząc, trzy błędy, których Laynez postępowaniem swym dopuścił się, kończy następującymi wyrazami: "Rozważ przed Bogiem i Panem naszym czy i czego stałeś się winnym i przez trzy dni módl się szczególnie w tym celu; następnie zaś napisz co w tej mierze sądzisz, czy wielkie, czy małe błędy popełniłeś, i na jaką, wedle zdania swego, zasługujesz pokutę" (8).

Inaczej przemawia Ignacy do O. Rodrigueza, którego mniej hartowna cnota mogłaby, jeśli nie prysnąć, to uszczerbek ponieść pod takimi uderzeniami. Zbyt długi pobyt Rodrigueza na dworze lizbońskim pociągnął za sobą pewne niedogodności, które Święty pragnął usunąć, odwołując go do Rzymu. "Przybądź tu – zaprasza go serdecznie, nie jak przełożony, ale jak brat starszy, jak najlepszy przyjaciel (9) – przybądź do nas, abyśmy przed śmiercią zobaczyć się jeszcze mogli, wzajemnie pocieszyć i radami wesprzeć. Nie obawiaj się, że wyjazd twój z Portugalii zaszkodzi twej sławie; moją już będzie troską temu zapobiec. Nie lękaj się również choroby; Ten, który jest życiem wiecznym, użyczy ci potrzebnego zdrowia do wypełnienia posłuszeństwa; wszak zresztą odbyłeś już raz tę drogę mimo dręczącej cię febry, choć mniejsza tego natenczas niż dziś była potrzeba". W dwa miesiące później te same nalegania: (10) "Ufaj, nie lękaj się, Synu mój, do Rzymu przybądź; Bóg udzieli ci sił i cielesnych i duchownych". Swoją drogą, po wyczerpaniu łagodnych środków Ignacy był gotów uciec się do najenergiczniejszych nawet i najboleśniejszych; na wypadek, gdyby wszystkie prośby i przedstawienia nie odniosły skutku, Święty nakazywał prowincjałowi portugalskiemu, O. Jakubowi Miron (11), "odłączyć i odciąć nieposłusznego, choć z niemałym bólem mego serca, od ciała Towarzystwa". Bóg na szczęście nie dozwolił, aby dojść miało do tej ostateczności.

Dopiero co wspomniany O. Jakub Miron, zwykł był mawiać: "Nasz Ojciec Ignacy tak umie leczyć zadane przez siebie rany, że nie pozostaje po nich najmniejsza blizna; usuwa niezrównaną swą miłością wszelkie ślady poprzedniej surowości, a co najważniejsza, sam skarcony wie i czuje, że w sercu dobrego ojca nie pozostało ani kropli kwasu i niechęci". Stąd nawet bardzo ostre napomnienia i kary, których Święty niejednokrotnie synom swym nie szczędził, nie zdołały nigdy, już nie wydrzeć, ale choćby zmniejszyć miłości, jaką ku niemu mieli. A kary te i napomnienia, dawane zwłaszcza tym, którzy już nieco

wyżej na górę doskonałości się wspięli, były istotnie nieraz bardzo surowe. Bardzo pobożnemu Ojcu Korneliuszowi Vishaven, nakazał tego samego dnia, tej samej godziny, której z Holandii przybył do Rzymu, wyjść na ulicę i żebrac od domu do domu, dopóki nie zbierze pewnej sumy, jaką nieopatrznie i wbrew przepisom ubóstwa wydał w swej podróży. Niemniej surowym – zawsze oczywiście surowość z wielką miłością łącząc – okazał się Święty względem spokrewnionego z najznakomitszymi rodzinami portugalskimi, Antoniego Munis. Młodzieniec ten wstąpił w r. 1544 do zakonu, lecz po kilkunastu miesiącach, porwany niespokojną wyobraźnią i nie umiejąc oprzeć się podszeptom pokusy, opuścił cichaczem klasztor w Koimbrze i rozpoczął rzekomo pobożne pielgrzymki od jednego miejsca cudownego do drugiego. W Monseracie za przyczyną Najświętszej Panny, do której nie opuściło go nigdy szczere nabożeństwo, otworzyły mu się wreszcie oczy, poznał swój błąd, a tknięty szczerym żalem, podążył do Rzymu błagać o przebaczenie u Ignacego.

"Munis – opowiada sam Święty w liście do św. Franciszka Borgiasza (12) – przybył tu w prostym ubraniu, bosy, dobrze w ubóstwie wyćwiczony i znalazł schronienie w portugalskim szpitalu św. Antoniego. Stamtąd przysłał mi list, który tu dołączam. Poleciałem mu natychmiast szpital opuścić, umieściłem go jako gościa w pewnym domu, od nas zależnym i zaopatrzyłem we wszystko potrzebne, «zabijając cielca utuczonego, ponieważ zginął i znalazł się» (13). Nie puściłem go wszakże do domu naszego ani na noc, ani dla posiłku, owszem, dotąd, by mu w ten sposób lepiej dopomóc, mówić z nim sam jeszcze nie chciałem. Bez mojej też wiedzy odprawiał stacje rzymskie po pas obnażony, bicząc się bardzo silnie, tak, że jak mi mówiono, krew po ciele spływała, i zamierzał następnie ludzi do zaparcia siebie zachęcać, prosząc po całym mieście o jałmużnę od drzwi do drzwi. Kiedy się o tym dowiedziałem, kazałem mu powiedzieć, aby zaprzestał tej pokuty i że jutro, lub w jednym z następnych dni zastanowimy się wspólnie co dalej czynić".

Munis, przejęty szczerym żalem, myślał odtąd o tym tylko, jak odpokutować za dawne swe grzechy; po niewielu tygodniach nawiedziła go choroba, z której nie miał powstać, szczęśliwy, że umiera w zakonie, z błogosławieństwem Ignacego. Nie zawsze miał Święty podobną pociechę; niejednokrotnie, jako przezorny lekarz, musiał i nie wahał się, gdy inne lekarstwa nie pomagały, odciąć zgniły członek, aby całego ciała nie zarazić. "Nieroztropna miłość, zwykł był mawiać, objawiająca się w zatrzymywaniu w zakonie ludzi nieodpowiednich, pociąga za sobą niezmiernie złe skutki i z całą

siłą walczyć należy przeciw tej dla całego zakonu nad wszelki wyraz szkodliwej, nie prawdziwej miłości, ale niezdrowej czułościowości".

Żadne też względy, żadne prośby nie potrafiły go zachwiać, gdy wyrobił sobie przed Bogiem przekonanie, że większa chwała Boża i dobro zakonu domaga się, aby kogoś z Towarzystwa wypuścić. Młody Teutonio de Braganza, bliski krewny króla portugalskiego, zaczął po paroletnim pobycie w zakonie, ufny może w swe wpływy i koligacje, domagać się różnych dyspens, niezgodnych z klasztorną karnością. Ignacy usiłował z początku wytłumaczyć mu po ojcowsku, że kto chwycił raz za pług Chrystusowy, temu wstecz nie wolno oglądać się; następnie, gdy serdeczne upomnienia pozostały bez skutku, postawił alternatywę: "Musisz się zdecydować i albo zostać prawdziwie przykładowym zakonnikiem, albo zakon opuścić"; wreszcie kiedy nie pomogły "ani twarde, ani łagodne środki", gdy nie było nadziei "aby D. Teutonio zechciał przełamać swój sąd i wolę, jak to wszyscy pod posłuszeństwem żyjący koniecznie czynić muszą", Święty dłużej nie zwlekał z pozbyciem się niekarnego księcia, pomimo, że ten stanowczy krok musiał boleśnie dotknąć króla Jana III, największego dobroczyńcę i przyjaciela zakonu (14). Podobnie wypuścił z Towarzystwa jednego z dość bliskich krewnych wicekróla sycylijskiego, Jana de Vega, również nadzwyczaj dla zakonu zasłużonego. Na próżno tak ukochany skądinąd przez Ignacego Ribadeneira wstawiał się za biednym młodzieńcem, na próżno wstawiał się później za Krzysztofem Laynezem, rodzonym bratem Jakuba, dla którego Święty tak wielką przecież żywił cześć i miłość. "Rozumna miłość, odpowiadał stale na wszystkie prośby i tłumaczenia, musi się kierować względem na dobro całości, a nie jednego członka; inaczej, to już nie rozumna miłość, ale karygodna słabość".

Wyrażając życiem swym nakreślony przez samego siebie obraz doskonałego przełożonego, umiał Ignacy łączyć "niezbędną surowość i energię z łagodnością i słodyczą"; niemniej, zawsze idealny ten wizerunek odzwierciedlając, "wyższym był nad wszystkie ziemskie wypadki i nad szczęściem i nieszczęściem panował", nigdy w największych przeciwnościach ducha nie tracił, pewny, że Bóg nie opuści swego sługi i w odpowiedniej chwili poda z wszelką pewnością rękę pomocną. "Tak pracuj – to była stała jego, wielokrotnie powtarzana zasada – i tak wszelkich dokładaj starań, jakbyś sam wszystko miał zrobić, a Pan Bóg nic; ale tak ufaj Bogu, jakby całe powodzenie i wszystko co czynisz od Boga, nie od ciebie zależało, a nigdy i pod żadnym

warunkiem nie dozwól małoduszności i zwątpieniu wcisnąć się do serca, bo Bóg najlepiej wie co robi, a zawsze wszystko dla dobra twego robi".

I nie zawiódł się nigdy Święty w tej swojej bezgranicznej ufności; spełniała się na każdym kroku, jak w wielkich, tak w najdrobniejszych rzeczach silna nadzieja, którą Ignacy zatwierdził uroczyście na samym wstępie ustaw zakonnych: "Najwyższa Mądrość i Dobroć Boga Stwórcy i Pana naszego, jak wzbudzić raczyła to najmniejsze Towarzystwo, tak też je sama zachowywać, prowadzić i w swojej świętej służbie pomnażać będzie". Ufności tej, niczym i nigdy nie zachwianej, zawdzięczał śmiałość w przedsięwzięciach, siłę w wykonaniu rzeczy tak nieraz trudnych i ciężkich, że po ludzku sądząc zdawały się niemal niepodobne. W czasie największej drożyzny, gdy w domu nieraz jeść nie było co, Ignacy postanowił klasztor znacznie rozszerzyć i wtedy właśnie powziął myśl założenia Kolegium Rzymskiego. "Kusisz Pana Boga" – zarzucali mu trwożliwi. – "Nie kuszę – odpowiadał – tylko ufam Mu całym sercem i rozumiem, że należy nam płynąć przeciw prądowi, przeciw wiatrom i im bardziej sprawa jakaś wydaje się zropaczoną, tym silniej w Bogu ufać!". – "Skąd bierzesz środki – pytał raz ze zdziwieniem O. Mikołaj Bobadilla – aby nas tu utrzymać, kiedy jałmużny przez wiernych dostarczane mogą zaledwie pokryć połowę niezbędnych wydatków?". – "A czyż Pana Boga nie bierzesz w rachubę? – zapytał ze swojej strony Ignacy. – Czy mniemasz, że w niczym od samego Pana Boga nie zależy? Czego nie dadzą mi ludzie, to znajduję w rękach Opatrzności Bożej, a choćby mi i nic nie dali, Opatrzność Boża z pewnością dostarczyłaby mi hojnie wszystkiego". Podobną odpowiedź otrzymał O. Ludwik Gonzalez, który dziwiąc się, że w r. 1555, pamiętnym z głodu i wojny prowadzonej przez Papieża Pawła IV, klasztorom Towarzystwa w Rzymie niczego przecież nie brakowało, przypisywał to oczywistemu cudowi. "Cóż tu o cudzie mówić? – zawołał Ignacy. – Cudem byłoby gdyby nam czego zabrakło, bo chyba cudowi trzeba by przypisać, gdyby Bóg opuścił tych, którzy Mu zaufali. Czyż nie doświadczyliśmy, odkąd jesteśmy w Rzymie, że im więcej mamy w klasztorze mieszkańców i im większa nędza w mieście, tym z większą szczodroblewością Pan Jezus, jak na kochającego ojca przystało, wszystkim naszym potrzebom zapobiega?".

Zdarzały się dni, w których w całym klasztorze, nie mówiąc już o pieniądzach, nie było nawet wiązki drzewa do zapalenia w kuchni, lub kawałka chleba na stół. Zmartwiony braciszek przychodził wtedy do Ignacego i pytał co robić? "Dzwonić, jak zazwyczaj na obiad" – odpowiadał Święty i wracał

spokojnie do przerwanej pracy. Braciszek spełniał ściśle dane sobie polecenie, dzwonił o oznaczonej godzinie, i nie było wypadku, aby liczni zakonnicy, pospieszający na to hasło do refektarza, odeszli z niego głodni. W ostatniej chwili nadszedł zawsze ktoś miłosierny z jałmużną to w pieniądzech, to w surowych prowiantach. Raz, kiedy najwięcej bieda przyciskała, znaleziono przed furką klasztorną kilka worków zboża i parę baryłek wina, położonych tam nie wiedzieć czyją ręką; kiedy indziej nieznanym jakimś człowiekiem wsunął do rąk braciszce, wracającemu wieczorem do domu, sakiewkę z przeszło stu dukatami; pewnego znów mglistego poranka, tenże sam braciszek, idąc ulicą, poczuł, że mu ktoś wciska jakiś twardy przedmiot, a gdy z niespodziewanego wrażenia ochłonął i przedmiotowi onemu się przypatrzył, spostrzegł ze zdziwieniem, że ma w ręku poważną sumę złotych monet, mniej więcej tyle, ile było potrzeba do spłacenia zaciągniętych długów. Tak sam Bóg cudownie radził o swojej czeladzi; jakże wobec tylu jawnych, codziennych dowodów cudownej Opatrzności Bożej, można było o niej wątpić? Nikt też nie wątpił, a sekretarz Świętego, O. Polanco, zwykł był mówić, że przyzwyczał się już, kiedy mu coś Ignacy nakazał zrobić, lub zakupić, nie pytać nigdy: "Skąd wziąć pieniędzy?" bo dany nakaz zawierał w sobie niejako i niezawodną obietnicę: "Pan Jezus o potrzebne pieniądze się wystara!".

Heroiczna ta i nie znająca zastrzeżeń ufność w dobroci i Opatrzności Bożej była, rzecz by można, charakterystyczną cnotą Ignacego; całe życie nią się kierował, służyła mu za przewodnią gwiazdę w najtrudniejszych przejściach, dlatego też, sam błogich jej skutków doznawszy, starał się ją przelać w serca swych synów. Najlepszym świadkiem w tej mierze jest św. Franciszek Ksawery, który z dalekich Indyj pisał: "Stoi mi zawsze żywo przed oczami, com tyle razy słyszał od najlepszego Ojca naszego Ignacego, że zakonnicy nasi powinni używać wszystkich sposobów i całymi siłami do tego się przyłożyć, aby zwyciężyć i odpędzić od siebie wszelkie owe strachy i bojaźnie, które nie pozwalają nam złożyć całej ufności naszej w Bogu".

Oczywiście, ufność ta, tym samym, że była wedle ducha Bożego, była roztropną i rozumną, więc nie wykluczała użycia środków ludzkich, które Bóg daje nie na co innego, jak na to, aby nimi posługiwać się na chwałę Jego w jak najodpowiedniejszy sposób. W listach, instrukcjach, w zakonnych ustawach spotykamy raz po raz przypomnienie i polecenie: <sup>(15)</sup> "Błędem byłoby pokładać nadzieję w jakich bądź środkach lub przemyślnościach ludzkich samych w sobie, wszakże z drugiej strony nie jest bezpieczną drogą, spuściwszy się we



wszystkim na Boga Pana naszego, nie używać samemu użyczonych przezeń środków". Stąd przed podjęciem każdej nieco ważniejszej sprawy spędzał Święty długie godziny na wszechstronnym jej rozważaniu; pytał, radził się, spisywał sobie racje za i przeciw, i dopiero, czasami po wielu dniach spędzonych na takich naradach, modlitwach i rozmyślaniach, przystępował do powzięcia ostatecznej decyzji. Wychodząc również z tej samej zasady, choć niczego bardziej nie pragnął, jak aby chwała Boża jak najbardziej po całym świecie się rozszerzała, nie dawał się przecież nigdy unieść pierwszemu nieroztropnemu zapałowi. Gdy ofiarowywano mu po rozmaitych krajach nowe klasztory i kolegia, dowiadywał się wprzód i badał dokładnie wszystkie stosunki i okoliczności; pytał czy zakon jest w stanie sprostać nowym obowiązkom; i niejednokrotnie nie mogąc sobie dać w sumieniu zadawalającej odpowiedzi, odmawiał wprost przyjęcia zdawało się bardzo korzystnych fundacyj. Skoro spostrzegł, że ktoś na pewnym stanowisku spełnia należycie swe zadanie, starał się jak najdłużej go na nim zatrzymać, nie ustępując nieraz nagłym żądaniom bardzo wpływowych i wysoko postawionych osób, bo jak mówił, byłoby to kuszenie Pana Boga odrywać bez koniecznej potrzeby dobrego pracownika od żniwa, przy którym Bóg tak wyraźnie mu błogosławi. Przeciwnie, najgorętsze prośby nie zdołały go powstrzymać od wysłania do innego miasta lub kraju robotników, dla których tam otwierało się pole do pracy odpowiedniejsze.

Dziwną mądrością i roztropnością tchną poszczególne przepisy i instrukcje, spisywane często własnoręcznie przez Ignacego, bądź dla przełożonego, bądź dla jakiegoś świeżo założonego klasztoru, to znów dla któregoś z braci wysyłanych w dalekie kraje z trudnymi a ważnymi poleceniami. Nawet niechętni religii i zakonowi nie mogą odmówić tym instrukcjom głębokiej mądrości; wyznają, że okazuje się w nich znajomość stosunków i serc ludzkich, która by chlubę przyniosła najdoświadczeńszym mężom stanu. Tak np. w instrukcji, napisanej dla Salmerona i Paschazjusza Broeta, których papież wysyłał jako nuncjuszów swych do ciężko prześladowanej Irlandii, Ignacy daje im następujące wskazówki, jak zachowywać się mają, jak serca sobie pozyskiwać: (16)

"Zalecam wam w obcowaniu ze wszystkimi w ogóle, ale w szczególności z równymi i niższymi mówić niewiele i z namysłem, słuchać cierpliwie i chętnie, nadstawiając uważnie ucha, dopóki osoby, z którymi rozmawiacie, nie wypowiedzą wszystkiego, co wypowiedzieć pragnęły. Wtedy dopiero dacie im

krótką i jasną odpowiedź, uprzedzającą, o ile to możliwe, wszystkie zarzuty i repliki. Pożegnanie ma być krótkie, ale uprzejme".

"W celu zawarcia znajomości i zjednania sobie niektórych ludzi wyżej stojących, zdążając zawsze do szybszego rozszerzenia Królestwa Bożego, stać się musicie, wedle napomnienia Apostoła, wszystkim dla wszystkich: z ludźmi żywego temperamentu, z cholerykami przystosowywać się do ich tonu, z powolnymi i poważnymi spokojnie i poważnie mówić. Zwłaszcza w rozmowach duchownych starając się o pogodzenie kogoś z nieprzyjacielem jego, uważać trzeba na każde słowo, bo każde dojsć może do wiadomości publicznej".

Tą samą zadziwiającą roztropnością, zadziwiającym zrozumieniem stosunków i wniknięciem w najskrytsze tajniki serc nacechowana jest instrukcja dla wysłanych przez papieża na Sobór Trydencki Layneza i Salmerona. "Jako niezbędnym jest, przestrzega Święty (17), aby Bóg nam dopomagał i sił dodawał w naszych stosunkach z bliźnimi, które podejmujemy na chwałę Bożą i pożytek dusz, tak znowu z naszej strony musimy z całą pilnością i roztropnością pracować, bo inaczej więcej byśmy przynieśli szkody, niż pożytku tym, z którymi obcujemy, a i oni nam przynieśliby niemałą szkodę. Rodzaj życia, któryśmy sobie obrali, nie dozwala nam stosunków tych się wyrzec, musimy zatem z góry dobrze się do nich przygotować i jasno sobie powiedzieć, co, jak i kiedy mamy czynić... W ogóle mówiąc, pragnę gorąco, abyście nigdy nie stracili z oczu trzech następujących punktów: Na soborze szukać macie wyłącznie chwały Bożej i dobra Kościoła; poza soborem starać się powinniście o dobro i interesy dusz, wedle fundamentalnych zasad zakonu naszego; w domu i gdy jesteście między sobą, zwracać musicie przede wszystkim uwagę na własną waszą duszę i postępowanie w doskonałości, bo bez tego i w dwóch poprzednich punktach zawsze będziecie szwankować, a w dniu, w którym zapomnicie o własnej waszej duszy, szukać z pewnością nie będziecie ani korzyści dla dusz, ani dobra Kościoła, ani chwały Bożej, ale własnej waszej chwały i własnego pożytku".

"W czasie obrad soboru, namyślcie się zawsze dobrze zanim poprosicie o słowo; wyrażajcie zdanie wasze, zwłaszcza w kwestiach praktycznych po dokładnej rozwadze i z miłością; słuchajcie innych spokojnie i uważnie, starając się pochwycić myśl i zamiar mówiących, aby wiedzieć jasno, czy możecie się zgodzić na wyrażone zdanie, czy też macie co na nie odpowiedzieć. Przy powstałych rozprawach wyłuszczyć należy powody za i przeciw, aby nie zdawało się, że ślepo i uparcie trzymacie się zdania, którego bronicie.

Dokładajcie wszystkich sił, aby nikt słowami waszymi nie czuł się osobiście dotkniętym, lub obrażonym. Jeżeli dobro sprawy wymagać będzie, żebyście sami wzięli udział w rozprawach, mówcie zawsze z wielkim spokojem, pogodą, skromnością, dodając na końcu: «Tak sądzę, chyba ktoś odmienne zdanie mógł lepiej uzasadnić», – albo inną, podobną formułkę. Wreszcie bądźcie o tym silnie przekonani, że chcąc z pożytkiem rozprawiać o kwestiach, wchodzących w zakres bądź nauk teologicznych, bądź czysto ludzkich, należy zastanawiać się nad nimi spokojnie, bez pośpiechu, a nie nagle i jakby oglądając się i zrywając się do czego innego. Dlatego naznaczając porządek i czas tych rozpraw, nie oglądajcie się na to, co dla was mogłoby być wygodniejszym i stosowniejszym, ale zastosujcie się zawsze do wymagań innych".

"Poza soborem nie zaniedbujcie żadnej sposobności do pomagania i służenia bliźnim. Owszem, szukajcie raczej sposobności do słuchania spowiedzi, mówienia kazań do ludu, katechizowania dzieci, prowadzenia dusz do doskonałości przez «ćwiczenia duchowne»; służcie w szpitalach i pocieszajcie chorych z wielką miłością, aby Duch Święty tym więcej darów Swych i łask zlewał na sobór, im gorętszą będzie wasza miłość, im większą pokora. W kazaniach nie poruszajcie punktów dających powód do sprzeczek z heretykami, ale kładźcie główny nacisk na reformę obyczajów i posłuszeństwo dla świętego katolickiego Kościoła. Zachęcajcie tylko często do modlitw o szczęśliwy wynik obrad soborowych. Słuchając spowiedzi, ważcie dobrze wszystkie słowa, nie zapominajcie nigdy o wielkiej roztropności i ostrożności; pamiętajcie zawsze, że to co szeptacie do ucha, może być łatwo później po całym świecie rozgłoszone. Za pokutę na spowiedzi nakładajcie modlitwy o szczęśliwy wynik soboru. Udzielając «ćwiczeń duchownych» i w ogóle w każdej rozmowie, to tylko mówcie, co byście śmiało mogli wszędzie i wobec wszystkich powtórzyć. Odprawiającym «ćwiczenia duchowne» nie pozwalajcie wiązać się ślubami; łagodźcie w razie potrzeby przepisy i cały sposób odprawiania tych «ćwiczeń duchownych», zwłaszcza względem tych, którzy mają je odprawiać w całości".

"Kiedy uczyć będziecie dzieci prawd wiary chrześcijańskiej, zastosujcie się do ich wieku, powoli i z miłością tajemnice wiary im odsłaniając i tłumacząc stosownie do pojęcia i zdolności słuchaczy... Co czwarty dzień nawiedzajcie naprzemian szpitale publiczne, w godzinach najwygodniejszych dla chorych; słuchajcie ich spowiedzi, a nadto starajcie się pocieszać ich i cierpienia łagodzić nie tylko pocziwymi słowami, ale też

przynosząc im, o ile to będzie w waszej możności, małe jakieś podarunki. W publicznych rozprawach i dysputach lepiej mówić mało, byle z należytych namysłem; zachęcając ludzi do cnoty i do chronienia się grzechów, odpowiedniejszym jest znowu nieco dłużej przemawiać, z miłością i serdecznością".

Czy nie złote to przepisy? Choćbyśmy nie wiele więcej o rządach Ignacego wiedzieli, czyż te przepisy nie świadczyłyby dość jasno, jaki musiał mieć, jak tego sam od generała zakonu się domagał "rozum i sąd zdrowy, naukę, a bardziej jeszcze roztropność"?

"W każdym zaś razie – streszcza niejako Święty nakreślony przez siebie idealny wizerunek naczelnego przełożonego zakonu – odznaczać się generał musi wybitną miłością dla Towarzystwa". Serce Ignacego, po ludzku nawet rzeczy biorąc, nie mogło nie być przepełnione najgorętszą miłością dla swego zakonu; był on przecież, rzec można, jego dzieckiem, tym bardziej z natury rzeczy umiłowany, że zrodzonym wśród wielu cierpień i przeciwności. Kochał też Święty Towarzystwo, kochał tym stalej i lepiej, że naturalną miłość podniósł i przekształcił w nadprzyrodzoną, a miłość ta, z Bożej miłości płynąca, dyktowała mu najodpowiedniejsze środki do uchronienia swego zakonu od grożących mu lub mogących kiedyś później zagrozić niebezpieczeństw; ona dodawała mu męstwa i sił w zastosowywaniu tych środków, w pokonywaniu wszelkich, nieraz bardzo ciężkich trudności, które stawały im na drodze.

Jednym z największych niebezpieczeństw dla zakonnych stowarzyszeń bywa wkradająca się do nich, różnymi nieraz pięknymi pozorami ubarwiona, ambicja; jednym z najgłówniejszych starań wszystkich zakonodawców powinno być, by niezdrowej tej ambicji, wszystkie, o ile możliwe, furtki pozamykać. Ignacy, pragnąc "Towarzystwo Jezusowe" jak najskuteczniej ubezpieczyć od tego wroga, poszedł w tym kierunku tak daleko, jak może nie poszedł żaden inny zakonodawca; siekierę przyłożył do samego korzenia i niszcząc w zarodku samą możliwość szkodliwej ambicji, zobowiązał profesów osobnym ślubem, że nigdy ani w zakonie nie będą starali się o osiągnięcie wyższego urzędu lub godności, ani poza zakonem nie przyjmą żadnej kościelnej godności, chyba by sam Namiestnik Chrystusowy zniewolił ich do tego w imię należnego sobie posłuszeństwa. Pobudki i zasady, którymi Święty w tej mierze się kierował, wyłożył sam w memoriale przedłożonym królowi Ferdynandowi Austriackiemu, w którym błaga go, aby odstąpił od powziętego zamiaru i nie zmuszał O. Klaudiusza le Jay do przyjęcia biskupstwa w Trieście.

"Namyślając i zastanawiając się – czytamy w tym memoriale (18) – nad niebezpieczeństwami, które by mogły wykorzenić i zniszczyć to nasze Towarzystwo, przychodzi do przekonania, że przyjmowanie biskupstw byłoby jednym z najskuteczniejszych lub najskuteczniejszym, a to z trzech przyczyn, pomiędzy wielu innymi:

1) To Towarzystwo i członkowie jego zjednoczyli się i połączyli w tym samym duchu, tj. aby pracować w różnych częściach świata, pomiędzy wiernymi i niewiernymi, stosownie do rozkazów Ojca Świętego, tak, że duch Towarzystwa domaga się, abyśmy w zupełnej prostocie i pokorze szli z miasta do miasta, nie przywiązując się do żadnego poszczególnego miejsca... Gdybyśmy z tą prostotą naszą pożegnali się, wyrzeklibyśmy się zarazem właściwego sobie ducha; tym samym zadalibyśmy kłam naszej profesji zakonnej; zadając jej kłam, podkopalibyśmy do gruntu Towarzystwo. W ten sposób, przynosząc korzyść jednemu jakiemuś miejscu, wyrządzilibyśmy o wiele większą szkodę wszystkim, dla których pracować możemy.

2) Bóg Pan nasz dał dowody szczególnej swej łaski Towarzystwu, ożywionemu tym duchem; a jeśli w Niemczech ziemia jest twardszą, to w Indiach portugalskich jeden z naszych (19) nawrócił roku zeszłego 80.000 osób. Inny, znajdujący się w Portugalii (20), wysłał do Indyj przeszło 20 osób, które świata się wyrzekły, a oprócz nich ma pod sobą stu uczących się młodzieńców, gotowych wyruszyć bądź do Indyj, bądź gdzieindziej, gdzie lepiej będą mogli służyć Bogu Panu naszemu. Gdybym się nie obawiał rozwlekłości, mógłbym obszernie mówić o Kastylii i Barcelonie, Walencji, Gandii i wielu prowincjach włoskich...

3) Ponieważ dotąd jest nas tylko dziewięciu profesów, a czterech lub pięciu z nich, którym ofiarowano różne biskupstwa, wymówiło się od nich, teraz, gdyby kto biskupstwo przyjął, ktoś drugi mógłby to samo łatwo uczynić, a następnie inni, a tak utraciwszy ducha naszego, zadecydowałibyśmy zupełną lub przynajmniej w wielkiej części zagładę Towarzystwa.

4) Gdyby kto z naszych przyjął biskupstwo, zwłaszcza obecnie, gdy Towarzystwo i jego członkowie pozostawili po sobie wszędzie, gdzie przebywali, cześć i zbudowanie, cześć ta zmieniałaby się w zgorszenie; dostarczylibyśmy przeciw sobie broni i powodów do szemrań i złorzeczeń, zgorszylibyśmy wiele dusz, dla których Chrystus Pan nasz umarł na krzyżu, ponieważ świat tak jest zepsuty, że gdy kto z nas udaje się do pałacu

papieskiego, do książąt, kardynałów, lub magnatów, podejrzewa nas o ambicję, a cóż dopiero, gdyby kto otrzymał biskupstwo, jakżeby łatwo zaczęto przeciw nam mówić, szemrać i obrażać Boga Pana naszego".

Prośby i powody przedłożone przez Świętego zwyciężyły; Ferdynand cofnął swój wniosek, wręcz wyznając w liście do papieża, że czyni to jedynie przez wzgląd na życzenie Ignacego. W kilka lat później Ferdynand pragnął znowu koniecznie wynieść na godność biskupa wiedeńskiego św. Piotra Kanizego. Był to prawdziwy "młot na heretyków", jak go powszechnie nazywano, świętością swą bardziej jeszcze niż nauką zadawał on straszne a skuteczne ciosy wszystkim wrogom wiary; nie dziw przeto, że król, gdy chodziło o obsadzenie osieroconego biskupstwa wiedeńskiego, zwrócił na niego oczy.

"Kiedy indziej już – czytamy w liście sekretarza Świętego, O. Polanco, do jednego z hiszpańskich towarzyszków (21) – donosiłem wam, z jaką usilnością domagał się król Ferdynand od naszego Ojca Ignacego, aby nakazał Dr. Kanizemu przyjąć biskupstwo wiedeńskie. Gdy Ojciec nasz zgodzić się na to nie chciał, poradzono królowi, aby wyjednał u papieża odnośny rozkaz; idąc też za tą radą, napisał do kilku kardynałów, między innymi do naszego protektora, kardynała de Carpi. Pomimo tego, ambasador królewski, Jakub Lasso, nie znalazł u nich wielkiego poparcia, ponieważ nie chcieli podjąć się wyświadczenia tego rodzaju grzeczności wbrew woli naszego Towarzystwa. Sam więc udał się do papieża, przedstawił mu pragnienie królewskie i prosił, aby Jego Świątobliwość nakazała Dr. Kanizemu w imię posłuszeństwa przyjąć biskupstwo w Wiedniu. Papież odparł: «Zrobić tego nie możemy, bo nie chcemy wyrządzić przykrości Towarzystwu» i dodał, jakby się tłumacząc: «Potrzebujemy tych Ojców i nie chcemy ich zasmucać; ale wyjednaj zezwolenie ich przełożonego, a stanie się, czego chcesz». P. Jakub odpowiedział: «To, Ojcze Święty, tyle znaczy, co nic, bo doskonale wiem, że Ignacy na to nigdy nie zezwoli». Ostatecznie nic więcej od papieża nie wyżebrał. Prosił potem, aby nakazał przynajmniej Kanizemu zostać administratorem diecezji wiedeńskiej; ale i na to papież zgodził się tylko pod warunkiem zezwolenia ze strony Ojca naszego. Tak więc udał się p. Jakub do naszego Ojca i opowiedział mu o zastawionej przez siebie zasadzce, – bo wielki to nasz i szczerzy przyjaciel. Ojciec nasz, mając na uwadze nadzwyczajne potrzeby tego biskupstwa i pragnąc królowi choć w pewnej mierze zadośćuczynić, zezwolił Dr. Kanizemu podjąć się jeden rok tej administracji; zakazał mu wszakże używać choćby

najdrobniejszej cząstki dochodów na korzyść Towarzystwa, lecz zalecił obracać je w całości na pobożne uczynki za pośrednictwem władz publicznych".

Cieęższe walki musiał Ignacy staczać, aby obronić św. Franciszka Borgiasza od kapelusza kardynalskiego. Obaj święci, jeżeli we wszystkich innych kwestiach, to w tej przede wszystkim tego samego byli zdania; obaj godzili się, że lepiej "chodzić z odkrytą głową po słońcu i deszczu, niż nakryć ją tym kapeluszem" (22). Kilku papieży próbowało obdarzyć Franciszka purpurą, dziewięć razy groziło Borgiaszowi to "nieszczęście", jak kardynalską godność nazywał; za każdym razem dobry syn Ignacego, spełniając życzenie ojca swej duszy, potrafił oprzeć się najusilniejszym próbom i namowom.

Z tego samego źródła, z którego wyszła tak energiczna obrona przed wszelkiego rodzaju godnościami, – z głębokiej a rozumnej, świadomej swych celów miłości zakonu, – płynęła też nie mniej mężna i stała obrona przed pewnego rodzaju zajęciami, które choć same w sobie chwalebne, odciągnąć mogły zakon od bezustannego dążenia i to drogą najkrótszą do wytkniętego sobie celu. Zajęciem takim po myśli Ignacego było duchowne prowadzenie zakonnic i kobiet pobożnych, pragnących żyć pod posłuszeństwem Towarzystwa, a to bądź pozostając przy swych rodzinach, bądź tworząc zależne od Towarzystwa zgromadzenie zakonne, na wzór żeńskich zgromadzeń powstałych przy zakonach św. Franciszka i Dominika. Doświadczenie nauczyło Świętego, że przyjmawszy raz pod posłuszeństwo i swój kierunek takie dusze pobożne, trzeba z konieczności rzeczy, wyrzec się niemal wszelkiej innej pracy apostolskiej, bo nie pozostanie dla niej ani dość czasu, ani dość swobodnego umysłu. W pierwszych latach po założeniu zakonu przybyła do Rzymu wielka dobrodziejka Ignacego z czasu, gdy uczył się w Barcelonie i Paryżu, znana nam Elżbieta Roser – i wespół z dwiema innymi paniami wyjednała sobie u papieża pozwolenie na wspólne klasztorne życie pod posłuszeństwem i kierunkiem Ignacego. Święty, choć z góry przewidywał niemałe trudności, nie chciał w pierwszej chwili zasmucać swej dobrodziejki; ale po paru już dniach spostrzegł, że nowa ta praca zajmie mu więcej czasu i sił, niż wszystkie inne, że chcąc kierować sumieniami trzech kobiet, rozwiązywać wszystkie ich wątpliwości, odpowiadać na mnożące się co dzień pytania, musiałby zaniedbać najważniejszych swych obowiązków i zrzec się chyba rządów zakonu.

Widząc, że inaczej poradzić sobie nie może, udał się Święty do papieża, przedstawił mu cały stan rzeczy i wyjednał od niego odręczne pismo, uwalniające zakon raz na zawsze od przyjmowania pod swe posłuszeństwo

jakiego bądź zgromadzenia żeńskiego. O tej papieskiej decyzji uwiadomił Ignacy panią Roser w bardzo delikatnym, ale i bardzo stanowczym liście; "Odtąd, pisał (23), mając zawsze na oku większą chwałę Bożą, nie mogę cię już uważać za duchowną swą córkę, ale tylko za dobrą i pocziwą matkę, jakąś mi się okazywała przez długi czas na większą chwałę Boga Pana naszego". Z wielką przykrością dla Ignacego pani Roser wejść nie chciała w pobudki nim kierujące i rozgniewała się tak gwałtownie, że nie tylko cofnęła udzielone lub już przyrzeczone jałmużny, ale nadto, nie wiedząc dziś dokładnie o co i na czym się opierając, wytoczyła proces zakonowi. Święty bolał nad tym mocno, lecz – jak ciągle powtarzał – "na większą chwałę Bożą zważając", na włos nie cofnął raz powziętego postanowienia.

"Wiele było krzyków i hałasów, opisuje sam te bardzo niemiłe wypadki (24). Roser wołała, że nie da nic z obiecanych nam jałmużn, jeśli Towarzystwo nie chce jej mieć pod swym posłuszeństwem. Ja odpowiedziałem, że czy da, czy nie da, nie zmienię zdania w tym, co wydaje mi się być na większą chwałę Bożą. Dowiaduję się dalej, że pani Cruyllas wciąż płacze, chcąc żyć i umierać pod posłuszeństwem naszego zakonu; sądzę, że potrafię ją jakoś uspokoić i pocieszyć. Jeśli zażąda, gotówem jej wydać świadectwo, że nie opuszczamy jej z powodu jej niedoskonałości, ale ponieważ tak różnym, a licznym pracom nie jesteśmy w stanie wydołać. Lukrecja zgodziła się za mą poradą wstąpić do jakiego klasztoru. W każdym razie postanowiliśmy i trwamy w postanowieniu nie przyjmowania ani teraz, ani na przyszłość żadnych kobiet pod posłuszeństwo".

Postanowienie to spełniał Święty z żelazną konsekwencją, jak to zresztą okazało się w najjaśniejszym świetle w całym postępowaniu z Elżbietą Roser. "Chciałbym służyć ci, w czym tylko bym mógł – wymawia się jednemu z najwyższych cesarskich dygnitarzy, a wybitnemu dobroczyńcy zakonu – ale podjąć się nie możemy dyrekcji zakonnicy w klasztorze św. Klary (w Barcelonie), ponieważ Towarzystwo nasze zawsze stać powinno z jedną nogą do drogi podniesioną, aby to tu, to znów gdzieindziej przebywać, stosownie do naszego powołania i reguły, za którą w Panu naszym idziemy, i dlatego podejmować się nie może prowadzenia zakonnicy, rzeczy w sobie dobrej i pobożnej, ale zajmującej wiele czasu i niezgodnej z naszym sposobem życia". Podobnie, podając te same racje, odmówił Ignacy swego zatwierdzenia projektowi ufundowania w Gandii klasztoru zakonnicy zależnego od Towarzystwa. "Musimy być – odpowiada stale na tego rodzaju propozycje – w



ciągłej gotowości na spełnienie rozkazów papieskich i dlatego nie wolno nam wiązać się, a tak tracić wolność, w użyciu sił naszych na większą chwałę Bożą".

Znana to, doświadczeniem wieków stwierdzona prawda, że miłość hartuje się w ogniu cierpienia; wśród ucisku i prześladowań najpiękniejsze wydaje blaski i okazuje, do jak wysokiego doszła stopnia. Miłość Świętego dla Towarzystwa na każdym kroku, tak licznymi i różnymi stwierdzona dowodami, błyszczy istotnie najjaśniejszym światłem w prześladowaniach, których Bóg od samego początku zakonowi nie szczędził i na przyszłość nie miał szczędzić. Ignacy znał wartość cierpień, dziękował za nie Bogu, modlił się, aby ich nigdy zakonowi jego nie brakło; lecz jednocześnie, poczuwając się do obowiązków dobrego i zapobiegliwego ojca, robił, co leżało w jego mocy, aby siłę ich zmniejszyć; bronił z całym wyężeniem dobrej sławy swego zakonu, bo wiedział, że bez tej dobrej sławy bez porównania mniej mógłby pracować na chwałę Bożą. W czasie burzy pokazywało się dopiero, jaki to był sternik rozumny a mężny, nie cofający się przed żadną pracą i żadnym niebezpieczeństwem, byle łódź, której kierownictwo Bóg mu poruczył, nie poniosła szwanku.

Przymioty te uwydatniły się jeszcze przed wyborem Świętego na urząd generała, w czasie opisanego już prześladowania, wznieconego przez paru heretyków, którzy zbyt długo ukryć się potrafili pod pozorami życia świątobliwego. Niezadługo nadciągnęła nowa burza, a w niej nowym światłem zabłysnęły energia i roztropność Ignacego. Dzięki namowom swym i modlitwom Święty zdołał nawrócić pewną kobietę żyjącą w niedozwolonym stosunku z jednym z bogatych i wpływowych urzędników, skłonił ją do opuszczenia jego domu i zapewnił jej bezpieczny przytułek w świeżo właśnie w tym celu założonym klasztorze św. Marty. Gniew urzędnika, nazwiskiem Macieja de San Cassiano, nie znał granic; podobny do obłąkanego, krążył całymi nocami koło klasztoru św. Marty, ciskał w okna kamieniami, a co gorsza, rozszerzać zaczął słowem i pismem najsromotniejsze oszczerstwa przeciw Ignacemu i jego zakonowi. Kampanię tę prowadził tak wytrwale i zrećnie, że istotnie opinia publiczna zwróciła się po niewiele dniach przeciw niewinnie oczernianym. Z ust do ust szły nedorzeczne bajki, przybierając po drodze coraz potworniejsze rozmiary. Gdy który z Ojców wyszedł poza bramę klasztorną, czekały go już na ulicy bandy uliczników i włóczęgów i przyjmowały hańbiącymi zniewagami. Ignacy próbował w pierwszej chwili załagodzić rzecz całą i skłonić szaleńca do upamiętania, ale widząc, że na próżno czas traci, a

tymczasem chwała Boża uszczerbek ponosi, udał się do papieża z prośbą o surowe śledztwo i sprawiedliwość. Teraz dopiero Maciejowi otworzyły się oczy, zrozumiał na jaką wszedł drogę i nie śmiejąc nawet stanąć przed wyznaczonymi przez papieża sędziami, położył całą swą nadzieję w miłosiernym i przebaczącym sercu Ignacego.

"Pocziwy Maciej – opisuje sam Święty dalszy przebieg tej sprawy (25) – prosił panią Eleonorę Osorio (26), aby wstawiła się za nim, zaręczając, że poprosi mię o przebaczenie i że wszędzie odtąd gotów nas chwalić. Istotnie, pani Eleonora zaprosiła mię do siebie dwa dni temu, na Campo di Fiori i oznajmiła, że tak ona sama, jak i mąż jej byłiby tego zdania, abym się zgodził na warunki przedłożone przez Macieja. Dla wielu przyczyn musiałem żądaniu temu się sprzeciwić. Przedłożyłem, że w obecnej chwili nie wypada mi się wdawać z Maciejem w układy; że wcale nie żądam, aby mię o przebaczenie prosił, lub aby on sam i na swoje koszta o wyrok miał się starać; że zresztą nie mam żadnej wątpliwości, że wyrok będzie zgodny z prawem i sprawiedliwością i że wypadnie na większą chwałę Bożą. Pani Eleonora przyznała mi zupełną słuszność. Wczoraj Maciej poszedł do wikariusza papieskiego i opowiedział mu wiele rzeczy na naszą korzyść, a na swoją własną niekorzyść... Ostatecznie przedłożył wikariuszowi memoriał, w którym uznaje się winnym i wyraża pragnienie zawrzeć ze mną stały pokój".

Pragnienie to ziściło się w całej pełni. Wyznaczony przez papieża trybunał wydał wprawdzie bardzo surowy wyrok na oszczercę, ale dzięki wstawieniu się Ignacego, ostateczna kara ograniczoną została do publicznego napomnienia i zapłacenia kosztów procesu. Tymczasem i Maciej, ochłonawszy z gniewu, zrozumiał swój błąd, przyznał się bez ogródek, że źle i niemądrze postąpił i ze śmiertelnego wroga przemienił się w szczerego przyjaciela i hojnego dobroczyńcę zakonu.

Jeszcze się nie rozeszła ta chmura, a już okazała się na niebie inna, nie mniej czarna, a zrodzona tym razem z niepomiarkowanej ambicji. Przełożonemu klasztoru, w którym uczyły się katechizmu żydówki, pragnące przyjąć chrzest, wydało się, że Ignacy przywłaszcza sobie w jego klasztorze zbyt ni wpływ. Pchany więc zazdrością, rozgłaszać począł na wszystkie strony najhaniebniejsze wieści o Świętym, o Towarzystwie Jezusowym, o jego ukrytych a zgubnych zamysłach. Jednym zwierzał się pod sekretem, że zgromadzeni przez Ignacego zakonnicy są w gruncie rzeczy najgorliwszymi propagatorami herezji, innym opowiadał, jak zdradzają tajemnicę spowiedzi, przed innymi jeszcze oburzał się

na ich niegodziwe życie. Ostateczny wniosek, wyciągany z tych obelg, brzmiał jednostajnie: "Nie będzie dobrze na świecie, dopóki Ignacy nie pójdzie na stos!". Święty nie uważał wcale za stosowne odpowiadać na tego rodzaju potwarze; odpowiedzieć miał na nie sam Bóg, mszcząc się za swojego sługę. Niebawem wyszły na jaw różne gorszące uczynki nieszczęśliwego tego kapłana; sąd pozbawił go wszelkich urzędów i godności i skazał na dożywotnie więzienie, zamienione później wskutek zabiegów Ignacego, na wygnanie z Rzymu.

Nie mniej ciężkie próby przechodził młody zakon w innych krajach, przede wszystkim w Hiszpanii, i trzeba było niejednokrotnie całej mądrości, spokoju i mocy Ducha Świętego, aby szczęśliwie je pokonać. Kilku zakonników w Salamance, powodowanych nieroztropną gorliwością, powstało przeciw nowo założonemu Towarzystwu, jeden z nich posunął się nawet do tego, że bez ogródek nazywał publicznie Ignacego i jego towarzyszków "poprzednikami Antychrysta". Święty wymawiał i tłumaczył jak mógł swych przeciwników, ale jednocześnie nie taił, że jeśli złe nie ustanie, będzie musiał starać się mu zaradzić, stosownie do tego, co uczą wszyscy święci doktorzy o konieczności bronienia dobrej swej sławy, zwłaszcza gdy kto pracuje dla dobra i zbawienia dusz ludzkich (27). Podobnie z wielką pokorą, lecz i wielką stanowczością wystąpił przeciw arcybiskupowi z Toledo, który nie chciał dozwolić zakonowi pracować wedle jego ustaw i udzielonych przez papieżów przywilejów. Ostatecznie arcybiskup, zmuszony dekretami papieskimi, cofnął nieprawnie wydane rozporządzenie, a Ignacy, osiągnąwszy w zasadzie uznanie praw zakonowi przysługujących, oddał arcybiskupowi siebie i cały zakon do rozporządzenia i zdał na jego wolę, jak i o ile miałyby być te prawa w życie wprowadzone. "Na znak – pisał do arcybiskupa (28) – że uważamy Przewielebność Twoją za pana naszego i Ojca, i za takiego zawsze uważać Cię chcemy, nakazałem Ojcom naszym, aby jak w Alkali, tak w innych miejscach tego królestwa nie przyjmowali nikogo do Towarzystwa wbrew woli Twej i upodobaniu. I chociaż Stolica Apostolska udzieliła nam wiele łask dla lepszego wspomagania dusz, nakazałem również używać ich o tyle tylko i w taki sposób, w jaki Przewielebność Twoja życzyć sobie będzie".

Ileż jeszcze można by nagromadzić wspaniałych rysów, ile faktów świadczących, jak rządy zakonne Ignacego odpowiadały idealnemu obrazowi przełożonego, kierującego się na każdym kroku duchem Bożym, a więc – zawsze na wzór Boskiego Mistrza i Wodza – umiającego połączyć w swym postępowaniu miłość z energią, pokorę z męstwem, umysł wielki i szeroki z

najściślejszym przestrzeganiem ustaw i zwyczajów klasztornych! Cnoty te, tak wspaniale ze sobą się łączące, przelewały się naturalnie z głowy na ciało. Pod ich ożywczymi promieniami zakon rósł, coraz bardziej na zewnątrz się doskonalił, nabierał coraz więcej sił do spełniania wielkiego celu, dla którego został założony – szerzenia większej chwały Bożej, a to nie tylko – jak napisał Ignacy na samym wstępie zakonnych konstytucyj – "oddając się sprawie zbawienia i doskonałości własnej, ale także usilnie przykładając się do zbawienia i udoskonalenia bliźnich". Dobry, rozumny wódz wiedział, że pierwszym warunkiem zwycięstwa jest wojsko dobrze zorganizować, należycie wyćwiczyć: organizował też je po mistrzowsku, ćwiczył wytrwale i energicznie dobrany hufiec "Towarzyszów Jezusowych", aby móc bez obawy i z nadzieją pewnego zwycięstwa słać go na wyprawy, mające na celu rozszerzenie królestwa Chrystusowego na ziemi. Lampy świecić nie będą, dopóki się ich oliwą nie napełni; mąż apostołski nie będzie pochodnią świecącą, wiodącą do Chrystusa, opowiadającą chwałę imienia Bożego, jeśli w sercu jego zabraknie cnoty. Dotąd widzieliśmy jak Święty o tę oliwę do lamp się starał; popatrzmy teraz jakie pod błogosławioną jego ręką piękne, zbawcze promienie na świat cały trysnęły, ile serc, ile krajów oświeciły!

---

### **Przypisy:**

- (1) *Const.*, cz. IX, r. 2.
- (2) Do O. Antoniego Araoz, 1 czerwca 1551. *Cartas*, t. II, l. 229.
- (3) 2 listopada 1552. *Cartas*, t. III, l. 285.
- (4) 22 września 1554. *Cartas*, t. IV, l. 548.
- (5) 7 października 1553 r. *Cartas*, t. III, l. 354.
- (6) 13 czerwca 1555. *Cartas*, t. V, l. 662.
- (7) Następny cytat przytoczony wedle polskiego tłumaczenia "Żywotu Ignacego Lojoli" z r. 1593. W Krakowie, w drukarni Jakóba Siebeneichera. Księga V, rozdz. VIII.
- (8) O. Polanco z polecenia św. Ignacego, 2 listopada 1552. *Cartas*, t. III, l. 286. – O. Laynez odpisał w prześlicznym liście, który służyć może jako wzór heroicznej pokory.
- (9) 20 maja 1553. *Cartas*, t. III, l. 308.
- (10) 12 lipca 1553. *Cartas*, t. III, l. 319.
- (11) 26 lipca 1553. *Cartas*, t. III, l. 325.

- (12) W zimie 1546. *Cartas*, I, 76.
- (13) Łukasz XV, 23. 24.
- (14) Por. *Cartas*, gdzie osiem obszernych listów odnosi się do tej sprawy.
- (15) Do św. Franciszka Borgiasza, 17 września 1555 r.
- (16) *Cartas*, t. I, *Appendix II*, nr 6.
- (17) *Cartas*, t. I, *Appendix II*, nr 21.
- (18) Grudzień 1546 r. *Cartas*, t. I, I, 94.
- (19) Św. Franciszek Ksawery.
- (20) Rodriguez.
- (21) Do O. Villanueva 23 listopada 1554. *Cartas*, t. IV, I, 573.
- (22) O. Polanco do św. Franciszka Borgiasza. 1 czerwca 1552. *Cartas*, t. II, I, 265.
- (23) 1 października 1546. *Cartas*, t. I, I, 86.
- (24) Do Mateusza Sebastiana de Morranos, 22 lutego 1549. *Cartas*, t. II, I, 164.
- (25) Do Michała de Torres, 9 października 1546. *Cartas*, t. I, I, 88.
- (26) Żona Jana de Vega, wicekróla sycylijskiego, wielkiego dobroczyńcy i protektora zakonu.
- (27) Do Jana z Awili 24 stycznia 1549. *Cartas*, I, 161.
- (28) 1 czerwca 1552, *Cartas*, I, 267.



## X.

### **Apostolska działalność**

Zaledwie pustelnik manreski opuścił ponurą grootę, w której postanowił oddać się wyłącznie na służbę Boga, zaledwie zawiesił w Monserracie, u ołtarza Bogarodzicy, zbroję swą i oręż, a już w umyśle jego roi się od planów jak świat dla Chrystusa zawojować, już gorące serce pokoju nie daje i porywa do czynów, do walk o dusze nieśmiertelne! Pragnienie zdobywania dusz dla Boga i nieba pali Świętego w jerozolimskiej pielgrzymce, w barcelońskiej szkole, na uniwersytecie w Alkali, w Salamance, w Paryżu; na razie powstrzymywać je należało, jak należy hamować zapal do walki żołnierza nie dość wyćwiczonego w obrotach wojennych. Wreszcie wybiła upragniona godzina; dawne, długo żywione marzenia w czyn się zamieniają. Ignacy przyproceedził Namiestnikowi Chrystusa Pana na ziemi nieliczną z początku, ale z samych bohaterów złożoną drużynę i otrzymawszy od niego potwierdzenie swych zamiarów, błogosławieństwo do walki, powtarza hasło przez Najwyższego Wodza wydane: "Przyjdź Królestwo Twoje!" i wiedzie coraz zwiększający się hufiec przeciw wszystkim wrogom Królestwa Bożego na ziemi.

Wspaniałe te zapasy, miłe oczom Bożym i ludzkim; mężni, godni podziwu zapaśnicy; największego podziwu godzien mądry organizator, wódz, który z Rzymu prowadzi całą, z dnia na dzień na szerszym polu toczącą się walkę, śledzi uważnie wszystkie ruchy, na zagrożone punkty śle posiłki, przytomny wszędzie radą, rozkazem – i męstwo z roztropnością łącząc, odnosi całą szereg zwycięstw najpiękniejszych, najważniejszych w swych skutkach...

Na pierwszym miejscu zwrócił Święty oczy na sam Rzym; pragnął, aby stolica chrześcijaństwa świeciła przykładem całemu światu chrześcijańskiemu – i nie pominął w tym względzie żadnego starania, nie w jednym, ale śmiało powiedzieć można, we wszystkich możliwych kierunkach. Regularnie, a z nieznaną dotąd żarliwością, głoszone po kościołach przez towarzyszków Ignacego, nieraz przez niego samego, kazania, nauki, katechizacje ściągają poczęły tłumy ludu, łaknące słowa Bożego, spieszące następnie do Sakramentu Pokuty i Ołtarza. "W kościele naszym – donosić mógł z radością Ignacy w dziesięć lat po pierwszym potwierdzeniu zakonu przez Pawła III (1) – pomieścić się nie mogą wszyscy dążący na kazania, do spowiedzi, do rozdawanej bez przerwy komunii św. Choćby dwa razy tylu było księży, jeszcze by nie

zadośćuczynili wszystkim, którzy do Sakramentów św. chcą przystąpić. A nie tylko do nas schodzą się liczni słuchacze na kazania i na wykład Pisma św., ale święte współzawodnictwo sprawia, że i w innych kościołach klasztornych kazania i wykłady z wielką żarliwością się odbywają. Służymy też w szpitalach, dajemy z wielkim pożytkiem rekolekcje w klasztorach żeńskich; wielu zakonnych zbiegów udało nam się do klasztorów na powrót sprowadzić"...

Przyzwani do umierających kapłani, wracali niejednokrotnie z bolesną wieścią, że zawołano ich za późno i zastali chorych bez przytomności, lub tak już osłabionych, że nie mogło być mowy o należyтым przygotowaniu ich na śmierć. Smuciło to głęboko Ignacego; aby wedle sił zapobiec tego rodzaju niedbalstwom, postarał się o odnowienie dekretu papieża Innocentego III, według którego nie wolno było lekarzom pielęgnować chorych, jeśli nie pojednali się przedtem z Bogiem przez spowiedź. Pragnąc jednak zapewnić temu nakazowi łatwiejsze i pewniejsze wykonanie, wyprosił u papieża pewną zmianę dawnego dekretu, tak że odtąd mógł doktor odwiedzić chorego dwa razy przed spowiedzią, a dopiero za trzecimi odwiedzinami musiał domagać się koniecznie świadectwa z jej odbycia. "W ten sposób, jak wyrażał się Święty w memoriale przedłożonym wikariuszowi papieskiemu w Rzymie, chory przyjmując Sakramenty św. na początku swej słabości, nie tylko duszę będzie miał spokojną i zabezpieczoną, ale jednocześnie przyniesie ulgę ciału i przyczyni się do jego wyzdrowienia, ponieważ choroby ciała niejednokrotnie w grzechu mają swe źródło".

W pierwszych zaraz miesiącach po wyborze swym na generała Towarzystwa, zakłada Święty fundamenty kilku instytucyj, po dziś dzień w Rzymie trwających. Dziś, gdy podobne zakłady i instytucje po całym świecie rozsiane, gdy nawet innowiercy i niewierzący naśladowają je, z ideą ich jesteśmy oswojeni; wówczas pierwszy raz z myśli Ignacego się rodziły, prowadząc chrześcijańskie miłosierdzie na wspaniałe, nieznanne dotąd drogi.

"Kilka ważnych – opowiada Święty (2) – a jak sądzimy, Bożych prawdziwie spraw, tutaj podjęliśmy. Mamy już dom dla nawracających się żydów. Papież powagą swoją dzieło to zatwierdził; my zaś po doprowadzeniu do skutku tej sprawy, innym ją pozostawiliśmy, a sami usunęliśmy się, aby mieć czas i możność innym podobnym dać początek. Tak np. tutejszy klasztor dla nawróconych grzesznic, w którym znajduje się przeszło 800 osób, nie może pomieścić wszystkich, których Duch Święty od grzechu odwodzi, a zwłaszcza nie jest w stanie udzielić przytułku prędkiego, bez długich badań i prób; nie wolno też doń przyjmować kobiet zameżnych, znajdujących się w grzechu.

Dlatego postanowiliśmy w Panu naszym, na większą Jego cześć i chwałę, postarać się o dom, w którym publiczne grzesznice, nawet zamężne, znaleźć by mogły schronienie, byle miały świętą i dobrą wolę i silne postanowienie służenia Bogu w czystości i posłuszeństwie w tym domu przez całe życie, lub dopóki nie dałoby się do mężów je zbliżyć i wzajemnie pogodzić, aby żyły z nimi uczciwie. Również do domu tego wstęp mają otwarty inne grzesznice niezamężne pod tymiż warunkami, tj. aby na zawsze w nim pozostały w prawdziwej czystości i posłuszeństwie, lub dopóki by za mąż nie wyszły, lub wreszcie dopóki by nie znalazły miejsca w klasztorze pokutnic, lub w innym jakim, zachowującym obserwancję, tak, aby nigdy nie mogły wrócić ani do świata, ani do grzechu. W tym celu wyjednaliśmy w Panu naszym, za łaską Bożą, bullę apostolską, gorąco wychwalającą nasze zamiary; mamy też już dom i otrzymaliśmy odpowiednią jałmużnę i zawiązało się stowarzyszenie z prałatów i panów rzymskich i innych zacnych i cnotliwych osób, które wzięły na siebie dalsze opiekowanie się tym domem".

Ignacy pisze lakonicznie "mamy już dom", ale nie wspomina ani słowem, jakich użyć trzeba było starań i zabiegów, aby dom ów pozyskać. Wielu co prawda, dowiedziawszy się o zamiarach Świętego, ofiarowało mu chętnie swą pomoc, lecz nikt nie chciał stanąć na czele nowej fundacji, każdy lękał się pierwszy krok zrobić, aby później, raz już na tę drogę wszedłszy, nie musiał dźwigać zbyt wielkich ciężarów. W ten sposób sprawa cała, choć wszyscy ją chwalili, wszyscy chcieli brać w niej udział, ruszyć naprzód z miejsca nie mogła. Nie pozostawało nic innego, jak aby sam Święty pierwszym przykładem swym dodał innym odwagi i zapału. Właśnie w tym czasie, zarządca domu profesów, O. Codacio, kazał skopać podwórze leżące naprzeciw kościoła i przy tej sposobności wydobyto znaczną liczbę płyt kamiennych, pochodzących z ruin starożytnego Rzymu. "Sprzedaj te kamienie, nakazał mu Ignacy, i staraj się, abyś mógł mi za nie wręczyć sto dukatów". Po paru dniach sto dukatów znajdowało się w ręku Ignacego, a on ofiarował je bez chwili zwłoki na dom dla pokutnic. Wieść o tej ofercie rozeszła się szybko po Rzymie; zewsząd za danym przykładem posypały się hojne jałmużny i niewiele minęło tygodni, a nowa fundacja miała los zapewniony.

Biedne ofiary grzechu i lekkomyślności garnęły się licznie do założonego przytułku; niejednokrotnie sam Ignacy, pełen świętej gorliwości o zbawienie tych dusz nieszczęśliwych, prowadził przez ulice Rzymu nawracające się grzesznice, do klasztoru św. Marty, lub do domu świątobliwej jakiej pani, która



podjęła się bronić ich cnoty, ćwiczyć je pod swą opieką w życiu pracowitym, cnotliwym. Niektórzy mniej jasno rozumiejący drogi Boże, gorszyli się tym, jak mówili, nadmiarem cnoty. "Czyż wypada, pytali, aby generał zakonu tak się poniżał, aby tracił bezużytecznie czas, boć zwyczajnie istoty tego rodzaju do złego przywykłe, nie umieją w dobrem wytrwać i po krótkim czasie pozornego nawrócenia wracają do dawnych swych nałogów!". – "Nie lękajcie się – odpowiadał Ignacy stale, nie dając się odwieść żadnymi tłumaczeniami i perswazjami od raz przyjętego sposobu postępowania, którego nauczył się od samego Chrystusa, pouczającego Samarytanę, nawracającego Magdalenę. – Nie lękajcie się, czasu nie tracę; przeciwnie, bardzo korzystnie, zdaniem moim, czasu bym używał, gdybym wyteżoną pracą całego życia odwieść mógł choćby jedną duszę, choćby na przeciąg jednej tylko nocy od grzechu i zapobiec w ten sposób jednej jedynej obrazie, wyrządzonej nieskończonemu Majestatowi mego Stwórcy i Pana".

Dla dziewcząt jeszcze nie upadłych, ale zostających z winy rodziców, lub z powodu innych smutnych okoliczności, w ciągłym niebezpieczeństwie utraty niewinności, postarał się Święty o założenie innego zakładu, znanego następnie w Rzymie pod nazwą domu św. Katarzyny. Oprócz tego, za radą jego i staraniem, zbudowano dwie ochronki, jedną dla chłopców, drugą dla dziewcząt, pozostawionych bez wszelkiego utrzymania i opieki. Wszystkie te zakłady utworowały drogę wielu innym, na wzór ich po całym świecie się tworzącym; skierowały w znacznej części miłosierdzie chrześcijańskie na nowe, nowym potrzebom i zmienionym okolicznościom odpowiadające tory, przetrwały długie, bogate w owoce lata i nauczyły tysiące ust błogosławić imię świętego swego założyciela.

W listach i memoriałach przedkładanych papieżowi, kardynałom, biskupom i monarchom, wraca Ignacy raz po raz do tego i z naciskiem przypomina, jak wielką wagę przywiązywać należy do wychowania młodzieży. Hojność św. Franciszka Borgiasza, który dla miłości Chrystusa odrzucił od siebie odznaki potężnego księcia Gandii, a przybrał ubogą, zakonną suknię Towarzystwa, dozwoliła mu spełnić dawno żywiony plan i przystąpić do fundacji w Rzymie wzorowej wyższej szkoły dla młodzieńców z całego świata chrześcijańskiego. W szkole tej, tak zwanym powszechnie Kolegium Rzymskim, mieli młodzieńcy ze wszystkich stron świata czerpać zarówno ze źródeł gruntownej wiedzy, jak prawdziwej cnoty; mieli w stolicy chrześcijaństwa, niejako pod okiem papieża, zaprawiać się do przyszłych bojów

o wiarę, przejmować się synowską miłością dla Kościoła. Bóg dopomógł cudownie do spełnienia tego wielkiego planu. W r. 1551 odbyły się pierwsze wykłady filozofii i teologii w małym domku u stóp Kapitolu dla 14 słuchaczy. We wrześniu tegoż roku liczba młodych kleryków zakonnych, uczęszczających na wykłady, jako też świeckich słuchaczy tak się pomnożyła, że należało koniecznie pomyśleć o wynajęciu innego obszernego gmachu. Nie upłynęło lat pięć, a cyfra samych tylko słuchaczy, należących do Towarzystwa, doszła do 200; znów zatem miejsca zabrakło, znów przenieść trzeba było szkołę, tym razem do wielkiego pałacu Jana Salviati. Ostatecznie – już po śmierci Ignacego – Grzegorz XIII wybudował wspaniały, wszelkim potrzebom i wymaganiom odpowiadający gmach, nazywany nieraz odtąd od imienia wspaniałomyślnego swego fundatora "uniwersytetem gregoriańskim".

We wszechnicy tej uczono, rzecz ściśle do nazwy stosując, wszystkich nauk, wchodzących w zakres ówczesnej wiedzy, a więc: gramatyki, nauk wyzwolonych, matematyki, filozofii i teologii. Było to, jak pisał papież Pius IV do króla Filipa II, "pierwsze kolegium Towarzystwa, z którego wypłynęły wszystkie inne, we Włoszech, w Niemczech, we Francji. Z bujnego tego gaju – tak dalej papież się wyraża – bierze Stolica Apostolska dobrane rośliny, pełne zdrowych soków i życia, owocami obsypane i przenosi je tam, gdzie największa potrzeba... Wiele winniśmy temu kolegium, tak bardzo zasłużonemu i wciąż zasługującemu się we wierze katolickiej; tak pełnemu poświęcenia w służbie Chrystusa Pana i stolicy Piotrowej".

Obok kolegium "rzymskiego", stanęło niezadługo kolegium "niemieckie", stanęły później, na wzór tego ostatniego, i po dziś dzień stoją i chwałę Bożą szerzą, kolegia przeznaczone dla uczniów różnych innych narodowości, którzy wspólnie uczęszczać mieli na wykłady do gregoriańskiego uniwersytetu. Niebezpieczeństwo, grożące Niemcom od zalewających je herezji, nie dawało Ignacemu spokoju ni dniem, ni nocą; długo prosił Boga, aby mu okazał, jakie na to zło najwłaściwsze lekarstwo, aż wreszcie Bóg poddał mu szczęśliwą myśl nawrócenia Niemców przez Niemców; a więc utworzenia w Rzymie doborowego zastępu apostołów, którzy wróciwszy do ojczyzny, szerzyliby w nim wiedzę, pobożność, przywiązanie do Stolicy Apostolskiej w Rzymie nabyte.

"Wiesz już pewnie – tak sam projekt swój tłumaczy (3) – o planie założenia kolegium niemieckiego pod protekcją papieża i pięciu kardynałów, a pod zarządem naszego Towarzystwa, dla wybranych młodzieńców, którzy by,

mając tu wszelkie potrzebne udogodnienia, o tyle postąpili w cnocie i nauce, aby później nie tylko byli w stanie w Niemczech pożytecznie pracować, ale też zdolnymi byli do zajęcia stolic biskupich i najważniejszych urzędów... Ci, którzy pragną ocalenia Niemiec, mniemają, że w rządzie ludzkich lekarstw, to będzie najskuteczniejsze i niemal jedyne do podtrzymania upadającej, a w wielu miejscach bodaj czy już nie upadłej religii; sądzą, że można jedynie krajom tym skutecznie dopomóc, wysyłając do nich jak najwięcej pewnych, a energicznych mężów tej samej narodowości i języka, którzy świecąc przykładem dobrego życia i zdrową nauką, potrafiliby i głoszeniem i tłumaczeniem słowa Bożego, a w każdym razie prywatnymi rozmowami, rozedrzeć zasłonę nieświadomości i grzechów, zedrzeć z oczu swych ziomków łuski, nie pozwalające im widzieć światła katolickiej prawdziwej wiary".

Po kilkunastu miesiącach, mógł już Ignacy donosić z radością o wykonaniu tego planu:

"Kolegium niemieckie pod każdym względem pomyślnie się rozwija, dzięki troskliwej opiece papieża i kardynałów. Staramy się o duszę, o umysł, o ciało powierzonych sobie młodzieńców. Dwa razy na tydzień wysyłamy ich poza Rzym na przechadzkę, aby odświeżywszy siły, z większym zapalem brali się do nauki" (4).

I znowu w kilkanaście miesięcy później, pisze w liście do jednego z najhójniejszych dobroczyńców zakonu, przeora Kartuzów w Kolonii: "Do kolegium niemieckiego przybywa wielu młodzieńców, nie tylko z południowych, ale i z północnych Niemiec, a między nimi niektórzy z heretyckich rodzin i otoczenia, jako róże z cierni. Z różnych tych prowincyj mamy 70 czy 80 Niemców. I z innych krajów nadjeżdżają bardzo utalentowani młodzieńcy i dojrzały mężowie, poważni, uczeni... Widocznie Pan nasz Jezus Chrystus przygotowuje żołnierzy do wielkiej jakiejś wyprawy i za pośrednictwem tego seminarium gotuje dla Kościoła swego zdobycz bogatą. Ludzie w ziemię tylko wpatrzeni dziwią się i uważają nas za nieroztropnych śmiałków, że nie mając żadnych dochodów, nie uważając na panującą drożyznę i brak materialnych środków, zezwalamy na takie ciągłe mnożenie się domowników naszych; ale myśmy kotwicę ufności naszej w dobroci Bożej zarzucili, której równie łatwo jest wyżywić wielu, jak niewielu, w czasie obfitości, jak w czasie głodu... Prawda, że wydaje się, jakoby Bóg prznosił Ewangelię swą do niewiernych, a opuszczał kraje zachodnie za oziębłość je karząc; my wszakże z naszej strony nie powinniśmy otuchy tracić, ale wszystkie

siły wyteńczyć, aby i jednym i drugim – o ile nieużyteczne narzędzia Mądrości Bożej na to nas stać – z pomocą spieszyć i modlitwą i pracą i wszelkimi sposobami, które mamy w ręku" (5).

Kolegium niemieckie w Rzymie było tylko jednym, prawda że najskuteczniejszym może, w skutki najobfitszym z środków, użytych przez Świętego do ratowania Niemiec, rozdartych tysiącnymi waśniami, pogrążonych dzięki Lutrowi i rozlicznym jego naśladowcom i rywalom w strasznym religijnym, społecznym, politycznym chaosie. Ignacy czuł i rozumiał, że Bóg powołał go w szczególny sposób do walki z herezją, do bronienia przed jej zalewem tak bardzo zagrożonych nią krajów niemieckich. "Od dawnego już czasu – zwierza się w liście pisanym na kilka tygodni przed śmiercią (6) – wrył Bóg głęboko w sercu naszym pragnienie pracowania dla wiary, ile sił nam starczy i w dolnych i w górnych Niemczech. Najusilniej pragniemy, dla naprawienia szkód, które wiara katolicka poniosła w tych krajach waszych, ponieść wszelkie prace i trudy, a choćby i życie dać w ofierze". Te same myśli i uczucia znajdują wyraz, ilekroć niemal słowo "Niemcy" pod pióro się nasuwa. "Prosić nie ustaję najlepszego i najwyższego Pasterza całego Kościoła, aby zmiłował się nad Niemcami swymi" (7). "Towarzystwo nasze w szczególny sposób i aż do krwi wylania pragnie dla Niemiec pracować" (8). W pracy tej wszyscy bez wyjątku, wedle sił i możliwości, brać powinni udział. "Ponieważ prawo miłości – zwraca się Ignacy w osobnym okólniku do całego zakonu (9) – którą obejmujemy całe ciało Kościoła w głowie jego Jezusie Chrystusie, tego się domaga, abyśmy głównie dla tego członka o lekarstwo się starali, który ulega najsilniejszej i najniebezpieczniejszej chorobie, postanowiliśmy zapewnić, wedle słabych sił naszych, odrębną pomoc Niemcom, Anglii i krajom północnym, które mają do walczenia z największym złem – herezjami. Dlatego nakazujemy kapłanom odprawiać co miesiąc Mszę św., tym zaś, którzy nie są kapłanami, modlić się za te kraje, aby Pan zmiłował się nad nimi ostatecznie raczył i zwrócił je do czystości wiary i religii chrześcijańskiej".

W jaki sposób, jakim orężem, obok najpierwszego i najskuteczniejszego: kornej a żarliwej modlitwy, z herezją walczyć, wiarę katolicką w Niemczech zachowywać i podtrzymać? Pytanie to zadał Świętemu w dwóch listach wielki Apostoł Niemiec, św. Piotr Kanizjusz. Na pierwszy żadnej nie otrzymał odpowiedzi, na drugi, bardziej naglący, Ignacy zebrał na naradę "kilku poważnych teologów, uczonych, roztropnych, ożywionych szczególną miłością dla Niemiec", i wespół z nimi ułożył obszerny memoriał (10), "z którego – jak na

samym wstępie skromnie a mądrze się zastrzega – przedstawisz królowi Ferdynandowi te tylko punkty, które uznasz za stosowne, bo choć wszystkie podane tu środki same w sobie są dobre, to niektóre z nich mogą nie odpowiadać okolicznościom czasu, miejsca i osób".

Przede wszystkim usunąć należy przyczyny słabości. Najskuteczniejszym lekarstwem byłoby gdyby król nie tylko przyznawał się do katolicyzmu, jak to czyni, ale też śmiało i jawnie oświadczył, że jest nieprzyjacielem herezji. Niech zapobiega usilnie, aby przez złe szkoły, przez zarażonych błędami dyrektorów i profesorów, przez heretyckie książki fałszywa nauka się nie szerzyła... Księży, podejrzanych o herezję, natychmiast usuwać trzeba; lepiej żeby trzoda była bez pasterza, niż gdyby wilk miał sprawować urząd pasterza. Księży nieumiejętnych i gorszących złym życiem, surowo karać i co najmniej probostwo im odbierać, bo to właśnie ich nieuctwo i nieprzykładne życie otworzyło w Niemczech bramy heretyckiej zarazie. Dobrze by było wydać edykt uwalniający od wszelkich kar i duchownych i świeckich tych, którzy by w przeciągu miesiąca się nawrócili; potem upartych i szerzących herezję karać. Ważną przyczyną złego, nie tylko między świeckimi, ale i pomiędzy samymiż księżmi, jest nieznamość katolickiej religii; wyjaśnienie dogmatów naszej wiary, na zwoływanych regularnie diecezjalnych synodach, otworzyłoby z pewnością oczy niejednemu uwiedzionemu księdzu.

Usunąwszy tak główne przyczyny słabości, wziąć się można i trzeba do pracy nad wzmocnieniem i ustaleniem w sercach katolickiej prawdy. Dopomoże do tego, jeżeli król będzie otaczał się katolikami, łaskę im swą okazywał i na ważniejsze zwłaszcza urzędy ich przeznaczał, jeżeli starać się będzie o dobrych biskupów, kaznodziejów i spowiedników. Proboszczowie, podejrzani o szerzenie fałszywej nauki, lub nie znający dokładnie swej wiary, niechże przynajmniej, w braku innych środków, zmuszeni będą do utrzymywania na swój koszt dobrych wikariuszów, którzy by za nich pracowali. Przed wyborem rektorów i profesorów uniwersyteckich trzeba zasięgnąć o nich poufnych informacji; zobowiązać ich przysięgą, że wiary katolickiej nie odstąpią, w razie zaś złamania przysięgi, jako krzywoprzysięzców karać. Książki wystawione na sprzedaż przechodzić wprzód powinny przez cenzurę. Dla młodzieży postarać się koniecznie o odpowiedni katechizm, dla mniej wykształconych księży o krótki rys teologii, dla uczonych, lub uważających się za uczonych, o teologiczną *Summę*.

Zgubny brak księży w Niemczech usunąć się da tylko przez zakładanie licznych seminariów. Podzielić by je można na cztery jakoby klasy. "Do pierwszej klasy należałyby seminaria zakonne i bardzo by było rzeczą pożyteczną, gdyby J. Królewska Mość zechciała się postarać o pomnożenie liczby członków narodowości niemieckiej w klasztorach i kolegiach, tak należących do Towarzystwa Jezusowego, jak i w innych, równie we Wiedniu, jak w innych swych uniwersytetach, gdzie by im królewska szczodroblivość dozwoliła w naukach się wykształcić, aby mogli następnie zostać doskonałymi kaznodziejami, nauczycielami i spowiednikami. Drugą klasę stanowiłyby kolegium niemieckie w Rzymie, dokąd by mógł król wysyłać na swój koszt wielu zdolnych młodzieńców; wszyscy naturalnie, wyćwiczwszy się należycie w naukach i cnocie, powracaliby do jego państwa. Być też może, że król zechce raczej ufundować w Rzymie drugie podobne kolegium dla swych prowincyj Austrii, Węgier, Czech i Siedmiogrodu. Do trzeciej klasy należałyby nowe kolegia, ufundowane przy uniwersytetach krajowych na wzór kolegium niemieckiego w Rzymie, a oddane w zarząd uczonym i pobożnym mężom; uczniowie w kolegiach tych wykształceni zostawaliby następnie proboszczami, profesorami po szkołach lub kaznodziejami. Trzy te rodzaje seminariów utrzymywać by się mogły częścią z dochodów po opuszczonych klasztorach, częścią z nieobsadzonych probostw, częścią z drobnego jakiego podatku, nałożonego na ludność; wreszcie część pewną otrzymać by też można z pensyj ściąganych z majątków biskupich lub innych bogatych beneficjów, lub skąd i w jaki sposób J. Kr. Mość za stosowne by uważał. Czwartą klasę seminariów stanowiłyby kolegia, w których zacni i bogaci młodzieńcy utrzymywaliby się na własny swój koszt, sposobiąc się tak do świeckich jak i duchownych i najwyższych nawet godności. Największy wszakże nacisk równie w tej, jak i w poprzednich trzech klasach, na to należy położyć, aby postarać się dla nich o takich rektorów i nauczycieli, którzy by uczyli prawdziwej pobożności wespół ze zdrową i katolicką nauką".

Nadzwyczaj to ważny i ciekawy memoriał, którego przewodnie idee, pewne wyjaśnienia i dopełnienia, spotykamy w wielu jeszcze listach, na pierwszym miejscu do samego króla Ferdynanda, i w paru instrukcjach, przesłanych Ojcom pracującym w Niemczech. Szczególnie Świętego zajmuje i w memoriałach tych i listach na najszczególniejszą uwagę zasługuje kwestia seminariów. Cały nakreślony w tym względzie przez Ignacego plan dziś, gdy w bardzo wielu diecezjach znajdują się "małe seminaria", w każdej co najmniej stolicy kwitną wyższe teologiczne studia, wydaje się nam czymś naturalnym,

oczywistym; w chwili gdy Święty go pisał, był to plan nad wszelki wyraz śmiały, po raz pierwszy postawiony, a że dziś naturalnym nam się wydaje, to właśnie najjaśniej dowodzi prawdziwej, a zatem praktycznej genialności, z jaką był podjęty.

Nakreśliwszy plan, czuwał Ignacy bez przerwy, wszelkie przeszkody łamiąc lub usuwając, nad jego wykonaniem. Kiedy Albert bawarski, wbrew danym poprzednio przez siebie i przez ojca swego obietnicom, zawahał się i w ufundowanych już w Ingolsztadzie szkołach chciał pozostawić same tylko teologiczne kursy, Ignacy oparł się nader energicznie temu ścieśnianiu i ograniczaniu pierwotnego zamiaru. "Ostatecznym celem – tłumaczył (11) – ingolsztadzkich studiów ma być bezwątpienia teologia, lecz w Niemczech zwłaszcza konieczną jest rzeczą znaleźć najprzód profesorów, którzy nie zadowolaliby się odczytywaniem swych kajetów, lecz mieliby zarazem staranie o postęp swych uczniów i w nauce i w obyczajach chrześcijańskich; konieczną następnie jest rzeczą znaleźć uczniów i cnotliwych i dostatecznie przygotowanych do korzystania z teologicznych wykładów. Takich dziś w Ingolsztadzie bardzo niewielu. Dlatego pragniemy, jak to już ma miejsce w innych naszych kolegiach, posłać tam przede wszystkim profesorów nauk wyzwolonych, którzy zapoznawaliby młodzież z literaturą łacińską, grecką, hebrajską, a jednocześnie kazaniami, zachęcaniem do Sakramentów św. i własnym przykładem prowadzili ją do pobożności i czystości obyczajów. Dopiero, gdy uczniowie okażą dostateczny postęp w tych naukach, pošlemy profesora dialektyki, a w następnych latach profesorów filozofii. Wszyscy profesorowie ci będą zarazem z szczególną troskliwością rzucać do serc swych słuchaczy niby żarzące się i świecące iskry, które by w nich rozpałały zamiłowanie teologii i obudzały wielkie jej pragnienie, jako celu wszystkich innych nauk. W ten sposób uformowałby się po niewielu latach zastęp teologów, równie w tej, jak i w innych umiejętnościach znakomicie wykształconych, zdolnych do walki z herezją, do wzmacniania katolików, do opowiadania z duchownym pożytkiem słowa Bożego, do pracowania w całej Bawarii nad zbawieniem dusz. Z Ingolsztadu, niby z niewyczerpanego źródła, płynęłaby pobożność i nauka, bujnie rosłyby w tym uniwersytecie kwiaty wiedzy i cnoty".

W kilka lat później, fundacja ingolsztadzka kolegium dobiegła wreszcie do pożądanego kresu; Ignacy, wysyłając z Rzymu zakonników swych do Bawarii, polecił spisać dla nich szczegółową instrukcję, w której w nowym

świetle okazuje się jego miłość dla nawiedzonych herezją Niemiec, roztropność i miłość w walce z błędzającymi (12).

"Nader ważną jest rzeczą – czytamy w ustępie odnoszącym się do sposobu wygłaszania prelekcji – tak walczyć za katolicką prawdę, aby i heretycy, jeśli byliby obecni, przekonać się mogli o miłości naszej i skromności chrześcijańskiej. Nic im ubliżającego mówić nie należy, ani nie dawać do poznania, jakobyśmy mieli ich błędy we wzgardzie; lecz po prostu dowodzić prawdziwości dogmatów katolickich, z czego samo z siebie wyniknie, że przeciwne im nauki są fałszywe".

Te same zalety, co w zacytowanym dopiero piśmie, błyszczą najpiękniejszym światłem w instrukcji danej OO. Laynezowi i Salmeronowi, wysłanym z szczególnego polecenia Ojca Świętego w charakterze papieskich teologów na Sobór Trydencki. Jak tu, tak tam przebija z każdego zdania miłość bez granic Kościoła świętego, niezmierna żarliwość o dobro dusz, złączona najściślej z podziwienia godną roztropnością i znajomością serca ludzkiego.

"Na soborze – czytamy w tej instrukcji – szukać macie jedynie chwały Bożej i dobra Kościoła; poza soborem starać się macie wszystkim dopomagać wedle instytutu swego; w domu i między sobą bardzo uważajcie, abyście nie zapomnieli o własnej doskonałości i duchownym postępie, wiedząc, jak to jest niezbędnym dla spełnienia dwóch poprzednich obowiązków, i że w dniu, w którym o sobie samych byście zapomnieli, szukać nie będziecie ani pożytku dusz, ani dobra Kościoła i chwały Bożej, ale własnej czci i własnego interesu".

"Ze sobą, poleca dalej Święty, bądźcie jak najbardziej złączeni. Niedługo i Klaudiusz le Jay przybędzie; poświęćcie wtedy jedną godzinę w nocy na wspólną konferencję o kwestiach na soborze rozbieganych i które nazajutrz roztrząsane być mają. Dla zachowania się w większej pokorze i miłości, każdej nocy jeden z was po kolei prosić będzie towarzyszków, aby mu otwarcie wykazali i zganili wszystkie popełnione błędy. Rano naradzać się będziecie nad tym, co czynić macie przez dzień cały i dwa razy dziennie każdy sam sobie zda rachunek ze wszystkich spraw swoich. Na posiedzeniach soboru uważajcie pilnie, co inni mówią; sami mówcie niewiele i po namyśle. W dysputach przywodźcie racje jednej i drugiej strony, aby się nie zdawało, że uparcie chcecie się zdania swego trzymać. Za nowymi zdaniem nie idźcie. Dopóki Kościół czego nie orzecz, nie orzekajcie i wy, choćby się wam najprawdziwszym zdawało. Poza soborem szukajcie sposobności do słuchania



spowiedzi, mówienia kazań, uczenia dzieci katechizmu, prowadzenia ludzi do doskonałości za pomocą rekolekcji, a wreszcie odwiedzajcie szpitale i pocieszajcie i pomagajcie chorym z wielką miłością, ponieważ Duch Święty tym obfitsze łaski na Sobór wyleje, im bardziej pokora i miłość kwitnąć będą. W kazaniach starajcie się o zmianę obyczajów i doprowadzenie do posłuszeństwa Kościołowi katolickiemu, w żadne dysputy się nie wdając"...

Jak niemieccy przywódcy katolickiego odrodzenia, na ich czele król rzymski i książę bawarski, nie przedsięwzięli żadnego ważniejszego kroku w obronie zagrożonej wiary bez porozumienia się z Ignacym, i ustawicznie żądali od niego rady i czynnej pomocy, podobnież rycerscy obrońcy katolickiego Kościoła w Anglii zwracali się raz po raz z zapytaniami i prośbami do ubogiej celki Świętego. Nader ożywną i ważną korespondencję prowadził przede wszystkim Ignacy z naczelnym i bez wątpienia najwaleczniejszym hetmanem katolickich sił, słynnym "angielskim" kardynałem, Reginaldem Pole. W połowie 1553 r., zdawało się na chwilę, że z objęciem rządów przez Marię Katolicką lepsza przyszłość świta dla biednej Anglii; Ignacy, rozradowany świeżo otrzymanymi od kardynała pomyślnymi wieściami, bierze gorący udział w powszechnych nadziejach: "Ze serca dziękuję Bogu, Panu naszemu, że raczył otworzyć tę bramę do powrotu Anglii na łono Kościoła św. i czystej świętej religii i wiary katolickiej. Tym zaś silniejszą żywimy w tym względzie nadzieję, że jak mocno jesteśmy przekonani, przyczyny wszystkiego złego szukać trzeba nie w chorobie ludu, lecz książąt; a tak gdy teraz Boża Opatrzność dobrych daje wodzów, spodziewać się można, że naród, w którym niegdyś imię Chrystusa Pana naszego tak było czczone i chwalone, wróci do naturalnego swego stanu" (13). Następnego już roku zwierzał się Ignacy ze śmiałą myślą założenia w Anglii osobnej zakonnej prowincji (14), i ponownie w liście do bawiącego właśnie w Londynie Filipa II wyrażał niewymowną radość "wespół z Aniołami w niebie i ludźmi na ziemi, z powodu szczególnej łaski, którą Stwórca i Pan nasz obdarzyć raczył Kościół swój, przyprawdzając do łączności z nim tak znaczną część ciała swego". "Należałoby – czytamy znów w innym liście – przysłać do Rzymu choć kilku młodych Anglików, aby wyćwiczywszy się tu w nauce i pobożności, użytecznymi być mogli swej ojczyźnie". – Piękne to były nadzieje! – smutna rzeczywistość nie odpowiedziała im. W każdym razie, młodzi Anglicy wyćwiczeni w Rzymie, z inicjatywy Świętego, w nauce i pobożności, niemniej – choć w inny sposób, niż po ludzku myślano i spodziewano się – wygnaniem, więzieniem, nieraz krwią byli z pewnością "użytecznymi swej ojczyźnie".

Obok zagrożonych herezją Niemiec, obok strasznie toczonej już heretyckimi błędami Anglii, myślał Święty szczególnie, modlił się sam i modlić się nakazywał za "kraje północne". Takim krajem była Polska, do której herezje wszystkimi szlakami na wyścigi się cisnęły; takimi krajami były leżące za Polską nieznane obszary, o których z głuchych wieści wiedziano, że panuje wprawdzie nad nimi krzyż Chrystusowy, lecz nie uznają władzy i powagi Chrystusowych namiestników. Właściwa działalność zakonu w "północnych krajach", na pierwszym miejscu w Polsce, rozwinęła się dopiero po śmierci Ignacego; wszakże i w jego pismach i listach nie brak śladów świadczących, że żywo zajmował się losami tych dalekich, w ówczesnych wyobrażeniach i pojęciach tak nadzwyczaj dalekich krajów.

Południowe, wschodnie kresy już nie Europy, ale świata, daleko lepiej stosunkowo były w Rzymie znane i mniej przerażały wyobraźnię. Jeszcze zakon nie był przez Papieża potwierdzony, a już jeden z pierwszych jego założycieli, z pierwszych towarzyszy Ignacego w Paryżu, św. Franciszek Ksawery rzucał Rzym, żegnał Europę, aby w Indiach, później w Japonii i Chinach głosić Ewangelię Chrystusową. Cudowna to była misja, wznawiająca cuda, zapał i błogosławieństwa pierwszych wieków chrześcijaństwa. Bo też Ksawery w pracy, w cnotach, w gorliwości nie ustępował chyba w niczym wybranym przez Jezusa Apostołem. Wielki Apostoł Azji, taką czuł cześć dla swego "Ojca w Bogu", jak zwykł był stale Ignacego nazywać, że długie swe listy do niego pisywał na klęczkach; a za jego już nie rozkazami, ale radami, szedł wiernie i stale, bez chwili wahania się, jak za głosem Bożym. Nawzajem Ignacy, nie przestawał chwalić Boga, że zlewa na świat tyle cudów wszechmogącej swej łaski za pośrednictwem świętego jego towarzysza; każda wiadomość od niego była dlań najsłodsza pociechą, udzielał jej natychmiast całemu zakonowi i wzywał gorąco wszystkich, aby wspólnie z nim chwalili i dziękowali Bogu.

Listy wymieniane między obu Świętymi, malują nam prześliczny i miły oczom Boskim i ludzkim stosunek, jaki zachodził między dwoma tymi wielkimi sercami, pałającymi miłością Bożą, rozpieranymi pragnieniem szerzenia coraz większej chwały Bożej. Na kilka miesięcy przed śmiercią pisał Ksawery do "mego Świętego w Chrystusie Ojca Ignacego" (15).

"Prawdziwy Ojciec mój! List Twej świętej Miłości otrzymałem w Malace po powrocie z Japonii, a Bóg Pan nasz wie, jak dusza moja uradowała się z tak pożądaną wieścią, żeś żyw i zdrow. Pomiedzy wielu innymi świętymi słowami i pociechami, zawartymi w tym liście, odczytałem i ostatnie wyrazy: «Twój

zupełnie i nigdy o Tobie nie mogący zapomnieć Ignacy» – i jak ze łzami je odczytałem, tak ze łzami je teraz piszę, wspominając o latach ubiegłych, o wielkiej miłości, którą dla Ciebie i żywiłem i żywię; rozważając, z ilu trudności i niebezpieczeństw uwolnił mię Bóg Pan nasz w Japonii przez przyczynę świętych modlitw świętej Twojej Miłości... W Japonii dał mi Bóg Pan nasz jasno poznać, jak mi nadzwyczaj potrzeba tego, by ktoś miał nade mną opiekę i ciągle staranie; tymczasem święta Twoja Miłość poddała pod moją władzę i prowadzenie tyle świętych znajdujących się tu dusz, należących do Towarzystwa naszego, kiedy ja, z miłosierdzia Bożego, oczywiście widzę, jak bardzo jestem nieodpowiedni do wywiązania się z tego polecenia. Pisze mi Twoja święta Miłość, że bardzo pragniesz mię jeszcze widzieć w tym życiu. Bóg Pan nasz wie, jakie wrażenie słowa te, tak wielką miłością natchnione, wywarły w mej duszy i ile łez wylewam, ilekroć o nich pomyślę, i zdaje mi się, że mogą mi być one wielką pociechą, bo dla świętego posłuszeństwa nie ma rzeczy niemożliwych. W Japonii chrześcijaństwo mieć może grunt trwały, choć wiele pracy i potu trzeba tu będzie łożyć. Jak Bóg da, to udam się do Chin, których nawrócenie wywarłoby i na Japonię niezmierny wpływ".

Nie podobało się Bogu ziścić nadziei i pragnień Apostoła Azji; w niespełna rok po napisaniu powyższego listu przeniósł się do Boga po nagrodę na małej, opuszczonej wysepce Sancjan, u progu Chin, których nawrócenia tak pragnął. Ignacy, nie wiedząc nic jeszcze o tej stracie, zamyslał sprowadzić Ksawerego do Europy, aby mógł zdać osobiście sprawę o potrzebach Azji i zarządzić najodpowiedniejsze środki do nawrócenia tych niezmiernych obszarów. Tymczasem nie skąpił żądanych rad i wskazówek: (16)

"Dowiedzieliśmy się, że Bóg Pan nasz, używając Ciebie za narzędzie swoje, otworzył bramę do opowiadania Ewangelii i nawrócenia Japonii i Chin. Cieszymy się wielce, w Bogu, spodziewając się, że znajomość i chwała Pańska dnia każdego bardziej rozszerzać się będzie... Jeśliś się już do Chin udał, pochwalam to w przekonaniu, że Mądrość Odwieczna Cię tam poprowadziła; pomimo tego, sędzę, o ile my tu o tych sprawach decydować możemy, że więcej zrobiłbyś w służbie Boga Pana naszego, pozostając w Indiach i stamtąd wysyłając innych i kierując nimi, aby to robili, co byś ty sam miał robić; w ten bowiem sposób pracowałbyś nie w jednym, lecz od razu w wielu miejscach".

Tak właśnie "w wielu miejscach" pracował sam Ignacy, pomimo, że w ostatnich szesnastu latach życia wyruszył z Rzymu ledwie parę razy i to tylko na dni kilka. W tym samym czasie, w którym słał wskazówki Ksaweremu do Indyj,

do Chin, zakładał w Brazylii nową zakonną prowincję i mianował pierwszego jej prowincjała, świątobliwego Emanuela de Nobrega (17); przez rady swoje kierował korsykańskimi misjonarzami, dokładał wszelkich starań, aby doprowadzić na koniec do pomyślnego rozwiązania zbyt już długo wlekącą się sprawę poddania się schizmatycznej Abisynii pod władzę Stolicy Apostolskiej.

Ostatnia ta sprawa, sama w sobie wielkiej wagi i dająca usprawiedliwiony powód do najśmielszych i najpiękniejszych nadziei, leżała mocno na sercu portugalskiemu Janowi III. Ignacy ze swej strony tak do niej się zapalił, że najgorętszym jego pragnieniem było złożyć generalski urząd, aby móc samemu udać się na misję do Afryki (18). Gdy plan ten okazał się oczywistym niepodobieństwem, nie przestawał na wszystkie strony pukać, prosić, przypominać i zaklinać: "Nie pozwalajcież ginąć marnie tak wielkiej części owczarni Chrystusowej!". "Wielka żałość zbiera i szkoda niezmierna, że pomimo sprzyjających okoliczności tak się rzecz przewleka, a tymczasem tyle dusz jest opuszczonych" (19). Rzecz wlokła się jeszcze sześć lat; zaledwie z początkiem 1555 r. wyruszyło do Afryki dwunastu misjonarzy, mając na swym czele zamianowanego przez papieża patriarchę O. Jana Nunnez Baretto. Ignacy tak zawsze przeciwny przyjmowaniu jakich bądź godności kościelnych przez członków swego zakonu, osądził jednak, że w takich okolicznościach można i należy zrobić wyjątek. "Nie sądzę – pisał do O. Baretto (20) – aby równie tobie, jak i wyznaczonym ci dwom koadiutorom wolno było uchylić się od nałożonych wam z woli papieskiej urzędów. Chociaż dla pokory waszej i miłości uniżenia, którą macie stosownie do powołania waszego, każda godność jest ciężkim krzyżem, to przecież godnościom tym towarzyszy tyle prac i niebezpieczeństw, że obawy nie ma, aby mogły stać się okazją ambicji lub chciwości. Z drugiej znów strony tak to jest niezbędnym dla ogólnego dobra tych krajów, tak bardzo na ofiarowanym wam stanowisku będziecie mogli się przyczynić do służby Bożej, że nie widzę, jakbyście go mogli nie przyjąć? Zgódźcie się zatem z wolą Bożą i zaufajcie dobroci Tego, dla którego miłości jedynie ten ciężar na barki swe bierzecie, który dopomoże wam do dźwigania go, a niebezpieczeństwa dla służby Swej Bożej podjęte zamieni wam w wieniec odrębnej wiecznej nagrody"...

Odjeżdżającym misjonarzom przesłał Święty rodzaj memoriału do abisyńskiego cesarza Klaudiusza; memoriału, będącego zwięzłym, ale wyczerpującym traktatem o władzy i prymacie papieskim. Na królu portugalskim memoriał ten zrobił nadzwyczajne wrażenie; wyrzucił go

musiał i na Klaudiuszu, gdyby tymczasem inne wpływy i względy nie zaczęły brać góry na abisyńskim dworze. "Szczęśliwym się czuję, rozpoczął Ignacy swe pismo (21), że skoro już mnie samemu podjąć się tej wyprawy nie dozwolono, przynajmniej towarzysze moi udają się obecnie do kraju Twego, aby ofiarować w nim Bogu swe życie w służbie W. Wysokości, niosąc światło wiary duszom pozostającym pod Twym berłem. Ojcowie ci mają pełną i zupełną władzę od świętej Apostolskiej Stolicy; mogą Wam zatem nauką swą pomoc wszelką przynieść i naprawić szkodę zdziałaną we wierze przez niesnaski z świętym rzymskim Kościołem, matką wszystkich kościołów po całym świecie".

"Zarządcy tego Kościoła – tłumaczy dalej Święty, a twierdzenia swe udowadnia cytatami z Pisma św. i teologicznymi wywodami – porucił Bóg swe zastępstwo na ziemi... Innym Apostołom udzielił Chrystus Pan ograniczonej władzy; św. Piotrowi i jego następcom dał ją zupełną, najpełniejszą, aby ze źródła tego płynęła wszelka powaga, siła i władza, i od tego najwyższego Pasterza dostawała się innym pasterzom w mierze odpowiadającej hierarchicznemu stanowisku, jakie zajmują w Kościele walczącym. Na tym fundamencie opierając się, równie dziad, jak ojciec W. Wysokości słuszną mieli przyczynę, dla której uznawać nie chcieli powagi patriarchy aleksandryjskiego, ponieważ on, jako odcięty zgniły członek mistycznego ciała Kościoła, nie ma życia, nie ma władzy poruszania się... a przeto i innym w żaden sposób udzielać ich nie może. Jak jeden jest tylko Oblubieniec Kościoła, Jezus Chrystus, tak i Oblubienica Chrystusowa, Kościół, jedną zawsze była, jedną pozostaje... Czytamy w Piśmie św., że jedna tylko była arka Noego, w której Bóg życie zachował, a poza którą śmierć panowała, jedna arka przymierza przez Mojżesza zbudowana, jedna świątynia wystawiona w Jerozolimie przez Salomona, w której wyłącznie prawo nakazywało składać ofiary i Bogu cześć oddawać, jedna synagoga, od której sądu i powagi wszystkie inne zależały. Wyraźne to i jasne obrazy jedności Kościoła, poza którym nic dobrego nie istnieje... Kto nie jest zjednoczony i złączony z tym mistycznym ciałem, nie może żadną miarą od głowy, tj. od Chrystusa, otrzymać siły i łaski do dostąpienia wiecznego szczęścia"...

Mniej może pozornie świetne i fantazję porywające, w skutkach swych praktyczniejsze były usiłowania, dążące do oswobodzenia, a przynajmniej do osłodzenia gorzkiego losu tysiącom chrześcijańskich niewolników, zabranym w jasyr przez tak groźnych w owym czasie berberyjskich piratów. Od r. 1548 przebywało na afrykańskich wybrzeżach dwóch członków Towarzystwa Jezusowego: O. Jan Nunnez Baretto i Br. Ignacy Bogado, i "starają się – jak

donosi Ignacy w jednym z swych listów (22) – o wyzwolenie ciał, a bardziej jeszcze dusz niewolników. Wielcy to słudzy Pańscy, wiele działają i cierpią w służbie Chrystusa Pana naszego: leczą dusze niewolników, z których jedni wiary się wyparli, inni są na drodze do wyparcia się, inni jeszcze umierają z głodu duchownego, między niewiernymi". Straszny to był głód, a biedni niewolnicy bardzo potrzebowali pomocy i pociechy; O. Baretto w swych listach i sprawozdaniach, przesyłanych do Europy, kreślił krwawe obrazy z tej ziemi niewoli i błagał ze łzami o miłosierdzie, bo "dusze giną". "Na miłość Pana naszego – zaklinał jednego z zakonnych towarzyszy (23) – wyżebraj mi trochę pieniędzy na ratowanie niewolników, których panowie przemienić chcą w Turków, Żydów, a oni do nas z płaczem o pomoc się udają"... "Wiele pieniędzy nam trzeba, bo chłopców i dziewcząt portugalskich nie chcą sprzedać taniej, jak za 90 dukatów... Serce boli, gdy widzę całe szeregi chłopców, którzy niedawno jeszcze temu prosili z płaczem o wykupienie, jak w najokropniejszych grzechach brną i publicznie już za Turków uchodzą"... I Ignacemu, do którego dochodziły te żale i sprawozdania w regularnych niemal odstępach czasu, serce się ścisnęło; więc jak mógł o zasiłki się starał, dodawał pracującym odwagi, krzepił siły ich i męstwo w tak niezmiernie trudnym zadaniu. "Od kilku już lat – pisał prawdziwie ojcowskim sercem i piórem do O. Jana Nunnez (24) – pracujesz i pomagasz niewolnikom w Afryce. Nie lękaj się, gdy ważysz drobne swe siły, że podjąłeś się zbyt trudnego przedsięwzięcia, ponieważ ufność swą całą złożyłeś w Tym, który do tej pracy cię powołał, a zatem i potrzebnych sił w służbie swej ci użyczy, tym bardziej, że nie z własnej woli wzięłeś na siebie ten ciężar, którego nikt na świecie samym ludzkim przemyśleniem i zręcznością nie zdołałby udźwignąć, gdyby mu ręka Boża nie dopomogła i drogi nie wskazała".

Dawne w Loyoli, Manrezie, w Jerozolimie wreszcie żywione i ważne plany rozszerzenia chwały Bożej w ziemi palestyńskiej ustąpić musiały przed wyraźną wolą Bożą; wszakże grób Chrystusowy, zostający w niewoli niewiernych, nie zatarł się nigdy w pamięci Świętego rycerza; myśl o krucjacie, na innych może niż dawne krzyżowe wyprawy podstawach opartej, ale mającej niemniej na celu wyrzucenie Turków ze Ziemi Świętej, nie przestała do końca życia jasnym płomieniem mu przyświecać. Świadectwem tych niewygasłych myśli i pragnień jest obszerna korespondencja z rycerzem dawnej, średniowiecznej, w najlepszym tego słowa znaczeniu, daty, Piotrem Zarate, który powziął piękny zamiar przywrócenia do dawnej świetności rycerzy Grobu Chrystusowego i otwarcia przed nimi w Jerozolimie szerokiego pola dla rycerskiego męstwa, dla chrześcijańskiego poświęcenia. Ignacy wyjednał dla

tego zamysłu u papieża osobną pochwalną bulgę; listami zaś swymi do króla Rzymskiego, do Filipa II, otworzył śmiało rycerzowi bramy i poparcie najmożniejszych wówczas w świecie potentatów (25). Nie jego wina, że piękny ten zamiar poszedł koleją tyłu innych kuszących się przedtem i później o wrócenie chrześcijaństwu jego kolebki...

Lepszym, choć nie bezpośrednim skutkiem uwieńczył został śmiały plan zgniecenia potęgi tureckiej w Europie. Projekt ten przesłany przez Ignacego na ręce O. Hieronima Nadal, który miał go znów przedstawić Janowi de Vega, a następnie Karolowi V, niewiele się różnił w zasadniczych rysach od przeprowadzonej później krucjaty, która doprowadziła do stanowczej w dziejach Europy bitwy pod Lepanto.

A oto znowu innego rodzaju, ale niemniej ważnego punktu dotyczący, na wielką skalę nakreślony plan, który Święty za pośrednictwem jednego ze swych zakonników, najlepiej widzianych na portugalskim dworze, przedkładał królowi Janowi III: (26)

"Opowiedziano mi tu smutną historię o dwóch braciach Portugalczykach, znajdujących się obecnie w Rzymie, którzy obaj pojedykowali się i obaj zabili swych przeciwników. Straszny to, diabelski występki między chrześcijanami, nawet między niewiernymi nieznany, gubić dla tak błahych powodów i dusze i ciała; toteż z wielką radością i zadowoleniem dowiedzieliśmy się o wydanej przez J. Kr. Mość ustawie, zakazującej pojedynek w swym królestwie pod karą utraty całego majątku i życia. Święta to i dobra rzecz; gdybym miał sposobność, nie omieszkałbym przedstawić J. Kr. Mości dwóch innych punktów, które sędzę, przyczynić by się mogły niemało, wespół z pomienioną ustawą, do przyprowadzenia do skutku tak pobożnych i chrześcijańskich zamiarów królewskich".

"1. Aby każdy, który przyjmie wyzwanie na pojedynek, ogłoszony był publicznie za zdrajcę i infamisa... w ten bowiem sposób przeciwne lekarstwa uleczyłyby przeciwne sobie choroby; i kto obawiając się stracić nieco na honorze, ucieka się do pojedyнку, zaniechałby go, aby zupełnie honoru nie stracić".

"2. Aby J. Kr. Mość wybrała czterech, lub ilu by uważała za stosowne, poważnych mężów, którzy w razie jakichś poróżnień lub krzywd, sprowadzających pojedyńki, osądziłiby, która strona i w czym jest skrzywdzoną, i zarządzili odpowiednie lekarstwo; wykonania tego sądu musiałby sam król

dopilnować, przyczyniając się w ten sposób do zadowolenia i uspokojenia obu stron. Jeżeli będzie wolą Boga Pana naszego, aby dzieło to, które tak bardzo mogłoby posunąć naprzód Jego służbę, przyszło do skutku i usunęło to nadużycie, tak bezbożne, tak sprzeciwiające się i Bożemu i ludzkiemu rozumowi, że nikt inny, prócz szatana, twórcą jego być nie może, natenczas łatwo stać by się mogło, że i inni chrześcijańscy książęta poszliby za przykładem danym przez J. Kr. Mość. Boć wszyscy rzecz tak niegodziwą i nierozumną muszą za złą uważać, zwłaszcza, że nie opiera się ona na żadnej innej podstawie, prócz błędnej opinii ludzi światowych, którzy w ogóle i sami wyznają, że tyranizuje ich ten nieszczęsny zwyczaj i bardzo im ciąży. Tak więc piętnując go publicznie i ogłaszając za infamisów tych, którzy by się dopuścili tego występku, usunąć można bez wielkich trudności tę piekielną tyranie z ziem chrześcijańskich. Bezwątpienia, pomiędzy wielu słynnymi czynami, które potomność głosić będzie o J. Kr. Mości, ten byłby jednym z najślawniejszych".

"Można by też zaradzić, jakem już wspomniał, aby usunięcie bojaźni pojedynku nie utorowało komu drogi do łatwiejszego krzywdzenia innych, karząc krzywdzących najprzód na czci, a następnie i osobiście, i naznaczając inne odpowiednie kary. Nie mogłoby być trudnym przekonać ludzi o słuszności takiego postępowania, bo bez porównania więcej zgadza się ono z rozumem nie tylko chrześcijańskim, ale i w ogóle ludzkim, niż przeciwne postępowanie i zasady, które diabeł na ten świat wprowadził. Chodzi tylko o to, aby królowie wzięli się do tej sprawy na serio".

Czyż nie dziwna to rzecz, słyszeć w XVI wieku takie zasady, takie plany z ust hiszpańskiego rycerza, należącego w swym czasie do kwiatu najdumniejszej na świecie szlachty, najlepiej obeznanej, najsilniej stojącej przy obyczajach i prawach rządzących rycerskim zakonem? Nowy to znów dowód, jak Ignacy z wyżyny, na której stał, trzeźwo, a wszechstronnie patrzył na świat. Wszystko, co współczesnych porusza, znajduje echo w wielkim jego sercu; każda dobra myśl może być pewną jego pomocy i zachęty; każda bieda – pociechy; obok wewnętrznych rządów, szeroko już po świecie rozpowszechnionego zakonu, prowadzi walkę o dusze od "północnych", od polskich, do afrykańskich granic. Skąd ta wszechstronność, ta przezorność rozumnego wodza, rzekłbyś nowoczesnego, złączona z niezmordowaną energią, z wytrwałością średniowiecznego żołnierza? Źródłem i wytłumaczeniem tych zadziwiających przymiotów, tych wielkich czynów i świetnych zwycięstw, to święte, do Boga wyłącznie skierowane, z Bogiem złączone życie Ignacego. Był on znakomitym organizatorem zakonu, był mężnym, a rozumnym wodzem w



wielkiej wojnie o "Królestwo Boże", bo był mężem prawdziwie Bożym; z podjętych walk wychodził zwycięsko i przyczyniał się do rozszerzenia Królestwa Bożego na ziemi, bo szedł wiernie ślad w ślad za Najwyższym Wodzem swym – Chrystusem; był wielkim, bo był Świętym.

---

### **Przypisy:**

- (1) Szereg listów z r. 1550. *Cartas*, t. II.
- (2) Listy i okólniki z r. 1541 – 1544. *Cartas*, t. I.
- (3) Do O. Klaudiusza le Jay, 30 lipca 1552. *Cartas*, t. III, l. 276.
- (4) Do przełożonych zakonnych, 2 stycznia 1554. *Cartas*, t. V, l. 403.
- (5) Do O. Gerarda Hamont, 22 marca 1555. *Cartas*, t. V, l. 637.
- (6) Do Jana Polleto, 10 czerwca 1556. *Cartas*, t. VI, l. 831.
- (7) Do pewnego, nie dającego się dziś dokładnie oznaczyć, niemieckiego biskupa, 9 grudnia 1550. *Cartas*, t. II, l. 207.
- (8) Do arcybiskupa kolońskiego, 1 maja 1556. *Cartas*, t. VI, l. 808.
- (9) 25 lipca 1553. *Cartas*, t. III, l. 326.
- (10) 18 sierpnia 1554. *Cartas*, t. IV, l. 530.
- (11) 22 września 1551. *Cartas*, t. II, l. 237.
- (12) W czerwcu 1556. *Cartas*, t. VI, l. 829.
- (13) 7 sierpnia 1553, a więc w siedem dni po uroczystym wjeździe Marii do Londynu. *Cartas*, t. III, l. 329.
- (14) Do św. Franciszka Borgiasza, 14 czerwca 1554. *Cartas*, t. IV, l. 490.
- (15) 29 stycznia 1552. *Cartas*, t. III. Dodatek II, nr 12.
- (16) 28 czerwca 1553. *Cartas*, t. III, l. 314. W chwili pisania tego listu Ksawery nie żył już od przeszło pół roku; zmarł 2 grudnia 1552.
- (17) 9 lipca 1553. *Cartas*, t. III, l. 317.
- (18) Do króla Jana III, wrzesień 1546. *Cartas*, t. I, l. 84.
- (19) Do O. Ludwika de la Grana, 17 stycznia 1549. *Cartas*, t. II, l. 159.
- (20) 17 lutego 1555. *Cartas*, t. V, l. 614.
- (21) 16 lutego 1555. *Cartas*, t. V, l. 613.
- (22) Do O. Ludwika de Sandoval, 20 lipca 1553. *Cartas*, t. III, l. 320.

(23) Do O. Franc. Viejra r. 1553. T. III. Dokumenty nr. 15-21 i T. IV, nr 10.

(24) 26 lipca 1554. *Cartas*, t. IV, l. 513.

(25) Listy te datowane w październiku 1554. *Cartas*, t. IV, l. 558 np.

(26) Do O. Mirona, 5 kwietnia 1554. *Cartas*, t. IV, l. 457.



## XI.

### Heroiczne cnoty

Wewnętrzne dzieje serca miłującego i służącego Bogu, przedstawiają prześliczny, ale bardzo trudny do odmalowania obraz; każda barwa tu za słaba, w przybliżeniu zaledwie oddać może i słabe tylko dać wyobrażenie o owym cudownym życiu łaski Bożej, z dniem każdym w duszy rozwijającej się, wydającej coraz piękniejsze kwiaty, rodzącej coraz wspanialsze owoce. Trudność tę poznawali już pierwsi życiopisarze Świętego, chociaż obcując z nim codziennie, mogli zajrzeć do tajemnic jego serca, odczytać w nim niejako wszystkie myśli, pragnienia; szczęściem, przed trudnością się nie cofnęli, tak, że idąc ich śladem, możemy i my odtworzyć sobie choć w paru najgłówniejszych rysach obraz wewnętrznego życia Ignacego.

Źródłem cnót i czynów Świętego, myślą przewodnią jego życia, owym słupem ognistym, za którym szedł na puszcy tej ziemi, pewien, że nie błądzi, to owo z należytego zrozumienia, czym jest Bóg a czym człowiek, zaczerpnięte hasło, które jak zwrotka w pieśni, powtarzało się we wszystkich rozmowach, było osią życia całego: "Wszystko na większą służbę i chwałę Bożą". "Nie tylko ludzie, ale i aniołowie – pisał Święty do braci uczących się w Koimbrze, streszczając własne swe uczucia i zasady (1) – nic większego uczynić nie mogą, jak chwałę nieść Stwórcy swemu i prowadzić doń stworzenia Jego... Bo ileż to mamy powodów, obowiązujących nas do szukania Bożej chwały i służby! Czyż nie zły to żołnierz, kto nie gotów podjąć się ohotnie wszystkiego, co przynieść może chwałę jego Królowi?". – "Szczerze mówię – zwierza się przed bratem (2)

– o tyle mogę kogo kochać w tym życiu, o ile to pomaga do służby i chwały Pana naszego". I znowu kiedy indziej napomina: "O tyle może być dla nas coś dobrego w tym życiu, o ile dopomaga nam do osiągnięcia przyszłego życia; o tyle złego, o ile od niego nas odprowadza. Tak dusza oświecona wysoko buduje swe gniazdo, niczego innego nie pragnąc, prócz Chrystusa i to ukrzyżowanego" (3).

Stosownie do tego hasła, nakreślił Święty plan postępowania ze sobą samym i plan stosunków z bliźnimi i z Bogiem. Budując wspaniały, sięgający w niebo gmach doskonałości, założył przede wszystkim głęboki fundament dwóch cnót: umartwienia i pokory, których zadaniem, jak uczą zgodnie mistrzowie duchownego życia, gotować grunt pod inne, wyższe, utrzymując ciało i duszę w należytych karbach. W pierwszych latach po swym nawróceniu kładł wielką wagę na umartwienie ciała, dręczył je postami, biczowaniem, włosiennicami; później, wśród rosnących prac i utrudniających je chorób, zrozumiał, że musi mieć nieco większe względy dla swego "niewolnika", jak zwykł był ciało swe nazywać, aby ciężar pracy wytrzymać mogło; zawsze wszakże postępował z nim, w ścisłym słowa znaczeniu, jak z niewolnikiem, nigdy nie zaprzestał licznych dobrowolnych pokut, do końca życia dozwalał ciału tego tylko i w takiej mierze, w jakiej większa cześć i chwała Boża tego się domagała.

Roztropność hamowała i ograniczała zadawane dobrowolnie cierpienia; tym bardziej cieszył się Ignacy, gdy sam Bóg go nimi nawiedzał; gdyż nie mając już wtedy wątpliwości, czy nie idzie raczej za własną, niż za Bożą wolą, mógł wiernie i jak najbliżej wstępować w ślady Wodza cierpiącego, Wodza upokorzonego. W liście do jednej z wielkich dobrodziejek zakonu, tak tłumaczy wagę, korzyści, myśl Bożą w zsyłanych na nas cierpieniach:

"Dowiedziałem się, że Bóg Pan nasz, nawiedził Cię chorobami ciała i cierpieniami duszy; dlatego nie mogąc inaczej, przynajmniej listem chcę Cię odwiedzić i przypomnieć Ci, że Opatrzność naszego najukochańszego Ojca i najmędrszego Lekarza zwykła tak sobie postępować z tymi, których bardzo miłuje, i że im prędzej, po tym doczesnym życiu, pragnie ich dopuścić do współuczestnictwa w wiecznym swym szczęściu, tym bardziej ich przez tego rodzaju cierpienia oczyszcza na tym świecie. Nie chce Bóg, abyśmy tu już znaleźć mieli zupełne zadowolenie i do świata się przywiązali; dlatego zwykł dodawać bodźca swym wybranym, nie tylko wzbudzając w nich pragnienie nieba, ale i zsyłając cierpienia. Wielce one zwiększają chwałę nam zgotowaną, jeśli je przyjmujemy z cierpliwością i dziękczynieniem, jak przyjmować należy

dary ojcowskiej miłości, od której pochodzą równie boleści, jak radości, i jeżeli jest na tym świecie jaka droga, którą idąc, uniknąć by można cierpienia i utrapień serca, to ta jedna tylko: staranie się o zupełne pogodzenie swej woli z wolą Bożą" ... (4).

Godząc najściślej wolę swoją z Bożą, przyjmował Święty każde cierpienie, jako dar Boży, każde prześladowanie swego zakonu, jako szczególną, wyświadczoną mu przez Boga łaskę. "W czasie tej wiosny – donosił przyjacielowi (5) – raczył mię Bóg, Pan nasz nawiedzić różnymi chorobami; niechaj Bóg posługuje się i chorobą i zdrowiem, życiem i śmiercią nas wszystkich, bo jak jedno, tak drugie z równą miłością na nas zsyła, a od nas tylko zależy, abyśmy tych darów dobrze użyć chcieli". Po otrzymaniu smutnych wieści o groźnym prześladowaniu, wybuchł przeciw zakonowi w Saragossie, znowu słowa podziękki cisną mu się pod pióro: "Wszystko razem wzięwszy, mieliśmy tu niemałą sposobność oddania chwały Bogu Panu naszemu i podziękowania Mu, że nas nawiedzić raczył" (6). "Listy Wasze nastęrczyły nam niemałą sposobność do wychwalania Boga Pana naszego, iż uznał nas za godnych skosztowania cierpienia i krzyża Swego, a zarazem użyczył nam odwagi i cierpliwości do noszenia go" (7). "Wtedy dopiero – mawiał czasami z uśmiechem do towarzyszków – zacząłbym się bać o nasz zakon, gdyby mu zabrakło prześladowań i cierpień; byłby to znak, żeśmy zleniwili w służbie Pańskiej i że jak szatan, tak świat nawet uwagi na nas nie zwracają". Stała też to, do dziś wiernie przechowana tradycja między duchownymi synami Ignacego, że on to wyprosił im od Boga, aby nigdy nie zgnuśniali zbyt długo trwającym, żadną chmurą nie zaćmionym powodzeniem, że zawsze, jeśli nie w tym, to w innym kraju lub mieście wystawieni będą na prześladowanie. Istotnie, historia półczwarta wieku potwierdza w całej pełni tę pobożną, duchowi i naukom Świętego tak bardzo odpowiadającą tradycję.

Umartwienie, sięgające do najskrytszych zakątków serca i duszy, brało pod swą władzę wszystkie czyny, uczucia, pragnienia, myśli. Ignacy był z natury nadzwyczaj żywym; wrażliwy jego umysł łatwo za dawnych żołnierskich czasów zapalał się i unosił. Później cnota tak wszechwładnie zapanowała nad jego temperamentem, że przyjaciele, nawet doktorzy uważali go raczej za flegmatyka i temu się tylko dziwili, jak złączyć umie spokój rozlany w postaci i ruchach z energią objawiającą się w czynach. Największa, najslusniejsza zdawałoby się boleść, ale przeszkadzająca do pracy na większą chwałę Bożą, ustępować musiała, gdy rozum powiedział: "Bóg tak chce!". Razu pewnego

zastanawiał się Ignacy nad pytaniem, czy i jakie nieszczęście mogłoby mu odebrać spokój, polegający na silnym przekonaniu, że pragnie i czyni co może, aby być dobrym dzieckiem Bożym, a Bóg się nim, jak dzieckiem swym opiekuje. "A gdyby – zapytał sam siebie – zakon założony z tylu trudami, który tyle już na chwałę Bożą zdziałał, nagle rozwiązany został, wniwecz by się obrócił, czy potrafiłbym wtedy zachować pokój serca?". – I po chwili namysłu, tak sam na pytanie to odpowiedział: "Jeśli tylko rozwiązanie to nastąpiłoby nie z mojej winy, natenczas, zdaje mi się, że zwróciwszy myśl do Boga, wróciłbym po kwadransie modlitwy do zupełnego spokoju: Pan Bóg dał, Pan Bóg wziął, niech zawsze i wszędzie imię Jego będzie błogosławione!".

Tak doskonałe i heroiczne panowanie nad sobą i trzymanie na wodzy przez ciągle umartwienie wszystkich żądz, uczuć, pragnień, byłoby niemożliwe, gdyby nie towarzyszyła mu na każdym kroku, w miłą oczom Bożym jedność się łącząc, równie doskonała pokora. "Nic nie zbudujecie trwałego i dobrego – zwykł był napominać zakonnych towarzyszy, wysyłając ich do pracy w winnicy Pańskiej – jeżeli budować nie będziecie na fundamencie pokory!". Jako ogólną, długim doświadczeniem stwierdzoną zasadę, stawiał: "Tam się nam lepiej zazwyczaj powodzi, dokąd zaszedłszy drogą pokory, rozpoczynamy pracę bez wielkiego hałasu i stopniowo ją rozwijamy" (8). Rozwijając praktycznie tę zasadę, polecał ją z takim naciskiem równie św. Franciszkowi Ksaweremu i Rodriguezowi, gdy wysyłał ich do Indyj i do Portugalii, jak Salmeronowi i Broetowi przed irlandzką wyprawą, Laynezowi udającemu się na Sobór Trydencki, jak w ogóle wszystkim towarzyszom w Niemczech, we Włoszech, w Czechach, w Hiszpanii, aby rozpoczynali swe prace od uczenia dzieci katechizmu i obsługiwania chorych po szpitalach, aby nie wstydzili się sami chodzić od domu do domu i prosić o kawałek chleba dla siebie i dla biednych, którzy sami zebrać się wstydzą lub nie mogą. Polecał upokarzające te zajęcia i słowem i pismem, a bardziej własnym przykładem, nie usuwając się, mimo tak licznych i ważnych zajęć, od najniższych usług w domowej kuchni i po szpitalach i od wykładania dzieciom katechizmu po kościołach i ulicach.

Jasne poznanie własnej nicości i ciągle dobrowolne upokorzenia wyrobiły w Ignacym głęboką pokorę, jaką w takim stopniu Bóg obdarzył chyba niewiele dusz szczególnie wybranych. Przez przeciąg wielu lat przed śmiercią nie doświadczał nigdy nawet najmniejszej pokusy próżnej chwały i sam zwierzył się zaufanemu przyjacielowi, że jest to grzech, którego z łaski Bożej najmniej się lęka.

"Przypominam sobie, opowiada Ribadeneira, słowa, które dnia pewnego do mnie wyrzekł: Prosić będę Pana naszego, aby ciało moje po śmierci rzucono na stos gnoju i aby tam stało się pastwą ptaków i psów; sam jestem gnojem, jakąż więc słuszniejsza kara spotkać by mię mogła za tyle mych grzechów?... Uważałem też częstokroć, gdy trafiło się w rozmowie wspomnieć o korzyściach i pożytkach przez zakon nasz przynoszonych, albo o czymś podobnym, co się chwały jego tyczyło, jak łzami się zalewał i jak się wstydził. Laynez, słysząc od jednego z naszych, jakoby Ignacemu dał Bóg na stróża Archanioła (9), gdy go zapytał po przyjacielsku, czy to prawda, żadnej od niego nie otrzymał odpowiedzi; Ignacy tylko zarumienił się i na twarzy zmienił i tak się zawstydził i przeląkł, jak – wedle wyrażenia się Layneza – przelękłaby się uczciwa panna, znalazłszy się niespodzianie wobec nieznanego mężczyzny. Często się też trafiało, iż pytany o rzeczy, które z chwałą jego były związane, nie inaczej odpowiadał, tylko rumieniając się i milcząc".

"Słyszałem go – ciągnie dalej kochający uczeń i powiernik Świętego – jak mówił, że pobudkę do cnoty brał ze wszystkich domowników, a tylko samemu sobie się nie podobał... Gdzie sprawa nie była jasna i oczywista, łatwo na zdaniu drugich przestawał. Życzył sobie tego, aby u wszystkich był w pośmiewisku i gdyby uczynić to mógł, czego pragnął, chętnie by nago, błotem tylko i plugastwami okryty, po ulicach chodził, aby go wszyscy uważali za szaleńca i głupiego. Ale pragnienia te hamowała miłość i wzgląd na dobro bliźnich, którym, aby mógł pożyteczniejszej służyć, oko mieć musiał na zachowanie własnej powagi. O rzeczach, odnoszących się do siebie samego, bardzo rzadko mówił i tylko wtedy, gdy ważna jaka przyczyna to nakazywała, na przykład dla uspokojenia i pociechy tych, którzy radzili się go w dolegliwościach swoich, lub dla dodania ducha braciom i zachęcenia ich do ponoszenia wszelkiego rodzaju trudności, i to rzadko, i w pierwszych latach istnienia zakonu, poczym w dziwnym milczeniu w sobie się pogrążał, z większą siłą w ten sposób ucząc" (10).

Wewnętrzna pokora, przenikająca życie całe, ujawniała się na zewnątrz, ciągnącą mimo woli do Boga skromnością w ruchach, ułożeniu, w całej postawie. Św. Paweł napominał i zachęcał pierwszych chrześcijan: *Skromność wasza niech będzie wiadoma wszystkim ludziom: Pan blisko jest* (11); Ignacy powtarzał uczniom swoim to napomnienie i słowami i o wiele wymowniej własnym przykładem. Pamięć na "bliskość", na ciągłą obecność Bożą, nakazywała mu zawsze i wszędzie zachowywać się tak, jak zachowuje się sługa

w obecności swego pana; rozumna gorliwość o zbawienie dusz ludzkich uczyła go, że skromność chrześcijańska skuteczniej nieraz do serc przemawia, niż najpiękniejsze kazanie. Powodując się tym przeświadczeniem, ułożył Święty dla zakonu swego szereg osobnych reguł "O skromności", w których, słusznie powiedzieć można, zdjął najdokładniejszą kopię z własnego swego sposobu postępowania. Drobne to zdawałoby się przepisy, określające, jak trzymać ręce, głowę, gdzie oczy w czasie rozmowy kierować, jak zwyczajnie spuszczone je trzymać, jak mówić i chodzić; – drobne przepisy, ale kto choć pierwsze kroki w życiu duchownym uczynił, ten wie dobrze, ile zależy od wiernego trzymania się tego, jak pięknie go nazwano, "kodeksu dobrego, chrześcijańskiego wychowania", od ilu pokus i upadków on chroni, ilu niebezpieczeństwom drogę zamyka! Toteż nie ma podobno w ostatnich trzech wiekach wybitniejszego mistrza życia duchownego, któryby nie przyswoił sobie w całości, lub przynajmniej w zasadniczych rysach "Reguł skromności", ułożonych przez Ignacego i nie polecał ścisłego ich zachowania wszystkim, którzy pragną postępować drogą doskonałości.

Nieraz światowi ludzie, po niedługiej rozmowie z Ignacym, ukryć nie mogli, jak potężny wpływ na nich wywarła jego skromność, widoczny znak głębokiej pokory, wyciśnięta na obliczu, na każdym poruszeniu. Prawda, że i każda rozmowa, którą prowadził, jeden tylko miała cel: chwałę Bożą i korzyść dusz. Jednemu z Ojców, który skarżył mu się, że raz po raz odwiedzają go różni goście, zabierając mu czas i spokój umysłu rozmowami swymi, dał następujące, praktyczne wskazówki: "Tych, którzy przychodzą do ciebie, żądając pomocy i pociechy duchownej, przyjmuj z wielką miłością; ale poprzednio, gdy idziesz do nich do furty klasztornej, wzbudź zawsze akt strzelisty, prosząc Boga, aby ci dozwolił pomóc tej duszy. Następnie wszystkie myśli i słowa twoje niech zdążają wyłącznie do duchownego dobra tego, kto cię odwiedza, a w ten sposób nie tylko sam szkody na duszy nie poniesiesz, ale przeciwnie niemało skorzystasz. A choćbyś nawet czuł się mniej z Bogiem złączonym, nie tak spokojnym jak poprzednio, nie obawiaj się, nie trwóż się: rozproszenie, któreś ściągnął na siebie, pracując dla chwały Bożej, nie może zaszkodzić ci. Tych zaś, którzy przychodziliby i opowiadali ci nowinki i niepotrzebne plotki, staraj się skierować na rozmowę o śmierci, o szkaradzie grzechu, o obrazie Bożej, o sądzie, rachunku sumienia, spowiedzi itd.; i ilekroć powrócą wracaj i ty do tego tematu. Kto zechce dla duszy pożytek odnieść, powróci do ciebie; kto nie zechce, w pokoju cię zostawi, więcej nie wróci i nudzić cię nie będzie".

Poważne, pełne prostoty, ale i świętego zapachu słowa Ignacego, szły prosto do serca, kruszyły je i przetwarzały. "Wiele można by, zaręcza Ribadeneira, przytoczyć przykładów na okazanie, jaką moc dawał Bóg jego słowom". Jeden z tych przykładów powtórzymy, trzymając się toku opowiadania, najlepiej obznajomionego z życiem Ignacego, długoletniego jego powiernika:

"Kiedy w Rzymie niecni oszczercy rzucili tyle haniebnych potwarzy na Świętego i jego towarzyszków, uwierzył tym baśniom między innymi Jan Dominik de Cuppis, kardynał i dziekan świętego kolegium i przestrzegł przyjaciela swego i krewnego, Kwiryna Garzonio, aby się pod żadnym warunkiem z Ignacym nie wdawał, bo to człowiek zły, niebezpieczny, który ściągnąć nań może największe nieszczęścia. Kwiryn, wielki dobroczyńca i zwolennik zakonu i Ignacego, próbował wziąć go w obronę, zaręczał, że dokładnie i długo przypatrywał się jego sposobowi życia i odniósł tylko największe zbudowanie.

«Mocno się mylisz, odparł kardynał, i nie dziwię się temu; nie mogłeś naturalnie słyszeć tego wszystkiego o tych ludziach, co mnie donoszą; stroją się oni w pozory pobożności, ale w gruncie i czynami swymi z prawdą wojują. Łatwo uciec przed wilkiem, gdy jako wilk się przedstawia; ale kiedy wilk przybierze owczą skórę, wtedy trudno go poznać, trudno przed nim umknąć».

Zmieszany i zatrwożony tymi słowami wierny przyjaciel przyszedł do Ignacego i wszystko z kolei opowiedziawszy, zapytał, co dalej robić? Święty, słuchając tego opowiadania, nie stracił ani na chwilę zwykłej pogody i spokoju: «Bądź spokojny, rzekł, kardynał błędną swą opinię, powziętą w najlepszej myśli, płynącą z nieświadomości właściwego stanu rzeczy, porzuci natychmiast, skoro o prawdzie się dowie i niechęć swą dla nas zamieni w stałą przyjaźń. Nie on sam tak sądzi i nie jego w tym wina, ale tych, którzy powodowani albo nieprzyjaźnią, albo też może nieroztropną gorliwością o chwałę Bożą, rozsiewają tego rodzaju pogłoski... Pomodlimy się: w milczeniu i w nadziei w pomoc Bożą będzie nasza siła; my milczeć będziemy, a Bóg już sam za nas przemówi».

Tymczasem kardynał występował raz po raz wobec Kwiryna przeciw Ignacemu, powtarzając z coraz większą siłą uczynione poprzednio zarzuty. Kwiryn widząc, że sam nie zdoła oczernionego obronić, poprosił kardynała, aby dla gruntownego zbadania całej sprawy, rozmówił się kiedy wprost z Ignacym,



bo – jak słusznie przedstawiał – nie godzi się człowiekowi rozumnemu potępiać kogoś, nie wysłuchawszy go wprzód i nie wiedząc, czy i jakie może przywieść dowody na swoją obronę. «Posłucham go chętnie, odparł kardynał, byle do mnie przyszedł i tak z nim postąpię, jak na to zasługuje». Istotnie w oznaczony dzień przyszedł Ignacy do kardynała i rozmawiał z nim sam na sam mniej więcej dwie godziny. A taka była moc w słowach Ignacego, taka siła i jasność, że kardynał zupełnie przekonany, do nóg mu upadł, o przebaczenie prosił, następnie z wielką łaskawością i dobrocią do drzwi odprowadził i stawszy się odtąd najwierniejszym przyjacielem zakonu, przysyłał regularnie co tydzień pewną wyznaczoną jałmużnę z chleba i wina".

Święty mówił zawsze krótko, treściwie, z wielkim spokojem, nie mieszając nigdy kilku przedmiotów naraz, ale dopiero po zupełnym wyczerpaniu jednego przechodził do następnego. Dla serc dręczonych niepokojem słowo jego było prawdziwą oliwą, gojącą rany i ból kojącą. "Znam kogoś, opowiada znowu Ribadeneira, żyjącego jeszcze w zakonie naszym, który przyszedł do Ignacego tak zatrwożony, strapiony, zbolały, że w żaden sposób uspokoić się nie mógł, zaledwie duszę swą przed Świętym otworzył, na jedno jego słowo wielka burza uspokoiła się i po dziś dzień jest wolny od tych cierpień i pokus. Znam i drugiego, również żyjącego jeszcze, którego ogarnęła taka straszna i dziwna bojaźń, że i własnego cienia swego się lękał. Kilku słowami uwolnił go Ignacy raz na zawsze od tej bojaźni i dawny spokój w sercu przywrócił".

Dokładny wizerunek miłości bliźniego, ożywiającej serce sługi Bożego, musiałby z natury rzeczy obejmować całe jego życie, od pierwszej chwili, gdy w Loyoli, gdy dokładniej w Manrezie zrozumiał nieskończoną cenę duszy Krwią Chrystusową odkupionej. Kochał bliźniego całym gorejącym swym sercem i niczego nie żałował, aby każdemu otworzyć drogę wiodącą do wiecznego szczęścia, aby wszystkim dać poznać skarby miłości Bożej, która jemu samemu ziemię już w niebo przemieniła. Ta miłość Boża, szczyt wspaniałego gmachu doskonałości, najpiękniejsza perła w bogatej koronie, była najsilniejszym bodźcem do wszystkiego co piękne, wzniosłe i Bogu miłe, była osłodą we wszystkich cierpieniach, zadatkiem i zapewnieniem wiecznej nagrody. Ignacy mógł być dla siebie tak twardym, tak pokornym, tak mało wymagającym, mógł mieć dla wszystkich ludzi tak szeroko otwarte serce, tak współczuć z ich potrzebami i tak niezmiernie wiele dla dusz ich czynić, bo najściślej był

złączony ze źródłem wszelkiego dobra i wszelkiej cnoty, Bogiem swym i Stwórcą, z Ukrzyżowanym dla dusz ludzkich, niebieskim swym Wodzem.

Kto kogo gorąco miłuje, ten pragnie jak najczęściej i jak najdłużej z nim przebywać; istotnie rozmowa z Bogiem w modlitwie była dla Ignacego osłodą życia, najsilniejszym wzmocnieniem w pracach, największą i najskuteczniejszą pociechą w przeciwnościach. Co godzinę odrywał się na chwilę od najważniejszych nawet zajęć, aby przypatrzeć się swemu sumieniu, zażądać od niego surowego rachunku i przeprosić Boga za możliwe uchybienia. W pokorze swej, rozpamiętywując zwłaszcza winy swej młodości, zalewał się gorzkimi łzami i prosił Boga, aby mu za karę ujął nieco z hojnych duchownych pociech, aby lepiej mógł się przekonać o swej nicości i złości. "Lecz Pan, jak sam o tym mówił, tak się ze mną łaskawie i miłosiernie obchodzi, że im niegodniejszym czuję się Jego łask, tym obficie wylewa na mnie skarby niebieskich swych słodyczy". Kiedy mu czasem wspomniano o nadzwyczajnych łaskach, jakich doświadczał na modlitwie, o szczególnym, udzielonym mu darze rozmawiania z Bogiem, spuszczał oczy i odpowiadał zawstydzony: "To dla wielkiej mej słabości udzielił mi Pan tego daru, bo widział, że do niczego już teraz nie jestem zdolny i że jeżeli i modlić bym się należycie nie mógł, zawadzałbym tylko w zakonie".

Jaki to był dar i jak blisko pozwalał Bóg słudze swemu do siebie się zbliżać, to pokazywało się najwidoczniej, gdy odprawiał Mszę św. Twarz jego jaśniała wtedy niebieskim jakimś ogniem, serce jakby wyrywało się do Boga, którego w rękach swych trzymał, łzy do oczu się cisnące, choć całą siłą woli zatrzymywane, zdradzały gorące uczucia duszy. Czasami uczucia te tak silnie się odzywały, że przyprawiły Świętego o niemoc, o chwilowe omdlenie. Z podobną, o ile przynajmniej na zewnątrz się objawiała, gorącością ducha odmawiał pacierze kapłańskie. Często obfitość łez tłumiła słowa i zmuszała do przerywania psalmów, niejednokrotnie przeszedł dłuższy czas zanim Ignacy, zdoławszy otrząść się z tego nadmiaru niebieskich pociech, zdołał jeden psalm ukończyć. Łzy hojnie wylewane osłabiły wreszcie wzrok do tego stopnia, że trudno mu było czytać i że nawet wskutek tego otrzymał pozwolenie od Ojca Świętego, by brewiarz mógł zastępować innymi modlitwami.

Nie tylko przy Mszy św., przy dłuższych rozmyślaniach, przy kapłańskich pacierzach gorzał w sercu Ignacego wewnętrzny żar miłości, podnoszący duszę, ale osłabiający ciało, w każdej choć najkrótszej modlitwie, serce jego stawało natychmiast w obecności Stwórcy, zapominając o wszystkim, co ziemskie. Gdy

przed jedzeniem stół błogosławił, gdy po jedzeniu dziękował za otrzymane z Opatrzności Bożej dary, gdy pracę jakąś krótkim aktem strzelistym rozpoczynał, lub kończył, tak od razu myśl jego i uczucie do Boga się wznosiły, jak gdyby na Niego twarzą w twarz patrzył. Bracia zakonni słyszeli nieraz, jak przechodząc z jednego miejsca do drugiego, szeptał z rozpromienionym wzrokiem: "Czegóż o Panie! oprócz Ciebie pragnę, albo pragnąć mogę?". Kiedy indziej, kiedy widzieli na jego twarzy wyrytą szczególną radość i jakby jakąś jasność z niej płynącą, mówili do siebie: "Ojciec nasz z modlitwy wraca; nie może powstrzymać przepelniającego duszę wesela, że na rozmowę z Bogiem iść może!".

Jak wielu innych towarzyszków, tak szczególnie Laynez starał się, jak mógł najczęściej, przypatrywać się modlącemu Świętemu, bo sam ten widok zapalał w nim pobożne uczucia i do nabożeństwa pobudzał. Oto nakreślony przezeń obraz mistrza, zatopionego w modlitwie:

"Często modlił się na tarasie, gdzie bez przeszkody mógł się w niebo wpatrywać. Najprzód stał przez chwilę bez ruchu z oczami utkwionymi w firmament niebieski; potem klękał i Bogu cześć oddawał, następnie, z powodu nadwątłych sił, siadał z głową odkrytą na niskiej ławeczce i natychmiast strumienie łez płynęły mu cicho z oczu, spokojnie, bez łkania, bez poruszenia ciała. Żaden z jakiegokolwiek przyczyny pochodzący hałas, żadne pod oczy podsuwające się roztargnienie, jeśli bez winy jego się nadarzyło, nie przeszkadzało mu ani na chwilę w modlitwie; najcichszy szept, jeśli mógł mu przedtem zapobiec, odrywał myśl od Boga. Tak nie zewnętrzne roztargnienie, ale wewnętrzna wina psuła modlitwę".

Przeciw roztargnieniom walczył z heroizmem, przypominającym bohaterskie walki dawnych pustelników. Razu pewnego, kiedy się modlił w swoim pokoiku, przyszedł zakonny braciszek i kilkakrotnie do drzwi zapukał. Święty sądząc, że chodzi może o jakąś nagłą i wielkiej wagi sprawę, przerwał modlitwę, otworzył drzwi i zapytał braciszka, czego chce o tak niezwykłej porze. "Oto Ojcie, odparł tenże, listy, które przyniesiono do Ciebie ze stron Twych rodzinnych, od krewnych Twoich". Ignacy odebrał listy i słowa nie mówiąc rzucił je, nieotwarte, nieprzeczytane, w płonący właśnie na kominku ogień. "Nie chciałem i nie mogłem dozwolić – tak później postępek ten swój tłumaczył – aby ziemskie myśli i uczucia wtargnęły do duszy i przeszkadzały jej w najważniejszej tej sprawie, w obcowaniu z Bogiem. Od tylu lat porzuciłem krewnych dla Boga; gdybym teraz był listy od nich odczytał, powróciłbym do nich myślą, serce zaniepokoiłoby się ich troskami i smutkami i mniej byłoby

sposobne do szukania wyłącznie i z nateżeniem wszelkich sił chwały Bożej. Kto raz poszedł za Chrystusem, temu wstecz nie wolno oglądać się, kto z najwyższym Królem rozmawia, temu nie wolno w tym czasie ucha nadstawiać na to, co mu szeptają jego słudzy".

Z ustaw spisanych przez Świętego, z jego listów i napomnień widać, jak niezmierną wagę przykładął do szczerej, gorącej modlitwy. Z drugiej wszakże strony przypominał z naciskiem, że i modlitwa, choć jej cena i korzyść dla duszy jest tak wielką, nie jest bynajmniej ostatecznym celem życia, ale tylko jednym z potężnych środków w służbie Bożej; że zatem myliłby się bardzo, kto uwiedziony słodyczą modlitwy, zapominałby dla niej o swych innych obowiązkach; że widocznie źle modliłby się i sam by tylko siebie łudził, kto z modlitwą nie łączyłby gruntownego umartwienia swych zmysłów, woli i rozumu. Gdy raz jeden z towarzyszków, chwając jakiegoś zakonnika, wyraził się o nim: "To mąż wielkiej modlitwy", Ignacy zmienił to określenie na inne, dokładniej charakteryzujące gruntowną cnotę: "Mąż to wielkiego umartwienia". Jako ogólną zasadę dla zakonu swego stawiał: "Pragnieniem naszym jest, aby wszyscy członkowie Towarzystwa naszego takim duchem byli ożywieni, iżby nie mniejsze – o ile możliwa – czuli nabożeństwo w jakim bądź zajęciu, nakazanym przez miłość i posłuszeństwo, niż w modlitwie i rozmyślanii, ponieważ wszystko czynić jedynie powinni w miłości i służbie Boga Pana naszego" (12). Każde zajęcie dla chwały Bożej podjęte, z myślą o Bogu wykonywane, to modlitwa w najprawdziwszym słowa znaczeniu. "Uczniowie nasi przy pracy i nauce mogą umysł do Boga wznosić; a wszystkie ich sprawy, gdy je skierują do służby Bożej, będą modlitwą. Pamiętać o tym winni wszyscy członkowie Towarzystwa, którym prace miłością nakazane nie pozwalają na dłuższe modlitwy, niech nie myślą, że mniej się Bogu podobają, oddając się tym pracom, niż gdyby oddawali się modlitwie" (13).

Pamiętał o tym na pierwszym miejscu sam Święty i z pamięci o tej prawdzie, czerpał pociechę wśród tylu rozlicznych zajęć, którym, pojąć niełatwo, jak siły jednego człowieka zdołały sprostać, jeżeli sprostały, to właśnie dlatego, że wszystkie te zajęcia były ciągłą modlitwą, łączyły się w jeden prześliczny hymn na chwałę Bożą; że każda myśl, uczucie, poruszenie Ignacego dążyły wprost, na prawo, ni na lewo nie zbaczając, do wytkniętego celu, wyrażonego w przyjętym przezeń haśle: "Wszystko na większą chwałę Bożą!". Wszystko mu służyło do tej większej chwały Bożej; wszystko, co zobaczył, usłyszał, odczuł, prowadziło serce i myśl jego do Boga, a tym samym zamieniało się w najczystsze złoto modlitwy. Piękność przyrody odkrywała mu

rąbek nieskończonej piękności Stwórcy; gwiazdziste niebo, któremu tak lubił się przypatrywać, mówiło mu o potędze, o wszechmocy Tego, który je słowem swym do istnienia przywołał; skarby dobroci, miłosierdzia, ukryte w sercach ludzkich, pobudzały do chwalenia miłosiernego Pana, który raczył iskry te wzbudzić i rozpalić.

Wciąż zajęte Bogiem serce musiało tęsknić do doskonalszego złączenia się z przedmiotem swej miłości, do oglądania niebieskiej Światłości, której kilka promyków – tyle, ile oko ludzkie w tym życiu znieść zdoła – napępniało duszę taką nadziemską jasnością i weselem. Kiedy, pytał ze łzami, pozwolisz mi o Boże, o jedyne Dobro i Miłości moja, pójść do Ciebie? I za Pawłem św. powtarzał: *Kto mię wybawi od ciała tej śmierci? Pragnienie mam rozwiązany być i być z Chrystusem* (14). Pragnienie to tak było gorące i serdeczne, że ilekroć pomyślał o szczęśliwej chwili, w której będzie mógł wreszcie ziemię pożegnać, a Boga powitać, zalewał się łzami, świadkami wewnętrznego wesela. Dla większej chwały Bożej gotów był wszystko, gotów był niejako własną duszę poświęcić; sam raz powiedział – idąc znowu śladami wielkiego Apostoła narodów – że gdyby Bóg dał mu do wyboru: albo umrzeć natychmiast z zapewnieniem zbawienia wiecznego, albo dłużej żyć i dla chwały Bożej jeszcze wiele zdziałać, choćby bez tego zapewnienia, nie wahałby się ani na chwilę i obrał dalsze życie i pracę. Był, i za największe szczęście uważał, że mógł być, wedle własnego swego wyrażenia, niewolnikiem zaprzędanym w wieczystą służbę Boga swego i Pana, ale właśnie dlatego, że był dobrym i wiernym sługą, tym żywsze być musiało, choć rozumem kierowane, heroicznym wysiłkiem woli poskramiane pragnienie usłyszenia błogosławionego wezwania: *Chodź, sługo, dobry i wierny!*

Zadanie, które Bóg Ignacemu zlecił, już było spełnione; postanowienia manreskie przemieniły się w czyn; liczna a bitna armia "Towarzyszów Jezusowych" powołana do życia za pośrednictwem Świętego, broniła zwycięsko zagrożonych granic Królestwa Chrystusowego, rozszerzała je we wszystkich częściach świata, a sama z dnia na dzień rosła w liczbę i siłę. Dziękując Bogu w pokorze, że ponad wszelkie możliwe oczekiwania ludzkie dozwolił temu ziarnu gorczycznemu wyrósć w tak piękne drzewo, osłaniające cieniem swym tyle dusz nieśmiertelnych, wielbiąc Pana za nieskończone miłosierdzie Jego, mógł teraz Ignacy wołać i całym sercem wołał z Symeonem: *Puść, Panie, sługę Twego w pokój!* – I wysłuchał Bóg wreszcie tej kornej, a tak gorącej prośby; żołnierza swego z pola zwycięskiej walki po nagrodę odwołał!

---

### **Przypisy:**

(1) 7 maja 1547. *Cartas*, t. I, l. 106.

(2) Do Marcina Garcia de Onaz r. 1532. *Cartas*, t. I, l. 3.

(3) Do księcia Askaniusza Colonny, 20 kwietnia 1543. *Cartas*, t. I, l. 42.

(4) Do Marii del Gesso, 20-go stycznia 1554 r. *Cartas*, t. IV, l. 414.

(5) Do Aleksego Fontana, 4 października 1559. *Cartas*, t. IV, l. 553.

(6) Do Mendozy, urzędnika w Saragossie, 26 listopada 1555 r. *Cartas*, t. VI, l. 743.

(7) Do O. Al. Ramon, przełożonego w Saragossie, 26 listopada 1555 r. *Cartas*, t. VI, l. 744.

(8) Do Hektora Pignatelli.

(9) W żywotach Świętych czytamy niejednokrotnie, że gdy doszli do pewnego stopnia doskonałości, Bóg dawał im stróża i opiekuna z wyższej hierarchii duchów niebieskich. Tak np. czytamy o św. Franciszce Rzymiance, św. Piotrze Kanizym itd.

(10) *Żywot Ignacego Lojoli*. W Krakowie 1593. Księgi V, rozdział III.

(11) Do Filip. IV, 5.

(12) Do O. Urbana Fernandez, 1 czerwca 1551 r.

(13) Do O. Kaspra Barceusza, 24 grudnia 1553.

(14) Do Rzym. VII, 24. Do Filip. I, 23.



## XII.

### **Śmierć błogosławiona. Chwała na ziemi i w niebie**

Zniewolony widoczną wolą Bożą, musiał Ignacy przyjąć urząd generała założonego przez siebie zakonu, ale był to dla niego bardzo ciężki krzyż; w pokorze swej był przekonany, że nie dorósł do tak trudnego zadania, że kto inny na jego miejscu mógłby się z niego wywiązać z daleko większym pożytkiem i z większą chwałą Bożą. Myśl ta nie dawała mu spokoju. Kiedy zakon, po powtórny potwierdzeniu przez Juliusza III, silniej jeszcze został umocniony, kiedy już na całym niemal świecie zapuścił korzenie, zdawało się Świętemu, że wolno mu wreszcie spełnić dawne pragnienie i w inne, godniejsze ręce złożyć poruczoną sobie władzę, a samemu usunąć się do cichego jakiego zakątka, gdzie nieznan, mógłby bez przeszkody z Bogiem rozmawiać, o duszy swej myśleć. W tym celu zawezwał z końcem 1550 r. poważniejszych i starszych Ojców ze wszystkich zakonnych prowincyj do Rzymu i wobec nich odczytał następujące oświadczenie, datowane 30 stycznia 1551 r.:

"W obliczu Stwórcy i Pana mego, który mię kiedyś osądzić ma na całą wieczność, prawdą się kierując i od wszelkiego zamieszania wolny, powiem, o ile czuję i rozumiem, com postanowił na większą cześć i chwałę Bożego Majestatu, po wielomiesięcznym i wieloletnim rozważaniu i zastanawianiu się z zupełnym i wewnętrznym i zewnętrznym spokojem".

"Przypatrując się licznym mym grzechom i ułomnościom i tylu słabościom duszy i ciała, przyszedłem wielokrotnie do zupełnego przekonania, że brakuje mi niejako w nieskończonym stopniu siły do dźwigania ciężaru, który obecnie, z polecenia Towarzystwa, zarządzając nim, dźwigać muszę. Dlatego pragnę w Panu naszym, aby sprawa ta poddaną została dojrzałej rozwadze i aby kto inny został wybrany, który lepiej, lub przynajmniej nie tak źle, jak ja, mógłby rządzić Towarzystwem i aby mu urząd ten został zlecony. I nie tylko to jest moim życzeniem, ale sądzę nadto na dostatecznych powodach opierając się, że należy ciężar ten złożyć nie tylko na kogoś, kto lepiej, lub nie tak źle go dźwigać będzie, ale na kogoś, kto w tej samej mierze, co i ja, mógłby mu podołać. Rozważywszy to wszystko, składam swój urząd i zrzekam się go bez żadnych zastrzeżeń i warunków w imię Ojca i Syna i Ducha Świętego, jednego Boga, Stwórcy mego; i proszę i błagam w Panu naszym z całej duszy równie profesów, jak i wszystkich, których profesji na naradę zechcą zawezwać, aby

przyjęli to moje zrzeczenie się, tak przed Majestatem Bożym usprawiedliwione".

Zgromadzeni dziwili się i chwalili Boga, że dał im przełożonego, tak przejętego duchem pokory; aby zadośćuczynić jego żądaniu, wzięli pod obrady przedłożone sobie oświadczenie, ale – jak to było łatwo przewidzieć – oświadczyli jednomyślnie, że sumienie nie dozwala im spełnić tym razem żądania twórcy swego zakonu, prawdziwego ojca swych dusz. Ignacy, przekonawszy się, że tej woli Towarzystwa niczym nie zdoła przełamać, musiał ustąpić; później żywił pewien czas tajemną nadzieję, że będzie mógł złożyć rządy Towarzystwa w ręce odwołanego z Azji Ksawerego, ale smutna wiadomość o zgonie świętego Apostoła przecięła w zarodku i te plany. Nie pozostawało nic innego, jak zgodzić się z wyraźną wolą Bożą i czekać, rychłoli Pan sam uwolnić go zechce z zajmowanego posterunku. Coraz częstsze, cięższe, coraz dłużej trwające dolegliwości i choroby zwiastowały bliskie nadejście tego Bożego rozkazu; oczekiwał go Ignacy z upragnieniem, do drogi gotowy.

Wiosna i lato 1556 r. ciężkie były dla Rzymu. Świeżo wypowiedziana wojna między królem hiszpańskim Filipem II a papieżem Pawłem IV sprowadziła do wiecznego miasta mnóstwo zaciężnych żołnierzy niekarnych i swawolnych, napelniających ulice ciągłym zgiełkiem, posuwających się nierzadko do karygodnych czynów. Widok ten bolał mocno Ignacego i tak szkodliwie wpływał na jego zdrowie, że lekarze zażądali, aby na pewien czas koniecznie oddalił się ze Rzymu i na wsi swobodniej odetchnął. Święty zastosował się w drugiej połowie lipca do danego polecenia. Tymczasem po kilku dniach osłabienie zamiast się zmniejszyć, tak się powiększyło, że znowu doktorzy uznali za niezbędne sprowadzić chorego na powrót do Rzymu. Smutną po ludzku, ale pełną niebieskiej pociechy i nauki historię następnych dni opowiada nieodstępny od wielu lat towarzysz i sekretarz Ignacego, naoczny świadek świętego jego życia i świętej śmierci, O. Jan Polanco: (1)

"W domu mieliśmy wielu chorych, między innymi O. Layneza i Jana de Mendoza i kilku jeszcze poważnych księży. Ojciec nasz nieco niedomagał; przez cztery lub pięć dni miał lekką gorączkę i nie wiadano czy już z niej wyzdrowiał. Czuł się wszakże bardzo osłabionym, jak niejednokrotnie kiedy indziej. We środę (29 lipca) zawołał mię do siebie i polecił zawezwać Dr. Torresa, aby zaopiekował się nim, jak innymi chorymi, ponieważ choroba jego zdawała się lekką i dlatego doktor nie bardzo się nim zajmował. Polecenie



natychmiast spełniłem. Inny również lekarz, pan Aleksander, wielki nasz przyjaciel, odwiedzał go codziennie".

"Następnie we czwartek znów mię zawołał około dwudziestej godziny (2), kazał oddalić się czuwającemu nad sobą bratu i powiedział: Dobrze byś zrobił, gdybyś zaraz udał się do papieskiego pałacu i dał znać Jego Świątobliwości, w jak niebezpiecznym stanie się znajduję, bez nadziei doczesnego tego życia i abyś w moim imieniu poprosił pokornie o błogosławieństwo dla mnie i dla O. Layneza, także niebezpiecznie chorego. Powiedz też, że jeśli Bóg Pan nasz zrobi mi tę łaskę i weźmie mię do nieba, modlić się tam będę za Jego Świątobliwość, tak jak tutaj na ziemi dnia każdego się modliłem".

"Odpowiedziałem na to: Ojczy! doktorzy sądzą, że choroba Twoja wcale nie jest niebezpieczną, a i ja ze swej strony ufam, że Bóg zachowa nam Cię jeszcze kilka lat na swą służbę. Czyż istotnie tak źle byś się czuł?".

"Tak źle, odparł, że nic mi nie zostaje, jak tylko Bogu ducha oddać".

"Pomimo tego, okazywałem i rzeczywiście nie traciłem nadziei, że Bóg go nam jeszcze zachowa. Zapytałem, czy nie mógłbym poczekać do piątku, ponieważ miałem jeszcze odesłać pilne listy do Hiszpanii przez kuriera geneńskiego, który tego wieczora odjeżdżał. Odpowiedział: «Wolałbym dziś, niż jutro; w ogóle im prędzej, tym lepiej. Zresztą rób, co za najlepsze będziesz uważał; we wszystkim zupełnie spuszczam się na ciebie»".

"Pragnąłem dowiedzieć się, co sądzą doktorzy o stanie jego zdrowia, aby móc na ich zdanie przed papieżem się powołać. Tego samego jeszcze wieczora poprosiłem pierwszego z pomiędzy nich, p. Aleksandra, aby wyjawiał mi otwarcie, co sądzi, przyznając się ze swojej strony do zlecenia, danego mi do papieża. Na to odparł: «Dziś nic stanowczego nie mogę powiedzieć; jutro zobaczymy»".

"Ponieważ Ojciec nasz spuścił się na mnie i zostawił mi do woli, co mam robić, zdawało mi się, biorąc rzeczy po ludzku, że mogę poczekać do piątku, aby dowiedzieć się wprzód o zdaniu lekarzy. Tegoż jeszcze czwartku, około godziny pierwszej (ósmej wieczorem), byliśmy obecni, O. Krzysztof Madryd i ja, przy kolacji Ojca naszego; jadł, jak zazwyczaj i rozmawiał z nami tak, że udałem się spokojnie na spoczynek, ani myśląc o jakimś możliwym niebezpieczeństwie. Rano, o wschodzie słońca, zastaliśmy Ojca naszego

konającego. Pobiegłem do świętego Piotra; papież okazał wielki żal, dał błogosławieństwo i jakie tylko mógł dać dowody miłości. We dwie godziny po wschodzie słońca, w obecności O. Madrida i Andrzeja de Frusis, Ojciec nasz cicho, bez trudności żadnej, oddał duszę swemu Stwórcy i Panu".

"Śmierć ta szczęśliwa, bo śmierć prawdziwie święta, nastąpiła między piątą a szóstą z rana. Aż do północy Ignacy modlił się półgłosem; później słyhać było tylko od czasu do czasu lekkie westchnienie: «O Boże!». O świcie chciano mu jeszcze podać orzeźwiający jakiś napój, ale Ignacy dał znać lekkim poruszeniem, że pić nie chce i wyszeptał: «Już nie czas!»". Wiedział on dobrze o szybko zbliżającej się śmierci, długi czas naprzód przepowiadał ją proroczym duchem, ale "taka była pokora świętego tego starca – jak pisze dalej O. Polanco w swym sprawozdaniu – że nie chciał nas zwołać, aby udzielić nam swego błogosławieństwa, nie chciał naznaczać swego następcy, ani nawet zastępcy do czasu wyboru nowego generała, nie zachęcał do ścisłego przestrzegania ustaw zakonnych, słowem, nic a nic w tym kierunku nie uczynił, choć odmiennie postępując, mógłby się być powołać na przykład niejednego sługi Bożego. Tak pokorne miał sam o sobie wyobrażenie; tak pragnął, aby Towarzystwo w nikiem innym swej ufności nie pokładało tylko w jednym Bogu, że przejść pragnął z tego do lepszego życia, tak jak wszyscy inni. Uprosił też sobie podobno tę łaskę u Boga Pana naszego, którego chwały wyłącznie szukał, że jak w życiu ukrywał tajemne Boże dary, tak i w śmierci ukryć je potrafił, wyjąwszy niektórych, odsłoniętych przez Boga dla powszechnego zbudowania".

"Skoro Ojciec nasz ziemię tę opuścił, uważaliśmy za stosowne zabalsamować ciało, dla przechowania go potomności. Pogrzeb odłożyliśmy na sobotę po nieszpórach. Bardzo wielu pobożnych zbiegło się do ciała i modliło się przy nim z wielkim nabożeństwem, chociaż zostawiliśmy je w tym samym pokoju, w którym umarł. Jedni całowali mu ręce, inni nogi, inni kładli różańce na jego ciele; i niemało kosztowało nas trudu, aby obronić się od tych, którzy chcieli wziąć na pamiątkę kawałek z jego sukni, lub innych rzeczy, które służyły do jego użytku... Kilku malarzy naszkicowało jego portret, na co za życia nigdy nie chciał zezwolić, chociaż wielu go o to prosiło".

"Wykopaliliśmy mały grób w wielkiej kaplicy kościoła naszego, po stronie Ewangelii, i tam złożyliśmy ciało Ojca naszego w trumnie zamkniętej; nad grobem położyliśmy wielki kamień, który w razie potrzeby, będzie można usunąć. Niech Bóg Pan nasz, moc nasza i nadzieja nasza, pochwalony będzie!

Przez trzy dni odprawialiśmy wszyscy Msze święte za Ojca naszego; wielu nie mniej czuło serdecznego nabożeństwa, polecając siebie jego przyczynie, jak i polecając go Bogu Panu naszemu".

W samym Rzymie powtarzano powszechnie: "Święty umarł! Święty umarł!" – a słowa te wychodziły z ust nie tylko zakonnych synów Ignacego i tych, którzy mogli wejrzeć bliżej w to serce, tak wiernie odbijające przymioty Serca Bożego, ale też od tych, którzy za życia go nie znali, chyba z głuchego posłuchu, a teraz dopiero, jakby nagle dziwną jakąś mocą oczy im się otworzyły, pojęli, zrozumieli, jak wielkiego sługę Bożego mieli tyle lat między sobą. W sercach zakonnych braci Świętego sprzeczne walczyły uczucia; z jednej strony ścisła je żal z powodu utraty takiego mistrza i ojca, z drugiej obronić się nie mogli przed nieziemskim weselem, że mężny żołnierz otrzymał już nagrodę za swe trudy i walki, i że tak potężnego w niebie otrzymali orędownika. "Po otrzymaniu wiadomości o śmierci Ojca naszego Ignacego – pisał jeden z nich do sekretarza zakonu (3) – nie wiedziałem, czy smucić się mam z odejścia od nas tak dobrego ojca, czy weselić się z tylu innych, żywo przedstawiających mi się powodów, i ostatecznie bardzo silne, wewnętrzne wesele przeważało. To samo spostrzegłem w bracie naszym Janie Ignacym... Następnego dnia odprawiłem Mszę żałobną; kiedym stanął przy ołtarzu, zdawało mi się, jakbym słyszał jakiś głos, który mówił mi, że to zbyteczne; i w innych modlitwach nie mogę niejako modlić się za duszę Ojca Ignacego, ale mimo woli na usta cisną mi się słowa: «Ojcze Ignacy, módl się za nami!»".

"Zgon błogosławionego Ojca naszego – pisał ukochany wychowaniec Świętego, O. Ribadeneira (4) – przyniósł nam wielką boleść, lecz jemu wielką radość i chwałę. Pomyśleć możesz, co działo się w moim sercu, gdy wieść ta mię doszła, jaki straszny żal mię ogarnął; lecz ostatecznie, gdym wzniósł oczy do tegoż ojca mojego, za którym płakałem, a od niego przeniósł się myślą do Opatrzności Bożej, w którą on zawsze wzrok miał utkwiony, pociecha do serca wpłynąć musiała, bo mi jasno stanęło przed duszą, że głównym fundamentem, na którym stoi Towarzystwo Jezusowe, nie był Ignacy, ale sam Chrystus, który wybrał tego sługę swego, nakazał mu zbudować ten dom, a będąc wszechmogącym, może nam na jego miejscu dać innych, którzy choćby Ignacymi nie byli, będą takimi, jakich w danej chwili nam potrzeba... Pociesza mię również nadzieja, którą Święty błogosławiony nasz Ojciec stale żywił, że po jego śmierci Towarzystwo jeszcze się wzmocni i pałac będzie jeszcze gorętszą miłością Najwyższego Dobra. Ze swojej strony nie wątpię na chwilę, że jak nam

Bóg dał Ignacego, aby nam był przykładem, tak go nam zabrał, aby był za nami pośrednikiem".

Te same myśli, te same uczucia powtarzają się w listach najznakomitszych współczesnych osobistości. Kardynał Pole dodawał ducha sobie samemu i najbliższym duchownym synom Świętego pocieszającą pewnością, że Ignacy "ściślej teraz złączony z Tym, który jest źródłem wszelkiej łaski, skuteczniej, niż kiedykolwiek, będzie mógł nam dopomagać w służbie Bożej". – Król portugalski Jan III chwalił naukę i wielki przykład cnoty, którym Ignacy tak wspaniale ziemię oświecał. Wicekról sycylijski, Jan de Vega, pisał wzruszony: "Nieskończone dzięki niechaj złożone będą Panu naszemu, że przywołać raczył do siebie w chwili, którą sam za stosowną uznał, tego sługę swojego. Zostawił on tutaj takie pomniki swej świętości i dobroci, że ich nigdy nie zniszczy ani czas, ani powietrze, ani woda, jako niszczy w oczach naszych pomniki wystawione ręką ziemskiej próżności i pychy. Przyglądam się w myśli triumfowi, z jakim przyjęto w niebie tego, który poniósł tam ze sobą tyle zwycięstw, tyle bitew wygranych w walkach przeciw ludom nieznanym, barbarzyńskim, nie mającym nawet wiadomości żadnej o świetle prawdziwym, o wierze, dopóki im święty ten wódz i żołnierze jego nie otworzyli drogi do prawdy! Chorągiew jego zatknęta w niebie między sztandarami św. Dominika, św. Franciszka i tych świętych, wszystkich, którym Bóg udzielił łaski zwycięstwa nad nędzami i pokusami tego świata, którzy tyle dusz wyzwolili z niewoli piekielnej!... To wielka pociecha i wielkie wzmocnienie w boleści naszej, choć tak słusznej i wielkiej z powodu tej straty. Pociesza nas i ta pewna nadzieja, że z nieba będzie mógł o wiele skuteczniej dopomagać swemu zakonowi i wszystkim, którzy go znali i czcili święte jego życie" (5).

Nie próżna to była nadzieja; sam Bóg, od pierwszej chwili, w której Święty zakończył ziemską pielgrzymkę, upoważnił do niej cudownymi znakami swej wszechmocy. W tym samym dniu, w którym Ignacy w skromnej swej celi gotował się do śmierci, w innej celi leżał O. Laynez, również ciężko chory, oczekujący lada chwili zgonu. Ale towarzysze, którym żywo utkwilo w pamięci, że Ignacy wyrażał się kilkakrotnie o Laynezie, jako o przyszłym swym następcy w urzędzie generała, nie wąpili, choć zdawało się wbrew oczywistości, że słowa te się spełnią, a zatem godzina śmierci Ignacego była godziną uzdrowienia jego następcy; zdziwieni lekarze, którzy niezawodną śmierć choremu przepowiadali, jedno tylko mieli tłumaczenie obrotu rzeczy niepojętego wedle nauki ludzkiej: "Święty to działał!".

Za pierwszą tą u Boga wyproszoną łaską poszły mnogie inne dla ciał i dla dusz. Życiopisarze Świętego podają nam długi szereg cudów, działanych za jego przyczyną, w pierwszych zaraz dniach po zgonie; opowiadają szczegółowo, opierając się na stwierdzonych przysięgą zeznaniach, jak o śmierci swej oznajmił pewnej pobożnej niewieście w Bolonii, cudownie się jej objawiając, jak w Rzymie uleczył małą dziewczynkę, która nabożnie zwłok jego się dotknęła itd. A cuda nie ograniczyły się bynajmniej do tych pierwszych dni ani miesięcy po śmierci Świętego, ani do tych tylko miast i krajów, w których za życia osobiście przebywał. Jeden z dawnych żywotopisarzów Ignacego, O. Daniel Bartoli, opisał obszernie w osobnej księdze sto wypadków, w których, wedle reguł najsurowszej krytyki, okazała się cudowna, w ścisłym tego słowa znaczeniu, pomoc Świętego; sto wypadków, nie dlatego jakoby ich więcej nie było, ale ponieważ należało tym, z natury swej nieco jednostajnym opisom, kres jakiś położyć. Daleko więcej cudów zebrali Bollandyści, przechodząc kolejno różne kraje i części świata; i oni wszakże ograniczyć się musieli na przytoczeniu zaledwie drobnej części nadesłanych sobie sprawozdań. O Polsce, Litwie, o Niemczech znajdujemy następującą krótką ale w lakoniczności swej wymowną wzmiankę: "Nadesłały nam te prowincje długi spis dziwnych cudownych łask dla ciała i duszy, wyproszonych za pośrednictwem Ignacego, ale niechaj nam darują, że ich tu nie powtórzymy, bo nie byłoby końca, gdybyśmy o wszystkich pisać chcieli".

Niemniejszym dowodem, jak miłym Stwórcy swemu musiał być Ignacy, i jak wiele znaczyła i znaczy jego przyczyna przed tronem Bożym, to historia założonego przezeń zakonu. W chwili śmierci Ignacego, w 16 lat po pierwszym potwierdzeniu Towarzystwa Jezusowego przez Pawła III, dzieliło się ono na dwanaście prowincyj, liczyło około stu klasztorów, przeszło tysiąc "towarzyszów" walczyło i cierpiało za Boga i wiarę w Portugalii, Niemczech, Włoszech i Sycylii, Francji, Hiszpanii, Indiach, Brazylii, Etiopii. Niebawem, jak wyraża się dosadnie jeden z protestanckich pisarzy, nie było niemal zakątka ziemi, do którego by nie dotarła ta "gwardia katolickiego Kościoła"; może najniebezpieczniejszy pomocnik Lutera, Filip Melanchton, wołał z przerażeniem na łożu śmiertelnym: "Cóż to znaczy, wielki Boże, cały świat Jezuitami się napełnia!". Jak już za życia Ignacego, tak po jego śmierci prace przez zakon podjęte jednały mu i jedną z jednej strony licznych przyjaciół i czcicieli, z drugiej wzbudzają najzaciętszych wrogów, którzy przed żadnymi środkami nie cofają się, aby go zniszczyć. Święty przepowiedział przyszłe prześladowania, owszem przyznał się, że sam gorąco o to się modlił, aby Towarzystwo, którego

hasłem: być jak najpodobniejszym swemu Wodzowi, szło za Nim zawsze krzyżową drogą upokorzeń i cierpień. Prośbę tę Bóg wysłuchał w całej pełni; raz nawet burza tak się wzmogła, że zdawało się, że zakon stanowczo już przepadł i że po wielkim dziele Ignacego zostanie tylko wspomnienie w historii. Papież Klemens XIV, trudnymi okolicznościami zagniony, podpisał dekret znoszący zakon, ale i wtedy Opatrzność Boża czuwała i przechowała go na Białej Rusi, niby kadry do przyszłych zaciągów, i znowu po niewielu latach stanął na rozkaz Namiestników Chrystusowych dobrany hufiec Towarzyszków Jezusowych i z przekazanymi sobie przez Ignacego hasłami i tradycjami walczy pod jego sztandarem, pod jego opieką.

Święte życie sługi Bożego, opieka, którą z nieba roztaczał nad swym zakonem i nad swymi czcicielami, liczne cuda, które Bóg działał za jego przyczyną, nie pozostawiały wątpliwości, że mężny i wierny rycerz otrzymał od niebieskiego Wodza wieniec chwały. "Nic innego nie pozostawało – jak zakończył kardynał Bellarmin mowę wypowiedzianą na cześć Ignacego, w rocznicę jego śmierci, 31 lipca 1595 – tylko, aby Kościół wydanym przez siebie uroczystym świadectwem zatwierdził heroiczne cnoty i wspaniałe czyny, którymi tak wielce się zasłużył dla dobra chrześcijaństwa, aby Stolica Święta przyznała mu publiczną cześć należną Świętym". Zaledwie Bellarmin słowa te wypowiedział, powstał jeden z słuchaczy, godny syn św. Filipa Nereusza, kardynał Baroniusz, i jakby w odpowiedzi na dopiero co uczynioną odezwę, wychwalać począł ze swojej strony wielkie cnoty i zasługi Ignacego; następnie zażądał głośno, aby przyniesiono mu jego wizerunek, sam go nad grobem zawiesił i otoczył własnoręcznie pięknym wieńcem z wotów złożonych dotąd przez pobożnych i wdzięcznych czcicieli. Obaj kardynałowie klękali przed tak uwiecznionym obrazem i zwrócili się w wspólnej, rzewnej modlitwie do królującego w przybytkach Bożych Ignacego, błagając go o opiekę nad sobą i nad całym chrześcijaństwem. Za dostojnikami Kościoła powtórzył tę modlitwę licznie zebrany lud; ze wszystkich oczu – jak opowiada naoczny świadek – polały się łzy radością i wdzięcznością wyciśnięte.

Nieprzygotowany ten, wzruszający objaw głębokiej czci dla sługi Bożego dwóch kardynałów, których nazwiska powtarzał cały świat katolicki, przyspieszył podjęte już poprzednio kroki do uroczystego wliczenia Ignacego w poczet Świętych. Monarchowie katoliccy, biskupi, książęta, całe kraje i miasta, które doświadczyły na sobie w ciężkich potrzebach potężnej opieki Ignacego, udawały się raz po raz z prośbą do Stolicy Apostolskiej, aby przyspieszyła

dawno oczekiwany dzień i dozwoliła publicznie modlić się do tego, do którego z głębi wdzięcznych serc wznosiły się od dawna gorące dzięki i łączące się z nimi nowe błagania. Między innymi, prośbę tę zanieśli królowie hiszpańscy Filip II i Filip III w kilkakrotnych własnoręcznych listach, królowie francuscy Henryk IV i Ludwik XIII, cesarzowa Maria Austriacka, król polski Zygmunt III, Małgorzata królowa hiszpańska. Papież Paweł V, zadośćczyniac tym tak słusznym prośbom, po najdokładniejszym zbadaniu całego życia sługi Bożego i licznych cudów, którymi sam Bóg Wszechmogący świętość jego potwierdzał, policzył Ignacego w poczet błogosławionych, dnia 27 lipca 1609 r.

W trzynastcie lat później Grzegorz XV, dawny uczeń kolegium "niemieckiego", postanowił przystąpić do uroczystej kanonizacji umiłowanego przez siebie, czczonego całym sercem od lat dziecięcych fundatora tej szkoły. W ostatnich ustępach swego pisma papież zastosował do Ignacego słowa wyrzeczone przez Mędrca Pańskiego o Jozuem, wodzu ludu wybranego: "Wielki był wedle imienia swego, największy ku wybawieniu wybranych Bożych, wojując nieprzyjacioły powstające, aby osiągnął dziedzictwo Izraela" (6).

Śmierć nie dozwoliła Grzegorzowi XV dokończyć podjętego dzieła; zastąpił go w tym następca jego, Urban VIII, ogłaszając 6 sierpnia 1623 r. bulle, wynoszące na ołtarze Ignacego założyciela Towarzystwa Jezusowego i wielkiego jego ucznia, apostoła Azji, Franciszka Ksawerego. Dwaj Święci, za życia złączeni tak ścisłymi węzłami, bo tymi samymi pragnieniami i dążeniami i równie wielkimi czynami, złączeni też zostali w zaszczytach przez Kościół im składanych, w czci przez świat chrześcijański niesionej.

Odtąd cześć dla Ignacego, przełamawszy stanowczo wszelkie możliwe zapory, rozlała się wspaniałą rzeką po świecie całym. Na obu półkulach, w Europie, w Afryce, dalekich Indiach, Chinach, Paragwaju, wszędzie gdzie synowie Ignacego szli z krzyżem w rękę głosić dobrą nowinę, szła z nimi znajomość i miłość świętego ich Ojca, stawały na jego cześć ołtarze, kaplice, kościoły, rozlegały się w nich pieśni, wielbiące Boga w mężnym Jego rycerzu. Dziś wiele z dawnych jezuickich klasztorów użyto na inne cele, kościoły w inne przeszły ręce, ale po dziś dzień pozostałe w nich malowidła i posągi opowiadają chwałę sługi Bożego, zachęcając wiernych do wzywania go w potrzebach i do kierowania życia wedle pozostawionych przezeń nauk i wzorów. A tymczasem w innych krajach, innych miastach, nowe wznoszą się świątynie pod wezwaniem Ignacego; świeże drużyny misjonarzy idą z imieniem jego na

ustach, kupiąc się koło podniesionego przezeń sztandaru zdobywać świat dla Chrystusa; coraz liczniejsze zastępy krzepią się do walki, utwierdzają się w dobrem, czerpią prawdę i pociechę w świętym źródle "ćwiczeń duchownych".

I u nas w Polsce miłość i cześć dla Ignacego, zaszczepiona przez uczniów jego przeszło trzysta lat temu, przynosiła i przynosi miłe Bogu i ludziom zbawienne owoce. O tej czci świadczą liczne cuda, za przyczyną Świętego w Polsce zdziałane, o których szeroko rozpisują się jego życiopisarze i historycy Towarzystwa, liczne kościoły, kaplice stawiane pod jego wezwaniem, wreszcie książki i książeczki opowiadające święte jego życie, zachęcające do naśladowania heroicznych cnót. Obszerny żywot Ignacego, spisany przez O. Ribadeneirę, przełożony został na język polski przez O. Jakuba Szafarzyńskiego i wydrukowany w Krakowie r. 1593; w kilkanaście lat później O. Szymon Wysocki przetłumaczył również krótszy życiorys Świętego pióra tegoż O. Ribadeneiry (7). Z mów pochwalnych, z wierszy, dramatów i modlitw, ułożonych przez ziomków naszych w polskim lub łacińskim języku, na cześć Ignacego, można by złożyć bez trudności małą biblioteczkę.

Ranny pod Pampeluną rycerz zwrócił się zupełnie do Boga i oddał się całkowicie na Jego służbę, czytając i rozważając heroiczne cnoty świętych Pańskich. Iluż znowu poprowadziło do Boga i doprowadziło do wysokich szczybli chrześcijańskiej doskonałości zapoznanie się ze świętym życiem Ignacego! Wspaniała jest istotnie postać tego rycerza Bożego, zdolna zapalić wyobraźnię, serce poruszyć i natchnąć energią do wielkich czynów w walce o rozszerzenie Królestwa Bożego. Kto za życia Ignacego do niego się zbliżył, odchodził płonąc ogniem miłości Bożej i gorliwości i płomienie te następnie wokoło siebie rozniecał; i dziś, wpatrując się w cnoty i czyny Świętego, zbliżamy się do niego i nauk jego słuchamy – daj Boże, z podobnym skutkiem.

---

### **Przypisy:**

- (1) Okólnik rozesłany do całego zakonu, zaraz po śmierci Ignacego. *Cartas*, t. VI, str. 360 nast.
- (2) Tj., wedle obecnie przyjętego u nas sposobu liczenia, około czwartej popołudniu.
- (3) O. Fulwiusz Androcio do O. Polanco. *Cartas*, t. VI. Dodatek I, nr 68.
- (4) Do O. Polanco. 2 września 1556. T. VI. Dodatek I, nr 6.
- (5) *Cartas*, t. VI. Dod. I, nr. 7, 8, 10.
- (6) Ekli. XLVI, 2.



(7) *Żywot Ignacego Lojole*, Societatis Jesu, Przodka i Fundatora, przez Piotra Ribadeneirę, tegoż zakonu kapłana, dawno po łacinie napisanego, a teraz w polski język przełożonego. W Krakowie. W drukarni Jakóba Siebeneichera. 1593.

*Żywot Błogosławionego Ojca Ignacego Lojole...* teraz na polskie przez X. Simona Wysockiego, tegoż zakonu przetłumaczony. W Krakowie, w drukarni Mikołaja Loba. 1609.



Ks. Jan Badeni T. J., *Życie św. Ignacego Loyoli, założyciela zakonu Tow. Jezusowego*. Wydanie drugie. Kraków 1923. NAKŁADEM WYDAWNICTWA KSIĘŻY JEZUITÓW, str. 347. (a)  
(Pisownię i słownictwo nieznacznie uwspółcześniono).

---

Pozwolenie Władzy Duchownej:

NIHIL OBSTAT

*J. Andrasz S. J.*

*ensor*

L. 10613/23.

POZWALAMY DRUKOWAĆ

Z Księżęco-Biskupiej Kurii

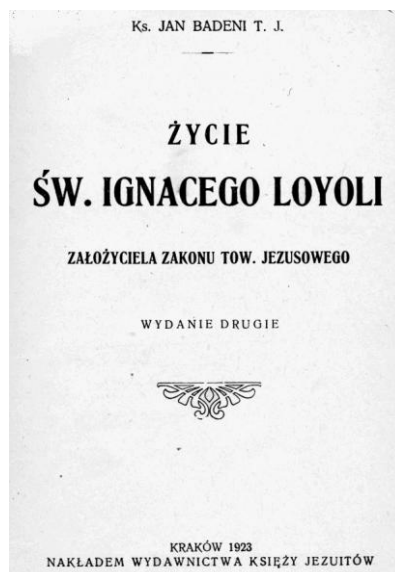
*Kraków, dnia 13. XI. 1923*

*† Adam Stefan*

L. S.

*X. Wł. Miś*

*kanclerz*



### Przypisy:

- (a) Por. 1) Św. Ignacy Loyola, [\*Summa et scopus nostrarum Constitutionum. Istotna treść i cel Konstytucji Towarzystwa Jezusowego.\*](#)
- 2) O. Gabriel Hevenesi SI, [\*Maksymy świętego Ignacego \(Scintillae Ignatianae sive S. Ignatii de Loyola Sententiae et effata sacra. Cum Appendice continente Sententias S. Philippi Nerii\).\*](#)
- 3) O. J. Petitdidier SI, [\*Ćwiczenia duchowne według normy św. Ignacego Loyoli. – Exercitia spiritualia juxta normam sancti Ignatii Loyole.\*](#)
- 4) "Voce della Verita", [\*Czemu Jezuici są nienawidzeni? Przez kogo są nienawidzeni? Jak długo jeszcze będą nienawidzeni?.\*](#)
- 5) Ks. Jan Badeni SI, a) [\*Filozof chrześcijański z II wieku, święty Justyn męczennik.\*](#) b) [\*Św. Cyryl Biskup Aleksandryjski i walka o Bóstwo Chrystusowe w V wieku.\*](#)
- 6) Księża Towarzystwa Jezusowego, [\*Serce Jezusowe. Kazania i szkice.\*](#)
- 7) Ks. Piotr Skarga SI, a) [\*O kłakolu heretyckim i diabelskiej wolności religijnej. – De haeretica zizania et diabolica libertate religiosa.\*](#) b) [\*O jedności Kościoła Bożego pod jednym pasterzem i o greckim i ruskim od tej jedności odstąpieniu, oraz Synod Brzeski i Obrona Synodu Brzeskiego.\*](#) c) [\*Żywoty Świętych Starego i Nowego Zakonu na każdy dzień przez cały rok.\*](#) d) [\*Nauki o Sakramentach Chrztu, Bierzmowania, Pokuty, Ostatniego Pomazania, Kapłaństwa i Małżeństwa.\*](#) e) [\*Nauki o Przenajświętszym Sakramencie.\*](#) f) [\*O rozumieniu początku Ewangelii św. Jana, którą się na końcu Mszy czyta.\*](#) g) [\*Kazanie na dzień Trójcy Świętej.\*](#) h) [\*Kazanie na XXIV niedzielę po Świątkach. \(O końcu świata i o Antychryście\).\*](#) i) [\*Pierwsze 354 lata historii Kościoła świętego wyjęte z "Rocznych dziejów kościelnych" kardynała Cezarego Baroniusza..\*](#)

8) Ks. Jakub Wujek SI, a) *Postylla Mniejsza, to jest krótkie kazania, albo wykłady św. Ewangelii na każdą niedzielę i na każde święto wedle nauki samej prawdziwej Kościoła św. powszechnego dla ubogich kapłanów i gospodarzów i pospolitego człowieka.* b) *Historia Męki Pana naszego Jezusa Chrystusa, Boga i człowieka prawdziwego, ze czterech Ewangelistów zebrana, na dziewięć części podzielona.* c) *Krótkie nauki homiletyczne na niedziele i uroczystości całego roku.* d) *Postilla Catholica... Iż zbory Lutrów, Kalwinów i innych Sektarzów, nie są Kościoły Pana Chrystusowe, ale Bożnice Szatańskie.* e) *Grzech żydów i heretyków przeciwko Duchowi Świętemu.*

9) Ks. Jan Rosiak SI, a) *Suarez. 1548 – 1617.* b) *Wiara i "doświadczenie religijne".*

10) Ks. Antoni Langer SI, a) *Rozwój wiary.* b) *Pojęcie o Bogu w chrześcijaństwie i u filozofów.* c) *Kardynał Jan Chrzyciel Franzelin i jego znaczenie w katolickiej nauce.*

11) Św. Robert kard. Bellarmin SI, a) *Wykład Nauki Chrześcijańskiej. Katechizm większy (Catechismus, seu: Explicatio doctrinae christianae).* b) *Katechizm mniejszy czyli Nauka Chrześcijańska krótko zebrana.*

12) O. Jan Jakub Scheffmacher SI, *Katechizm polemiczny czyli Wykład nauk wiary chrześcijańskiej przez zwolenników Lutra, Kalwina i innych z nimi spokrewnionych, zaprzeczanych lub przekształczanych.*

13) P. Christianus Pesch SI, *Compendium Theologiae dogmaticae.*

14) O. Mikołaj Łęczycki SI, *Pobudki do unikania grzechu śmiertelnego i kilka innych rozważań pobożnych.*

15) Bp Władysław Krynicki, *Dzieje Kościoła powszechnego.*

(Przyp. red. *Ultra montes*).



( [HTM](#) )

© *Ultra montes* ([www.ultramontes.pl](http://www.ultramontes.pl))

Cracovia MMXVI, Kraków 2016